



Danielle Steel



НИЦПОЊ

nicpoń: człowiek lekkomyślny, bezwartościowy

hultaj

szelma

ze szczególną intonacją może być wyrazem żartobliwego uznania

Słownik Języka Polskiego PWN



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mała jednosilnikowa cessna z ogłuszającym rykiem opadała, przechylona, nad mokradłem nadmorskim na wschód od Miami. Samolot znajdował się na takiej wysokości, że cała okolica była widoczna wyraźnie jak na pocztówce. Ale wiatr, wdzierający się przez otwarty luk, szarpał uprząż spadochronu i odwracał uwagę młodej kobiety od tej wspaniałej panoramy. Stojący za nią mężczyzna zachęcał ją do skoku.

- A jeśli spadochron się nie otworzy? - spytała, rzucając mu przez ramię pełne lęku spojrzenie. Była wysoką blondynką o wspaniałej figurze i pięknych rysach.

- Otworzy się, Belinda, bądź spokojna - zapewnił ją z całkowitym przekonaniem Blake Williams. Skoki spadochronowe były od dawna jedną z jego licznych pasji. Sprawiało mu wielką radość, gdy mógł swoje pasje dzielić z ładną dziewczyną.

Przed tygodniem Belinda przystała na jego pomysł po paru drinkach w ekskluzywnym nocnym klubie w South Beach. Była to dopiero ich trzecia randka, ale Blake mówił o skokach spadochronowych tak porywająco, że nie potrafiła odmówić, więc ze śmiechem przyjęła zaproszenie.

Nazajutrz Blake zorganizował dla niej ośmiogodzinne szkolenie i próbny skok z instruktorem. Uznał, że to wystarczy. Wtedy jeszcze nie wyobrażała sobie, w co się pakuje. A teraz patrzyła na niego przerażona i nie mogła sobie wybaczyć, że tak łatwo poddała się jego pomysłom. Przy pierwszym próbnym skoku towarzyszyli jej dwaj instruktorzy. Mimo śmiertelnego strachu trochę jej się to podobało.

Wyobrażała sobie, że skok z Blake'em będzie prawdziwie ekstatycznym przeżyciem. Czekwała na to z niecierpliwością. Blake był taki przystojny i czarujący, taki prowokujący i zabawny, że choć prawie go nie знаła, była gotowa pójść z nim wszędzie i zrobić wszystko, czego od niej zażąda, choćby nawet miała dla niego skoczyć w przepaść. Ale teraz znowu paraliżował ją strach. Blake przyciągnął ją do siebie i pocałował. Dreszcz, jaki wzbudzała w niej sama jego obecność, pomógł

pokonać strach. Zatem, jak uczono ją na kursie, zrobiła krok do przodu i nagle zawisła w przestworzach.

Blake poszedł w jej ślady po paru sekundach. Z całej siły zacisnęła powieki, a potem, gdy otworzyła oczy, gestami przypomniał jej, że trzeba otworzyć spadochron. Otworzyła, jak ją uczono. I oto opadali z wolna ku ziemi, a on z uśmiechem pokazywał wyprostowany kciuk - brawo, możesz być z siebie dumna. Nie do wiary, zrobiła to już drugi raz w ciągu tygodnia. To była właśnie charyzma Blake'a, ludzie szli za nim jak w dym.

Belinda miała dwadzieścia lat i była modelką. Pracowała w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku. Poznała Blake'a u swoich przyjaciół w Miami. Przyleciał własnym nowiutkim boeingiem 737, żeby spotkać się ze starym kumplem. Do skoków już na miejscu wynajął mniejszy samolot i pilota.

Blake Williams robił wrażenie faceta, który zna się na wszystkim. Jako narciarz jeszcze w college'u osiągnął klasę olimpijską, a potem nauczył się pilotować własnego jeta. Zawsze sam, bo drugiego pilota zabierał ze sobą tylko na wszelki wypadek, ze względu na rozmiary i stopień skomplikowania maszyny.

Do tego fantastycznie znał się na sztuce, a jego kolekcja dzieł sztuki przedkolumbijskiej była jedną z najcenniejszych na świecie. Znał się na architekturze, na winach, na żeglarstwie, a przede wszystkim na kobietach. Lubił to, co w życiu najlepsze, i chętnie dzielił się tym z przyjaciółmi. Ukończył zarządzanie biznesem na Harvardzie, miał też dyplom z Princeton. Skończył 46 lat. W wieku lat 34 wycofał się z interesów i od tej pory życie wypełniały mu przyjemności, oraz kobiety, które w nich towarzyszyły. Był wielkoduszny ponad wszelkie wyobrażenie, jak twierdzili znajomi Belindy. Facet, o jakim marzy każda dziewczyna - bogaty, inteligentny, dobrze ubrany, rozmiłowany w rozrywkach. I mimo niezwykłych sukcesów, jakie osiągnął w swoim czasie, nie było w nim ani cienia zarozumialstwa. Był jedną z najlepszych partii w kraju i choć jego liczne w ostatnich pięciu latach flirty wydawały się dość powierzchowne, żaden nie zakończył się awanturą. Kobiety, z którymi się rozstawał, uwielbiały go nadal.

Gdy opadali na pas piaszczystej plaży, Belinda spoglądała na niego z podziwem. Nawet jeśli wolałaby już więcej nie powtarzać swego wyczynu, wiedziała, że na zawsze zapamięta Blake'a i tę chwilę, gdy chwycili się za ręce w błękitnych przestworzach.

- Było pięknie, prawda? - zawołał.

Skinęła głową. Ciągle jeszcze ogłuszona, nie mogła mówić. Ten skok okazał się jeszcze bardziej ekscytujący niż tamten pierwszy, z instruktorem. Korciło ją, by czym prędzej zacząć opowiadać na prawo i lewo o tym, czego dokonała, a zwłaszcza o tym, kto jej towarzyszył. Choć niedawno była jeszcze pólżywa ze strachu, teraz uśmiechała się pogodnie, kiedy jej stopy dotknęły gruntu.

Oczekujący na ziemi instruktorzy pomogli odpiąć spadochron. Blake wylądował parę metrów od niej. Gdy tylko uwolnili się z uprząży, wziął ją w ramiona i znów pocałował. Jego pocałunki oszołamiały ją jak wszystko, co się z nim wiązało.

- Byłaś wspaniała - powiedział, podnosząc ją do góry.

Roześmiała się z całego serca. Nigdy nie знаła nikogo takiego jak on.

- To ty byłaś wspaniała. Nawet nie myślałam, że będę do tego zdolna. Do czegoś tak szalonego.

Znała go dopiero od tygodnia.

Znajomi ją uprzedzili, że nie ma co liczyć na stały związek. Blake Williams pokazywał się z pięknymi kobietami wszędzie, gdzie tylko się pojawił. Nie był stworzony do małżeństwa, chociaż był już żonaty. Miał trójkę dzieci i twierdził, że wciąż szaleje za ich matką. Miał też samolot, jacht i kilka bajecznych rezydencji. Chciał po prostu dobrze się bawić, i od czasu rozwodu nie zamierzał się z nikim wiązać. Przynajmniej na razie. Jego genialne posunięcia w branży internetowej przeszły do legendy, podobnie jak sukcesy kilku firm, w które potem zainwestował zarobione pieniądze. Blake Williams miał wszystko, czego dusza zapragnie, każde jego marzenie dawno już stało się rzeczywistością. Gdy zeszli z plaży, kierując się w stronę parkującego nieopodal dżipa, Blake otoczył ją ramieniem, przycisnął

mocno do siebie i mocno pocałował. Belinda wiedziała, że to był dzień, jaki się pamięta do końca życia. Ile kobiet mogło się pochwalić, że wyskoczyły z samolotu z Blake'em Williamsem? Może więcej niż sądziła. Lecz i tak należała do najodważniejszych.

Deszcz bębnił w okna gabinetu Maxine Williams przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy Wschodniej w Nowym Jorku. Była to listopadowa ulewa, jakiej nie odnotowano w tym mieście od pięćdziesięciu lat. Zrobiło się całkiem ciemno i zerwał się silny wiatr, ale gabinet, w którym Maxine pracowała od dziesięciu do dwunastu godzin na dobę, był ciepły i zaciszny. Miał ściany w kremowym kolorze, na nich kilka abstrakcyjnych obrazów w spokojnych, stonowanych barwach. Wnętrze funkcjonalne i przyjemne. Duże fotele, miękko wyściełane i obite jasną skórą, obiecywały nadzwyczajną wygodę. Biurko było nowoczesne, masywne, proste, i panował na nim ład tak absolutny jak na sali operacyjnej. Wszystko, co otaczało Maxine, było pedantycznie uporządkowane, i to wrażenie porządku rozciągało się także na nią samą. Zadbane od stóp do głów. Całkowicie panująca nad otoczeniem. Jej sekretarka, równie skuteczna i sprawna jak ona, pracowała z nią już prawie od dziewięciu lat. Wiedziała, że Maxine nie znosi bałaganu, zamętu, nie lubi niespodziewanych zmian. Wszystko w jej życiu, a także pojmowanie życia w ogóle, było uładzone, dobrze zorganizowane, nieskazitelne.

Dyplom wiszący w ramach na ścianie głosił, że studiowała medycynę na Harvardzie i ukończyła ją z wyróżnieniem. Była psychiatrą, zaliczano ją do czołowych specjalistów od traumy u dzieci. Znała się doskonale na dziecięcej schizofrenii i na depresji dwubiegunowej w wieku dorastania, a jedną z jej specjalizacji była mania samobójcza u nastolatków. Pracowała z dziećmi i ich rodzinami, często osiągając doskonałe wyniki. Napisała dwie bardzo cenione książki o urazach dziecięcych przeznaczone dla rodziców. Zapraszano ją tu i tam, także za granicę, by swoją wiedzą pomogła w łagodzeniu urazów będących skutkiem katastrofy żywiołowej albo zbrodni dokonywanych przez szaleńców. Współpracowała z zespołem powołanym do opieki nad szkołą w Colombine po

strzelaninie, w której zginęło kilkoro uczniów. Wydała kilka prac o psychologicznych skutkach zamachów z 11 września, doradzała dyrekcjom kilku szkół nowojorskich w kwestiach bezpieczeństwa dzieci. W wieku czterdziestu dwóch lat była ekspertem w swojej dziedzinie, cieszyła się powszechnym szacunkiem. Z propozycji, które napływały, większość musiała odrzucać z braku czasu. Pomiędzy przyjęciami pacjentów a chwilami spędzonymi z rodziną jej czas był po brzegi wypełniony pracą dla instytucji lokalnych, państwowych i międzynarodowych.

Przywiązywała ogromną wagę do bliskich kontaktów z własnymi dziećmi. Dafne miała trzynaście lat, Jack dwanaście, a Sam właśnie skończył sześć. Jako samotna matka zmagiała się z takimi samymi trudnościami, jakie stają się udziałem każdej pracującej matki, i musiała znaleźć sposób na godzenie obowiązków domowych z zawodowymi. Były mąż nie pomagał jej prawie wcale. Pojawiał się jak błyskawica, bez zapowiedzi i w ogromnym pośpiechu, by potem znowu zniknąć z horyzontu. Odpowiedzialność za wychowanie dzieci spoczywała wyłącznie na niej.

Czekając na kolejnego pacjenta, patrzyła w okno i myślała o dzieciach, gdy na biurku niecierpliwie zadzwonił wewnętrzny telefon. To zapewne sekretarka chce przekazać wiadomość, że oczekiwany pacjent, piętnastoletni chłopiec, właśnie przyszedł. Ale sekretarka powiedziała jej, że dzwoni mąż. Maxine zmarszczyła brwi.

- Były mąż - sprostowała.

- Przepraszam, to dlatego, że zawsze przedstawia się jako mąż... Znowu się pomyliłam...

Wkradał się w łaski sekretarki, wypytyując ją o narzeczonego i o psa. Należał do ludzi, których każdy musi polubić, czy tego chce, czy nie.

- Nie twoja wina, to on się pomylił - powiedziała sucho Maxine i podniosła słuchawkę.

Nie miała pojęcia, skąd dzwonił. Z Blake'em nigdy nic nie było wiadomo. Przez ostatnie cztery miesiące nie spotkał się z dziećmi ani razu. W lipcu zabrał je do Grecji, do swoich przyjaciół. Co roku latem oddawał Maxine i dzieciom jacht do

dyspozycji. Dzieci kochały ojca, ale wiedziały też, że mogą liczyć tylko na matkę, bo ojciec pojawia się i znika jak sen. Maxine nie wątpiła, że wszystko mu wybaczą. Podobnie jak ona przez pierwsze dziesięć lat ich małżeństwa. Lecz całkowita nieodpowiedzialność i skrajny egoizm w końcu zaćmiły jego urok osobisty.

- Cześć, Blake - powiedziała do słuchawki, i usiadła wygodniej w fotelu. Jej profesjonalna powściągliwość zawsze się ulatniała, kiedy zaczynała z nim rozmawiać. Mimo rozvodu pozostali przyjaciółmi, i to bardzo bliskimi. - Gdzie teraz jesteś?

- W Waszyngtonie. Właśnie wróciłem z Miami. Byłem na małych wakacjach w St. Barthelemy.

Wspomnienie ich domu w St. Barthelemy na Karaibach natychmiast stanęło jej przed oczami. Nie jeździła tam od pięciu lat. Była to jedna z licznych nieruchomości, które wielkodusznie zostawiła w jego rękach podczas rozprawy rozwodowej.

- Wybierasz się do Nowego Jorku, do dzieci?

Nie chciała powiedzieć mu wprost, że powinien je odwiedzić. Doskonale wiedział, że powinien, tylko że zawsze miał jakieś inne plany. Był bardzo przywiązany do dzieci, kochał je naprawdę, ale czasu miał dla nich niewiele, i one o tym dobrze wiedziały. A mimo to wszystkie za nim przepadały, i ona, na swój sposób, także. Nie można było nie lubić Blake'a, nie miał żadnych nieprzyjaciół.

- Bardzo bym chciał je zobaczyć - powiedział przepaszającym tonem. - Ale dziś wieczorem lecę do Londynu. Mam tam spotkanie z architektem. W sprawie przebudowy domu. - I dorzucił tonem psotnego dziecka: - Kupiłem właśnie fantastyczną posiadłość w Marakeszu. Lecę tam w przyszłym tygodniu. To bajeczny, wspaniały, rozsypujący się stary pałac.

- Zrobisz jak zechcesz - mruknęła i pokręciła głową.

Był naprawdę nieznośny. Gdzie tylko stąpnął, tam kupował domy. Przebudowywał je z pomocą najsłynniejszych architektów i projektantów wnętrz,

zamieniał w cacka i zaczynał rozglądać się za czymś nowym. Projekty zawsze ekscytowały Blake'a bardziej niż końcowy efekt.

Jeden z jego domów znajdował się w Londynie, drugi w St. Barthelemy, trzeci w Aspen. Był właścicielem górnej połowy pewnego weneckiego pałacu, nadbudówki na dachu drapacza chmur w Nowym Jorku, a teraz także, jak się okazało, nowej posiadłości w Marakeszu. Maxine nigdy nie rozumiała, po co mu to wszystko. Ale też wiedziała, że do czegokolwiek się zabierał, rezultat okazywał się niezwykle efektowny. Blake miał doskonały gust i wiedział, czego żądać od projektantów. Więc wszystkie jego domy były piękne. Miał też żaglowiec, jeden z największych na świecie, choć potrzebował go tylko przez kilka tygodni w roku. Na pozostałe miesiące użyczał go przyjaciółom na prawo i lewo. Sam zaś podróżował po świecie własnym samolotem, to na safari do Afryki, to na wspinaczkę w Himalaje. Dwa razy był na Antarktydzie i wracał z oszałamiającymi fotografiami gór lodowych i pingwinów. Jego świat był nieporównanie rozleglejszy od jej świata. Ona zadowalała się uregulowanym i przewidywalnym nowojorskim życiem, przemieszczając się między gabinetem a wygodnym mieszkaniem, znajdującym się kilka ulic dalej, przy Osiemdziesiątej Czwartej Wschodniej. Codziennie wieczorem wracała do domu pieszo, nawet w taką pogodę jak dziś. Krótki spacer przynosił jej odpoczynek po całym dniu, po tym wszystkim, czego musiała się nasłuchać od pacjentów, po wizytach nadmiernie pobudzonych lub chorobliwie przygaszonych dzieciaków, którym pomagała stanąć na nogi. Zdarzało się, że inni psychiatrzy prosili ją o skonsultowanie przypadków prób samobójczych. Pomoc w sytuacjach beznadziejnych była właśnie tym, co Maxine mogła dać z siebie światu. Kochała tę pracę.

- A co u was, Maxine? Jak się mają dzieci?

- Świetnie. Jack w tym roku znowu gra w szkole w piłkę nożną, idzie mu coraz lepiej - powiedziała nie bez dumy. Czowała się tak, jakby dzieci, o których opowiadała Blake'owi, nie były jego dziećmi, lecz tylko jej. Lepiej sprawdzałby się jako ukochany i rzadko widywany wujek niż jako ojciec. Problem w tym, że jako

mąż miał tę samą wadę - był niemal nieobecny. A już szczególnie, kiedy musiała uporać się z jakąś trudną sprawą.

Blake był zawsze zajęty swoimi domami. Odkąd doszedł do wielkich pieniędzy, wciąż zniknął gdzieś daleko za horyzontem. Zawsze wzywało go coś znacznie ciekawszego niż życie rodzinne. Oczekiwał od Maxine, że wycofa się z praktyki lekarskiej, lecz ona nie mogła tego dla niego zrobić. Zbyt ciężko zapracowała na swoją pozycję zawodową. Wycofanie się z psychiatrii nie wchodziło w grę. Nie zrobiłaby tego nigdy, nawet gdyby jej mąż był najbogatszy. Szczerze mówiąc, nie była nawet ciekawa, jak bardzo stał się bogaty. I chociaż kochała go, nie mogła się już odnaleźć w tym związku. Różnili się pod każdym względem, jak dwie skrajności. Jej pedanteria była przeciwieństwem nieporządku, który zawsze mu towarzyszył. Gdziekolwiek przebywał, zaraz pojawiały się wokół niego stosy papierów, książek, czasopism, resztki jedzenia, łupinki orzechów, skórki od bananów, torebki po chipsach, kałuże gazowanych napojów i na pół opróżnione butelki. Wciąż szkicował jakieś projekty związane z ostatnio nabytą nieruchomością, a kieszenie miał pełne karteczek z numerami telefonów, na które powinien był oddzwonić, lecz gubił gdzieś te karteczki i nie pamiętał o zobowiązaniach.

W interesach radził sobie doskonale, ale poza tym jego życie było pełne zamętu. Był przemiłym, uroczym bałaganiarzem. Rola dorosłego bardzo go męczyła, zwłaszcza odkąd pojawiły się dzieci. Kiedy Maxine miała urodzić Sama, Blake wyskoczył na premierę pewnego filmu, i w końcu nie było go przy narodzinach dziecka. A kiedy osiem miesięcy później Sam wypadł opiekunce na podłogę podczas przewijania, kiedy złamał sobie obojczyk i zachodziła obawa, że doznał urazu głowy, Blake zniknął i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Bez pożegnania poleciał do Cabo St. Lucas obejrzeć jakiś dom wystawiony na sprzedaż, ponieważ zbudował go pewien meksykański architekt, którego Blake cenił. Po drodze zgubił telefon komórkowy i dopiero po dwóch dniach udało jej się go

namierzyć. Z Samem było już wtedy wszystko w porządku, ale kiedy Blake wrócił do Nowego Jorku, Maxine wystąpiła o rozwód.

Ich małżeństwo rozleciało się właśnie wtedy, kiedy Blake stał się bogaty. Maxine potrzebowała męża żyjącego w nieco bardziej ludzkiej skali, takiego, który bywałby w domu przynajmniej od czasu do czasu. Blake był wielkim nieobecny. Uznała więc, że równie dobrze może żyć bez niego, zamiast wyklócać się z nim przez telefon albo szukać go do upadłego, kiedy coś złego działo się z dziećmi. Gdy powiedziała mu, że chce rozwodu, upił się. I potem oboje płakali. Próbował ją odwieść od tego postanowienia, ale była zdecydowana. Kochał ją, a ona jego. Ale Maxine twierdziła, że ten związek stał się dla niej bardzo trudny. Zbyt trudny. Nie mieli wspólnych celów. On pragnął samych przyjemności, dla niej ważne były dzieci i praca. Po prostu niezgodność charakterów. Odmienność fascynowała, póki byli młodzi. Potem zaczęła przeszkadzać.

- Będę na meczu Jacka po powrocie - obiecał Blake, a Maxine patrzyła na potoki wody spływające po szybach.

„Po powrocie? To znaczy kiedy?“, pomyślała.

Blake odpowiedział na to milczące pytanie. Znał ją dobrze, lepiej niż ktokolwiek na świecie. Był kimś bliskim, i wiedziała, że tak już zostanie, cokolwiek się wydarzy.

- Przyjadę na Święto Dziękczynienia, a to już niedługo.

Westchnęła.

- Mogę powiedzieć o tym dzieciom? Będą czekały.

Wolałaby oszczędzić im rozczarowania. Łatwo zmieniał plany, wystawiając dzieci do wiatru, tak samo jak ją. Dowolna rzecz mogła go odciągnąć od wcześniejszych zamierzeń. Właśnie tego najbardziej w nim nie lubiła, zwłaszcza kiedy cierpiały przez niego dzieci. Ale to nie on musiał znieść ich spojrzenie, gdy trzeba im było powiedzieć, że tatuś nie przyjedzie.

Najmłodszy Sam niewiele zaznał wspólnego życia, ale i on kochał ojca. W chwili rozwodu miał zaledwie rok. Znał tylko taki dom, w jakim żyli obecnie, i nie

liczył na nikogo oprócz mamy. Jack i Dafne pamiętali dawne czasy, kiedy ojciec był z nimi. Ale i ich wspomnienia już się nieco zatarły.

- Możesz im powiedzieć, Maxine. Przyjadę na pewno - obiecał miękko. - A jak ty się miewasz? Wszystko w porządku? Czy Książę z Bajki już się stawił?

Uśmiechnęła się, jak zawsze, gdy zadawał jej to pytanie. W jego życiu było wiele kobiet, żadnej z nich nie traktował poważnie, a wszystkie były bardzo młode. Ale w jej życiu nie było innych mężczyzn. Może brakowało jej czasu, a może ochoty.

- Od roku nie miałam randki - wyznała.

Zawsze była z nim szczerą. Jak z bratem. Bez tajemnic. Przed innymi także ich nie miała. Z tego właśnie powodu nie była łakomym kąskiem dla plotkarskiej prasy. Tymczasem o nim w kolorowych czasopiśmie aż huczało. I o coraz to nowych kobietach, z którymi go widziano - modelkach, aktorkach, gwiazdkach rocka, spadkobierczyniach wielkich fortun. Przez pewien czas wytrwał przy jakiejś księżniczce, ale to był wyjątek potwierdzający regułę, którą Maxine знаła od lat. Żył daleko, daleko od jej świata, na innej planecie. Różnili się jak woda i ogień.

- W ten sposób nic nie osiągniesz - upomniał ją. - Za dużo pracujesz. Zawsze za dużo pracowałaś.

- Lubię pracować - odpowiedziała po prostu.

Przecież wiedział o tym. Wiedział od dawna. Nawet na początku ich znajomości nie było mu łatwo ją nakłonić, żeby zorganizowała sobie wolny dzień. Teraz też nie miałyby większych sukcesów. Ale jednak weekendy spędzała z dziećmi. Miała też grupkę znajomych. Zwoływali się przez telefon i spotykali w Southampton, w domu, w którym Blake mieszkał z nią po ślubie. Kiedy się rozwodzili, oddał jej ten dom, piękny, ale zbyt banalny jak na jego obecne gusta. Dla Maxine i dzieci nie mogło być nic lepszego niż to wielkie, stare domostwo nad morzem, pełne zakamarków.

- Mogę zabrać dzieci do siebie na świąteczną kolację? - spytał ostrożnie.

Wiedział, że ona zawsze ma swoje plany, i jeśli zjawiał się bez uprzedzenia, nie

zaskakiwał jej pomysłem, że zabierze dzieci. Rozumiał, ile wysiłku musiało ją kosztować stworzenie dzieciom stabilnego świata. Miała prawo oczekiwać, że wszystkie plany uzgodni z nią wcześniej.

- Myślę, że tak. Idziemy do dziadków, ale to w porze obiadu.

Ojciec Maxine też był lekarzem. Chirurgiem ortopedą, dobrze zorganizowanym, pedantycznym tak jak ona. Podziwiała go, a on swoją jedynaczkę adorował z dumą. Jej matka nigdy nie pracowała.

Blake miał zupełnie inne dzieciństwo niż Maxine. Jego życie zaczęło się od szczęśliwego zbiegu okoliczności. Zaraz po narodzeniu został adoptowany przez starsze małżeństwo. Jego matką biologiczną, co odkrył po długim śledztwie, była piętnastolatka z Iowa. Kiedy ją odnalazł, okazało się, że wyszła za mąż za policjanta i miała jeszcze czwórkę dzieci. Przyjazd Blake'a był dla niej absolutnym zaskoczeniem. Nie znaleźli wspólnego języka. Współczuł jej, bo nie miała lekkiego życia. Brakowało pieniędzy, a mąż popijał. Wyjawiała Blake'owi, kto był jego biologicznym ojcem. Pewien uroczy, przystojny, zbuntowany chłopak, który wtedy miał siedemnaście lat, ale już nie żył. Zginął w wypadku samochodowym niedługo po ukończeniu szkoły, lecz i tak nie zamierzał się z nią żenić. Dziadkowie Blake'a, katolicy i konserwatyści, wysłali ją do innego miasta, gdzie donosiła ciążę, a po porodzie zmusili ją, by oddała dziecko do adopcji. Adopcyjni rodzice Blake'a byli miłymi, porządnymi ludźmi. Ojciec pracował na Wall Street jako doradca podatkowy. To on nauczył Blake'a podstaw inwestowania. Zadbał też, by Blake ukończył Princeton, a potem zrobił na Harvardzie dyplom z zarządzania. Matka pracowała jako wolontariuszka. Przekazała mu przeświadczenie, że jesteśmy coś winni społeczeństwu. Tę lekcję także sobie przyswoił. Zakładał wiele fundacji dobroczynnych. Podpisywał dla nich czek, choć nazwy większości z nich zazwyczaj wylatywały mu z głowy.

Matka i ojciec zawsze go wspierali, ale oboje zmarli wkrótce w po jego ślubie z Maxine. Blake ogromnie żałował, że nie zdążyli poznać swoich wnuków. Byli wspaniałymi ludźmi, a także oddanymi, kochającymi rodzicami. Nie doczekali też

jego oszałamiających sukcesów finansowych. Czasem się zastanawiał, czy byliby zadowoleni, gdyby wiedzieli, jak teraz żyje. Nieraz późną nocą dochodził do wniosku, że nie mogliby tego zaakceptować. Wiedział, że szczęście mu w życiu sprzyjało, i czuł też, że pobiła sobie nadmiernie.

Ale to, czym się zajmował, sprawiało mu tyle przyjemności! I przecież nie robił nikomu krzywdy. Chciałby częściej widywać dzieci, ale jakoś nigdy nie starczało czasu. Za to kiedy był z nimi, wkładał w to całą duszę. Był dla nich wymarzonym ojcem, takim, który pozwala na wszystko. Spełniał każdy kaprys i rozpieszczał jak nikt inny. Maxine dawała im poczucie stabilności i porządek, on wnosił do ich życia świetną zabawę i coś z magii. To samo ofiarował Maxine, gdy byli jeszcze młodzi. Potem wszystko się zmieniło. A ściślej mówiąc, ona się zmieniła. Bo on pozostał taki sam.

Spytał Maxine o zdrowie jej rodziców. Bardzo szanował jej ojca. Cenił jego ciężką pracę, uczciwość i niezłomne zasady, nawet jeśli uważał, że starszemu panu trochę brakuje fantazji. Teść miał zasady o wiele bardziej surowe niż Maxine. Lecz choć całkowicie różnili się podejściem do życia, całkiem nieźle się z Blake'em dogadywali. Ojciec Maxine, drocząc się z Blake'em, nazywał go Nicponiem. Blake bardzo lubił te jego żarciki. Nicpoń był przecież kimś atrakcyjnym, pociągającym. Ojciec Maxine nie pochwalał tego, że Blake w ostatnich latach tak mało interesował się dziećmi. Wiedział, że jego córka robiła, co mogła, by wizyty Blake'a były jak najczęstsze i jak najdłuższe, ale on się zawsze śpieszył.

- A więc do Święta Dziękczynienia - zakończył rozmowę Blake. - Zadzwońię przedtem i powiem ci dokładnie, o której przyjeżdżam. Zamówię do domu dobrą kolację. Ty też jesteś zawsze mile widziana - dorzucił, i miał nadzieję, że przyjmie to zaproszenie.

Jej towarzystwo nadal sprawiało mu przyjemność. Nic się nie zmieniło, zawsze uważał ją za cudowną kobietę. Po prostu potrzebował odprężenia i trochę więcej rozrywek. A jej styl życia wydawał mu się zbyt purytański.

Wewnętrzny telefon znowu zadzwonił, gdy odkładała słuchawkę po rozmowie z Blake'em. Przyszedł pacjent, ten piętnastoletni chłopiec. Wpuściła go do gabinetu. Zapadł się w jeden z wielkich miękkich foteli, dopiero potem na nią spojrzał i przywitał się.

- Cześć, Ted - powiedziała wesoło. - Jak leci?

Wzruszył ramionami. Maxine zamknęła za nim drzwi i sesja terapeutyczna się rozpoczęła. Miał za sobą dwie próby samobójcze. Usiłował się powiesić. Przez trzy miesiące był w szpitalu. Przed dwoma tygodniami wrócił do domu. Czuł się trochę lepiej. Pierwsze objawy depresji dwubiegunowej zaobserwowano, gdy miał trzy latka. Spotykała się z nim trzy razy w tygodniu, raz na tydzień uczestniczył w zajęciach grupowych dla nastolatków z podobnymi problemami. Jego stan się poprawiał, Maxine zdobyła jego zaufanie. Pacjenci ją bardzo lubili. Wiedzieli, że chce i potrafi im pomóc. Robiła dla nich wszystko, co w jej mocy. Była dobrym lekarzem i dobrym człowiekiem.

Sesja trwała pięćdziesiąt minut. Potem Maxine miała dziesięć minut przerwy, akurat tyle, by załatwić jeden czy dwa telefony, i rozpoczęła następną sesję, ostatnią w tym dniu, z szesnastoletnią anorektyczką. Dzień jak co dzień, długi i ciężki, ale ciekawy, wymagający nieustannego wysiłku umysłowego i skupienia uwagi. Na koniec załatwiła wszystkie zaległe telefony i o pół do siódmej wyruszyła pieszo do domu, w ulewnym deszczu, rozmyślając o Blake'u. Ucieszyło ją, że zamierzał przyjechać na Święto Dziękczynienia. Wiedziała, że dzieci będą czekały na niego. Ale zastanawiała się już, co będzie z Bożym Narodzeniem. Pewnie będzie chciał, żeby przyjechali do niego do Aspen. Tam zwykle spędzał ostatnie dni roku. Ale miał tyle domów i tyle możliwości, że nie sposób było przewidzieć, gdzie się wybierze w danym momencie. Teraz, gdy do tej listy został dopisany Marakesz, jeszcze trudniej będzie przewidzieć jego ruchy. Nie obwiniała go. Był, jaki był. Nie widziała w nim cienia złych intencji, ale też ani śladu poczucia odpowiedzialności. Na wszystkie możliwe sposoby bronił się przed tym, by wreszcie dorosnąć. Stąd właśnie brał się jego urok, i trwał, póki nie oczekiwało się od niego zbyt wiele. Co

jakiś czas się zjawiał, oszałamiał ich swoimi niezwykłymi pomysłami, i znów wzbijał się ponad chmury, odlatując. Może nie byłby wcale inny, nawet gdyby nie doszedł do tych ogromnych pieniędzy, zaledwie przekroczywszy trzydziestkę. Ale sądziła, że właśnie to odmieniło ich życie. Po prostu żałowała, że zrobił majątek na tych swoich dot-comach. Przedtem żyło się im o wiele lepiej. Jej zdaniem to właśnie te pieniądze wszystko zepsuły.

Maxine poznała Blake'a podczas swojego stażu w Stanford Hospital. Pracował w Krzemowej Dolinie, w świecie najnowocześniejszych technologii. Miał wtedy głowę pełną pomysłów dotyczących jego własnego przedsięwzięcia, które właśnie znajdowało się w fazie rozruchu. Była zafascynowana energią i pasją, jaką wkładał w to, co robił. Spotkali się na pewnym przyjęciu, na które wcale się nie wybierała, zaciągnął ją tam ktoś z przyjaciół. Przedtem przez dwa dni bez przerwy dyżurowała na oddziale urazów dziecięcych i kiedy już dotarła na przyjęcie, zasypiała na stojąco. Blake ją od razu przebudził, to było jak wybuch bomby. Nazajutrz zaprosił ją na wycieczkę helikopterem. Przelecieli nad zatoką San Francisco i pod mostem Golden Gate. Wszystko, co robił, było niezwykle ekscytujące. Po tym spotkaniu ich miłość rozpalila się jak pożar w suchym lesie w wietrzną pogodę, błyskawicznie zagarniając coraz rozleglejsze obszary życia. Po roku byli już małżeństwem. Miała wtedy dwadzieścia siedem lat i był to najbardziej burzliwy rok w jej życiu. Dziesięć miesięcy po ślubie Blake sprzedał swoją firmę za ogromną sumę. Szybko inwestując, pomnożył te pieniądze, jak się wydawało, bez żadnego wysiłku. Nie bał się ryzyka i miewał genialne pomysły. Maxine była nim po prostu olśniona.

Po dwóch latach małżeństwa urodziła się Dafne. Blake dysponował niewyobrażalnie wielkim majątkiem i namawiał Maxine, by rzuciła szpital. Ale ona była zajęta pracą. Awansowała, potem oczekiwała dziecka, i dopiero po porodzie zorientowała się nagle, że jest żoną jednego z najbogatszych mężczyzn na świecie. Nie było łatwo przyjąć to do wiadomości, rzecz wymagała przetrwania. A tymczasem, pewnie z powodu nadmiernej pewności, że karmienie piersią wyklucza taką możliwość, po sześciu tygodniach od porodu znowu zaszła w ciążę. Kiedy urodził

się Jack, Blake kupił dwa domy: jeden w Londynie, drugi w Aspen. Zamówił też jacht. Po czym zamieszkali w Nowym Jorku. W krótkim czasie wycofał się z interesów. Ale Maxine nie porzuciła pracy zawodowej nawet wtedy, kiedy miała już dwójkę maluchów. Jej urlop macierzyński trwał krócej niż każda z wycieczek Blake'a, a jeździł po całym świecie. Aby Maxine mogła pracować, w domu musiała zamieszkać na stałe opiekunka do dzieci.

Zawodowe obowiązki, które wciąż ją ograniczały, kolidowały z jego pomysłami na życie. Jak dla niej był za wesoły, zbyt bogaty i nadmiernie towarzyski. Gdy rozpoczęła prywatną praktykę i zgłosiła akces do pewnego ważnego programu badawczego dotyczącego traumy dziecięcej, Blake akurat sprowadził z Londynu jednego z najmodniejszych projektantów, by urządził im nowojorskie mieszkanie, a innego, by zajął się domem w Aspen. Poza tym kupił jej na Gwiazdkę posiadłość w St. Barthelemy, a sobie sprawił samolot. Ich życie toczyło się za szybko jak na gust Maxine, ale, niestety, nie chciało ani trochę zwolnić. Mieli dzieci, domy, niewiarygodne pieniądze, a zdjęcie Blake'a pojawiało się na okładkach „Newsweeka” i „Time'a”.

Kolejne trafne inwestycje jeszcze trzykrotnie pomnożyły jego majątek, ale nigdy już nie zajął się normalną pracą. Cokolwiek robił, nie mógł się obejść bez komputera i telefonu. I swoje małżeństwo także próbował kontynuować przez telefon. Blake kochał Maxine, póki był przy niej, ale przez większą część czasu przebywał zupełnie gdzie indziej.

Maxine przez chwilę rozważała nawet, czy nie powinna wycofać się z życia zawodowego i kiedyś rozmawiała o tym ze swoim ojcem. Ale w końcu zrozumiała, że nie tu leży sedno problemu. Jak bowiem wyglądałoby jej dalsze życie? Podróżowałyby razem z Blake'em między jego posiadłościami, mieszkałyby z nim w hotelach tam, gdzie nie mieli własnego domu, spędzałyby z nim nieustające wakacje, to na safari w Afryce, to na wspinaczce w Himalajach, to na finansowanych przez niego wykopaliskach archeologicznych, to na regatach żaglowców. Blake zajmował się wszystkim po trochu, i tego jeszcze mu było za

mało. Musiał wszystkiego pokosztować, wszędzie spróbować swoich sił. Nie mieściło jej się w głowie, jak miałyby dotrzymać mu kroku, ciągnąc za sobą dwójkę maluchów. Więc i tak siedziałyby z nimi w domu, w Nowym Jorku. Gdyby nawet rzuciła pracę, niewiele by to zmieniło. Każde zaburzone dziecko, z jakim miała do czynienia w swojej pracy, utwierdzało ją w przekonaniu, że potrzebna jest właśnie tam, gdzie wzywają ją zawodowe obowiązki. Zdobyła dwie prestiżowe nagrody za swoje prace naukowe, i to w okresie, kiedy doznawała bez mała rozdwojenia jaźni, usiłując pogodzić lotnicze wypadki z mężem do Wenecji albo St. Moritz, pory odbierania dzieci z nowojorskiego przedszkola i własne odczyty na konferencjach naukowych poświęconych psychiatrii. Prowadziła podwójne, a nawet potrójne życie. Blake w końcu przestał nalegać, żeby towarzyszyła mu w rozrywkach. Zaczął podróżować samotnie. Nie mógł spokojnie usiedzieć ani przez chwilę. Cały świat leżał u jego stóp, choć wydawał mu się już przyciasny. Stał się wiecznie nieobecny mężem i tatusiem od święta, podczas gdy Maxine poświęcała cały swój czas dzieciom własnym i cudzym. Blake'owi i Maxine nie było już razem po drodze, mimo że wciąż się kochali. Z czasem dzieci stały się niemal jedynym pomostem między nimi.

Przez następne pięć lat żyli osobno, umawiając się na spotkania w różnych punktach świata, w miejscach i terminach, które odpowiadały Blake'owi. Nawet wówczas, gdy była w ciąży z Samem. Bo ta ciąża zdarzyła się przypadkiem, kiedy w jakiś weekend spotkali się w Hongkongu, po jego wypadzie z przyjaciółmi do Nepalu. Maxine właśnie zdobyła grant naukowy na badania nad anoreksją u dziewcząt. Kiedy zorientowała się, że znowu jest w ciąży, była przerażona. Oto kolejna piłeczka dołączyła do tych, którymi już zonglowała, jeszcze jedno dziecko, które trzeba będzie wychowywać samotnie, jeszcze jeden klocek układanki, która i tak miała zbyt wiele klocków, by sobie z nią poradzić. Ale Blake wpadł w euforię. Pragnął mieć dużo dzieci, najlepiej pół tuzina. Maxine nie mogła tego zrozumieć, bo przecież nie bardzo interesował się nawet tymi, które już były na świecie. Kiedy urodził się Sam, Jack miał sześć lat, a Dafne siedem. Nie zdążywszy do kliniki na

poród, Blake przyleciał nazajutrz swoim samolotem, i pojawił się w szpitalu z firmowym pudełkiem od Harry'ego Winstona, zawierającym pierścionek z trzydziestokaratowym szmaragdem. Pierścionek był cudowny, ale to nie było to, czego Maxine oczekiwała. Wolałaby, żeby po prostu znalazł dla niej trochę więcej czasu. Brakowało jej takich dni, jak te spędzone razem w Kaliforni na początku ich znajomości. Oboje wtedy pracowali i byli ze sobą szczęśliwi, póki on nie wygrał losu na loterii i dot-comy nie zniszczyły ich wspólnego życia.

Blake wciąż poznawał nowych ludzi i nowe miejsca, rozważał nowe inwestycje, nowe przygody, w które chciałby się rzucić. Nie mieli już ze sobą wiele wspólnego. Kiedy więc po wypadku Sama Blake się wreszcie pojawił, Maxine na jego widok wybuchnęła płaczem. To wszystko było ponad jej siły. Łkała w jego ramionach, powtarzając, że dłużej nie zniesie takiego życia.

- Dlaczego sobie nie odpuścisz? - odpowiedział spokojnie. - Przecież wiesz, że pracujesz za ciężko. Skoncentruj się raczej na rodzinie. Możemy znaleźć jeszcze kogoś do pomocy. Mogłabyś więcej podróżować.

Z początku nie wierzył, że mówiła o tym rozwodzie na serio. Przecież się kochali. Na diabła im rozwód?

- Wtedy przestanę zajmować się dziećmi - powiedziała smutno, wtulona w jego marynarkę. - Będę je widywała tylko od święta, tak jak ty. Kiedy ostatnio byłeś w domu dłużej niż przez dwa tygodnie?

Zastanowił się i odwrócił wzrok. Miała już punkt przewagi, choć nie chciał tego przyznać.

- Oj, nie pamiętam, Maxine. Nigdy w ten sposób o tym nie myślałem.

- Wiem - chlipnęła i wytarła nos. - Już nawet nie mam pojęcia, gdzie cię szukać, kiedy jesteś potrzebny. Na przykład po wypadku Sama. Gdyby umarł? Albo gdybym ja umarła? Po jakim czasie byś się o tym dowiedział?

- Przykro mi, kochanie. Postaram się już zawsze być z tobą w kontakcie. Po prostu myślałem, że sobie świetnie radzisz.

- Tak, radzę sobie. Ale jestem zmęczona, bo zawsze muszę sobie radzić bez ciebie. Zamiast namawiać mnie na podróż, mógłbyś sam trochę sobie odpuścić i posiedzieć w domu. - Nie spodziewała się zbyt wiele, ale jednak próbowała na niego wpłynąć.

- W domu? Po co? Jest tyle pięknych miejsc, tyle ciekawych rzeczy do zrobienia.

Właśnie zainwestował w grę komputerową o Londynie, napisaną przez młodego programistę, którego pomysły finansował od dwóch lat. Lubił wspierać młodych i był przyjacielem artystów. Wolał to od życia rodzinnego. Żona i dzieci, owszem, kochał ich, ale Nowy Jork strasznie go nudził. Maxine jakoś to znosiła przez osiem lat ich związku i w końcu naprawdę miała dość. Nie chciała ciągłych zmian, potrzebowała stabilizacji, właśnie takiego uporządkowanego życia, które Blake'owi wydawało się zbyt mdłe. Rozciągał więzy, które go kępowały, tak długo, aż całkiem je pozrywał. Słowo „wolność” rozumiał w sposób dla Maxine niemożliwy do przyjęcia. A ponieważ na ogół nie było go w pobliżu i przeważnie znajdował się poza zasięgiem, pomyślała sobie, że równie dobrze może żyć bez niego. Czuła się coraz mniej z nim związana, aż w końcu zupełnie przestała na niego liczyć. Choć wiedziała, że ją kocha, to przez dziewięćdziesiąt pięć procent swego czasu była sama jak palec. Miał własne życie, swoje interesy, swoje rozrywki, do których nie była mu już potrzebna.

Tak więc wśród łez i wyrzutów, ale bez nienawiści rozstała się z Blake'em pięć lat temu. Oddał jej nowojorskie mieszkanie i dom w Southampton. Był gotów dorzucić jeszcze parę innych domów, ale ona ich nie chciała. Zaoferował ugode, która przewidywała oszałamiające sumy stałej pensji dla Maxine. Miał poczucie winy, bo wiedział, jak bardzo zaniedbywał rodzinę przez ostatnie lata. Ale musiał przyznać, że właśnie takie życie naprawdę mu odpowiadało. Nie wypierał się tego, że przy Maxine w Nowym Jorku czuł się tak ograniczony, jakby wciśnięto go w dziecienny samochodzik i przypięto pasami do fotelika.

Maxine odrzuciła ugodę, chciała tylko pieniędzy na utrzymanie dzieci. Jej zarobki wystarczały aż nadto na jej własne potrzeby, więc nic od niego nie potrzebowała. To on przecież zarobił te wielkie pieniądze, nie ona.

Przyjaciółki kręciły głowami ze zdumienia, przekonane, że na jej miejscu nie cackałyby się z Blake'em. Nie było intercyzy chroniącej jego majątek, bo też niewiele mieli, kiedy się pobrali. Wtedy niczego od niego nie chciała, kochała go, życzyła mu jak najlepiej. To wszystko sprawiło, że zostały mu dobre wspomnienia i po rozwodzie nadal ją kochał, może nawet jeszcze bardziej. Przyjaźń przetrwała. Maxine mawiała, że ma w nim zwariowanego brata, i po pierwszym wstrząsie, o jaki przyprawiły ją wiadomości o dziewczynach, z którymi się spotykał, połowę młodszych od niego albo i od niej, nabrała do tej sprawy filozoficznego dystansu. Interesowało ją tylko jedno: czy dziewczyny Blake'a są miłe dla jej dzieci.

Po rozwodzie nie związała się z nikim na poważnie. Psychologowie i psychiatrzy, wśród których się obracała, byli na ogół żonaci. Toteż ramy jej życia towarzyskiego wyznaczały dzieci. Czasem się z kimś spotykała, ale od rozstania z Blake'em już nikt jej nie zawrócił w głowie. Bo też nikt nie mógł się z nim równać. Był nieodpowiedzialny, nieprzewidywalny, źle zorganizowany, mimo najlepszych intencji marnym ojcem dla dzieci, a jako mąż zupełnie się nie sprawdził, ale w jej przekonaniu nie było na świecie miłszego i zabawniejszego faceta. Czasem żałowała, że nie potrafi korzystać z życia i z wolności tak jak on. Ale nie mogła się obejść bez stałego rozkładu jazdy, potrzebowała spokoju i porządku i nie miała energii Blake'a albo też jego odwagi, by podążać za swoimi najbardziej szalonymi pomysłami. I trochę mu tego zazdrościła.

Dla Blake'a ryzyko nigdy nie było zbyt wielkie, i właśnie dlatego osiągał nieprawdopodobne sukcesy. Do takich spraw trzeba być facetem z wyobraźnią, którym on był jak mało kto. W porównaniu z nim Maxine czuła się szarą myszką. Choć i ona miała swoje sukcesy, to jednak można je było mierzyć w zwykłej, ludzkiej skali. Żałowała, że małżeństwo się nie sprawdziło. Ale na szczęście miała trójkę dzieci. Były dla niej teraz pociechą i sensem życia. W wieku 42 lat nie

musiała desperacko szukać innego mężczyzny. Miała rodzinę, pracę i wdzięcznych pacjentów, a to zupełnie wystarczało, a nawet czasem było za wiele.

Portier uchylił czapki, gdy Maxine wchodziła do holu swego domu, pięć przecznic od miejsca, gdzie znajdował się gabinet. Był to stary dom, sprzed drugiej wojny, z obszernymi apartamentami i szacowną atmosferą. Wiatr połamał jej parasolkę, gdy tylko wyszła na ulicę. Musiała ją wyrzucić, toteż płaszcz wkrótce przemókł, przemokły też długie jasne włosy, które do pracy ściągała z tyłu w koński ogon. Twarz miała czystą i świeżą, bo rano wyszła bez makijażu. Wysoka i szczupła, nie wyglądała na swoje lata. Jak twierdził Blake, miała zjawiskowe nogi, lecz rzadko je pokazywała, nosząc do pracy eleganckie garsonki, a w weekendy dzinsy. Nie należała do kobiet, które ubierają się wyzywająco, by zwrócić uwagę na swoją urodę. Styl miała stonowany i powściągliwy. Blake żartował trochę złośliwie, że przypominała mu reporterkę Lois Lane, dziewczynę Supermana. Zdejmował jej z nosa okulary, które wkładała do pracy przy komputerze, rozpuszczał wspaniałe włosy koloru dojrzałej pszenicy, i wtedy, wbrew samej sobie, stawała się naprawdę sexy. Była przecież piękną kobietą. Wszystkie ich dzieci odziedziczyły urodę po rodzicach. Blake miał ciemne włosy i niebieskie oczy, takie same jak żona. On również był wysoki. Kiedy stali obok siebie, sięgała mu do ramienia. Stanowili piękną parę. Dafne i Jack mieli włosy ciemne i niebieskie oczy, jak ojciec. Sam był blondynem jak jego matka, a oczy zielone odziedziczył po dziadku. Był ślicznym dzieckiem i w takim wieku, że wciąż jeszcze lubił wdrapywać się matce na kolana.

Maxine wezwała windę, a kiedy na nią czekała, kapiąca z płaszcza woda zdążyła zmoczyć podłogę. Wjechała na swoje piętro. Były tam tylko dwa mieszkania. Sąsiedzi przeszli na emeryturę i przenieśli się na Florydę już ładnych parę lat temu. Mieszkanie stało puste, więc nie trzeba było martwić się o hałasy, z czego była zadowolona, mając w domu trójkę dzieci, w tym dwóch chłopców.

Kiedy w obszernym przedpokoju zdejmowała płaszcz i wieszala go nad stojakiem do parasoli, by obciekł, z wnętrza domu dochodziła głośna muzyka.

Zdjęła przemoczone buty. Uśmiechnęła się na widok swojego odbicia w lustrze. Wyglądała jak zmokła kura, a policzki miała zaczerwienione z zimna.

- Aż taka powódź? Ale nie było potrzeby płynąć wpraw - powiedziała Zelda, niania ich dzieci, zatrzymując się przy niej ze stosem upranej bielizny na rękach. Była u nich od narodzin Jacka, uważali ją za prawdziwy skarb. - Są na świecie taksówki.

- Chciałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza - powiedziała z uśmiechem Maxine.

Zelda miała pulchną sylwetkę i okrągłą twarz, włosy ściągała w ciasny kok, i była dokładnie w wieku Maxine. Nie wyszła za męża, a opiekunką do dzieci została już jako osiemnastoletnia dziewczyna. Maxine poszła za nią do kuchni, gdzie Sam rysował przy stole, wykąpany, ubrany w czystą piżamę. Zelda podała Maxine filiżankę gorącej herbaty. Przyjemnie było wracać do domu, wiedząc, że ktoś o wszystko zadbał. Zelda była równie staranna jak Maxine, tak samo pedantyczna. Bez przerwy sprzątała po dzieciach, gotowała im, zawoziła, gdzie trzeba samochodem i przywoziła do domu, kiedy ich matka była w pracy.

Maxine przejmowała stery podczas weekendów. Zelda miała wtedy wychodne, z czego korzystała chętnie, bo lubiła chodzić do teatru, a jeśli zostawała w domu, to siedziała w swoim pokoiku za kuchnią i czytała. Była całkowicie oddana dzieciom i swojej pracodawczyni. Spędziła u nich ostatnie dwanaście lat i stała się członkiem rodziny. Tylko Blake niewiele ją obchodził. Zawsze go miała za przystojnego nicponia i niezbyt dobrego ojca. Uważała, że należało im się od niego dużo więcej, niż dostali, i Maxine nie potrafiła jej przekonać, że to nie była jego wina. Ale to ona go kochała, nie Zelda.

Kuchnia miała umeblowanie w kolorze jasnego drewna, z jasnymi granitowymi blatami i solidną drewnianą podłogą. Była dość przytulnym, a przy tym obszernym pomieszczeniem, w którym często zbierała się cała rodzina. Stała tam nawet kanapa i telewizor, by Zelda mogła podczas przygotowania posiłków śledzić seriale telewizyjne. Ale jakoś z czasem miała na to coraz mniej ochoty.

- Cześć, mamó - powiedział Sam, gdy weszła, i odłożył czerwoną kredkę.

- Cześć, kochanie. Co słychać?

Pocałowała go w czoło i dłonią zmierzwiła mu włosy.

- Stevie zwymiotował dziś w szkole - odpowiedział krótko i zmienił czerwoną kredkę na zieloną.

Rysował dom. Przy domu stał kowboj, powyżej rozpościerała się tęcza. Maxine nie dopatrzyłaby się w tym żadnych symptomów patologii. Był normalnym, szczęśliwym dzieckiem. Tęsknił za ojcem mniej niż starsze rodzeństwo, bo nie pamiętał czasów, gdy Blake mieszkał z nimi. Tylko ci starsi mieli świadomość, że coś utracili.

- To niedobrze - powiedziała Maxine, myśląc o wypadku Stewiego. Miała nadzieję, że to nie jest nowy rodzaj grypy, szerzący się w szkole, tylko chłopcu po prostu coś zaszkodziło. - A z tobą jak?

- W porządku - zapewnił.

Zelda zajrzała do piekarnika, żeby sprawdzić, czy kolacja gotowa. Dafne weszła do kuchni. W wieku trzynastu lat zaczęła już nabierać kobiecych kształtów. W szkole właśnie przeszła na kolejny poziom nauczania. Cała trójka chodziła do Dalton School na Manhattanie. Maxine ceniła tę szkołę.

- Mogę pożyczyć twój czarny sweter? - spytała Dafne, podbierając Samowi plasterki jabłka z talerzyka.

- Który? - spytała Maxine przezornie.

- Ten wykończony białym puchem. Idę na imprezę do Emmy dziś wieczorem - wyjaśniła Dafne nonszalancko, udając, że nawet niespecjalnie jej zależy, ale dla Maxine było oczywiste, że zależało jej bardzo. Był piątek. Ostatnio w każdy weekend Dafne miała jakąś imprezę.

- Jest chyba zbyt odłotowy na imprezę u Emmy. Ale co to za impreza? Z chłopcami?

- No... Nie wiem... Może tak... - jąkała się Dafne.

Maxine się uśmiechnęła. „Nie wie, akurat”, pomyślała. Była absolutnie pewna, że Dafne doskonale wie. A czarny sweter matki, ten od Valentina, był jej potrzebny żeby zrobić wrażenie na jakimś ósmoklasiście.

- Nie obawiasz się, że cię postarzy? Może zdecydujesz się na coś innego?

Maxine na jej miejscu wolałaby włożyć co innego.

W tym momencie zjawił się Jack. Nawet nie zdjął butów na protektorach. Zelda wycelowała palcem w jego buty i podniosła krzyk.

- Zabłocone buciory na mojej podłodze! Zdejmij je natychmiast! - zażądała, a Jack usiadł tam, gdzie stał, i robiąc śmieszne miny, zaczął zdejmować buty. Zelda trzymała dzieci żelazną ręką, nie było obawy, że je rozpuści.

- A co z dzisiejszym meczem? - spytała Maxine, i nachyliła się, by go pocałować.

Jeśli nie miał zajęć sportowych, to zawsze tkwił przy komputerze. Był domowym specjalistą od komputerów i kiedy coś złego się działo z komputerem Maxine, mogła liczyć na jego pomoc. Nic nie było dla niego zbyt trudne, wszystkie problemy rozwiązywał z marszu.

- Mecz odwołali z powodu ulewy.

- Bardzo słusznie.

A skoro już wszyscy byli w domu, powiedziała im o zaplanowanym przez Blake'a przyjeździe na Święto Dziękczynienia.

- Zaprasza was wszystkich na kolację do siebie. Myślę, że zostanie na weekend. Możecie u niego nocować - powiedziała od niechcenia.

Blake urządził dla nich wspaniałe pokoje w swoim penthousie na 55. piętrze, pełnym cennych dzieł sztuki współczesnej i wyposażonym w sprzęt HiFi najnowszej generacji. Za oknami rozpościerała się zapierająca dech panorama Nowego Jorku. Było też kino z wielkim ekranem i prywatna sala gier elektronicznych. Dzieci uwielbiały nocować u niego.

- Ty też tam będziesz z nami? - zapytał Sam znad swojego rysunku.

Wolał, żeby tak było. Ojciec wydawał mu się kimś trochę obcym, obecność matki go uspokajała. Rzadko zgadzał się tam zostać na noc, nawet kiedy Jack i Dafne zostawali.

- Mogę być na kolacji, jeśli bardzo wam na tym zależy. Chociaż po obiedzie u dziadków będę pewnie najedzona po czubek nosa. Nastawcie się na miły wieczór z tatą.

- Będzie ze swoją przyjaciółką? - spytał Sam, i Maxine uprzytomniła sobie, że nie ma pojęcia.

Blake często był w towarzystwie jakiejś dziewczyny, kiedy spotykał się z dziećmi. Wszystkie te dziewczyny były bardzo młode, i z niektórymi z nich dzieci świetnie się bawiły. Ale Maxine wiedziała, że przeszkadzała im ta nieustająca karuzela przyjaciółek Blake'a. Szczególnie niezadowolona była Dafne, która pragnęła być jedyną kobietą w życiu swojego ojca. Naprawdę bardzo go podziwiała. I coraz mniej szanowała matkę, co w jej wieku było dość naturalne. Maxine wiedziała, że nastolatki mają ciągle konflikty z matkami. To z czasem mija, więc się nie przejmowała.

- Nie wiem, czy będzie z przyjaciółką - odrzekła Maxine, a Zelda prychnęła z dezaprobatą znad kuchenki.

- Ta ostatnia była poniżej poziomu - oznajmiła Dafne i opuściła kuchnię, udając się na przegląd garderoby Maxine.

Ich sypialnie sąsiadowały ze sobą na końcu długiego korytarza, co bardzo odpowiadało Maxine. Lubiała być blisko dzieci, a Sam mógł w nocy wślizgiwać się do jej łóżka, jeśli obudził go zły sen. Zresztą nie przepuszczał żadnej okazji, żeby się przytulić do matki.

Oprócz trzech sypialni był jeszcze salon z prawdziwego zdarzenia, jadalnia odpowiednio duża, by wszyscy się w niej zmieścili, i mały pokój do pracy, w którym mogła się zaszyć Maxine, kiedy musiała napisać artykuł naukowy albo przygotować odczyt. Ich mieszkanie nie epatowało luksusem w stylu Blake'a, którego penthouse zdawał się płynąć ponad światem jak wielki okręt. Mieszkanie

Maxine było po prostu przytulne i wygodne; zwyczajny dom rodzinny dla niej i dla dzieci.

Kiedy weszła do siebie, żeby wysuszyć włosy, Dafne właśnie z energią przetrząsała zawartość jej szafy. Wynurzyła się ze stosu ubrań, trzymając kaszmirową bluzkę i parę czarnych skórzanych pantofli od Manolo Blahnika na niebotycznie wysokich obcasach. Teraz Maxine prawie nigdy ich nie wkładała. Przy swoim dość wysokim wzroście dobrze się czuła na takich obcasach tylko wtedy, kiedy jeszcze wychodziła z Blake'em.

- Te szpilki są za wysokie - uprzedziła córkę. - Sama się w nich kiedyś omal nie zabiłam. Może znalazłoby się coś innego?

- Maaamo! - jęknęła Dafne. - Będą w sam raz.

Maxine wiedziała, że są nieodpowiednie dla trzynastolatki. Ale Dafne wyglądała na piętnaście, a może i na szesnaście lat. Była śliczna. Z twarzy podobna do matki, miała jej jasną cerę i falujące ciemne włosy ojca.

- Dość późno się zaczyna ta impreza u Emmy - uśmiechnęła się Maxine. - Na pewno bez paru kawalerów się nie obejdzie.

Dafne wzniosła oczy ku niebu i wyszła, co musiało wystarczyć za milczące potwierdzenie. Maxine trochę się niepokoiła o to, jak zmieni się życie córki, kiedy wkroczą w nie chłopcy. Jak dotąd dzieci nie sprawiały kłopotów, ale nie znała ani jednej rodziny, w której taki stan rzeczy trwałby wiecznie. A jeśli zaczną się kłopoty, to będzie musiała samotnie stawić im czoło.

Wzięła prysznic i włożyła frotowy szlafrok. Pół godziny później wszystkie dzieci siedziały przy kuchennym stole, a Zelda nakładała im na talerze porcje pieczonego kurczaka, frytki i sałatę. Doskonale gotowała, posiłki były pożywne i smaczne. Wszyscy zgadzali się, że robi najlepsze na świecie naleśniki i ciasteczka orzechowe. Maxine często myślała ze smutkiem, że Zelda byłaby dobrą matką, ale w jej życiu zabrakło mężczyzny, nie pojawił się żaden przez te wszystkie lata. Teraz, w wieku lat czterdziestu dwóch, jej czas już minął. Zamiast własnych, Zelda kochała dzieci Maxine.

Przy kolacji Jack oświadczył, że wybiera się z kolegą do kina. Chcieli obejrzeć nowy horror, liczyli na to, że krew się będzie lała strumieniami. Chciał, żeby go zawieźć samochodem, a potem odebrać z kina. Sam miał nazajutrz nocować u kolegi, a tego wieczoru zamierzał obejrzeć film na DVD w pokoju Maxine, w jej łóżku, przegryzając popcorn. Maxine chciała podrzucić Dafne do Emmy po drodze do kina z Jackiem. Nazajutrz mogli się wybrać na zakupy. I tak oto weekend nabierał kształtów, jak to zwykle bywało, pod dyktando dzieci i stosownie do ich potrzeb.

Późnym wieczorem kartkowała tygodnik „People”, czekając na telefon od Dafne, która miała ją powiadomić, kiedy chce wracać do domu. Przypadkiem natrafiła na zdjęcie Blake'a, zrobione na przyjęciu wydanym przez Rolling Stonesów w Londynie. U jego ramienia wisiała znana aktorka filmowa, efektowna dziewczyna, która nie miała na sobie prawie nic. Blake był w nią wpatrzony jak w obraz. Maxine przyglądała się zdjęciu przez długą chwilę, analizując własne uczucia, i oceniła, że jej to nie zabolalo. Sam leciutko chrapał, usnąwszy z głową na jej poduszce, z ukochanym pluszowym misiem w ramionach. Obok leżało puste opakowanie po popcornie.

Patrzyła na zdjęcie i próbowała sobie przypomnieć, jak się czuła, gdy była żoną Blake'a. Z początku wspaniale. To były niezapomniane chwile. Samotność, gniew i frustracja przyszły później. Ale teraz złe emocje nie miały już żadnego znaczenia. Zdecydowała, że te wszystkie gwiazdki ekranu, piosenkarki i księżniczki nic jej nie obchodzą. Blake był postacią z przeszłości, i niezależnie od tego, jak bardzo uroczy, rację miał jej ojciec. Był z niego nicpoń. Nie nadawał się na męża. Całując delikatnie Sama w różowy policzek, po raz kolejny doszła do wniosku, że wystarcza jej takie życie, jakie jej przypadło w udziale.

ROZDZIAŁ DRUGI

W ciągu nocy deszcz przeszedł w śnieg. Temperatura bardzo spadła, i kiedy rano otworzyli oczy, za oknami było całkiem biało. Pierwszy śnieg w tym roku. Sam zaczął skakać z radości.

- Chodźmy do parku, mammo! Weźmiemy sanki!

Śnieg dalej padał, jak na świątecznej pocztówce z życzeniami, ale Maxine wiedziała, że niebawem zrobi się z niego błoto.

- Zgoda, kochanie.

Po raz nie wiadomo który pomyślała o Blake'u - że nigdy nie uczestniczy w tym, co w życiu najlepsze. Oddał to za podróże samolotem i za ciągłe spotkania ze znajomymi rozsianymi po całym świecie. Tymczasem to najlepsze znajdowało się właśnie tu, na wyciągnięcie ręki.

Dafne przyszła na śniadanie i usiadła z telefonem komórkowym przyklejonym do ucha. Potem wstawiała od stołu kilka razy, by poszeptać na osobności z przyjaciółką. Jack znacząco wywracał oczami, nie przestając pochłaniać francuskich grzanek, które smażyła Maxine. To była jedna z kilku potraw, które zawsze jej się udawały. Chłopiec polewał je syropem klonowym i komentował zachowanie

Dafne oraz jej przyjaciółek, które, jego zdaniem, z powodu chłopców do reszty straciły rozum.

- A co tam u ciebie? - spytała z zainteresowaniem Maxine. - Żadnych dziewczyn nie widać jeszcze na horyzoncie?

Szkoła była koedukacyjna, chodził też na kurs tańca i znał mnóstwo dziewczyn, ale na razie niewiele go obchodziły. Jak dotąd sport był u niego na pierwszym miejscu, zwłaszcza piłka nożna. A na drugim gry komputerowe.

- Ghrgg - odburknął, pożerając kolejną grzanekę. Sam siedział na kanapie i oglądał kreskówki w telewizji. Śniadanie zdążył zjeść już godzinę temu. W soboty wszyscy wstawali, o której chcieli, i przychodzili do kuchni, kiedy byli głodni, a Maxine smażyła grzanki dla każdego z osobna. Lubiła życie rodzinne, na które

przez cały tydzień nie miała dość czasu, przeważnie śpiesząc się od rana, by zdążyć do szpitala, gdzie często konsultowała pacjentów jeszcze przed godzinami przyjęć we własnym gabinecie. Wychodziła zazwyczaj przed ósmą, zanim Zelda zawiozła dzieci do szkoły. Ale, z rzadkimi wyjątkami, udawało jej się zazwyczaj zdążyć na wspólną kolację.

Przypomniała Samowi, że dziś nocuje u kolegi. Jackowi od razu zachciało się tego samego. Dafne powiedziała, że przychodzą do niej trzy koleżanki, a może wpadnie też paru chłopców.

- A więc zaczynamy nowy rozdział - powiedziała Maxine. - Znam ich?

Dafne rzuciła jej rozwścieczone spojrzenie. Wyszła z kuchni. Najwyraźniej w jej przekonaniu pytanie nie zasługiwało na odpowiedź.

Maxine pozbierała talerze ze stołu i umieściła je w zmywarce. Godzinę później cała czwórka była już w drodze do parku. Dwoje starszych dzieci przyłączyło się w ostatniej chwili. Mieli tylko dwie sztuki plastikowych paetek do zjeżdżania po śniegu, dla Sama i Jacka, więc dla siebie i Dafne Maxine zabrała grube sklepowe reklamówki, na których zjeżdżali z górki razem z innymi wśród radosnego wrzasku. Śnieg wciąż jeszcze padał, a dzieci ze szczęścia zaczęły zachowywać się jak maluchy, choć zazwyczaj pozowały na doroślejsze, niż były w rzeczywistości. Szalały tak do trzeciej, potem wrócili razem do domu przez zaśnieżony park. Zrobiła im gorącą czekoladę z bitą śmietaną i kanapki z krakersów. „Dzieci nie są jeszcze takie dorosłe, jeszcze pozostały im dziecięce pasje”, pomyślała, i sprawiło jej to przyjemność.

Okolo piątej podrzuciła Sama do kolegi, u którego miał spać, na Osiemdziesiątą Ósmą Wschodnią, a Jacka zawiozła o szóstej do Greenwich Village. Wróciła ze stosem filmów z wypożyczalni w samą porę, by przywitać trzy koleżanki Dafne. Potem przyszły jeszcze dwie. O ósmej zamówiła dla nich pizzę, a o dziewiątej zadzwonił Sam, żeby „dowiedzieć się, jak sobie radzi bez niego”. Wiedziała z doświadczenia, co to może znaczyć: będzie chciał wrócić na noc do domu. Nie zawsze potrafił zasnąć w obcym mieszkaniu i czasem trzeba go było przywozić

z powrotem. Powiedziała mu, że radzi sobie znakomicie, a on zapewnił, że u niego także wszystko w porządku. Była uśmiechnięta, kiedy odkładała słuchawkę. Z pokoju Dafne dochodziły chóralne wybuchy śmiechu. Coś jej mówiło, że rozmowa dotyczy chłopców, i nie myliła się. Dwóch wystraszonych trzynastoletków zjawiało się o dziesiątej. Byli o parę centymetrów mniejsi od swoich rówieśniczek, z wyglądu bardzo dziecinni. Od razu rzucili się na stygnące resztki pizzy.

Po kwadransie, usprawiedliwiając się pod nosem, uciekli. Nawet nie zajrzeli do pokoju Dafne, kiedy dziewczynki się tam przeniosły, po prostu musieli koniecznie natychmiast wracać do domu. Może poczuli się niepewnie, bo było ich tylko dwóch, a dziewczynek trzy razy więcej. Sytuacja ich przerosła, nie byli na nią przygotowani. Dziewczynki wydawały się od nich o wiele dojrzsze. W pokoju Dafne trwała ożywiona rozmowa. Maxine uśmiechała się do siebie, słysząc ich okrzyki i chichoty. Rozbrzmiewały jeszcze o jedenastej, kiedy nagle zadzwonił telefon. Pomyślała, że to Sam chce wracać do domu, i uśmiechała się jeszcze, kiedy podnosiła słuchawkę, spodziewając się usłyszeć jego dziecinni głosik.

Lecz zamiast Sama odezwała się dyżurna pielęgniarka z izby przyjęć szpitala w Lennox Hill. Dzwoniła w sprawie pacjenta. Maxine zmarszczyła brwi. Usiadła i zadała kilka pytań, uważnie słuchając odpowiedzi. Chodziło o szesnastoletniego Jasona Wexlera, którego ojciec zmarł na atak serca pół roku temu, a starsza siostra kilka lat temu zginęła w wypadku samochodowym. Połknął sporą garść tabletek nasennych swojej matki. Cierpiał na depresję i była to już jego druga próba samobójcza. Poprzednia była związana ze śmiercią ojca. Atak serca nastąpił po gwałtownej kłótni między ojcem i synem, więc Jason był przekonany, że śmierć ojca to jego wina.

Pielęgniarka powiedziała, że matka chłopca czeka w holu i zachowuje się dość histerycznie. Jason nie utracił świadomości. Właśnie robiono mu płukanie żołądka. Rokowania są pomyślne. Matka znalazła go w porę i od razu zadzwoniła po pogotowie. To ocaliło mu życie. Szpital był oddalony zaledwie o osiem przecznic od domu Maxine, więc mogła tam dotrzeć na piechotę. Kilkucentymetrowa warstwa

śniegu późnym popołudniem zamieniła się w ciemne błoto, i gdy wieczorem chwycił lekki mróz, zrobiło się ślisko. W taką pogodę zdarzało się najczęściej wypadków samochodowych.

- Będę za dziesięć minut - powiedziała do słuchawki. - Dziękuję za telefon.

Kilka miesięcy temu Maxine podała matce Jasona swój domowy numer. Mimo że w weekendy często spotykała się w Southampton z zaprzyjaźnionymi rodzinami, chciała być zawsze do dyspozycji, gdyby potrzebował jej Jason albo jego matka. Miała zresztą nadzieję, że nigdy nie będą musieli z tego skorzystać. Domyślała się, że teraz matka odchodzi od zmysłów. Po stracie starszej córki, po śmierci męża Jason był wszystkim, co jej pozostało.

Maxine zapukała do Zeldy. Chciała powiedzieć, że wychodzi do szpitala i że przydałoby się zwrócić uwagę na dziewczęta, ale Zelda już spała. Maxine cichutko zamknęła drzwi, żeby jej nie obudzić. Przecież sobota była dla Zeldy dniem wolnym.

Włożyła ciepły sweter do dżinsów, które miała na sobie od rana, i przed wyjściem zajrzała do pokoju Dafne.

- Idę do pacjenta - powiedziała. Dafne nie była zaskoczona, wszyscy w domu wiedzieli, że czasem się to zdarza, nawet w weekendy, więc tylko kiwnęła głową. Dziewczęta oglądały film, a im było później, tym spokojniej się zachowywały. - Zelda jest w domu, gdyby coś się stało, możesz się do niej zwrócić, ale nie róbcie w kuchni niepotrzebnego hałasu, żeby jej nie budzić, bo śpi.

Dafne znowu kiwnęła głową i odwróciła się do ekranu. Dwie z koleżanek przysypiały na jej tapczanie, a jedna malowała sobie paznokcie. Pozostałe z przejęciem oglądały film.

- Niedługo wracam - dodała Maxine.

Dafne pomyślała, że znowu chodzi o jakąś próbę samobójczą. Matka niewiele mówiła jej o takich sprawach, ale jeśli wychodziła z domu o tej porze, to nie mogło być nic innego. Inaczej odłożyłyby to do jutra.

Maxine włożyła buty na gumowych podszewkach, skafander, wzięła torebkę i ruszyła w drogę. Chwilę później zmagala się już z lodowatym wiatrem, brnąc w kierunku południowym, w stronę szpitala Lenox Hill. Mróz szczypał w policzki, a oczy zaczęły łzawić, zanim dotarła na miejsce. Weszła do izby przyjęć. Sprawdziła u dyżurnej pielęgniarki, gdzie leży Jason. Lekarz dyżurny uznał, że nie trzeba go przenosić na oddział intensywnej terapii. Był półprzytomny, ale jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Helen Wexler podbiegła do niej i rozszlochała się.

- Mógł umrzeć... - powtarzała histerycznie w objęciach Maxine, póki ta nie pociągnęła jej delikatnie za sobą, rzucając pielęgniarce porozumiewawcze spojrzenie. Jason leżał nieruchomo w szpitalnym łóżku. Pozostawał pod działaniem leków, które połknął, a które już usunięto z żołądka. Będzie tak spał przez wiele godzin. Maxine łagodnie wyprowadziła jego matkę do holu.

- Ale przecież żyje. Nic mu się nie stało - powiedziała uspokajająco. - Na szczęście w porę wezwała pani pomoc, więc wszystko będzie dobrze.

Do następnego razu. To było zadanie Maxine - nie dopuścić do powtórki. Już po pierwszej próbie samobójczej prawdopodobieństwo następnej wzrastało niepomernie, podobnie jak szansa, że ta następna się powiedzie. Maxine była więc bardzo zmartwiona tym, co się stało.

Posadziła matkę Jasona w fotelu i wzięła głęboki oddech. Teraz musiała z nią porozmawiać. Powiedziała, że tym razem należy się nastawić na dłuższą hospitalizację. Na początek miesięczną. Po miesiącu postanowią, co dalej, w zależności od tego, jaki będzie jego stan. Maxine poleciła klinikę psychiatryczną Silver Pines na Long Island, z którą często współpracowała. Zapewniła, że mają tam świetne wyniki w pracy z nastolatkami. Helen Wexler wyglądała na ciężko przerażoną.

- Cały miesiąc? To znaczy, że nie będzie go w domu w Święto Dziękczynienia. - Rozszlochała się na nowo. - Nie chcę, żeby był wtedy w klinice. Jego ojciec niedawno zmarł, to będzie pierwsze Święto Dziękczynienia bez mojego męża.

Mówiła to tak, jakby od sposobu świętowania zależało, czy dojdzie do kolejnej próby samobójczej. Maxine zawsze się zdumiewała, z jak ogromną siłą umysł ludzki wypiera pewne treści i jak kurczowo trzyma się własnych wyobrażeń, byle tylko uchylić się przed spotkaniem z rzeczywistością. Gdyby Jason podjął trzecią, udaną próbę samobójczą, to już nigdy nie byłoby go w domu na Święto Dziękczynienia. Więc czy nie warto zrezygnować z jego obecności w tym roku? Matka nie chciała o tym nawet słyszeć, a Maxine przekonywała ją uprzejmie i ze zrozumieniem, ale stanowczo, jak zawsze w podobnych sytuacjach.

- Jason potrzebuje teraz przede wszystkim szpitalnej opieki i pomocy psychologicznej. Obawiałabym się przedwczesnego powrotu do domu. Zresztą i tak bez jego ojca nie byłoby wam za wesoło w tym roku. Myślę, że Jasonowi będzie lepiej w szpitalu na Long Island. Przecież może pani tam do niego przyjechać.

Ale Helen szlochała coraz głośniej.

Maxine śpieszyła się do Jasona. Obiecała Helen Wexler, że wróci do niej i dokończą tę rozmowę. Co do jednego były zgodne: najbliższą noc powinien spędzić w Lenox Hill. Nie było innej możliwości. Helen musiała to przyznać, choć w pozostałych sprawach upierała się przy swoim. Nie podobał jej się zwłaszcza pomysł z kliniką Silver Pines na Long Island. Oznajmiła, że ta nazwa brzmi tak nieprzyjemnie, jakby chodziło o cmentarz.

Maxine zbadała Jasona, nie budząc go, przeczytała zapisy w jego karcie, i przeraziła się, widząc, jak ogromna była dawka leków, którą sobie zaaplikował. Znacznie większa od śmiertelnej. Za pierwszym razem wziął trochę za mało, by naprawdę się zabić. Czyli tym razem jego decyzja był już o wiele poważniejsza, i Maxine nie miała pojęcia, co go do niej popchnęło. Zamierzała nazajutrz przyjść do Jasona z samego rana, gdy tylko się wybudzi. Na razie nie było z nim kontaktu.

Zapisała kilka uwag w karcie. Zamierzano go jeszcze dziś przenieść do innego pokoju, w którym byłby sam, tymczasem ona uważała, że na wszelki wypadek powinna zostać przy nim pielęgniarka. Miał pozostawać pod obserwacją aż do przebudzenia. Poinformowała pielęgniarkę, że przyjdzie jutro około dziewiątej rano,

a jeśli będzie potrzebna wcześniej, należy ją wezwać telefonicznie. Zostawiła oba swoje numery, stacjonarny i komórkowy. Po czym wróciła do matki Jasona. Helen Wexler wyglądała jeszcze gorzej niż przedtem, bo prawda o tym, co się stało, zaczęła wreszcie do niej docierać. Niewiele brakowało, by straciła syna i została sama na świecie. Kiedy to zrozumiała, znalazła się na granicy załamania nerwowego. Maxine doradziła jej, żeby skontaktowała się z lekarzem rodzinnym, który wypisze receptę na leki uspokajające. Nie chciała sama przepisywać żadnych leków, bo Helen nie była jej pacjentką i Maxine nie wiedziała, co dotąd jej zapisywano i na co się leczyła.

Helen Wexler odrzekła, że już dzwoniła do swojego lekarza, ale go nie zastała. Spodziewała się, że oddzwoni, czekała na telefon. Wyznała, że Jason połknął wszystkie środki uspokajające, jakie miała w domu, nie zostawił ani jednej tabletki. Powiedziawszy to, znowu zaczęła głośno płakać, i wyglądało na to, że w ogóle nie chce wracać do domu.

- Mogę poprosić, by umieszczono dla pani dostawkę w pokoju Jasona - powiedziała Maxine. - Jeśli pani na tym zależy.

- Tak. Chciałabym tego, dziękuję. - I Helen spojrzała na Maxine szeroko otwartymi oczami. - Czy on umrze? - wyszeptała, bojąc się usłyszeć odpowiedź i spodziewając się najgorszego.

- Tym razem? Nie. - Maxine pokręciła przecząco głową. - Wszystko zależy od tego, czy nam się uda nie dopuścić do następnej próby. To poważna sprawa. Wziął ogromną dawkę leków. Dlatego chcę, żeby trafił do Silver Pines.

W tej chwili nie odważyła się powiedzieć matce chłopca, że - jej zdaniem - powinien pozostać w Silver Pines znacznie dłużej niż przez miesiąc. Myślała o dwóch albo trzech miesiącach, i może o jakiejś formie opieki ambulatoryjnej po opuszczeniu szpitala, jeśli tamtejsi lekarze uznają to za wskazane. Na szczęście Helen Wexler była dobrze sytuowana. Maxine czuła, że matka po prostu chce mieć Jasona przy sobie i nie tak łatwo zgodzi się na długotrwałą hospitalizację. Wybierała najgłupsze wyjście. Maxine już ją trochę знаła, więc nie była tym zaskoczona. Jeśli

Jason znajdzie się w klinice, jego matka będzie musiała przyjąć do wiadomości, że to, co się wydarzyło, nie było niewinnym przypadkiem. Jason był naprawdę poważnie chory. Maxine nie miała wątpliwości, że cierpiał na manię samobójczą i ciężką depresję. Przynajmniej od śmierci ojca. Jego matce było trudno pogodzić się z tą wiadomością, ale na dobrą sprawę nie miała już innego wyjścia. Jeśli nazajutrz zabierze go do domu, uczyni to wbrew zaleceniom lekarzy, i będzie musiała w związku z tym podpisać specjalny dokument. Maxine miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Do jutra Helen się trochę uspokoi i wybierze rozwiązanie najbezpieczniejsze dla syna. Jego życie było przecież zagrożone.

Maxine załatwiła, by umieszczono dostawkę w pokoju na internie, do którego Jason miał zostać przeniesiony. Na pożegnanie uścisnęła panią Wexler i zajrzała jeszcze na chwilę do Jasona. Wszystko było w porządku. Na razie.

Doglądała go pielęgniarka, która potem miała przejść razem z nim na interne. Maxine była już spokojna, że jej pacjent nie zostanie bez opieki. W Lennox Hill nie było oddziału zamkniętego, ale uważała, że wystarczy stała opieka pielęgniarska, a poza tym będzie przy nim matka. I przecież nie obudzi się jeszcze przez wiele godzin.

Maxine ruszyła w drogę powrotną w tym samym lodowatym wietrze. Kiedy dotarła do domu, było już po pierwszej w nocy. Zajrzała do pokoju Dafne. Dziewczęta usnęły, dwie na podłodze w śpiworach, reszta na łóżku Dafne. Film dalej szedł, a one spały w ubraniach. Kiedy się do nich zbliżyła, poczuła dziwny zapach. I nie był to żaden z zapachów, jakie zdarzyło jej się kiedykolwiek czuć w tym pokoju. Niemal bezwiednie otworzyła drzwi od szafy Dafne i znalazła dwa opróżnione opakowania po piwie. Dwanaście butelek. Jeszcze raz rzuciła okiem na dziewczynki i wiedziała już, że nie usnęły, lecz po prostu się upiły. Jej zdaniem były trochę za młode na takie eksperymenty, ale w tym wieku podobne rzeczy zdarzają się wcale nie tak rzadko. Chciało jej się i śmiać, i płakać. Wyglądało na to, że wpadły na ten pomysł, kiedy wyszła do szpitala. Nie lubiła karać dzieci, lecz postanowiła, że Dafne musi mieć od jutra szlaban na spotkania z koleżankami.

Ustawiała puste butelki w rzędzie na szafce, tak aby zobaczyły je z rana, gdy tylko się przebudzą. Zdołały wlać w siebie po dwie butelki na głowę, dawka alkoholu o wiele za duża jak na trzynastoletnie panny. A więc wkraczamy w okres dorastania, pomyślała Maxine.

Położyła się, nie przestając myśleć o tym, co się stało i przez chwilę zatęskniła za Blake'em. Jak dobrze byłoby w takiej chwili mieć kogoś bliskiego obok siebie. Lecz będzie musiała tę trudną partię rozegrać sama, wkładając teatralną maskę surowości, na jaką zasługuje wyskok Dafne. Przyjdzie jej też palnąć mowę o wartości zaufania.

A przecież zdawała sobie z tego sprawę, że ma do czynienia z nastolatkami, i że jeszcze nieraz któreś z jej dzieci zrobi głupstwo, wykorzystując sytuację albo pozwalając ją wykorzystać kolegom, decydując się na ryzykowne eksperymenty z alkoholem lub nawet z narkotykami. Na pewno nie ostatni raz któreś z jej dzieci się upiło. Pomyślała, że byłaby szczęśliwa, gdyby nie spotkało ich nigdy nic gorszego. Ale wiedziała też, że nazajutrz musi być twarda. Zasnęła z tą myślą. Gdy wstała rano, dziewczynki jeszcze spały.

Telefon zadzwonił, kiedy się ubierała. To ze szpitala. Jason już nie spał i można z nim było rozmawiać. Matka siedziała przy jego łóżku. Pielęgniarka była z tego bardzo niezadowolona. Helen Wexler wezwała swojego lekarza, a ten, zdaniem personelu, jeszcze bardziej wytrącił ją z równowagi. Maxine obiecała, że zaraz tam będzie. Usłyszała, że Zelda już się krząta, więc weszła do kuchni i poprosiła o filiżankę kawy. Zelda siedziała przy stole z kubkiem gorącej kawy w ręku, czytając „Sunday Times”. Spojrzała na Maxine i uśmiechnęła się.

- Jak się spało? - spytała, a Maxine ciężko westchnęła, siadając obok niej. Czasem czuła, że Zelda to jedyna osoba, na którą może liczyć w swoim życiu samotnej matki. Rodzice nie chcieli udzielać żadnych rad, choć bardzo się przejmowali jej sprawami. A Blake'a przecież nie było. Natomiast Zelda była zawsze.

- Nie za dobrze - odpowiedziała Maxine. - Myślę, że tej nocy przekroczyliśmy jakąś ważną granicę.

- Historyczny rekord w konkurencji jedzenia pizzy na czas przez sześć trzynastolatek?

- Nie. - Maxine usiłowała panować nad swoim głosem. - Pierwszy wypadek, kiedy moje dzieci piły piwo.

Uśmiechnęła się, a Zelda zrobiła wielkie oczy.

- Żartujesz?

- Znalazłam w szafie Dafne dwa puste opakowania po piwie. Kiepsko to wygląda. Dziewczynki leżały, gdzie popadło, ubrane, ale pogrążone w głębokim śnie, albo raczej, by nazwać rzecz po imieniu, odurzone.

- Wychodziłaś?

W głowie Zeldy nie mogło się pomieścić, że Dafne odważyłaby się na coś takiego pod bokiem matki. Sytuacja wydała jej się trochę zabawna, lecz przede wszystkim nieprzyjemna. Każda kobieta zaniepokoiłaby się na jej miejscu. Co nas czeka dalej? Chłopcy, narkotyki, seks i alkohol. Wszystko, z czym borykają się rodziny nastolatków. Witajcie w klubie. Najgorsze było jeszcze przed nimi.

- Wczoraj wieczorem miałam nagłe wezwanie do pacjenta. Nie było mnie w domu od jedenastej do pierwszej w nocy. Któraś z nich musiała przynieść to piwo w plecaku. Nie przypuszczałam, że coś takiego może się u nas zdarzyć.

- Mam nadzieję, że więcej się nie zdarzy. Będziemy pilnować - powiedziała rzeczowo Zelda, już zawczasu znękana na samą myśl, że przyjdzie jej narazić się na niechęć Dafne i jej koleżanek. Ale nie pozwoli żadnemu dziecku pić alkoholu w tym domu, i wiedziała, że Maxine myśli tak samo. Pewnego dnia trzeba będzie zacząć pilnować Jacka. Na Sama też przyjdzie kolej. Przykro było o tym nawet pomyśleć. Zelda wolałaby tego uniknąć, ale nie mogła się poddać. Kochała tę rodzinę, to była jej praca i sens jej życia.

Rozmawiały zaledwie parę chwil, bo Maxine poderwała się i oznajmiła, że musi iść do szpitala Lenox Hill, do swojego pacjenta. Zelda dziś także miała wolne,

ale nigdzie się nie wybierała. Obiecała, że dopilnuje dziewczynek i wyraziła nadzieję, że będą się czuły odpowiednio podle, kiedy się wreszcie obudzą. Maxine się uśmiechnęła.

- Ustawiłam im te puste butelki na widoku, niech wiedzą, że nie jesteśmy takie głupie, na jakie wyglądamy.

- Zdębieją, kiedy je zobaczą. - Zelda też się uśmiechnęła.

- Mam nadzieję. Zrobiły po kryjomu coś paskudnego, nadużyły mojego zaufania i gościnności. - Maxine urwała i popatrzyła na Zeldę. - To fragment kazania, które mam dzisiaj palnąć Dafne. Jak brzmi?

- Nieźle. Ale trzeba by też założyć szlaban i siać na kieszonkowe.

Maxine skinęła głową. Zgadzały się z Zeldą w każdym szczególe tej sprawy. Zelda była stanowcza, ale rozumna, uprzejma, ale nie bezkrytyczna, i nigdy nie popadała w przesadę. Nie tyranizowała dzieci, ale też im nie ulegała. Wychodząc z domu, Maxine mogła z całym zaufaniem zdać się na jej zdrowy rozsądek.

- Co to było za wezwanie wczoraj wieczorem? Samobójstwo?

Maxine spoważniała i skinęła głową.

- Dzieciak?

- Szesnastoletni.

Resztę szczegółów zatrzymała dla siebie. Nigdy ich nie opowiadała. Gdyby ten dzieciak umarł, Zelda poznałaby to tylko po jej oczach. Rodzice budzili współczucie Zeldy bardziej niż dzieci. Samobójstwo nastolatka to dla rodziny prawdziwy dramat. Tym bardziej szanowała pracę Maxine, to wszystko, czym zajmowała się w Nowym Jorku i w innych miejscach. W porównaniu ze sprawami, z jakimi Maxine miała do czynienia, dwa opakowania piwa nie wydawały się aż taką tragedią.

Chwilę potem Maxine wyszła z domu i ruszyła piechotą w stronę Lenox Hill, podobnie jak wczoraj. Nadal było zimno i wietrznie, ale pokazało się słońce i dzień był piękny. Myślała o córce, o jej wczorajszym wybryku, o nowych wyzwaniach, które przed nią stanęły i o tym, jak bezcenna jest pomoc Zeldy. Zamierzała

wspomnieć Blake'owi o tej historii, kiedy przyjedzie do Nowego Jorku, bo on także powinien wiedzieć, że już nie można obdarzać Dafne bezwarunkowym zaufaniem. Niewykluczone, że taki stan rzeczy potrwa ładnych parę lat. Bardzo niemiła myśl. Wszystko było takie łatwe, kiedy Dafne i Jack byli w wieku Sama. Ale czas pędzi. Niedługo i Sam zacznie dorastać, on też będzie sprawiał kłopoty.

Kiedy weszła do szpitalnego pokoju, Jason siedział na łóżku. Wydawał się jeszcze półprzytomny, był blady i wyczerpany. Jego matka, wciśnięta w fotel, coś do niego mówiła, szlochając i głośno wycierając nos. Nie była to sielanka rodzinna. Pielęgniarka nie wtrącała się do rozmowy, zachowywała dyskretne milczenie. Wszyscy troje w jednej chwili spojrzeli na Maxine.

- Jak się masz, Jasonie? - Maxine spojrzała na pielęgniarkę, a ta bez słowa wstała i wyszła.

- Dobrze.

Jego głos też świadczył o wyczerpaniu, zwykła rzecz po takiej dawce leków, jaką wczoraj zażył. Helen Wexler miała podkrążone oczy i wyglądała tak, jakby nie spała ani przez chwilę. Właśnie próbowała wydobyć od niego obietnicę, że więcej tego nie zrobi, a Jason obiecywał jej to apatycznie i bez przekonania.

- Powiedział, że to się już nie powtórzy - oznajmiła Helen, gdy Maxine zaglądała chłopakowi w oko.

- Mam nadzieję, że to prawda - powiedziała Maxine ze spokojem i rezerwą. Ta sytuacja nie wyglądała dobrze.

- Będę mógł dzisiaj wrócić do domu? - spytał Jason martwym głosem.

Przeszkadzała mu pielęgniarka siedząca stale w pobliżu. Nie zgodziła się wyjść. Mówiła, że nie może tego zrobić, póki nie zastąpi jej ktoś inny. Czuł się jak w więzieniu.

- Sądzę, że powinniśmy o tym porozmawiać. - Maxine stanęła w nogach łóżka. Miała na sobie dzinsy i różowy sweter, w którym sama wyglądała prawie jak nastolatka. - Bo nie myślę, by to był dobry pomysł - dodała otwarcie.

Nigdy nie okłamywała pacjentów. Uważała, że to ważne, by rozmawiać z nimi uczciwie. Dlatego jej ufali.

- Wczoraj połknąłeś straszną ilość tabletek nasennych, Jasonie. Naprawdę bardzo dużo. Tym razem to nie były żarty.

Popatrzyła na niego. Skinął głową i odwrócił wzrok. W świetle dnia był zawstydzony tym, co uczynił wczoraj wieczorem.

- Chyba byłem trochę zawiany. Sam nie wiedziałem, co robię - próbował bagatelizować sytuację.

- Myślę, że świetnie wiedziałeś - powiedziała Maxine. - Połknąłeś tego towaru o wiele więcej niż poprzednim razem. Uważam, że powinieneś posiedzieć trochę w jakimś spokojnym miejscu, gdzie będziesz mógł się nad tym wszystkim zastanowić i przepracować problem na terapii grupowej. Moim zdaniem, to bardzo ważne. Z pewnością jest ci teraz ciężko, bo zbliżają się święta i nie ma ojca.

Trafiła w samo sedno. Matka chłopaka wpatrywała się w nią z bezgranicznym przerażeniem. Wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Jej własne cierpienie było wystarczająco wielkie, a do tego dochodziło jeszcze cierpienie syna, które przeżywała razem z nim, choć na nic nie miała wpływu. Obwiniając się o śmierć ojca, Jason sam siebie pozbawiał gruntu pod nogami. Było to bardzo niebezpieczne.

- Chciałabym, żebyś znalazł się w pewnym miejscu, dobrze je znam, bo trafiały tam dzieciaki, z którymi pracowałam. Jest tam całkiem znośnie.

Towarzystwo w wieku od czternastu do osiemnastu lat. Matka może odwiedzać cię codziennie. Nie czułabym się w porządku, gdybym ci pozwoliła wrócić teraz do domu.

- Na jak długo? - spytał niewinnie, siląc się na obojętny ton, ale zobaczyła strach w jego oczach. Coś go przerażyło w tym pomyśle. Ale ją jeszcze bardziej przerażała myśl, że powtórzy próbę samobójczą, i to skuteczniej. Jej obowiązkiem było użyć wszelkich możliwych środków, by mu w tym przeszkodzić. Miała nadzieję, że jego przypadek będzie należał do tych ze szczęśliwym zakończeniem. Że tragedii uda się zapobiec. Dość się już nacierpieli oboje, matka i syn.

- Na razie na miesiąc. Potem się zastanowimy, co dalej. Zobaczymy, jak będziesz się tam czuł i czy zechcesz zostać dłużej. Nie myślę, by podobał ci się mój pomysł, ale wierzę, że ci się spodoba, kiedy się tam znajdziesz. - I dodała z uśmiechem: - Dziewczyny też tam są.

Pozostał ponury. Był w takim dole, że dziewczyny nic go nie obchodziły.

- A jeśli tam będzie okropnie i będę chciał wyjść? - Spojrzał na nią spod oka.

- Wtedy to rozważymy.

Gdyby okazało się konieczne, mogłaby się postarać o nakaz sądowy, bo udowodnił już, że potrafi być niebezpieczny dla samego siebie. Ale rozprawa byłaby zbyt ciężkim przeżyciem i dla niego, i dla jego matki. Maxine wołała, żeby dobrowolnie podjął decyzję. Wtedy odezwała się jego matka.

- Czy to naprawdę konieczne? Dziś rano rozmawiałam ze swoim lekarzem. Uważa, że trzeba dać Jasonowi szansę... skoro powiedział, że zrobił to po pijanemu i że to się już więcej nie powtórzy.

Maxine wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że takie obietnice nie są warte funta kłaków. Jason też o tym wiedział. Jego matka chciała się łudzić, że te słowa coś znaczą. Była w błędzie.

- Wątpię, czy możemy polegać na jego obietnicy - powiedziała prosto z mostu. - Zrobi pani najlepiej, jeśli mi pani zaufa w tej kwestii - dodała łagodniej. Zauważyła, że Jason nie podejmuje dyskusji, matka czyniła to za niego.

- Twoja matka martwi się, że nie będziecie mogli razem obchodzić Święta Dziękczynienia. Powiedziałam jej, że w święto może do ciebie przyjechać. To jest nawet mile widziane.

- Te święta i tak będą do chrzanu, przecież ojciec nie żyje. Mam je gdzieś.

Zamknął oczy i oparł głowę na poduszkach. Maxine dała znak Helenie Wexler, że chce, by wyszły razem na korytarz. Kiedy to zrobiły, pielęgniarka niezwłocznie wróciła na posterunek. W klinice Silver Pines Jason byłby pod równie skrupulatną opieką. I tamten oddział był zamknięty, a właśnie o niezbędne środki

bezpieczeństwa chodziło Maxine. Były potrzebne od zaraz i mogły być przydatne w najbliższej przyszłości.

- To konieczność - wyjaśniła matce Jasona, a ta znowu zalała się łzami. - Przykładam wielką wagę do tego zalecenia. Decyzja należy do pani, ale nie wierzę, że można go upilnować w warunkach domowych. Nie zdoła go pani powstrzymać, zrobi to znowu, jeśli zechce.

- Pani naprawdę myśli, że mógłby to zrobić, pani doktor?

- Właśnie tak myślę. Jestem nawet pewna. Nadal uważa się za winnego śmierci ojca. Potrzeba czasu, żeby z nim przepracować ten problem. Na razie powinien przebywać pod stałą fachową opieką. Jeśli zabierze go pani do domu, będzie pani musiała pilnować go dzień i noc.

- Mój lekarz sugerował, że chłopcy w jego wieku czasem robią coś takiego tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Uważa, że teraz możemy mu już zaufać.

Wspomniała o tym po raz drugi, jakby myślała, że powtarzając tę opinię, łatwiej przekona Maxine. Ta jednak wiedziała, że rozumie sytuację Jasona znacznie lepiej niż lekarz pani Wexler.

- On naprawdę chciał umrzeć, Helen. Niech mi pani wierzy, doskonale wiedział, co robi. To, co sobie zaaplikował, było trzykrotnością dawki śmiertelnej. Czy mamy czekać, aż dla odmiany wyskoczy przez okno? Odepchnie panią i zrobi to, zanim się pani obejrzy. Nie jest pani w stanie zapewnić mu bezpieczeństwa.

Wytoczyła najmocniejsze argumenty, jakie miała pod ręką i matka chłopaka już zaczynała im ulegać. Płakała tylko coraz bardziej, bo wyobraziła sobie tę scenę, o której mówiła Maxine.

- Zgoda - powiedziała w końcu bardzo cicho. - Kiedy miałyby tam pojechać?

- Jeśli mają wolne miejsce, to dziś albo jutro. Im wcześniej, tym lepiej.

Zapewnią mu taką opiekę, jakiej potrzebuje. To nie jest zwykły szpital psychiatryczny. Jason bardzo potrzebuje takiego miejsca jak Silver Pines. Nigdzie nie będzie mu lepiej. Powinien tam zostać tak długo, aż kryzys minie. Być może wyjdzie dopiero po Bożym Narodzeniu.

- Po Bożym Narodzeniu?

- Zobaczymy. Rozważymy to w odpowiednim czasie, wszystko zależy od jego stanu. Jason potrzebuje czasu, żeby przyjść do siebie.

Pani Wexler przytaknęła i wróciła do syna, a Maxine poszła zadzwonić do Silver Pines. Pięć minut później wszystko już było załatwione. Szczęśliwie mieli wolne miejsce. Maxine umówiła się, że przyślą po Jasona karetkę o piątej po południu. Matka może pojechać razem z nim i pomóc mu się tam urządzić, ale nie pozwoli jej zostać przy nim na noc.

Maxine przekazała im te wiadomości i obiecała, że nazajutrz odwiedzi Jasona. Musiała w tym celu przełożyć na inny termin kilka spotkań z pacjentami, ale to było do załatwienia. Dwa poważniejsze przypadki miała skonsultować z samego rana. Jason bez protestu zgodził się jechać do Silver Pines. Maxine jeszcze z nimi o tym rozmawiała, gdy do pokoju zajrzała dyżurna pielęgniarka. Telefon do Maxine, dzwonił doktor West.

- Doktor West? - Maxine nie miała pojęcia, o kogo chodzi. Może to jakiś tutejszy lekarz, który chciał, żeby przy okazji skonsultowała pacjenta. Psychiatrzy często ją o to prosili. Ale tego nazwiska nie kojarzyła. Pani Wexler wyglądała na zakłopotaną.

- Doktor West to mój lekarz. Prosiłam go, żeby się z panią skontaktował, bo zgadzał się ze mną, że Jason może wrócić do domu. Ale teraz zrozumiałam, że... I myślę... Przepraszam. Czy mogłaby pani jednak z nim porozmawiać? Żeby nie myślał, że kazałam mu zadzwonić do pani bez potrzeby. Proszę powiedzieć mu, że wysyłamy Jasona do Silver Pines, to już postanowione.

Było jej tak przykro, że Maxine musiała ją pocieszyć.

- Proszę się tym nie przejmować, wszystko w porządku. Przecież codziennie rozmawiała z innymi lekarzami.

Spytała tylko, czy to psychiatra. Był internistą. Poszła odebrać telefon w dyżurce pielęgniarek, żeby nie rozmawiać z nim przy Jasonie. Podniosła słuchawkę z uprzejmym uśmiechem, przygotowana na rozmowę z jakimś pocziwym lekarzem

rodzinnym, nienawykłym do pracy z młodocianymi samobójcami, którzy dla niej byli codziennością.

- Doktorze West? Tu doktor Williams, psychiatra Jasona - przedstawiła się. Jej głos zabrzmiał młodzieńczo, przyjaźnie i pewnie.

- Tak... - To słówko przeciągnął jakoś tak pobłaźliwie czy protekcyjnie. - Matka Jasona prosiła mnie o skontaktowanie się z panią.

- Rozumiem. Właśnie ustaliliśmy termin przyjęcia Jasona do Silver Pines na dzisiejsze popołudnie. Myślę, że w tej chwili to będzie dla niego najodpowiedniejsze miejsce. Ostatniej nocy zażył śmiertelną dawkę leków nasennych swojej matki.

- To nieprawdopodobne, co taki dzieciak potrafi zrobić, żeby wymusić trochę uwagi.

Był nie tylko zadufany, ale i bezgranicznie głupi. Maxine poczuła, że nie znajdzie z nim wspólnego języka.

- To jego druga próba samobójcza. Nie wierzę, że taką dawkę zaaplikował sobie dla przyciągnięcia uwagi. Dał nam do zrozumienia jasno i wyraźnie, że naprawdę zamierza się zabić. Więc jego komunikat powinniśmy potraktować serio.

- Wydaje mi się, że lepiej zrobiłby mu powrót z matką do domu.

Doktor West mówił takim tonem, jakby zwracał się do dziecka albo do bardzo, bardzo młodej pielęgniarki.

- Jestem lekarzem psychiatrą, a Jason jest moim pacjentem - oznajmiła Maxine stanowczo. - I obawiam się, że jeśli wróci z matką do domu, nie przeżyje najbliższego tygodnia. Niewykluczone, że zabije się w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Powiedziała to tak dosadnie, jak tylko umiała. Nie użyłaby tego tonu wobec Jasona i jego matki. Ale nie zamierzała niczego owijać w bawełnę, gdy rozmawiała z tym zarozumiałym, impertynenckim doktorem Western.

- Pani obawa wydaje mi się mocno przesadzona. Nie ma powodu do paniki. - Tym razem w jego głosie zabrzmiała irytacja.

- Matka wyraziła zgodę. Jestem przekonana, że to jedyne bezpieczne rozwiązanie. Powinien znaleźć się w zakładzie zamkniętym, pod stałą opieką. Nie da się zorganizować takiej opieki u nich w domu.

- Czy wszystkich pacjentów trzyma pani pod kluczem, pani doktor?

Teraz już drwił z niej otwarcie, i Maxine była na niego wściekła. Za kogo się, u diabła, uważał?

- Tylko tych, którym zagraża samobójcza śmierć, doktorze West, i nie sądzę, żeby stan pańskiej pacjentki się poprawił, kiedy straci jedynego syna. Chyba że pan uważa inaczej.

- Ocenę stanu moich pacjentów proszę pozostawić mnie - odparł gniewnie.

- Otóż to. Rozsądne słowa. I proszę, żeby pan pozostawił mi ocenę stanu Jasona Wexlera. Jest moim pacjentem od czasu swojej pierwszej próby samobójczej, i nie podoba mi się sposób, w jaki zabiera pan głos na temat jego choroby. Jeśli zechciałby pan czegoś więcej się o mnie dowiedzieć, proszę zajrzeć do internetu. A teraz bardzo pana przepraszam, muszę wracać do pacjenta. Dziękuję za pański telefon.

Gotowało się w niej jeszcze po odłożeniu słuchawki, ale musiała ukryć gniew, kiedy weszła do pokoju Jasona. Pacjenci nie powinni ponosić kosztów nieporozumień między lekarzami. Doktor West był nadętym durniem, niebezpiecznym dla swoich chorych, jak sądziła Maxine, prawdziwym zagrożeniem dla Jasona, bo nie doceniał powagi sytuacji. Zakład zamknięty był absolutną koniecznością. Chrzanić doktora Westa.

- Wszystko w porządku? - spytała Helen Wexler z niepokojem, a Maxine pokryła wzburzenie uśmiechem i miała nadzieję, że nikt nie zauważy, jaka jest wściekła.

- W najlepszym.

Zbadała Jasona i została jeszcze przez pół godziny, opowiadając mu o klinice Silver Pines. Udawał brak zainteresowania i niechęć, ale wiedziała, że słucha. To dobrze. Przechodził swoje najcięższe chwile. Dopiero co otarł się o śmierć, a teraz

został zmuszony, by znowu stawić czoło życiu. Z jego punktu widzenia obie te rzeczy były najgorszym złem, jakie mogło go spotkać.

Pożegnała się, zapewniając panią Wexler, że w razie potrzeby można do niej dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Przez całą drogę wzdłuż Park Avenue wściekała się w myślach na tego idiotę, doktora Charlesa Westa. Gdy wróciła do domu, okazało się, że Dafne i jej koleżanki jeszcze śpią. Zbliżało się południe.

Tym razem wkroczyła zdecydowanie do pokoju swojej córki i otworzyła żaluzje. Jasne światło dnia wtargnęło do wnętrza. Głos Maxine obudził dziewczynki.

- Wstawajcie i cieszcie się życiem.

Ale kiedy wstawały, jęcząc i marudząc, żadna nie wyglądała na to, by zamierzała się czymkolwiek cieszyć. Dafne spojrzała na rząd pustych butelek, ustawionych na szafce, i od razu zrozumiała, co oznaczał błysk w oku matki.

- O, cholera - mruknęła, rzucając szybkie spojrzenie na koleżanki. Wszystkie wydawały się wystraszone.

- Tak, to jest właściwe słowo - powiedziała Maxine chłodno, przebiegając wzrokiem po ich twarzach. - Dziękuję wam za wizytę, dziewczęta. Ubierajcie się i do domu. Już po zabawie. A co do ciebie, Dafne - zatrzymała spojrzenie na twarzy córki - masz areszt domowy na miesiąc. Jeśli ktokolwiek jeszcze raz przyniesie alkohol do tego domu, na zawsze straci prawo wstępu. Zawiodłyście moje zaufanie. Dafne, wrócimy jeszcze do tej sprawy.

Dziewczęta zaczęły gorączkowo szeptać między sobą, gdy tylko Maxine wyszła z pokoju. Ubierały się w pośpiechu i marzyły tylko o jednym - żeby opuścić dom. Dafne miała łzy w oczach.

- Mówiłam wam, że to głupi pomysł - powiedziała któraś z dziewczynek.

- Miałaś schować butelki do szafy.

- Przecież schowałam.

Wszystkie były bliskie płaczu. Zrobiły to po raz pierwszy, ale nie po raz ostatni. O tym Maxine wiedziała lepiej od nich.

- Chyba tam zajrzała.

W ciągu dziesięciu minut już ich nie było, a Dafne znalazła matkę w kuchni, pogrążoną w rozmowie z Zeldą. Zelda popatrzyła na Dafne z ciężkim wyrzutem, nie mówiąc ani słowa. Dalszy rozwój sytuacji zależał od tego, co zrobi Maxine.

- Mamo, tak mi przykro. - Dafne wybuchnęła płaczem.

- Mnie też przykro - odparła Maxine. - Wiesz, jak ci ufałam. Zawsze. Nie spodziewałam się, że zrobisz coś takiego. Myślałam, że cenisz moje zaufanie.

- Mamo, wiem... Nie chciałam przecież... Po prostu pomyślałyśmy...

- A więc szlaban. Żadnych rozmów przez telefon do końca przyszłego tygodnia. Żadnych imprez przez miesiąc. Nie będziesz nigdzie wychodziła bez opieki i nikt nie może cię odwiedzać. To wszystko. I twoja w tym głowa, żeby ten wyskok się nie powtórzył.

Dafne kiwnęła głową i chyłkiem wycofała się do swojego pokoju. W kuchni dał się słyszeć cichy odgłos zamykanych drzwi. Maxine wiedziała, że Dafne płacze. Ale uważała, że powinna zostawić ją teraz samą.

- A to dopiero początek - skonstratowała grobowym głosem Zelda. Obie się uśmiechnęły. Żadna z nich nie uważała, że to koniec świata. Ale Maxine chciała, by córka na długo zapamiętała tę nauczkę. W jej wieku za wcześnie jeszcze na alkoholowe imprezy, urządzone po kryjomu w sypialni. Więc trzeba było zareagować natychmiast.

Dafne siedziała w swoim pokoju przez całe popołudnie. Telefon komórkowy musiała oddać matce. Telefon był jak ostatnia nitka łącząca ją z jej światem, więc niełatwo się go wyrzekła.

Maxine przywiozła obu chłopców około piątej. Dafne opowiedziała Jackowi, co się wydarzyło. Był zaskoczony i bardzo przejęty, powiedział jej to, co sama już rozumiała: zrobiły najgłupszą rzecz pod słońcem, jeśli uważały, że mogą ukryć wszystko przed matką. Zdaniem Jacka Maxine wiedziała o wszystkim, w jej głowie działał jakiś specjalny radar albo inne urządzenie, które pozwala widzieć przez ściany. Sądził, że matki mają to w standardowym wyposażeniu.

Spokojnie zjedli kolację we czwórkę, a potem wszyscy poszli wcześniej spać. O północy wyrwał Maxine z głębokiego snu telefon od pielęgniarki z Silver Pines. Jason Wexler wieczorem podjął kolejną próbę samobójczą. Jego stan był stabilny, życiu nic nie zagrażało. Zrobił linę ze swojej piżamy i próbował się na niej powiesić, ale pielęgniarka, która miała na niego baczenie, zauważyła, co się dzieje, i uratowała go. Maxine zdała sobie sprawę z tego, że zabrali go z Lenox Hill dosłownie w ostatniej chwili. Całe szczęście, że jego matka nie posłuchała tego nadętego durnia, doktora Westa. Powiedziała pielęgniarce, że odwiedzi Jasona nazajutrz po południu. Mogła sobie wyobrazić, co czuje teraz Helen Wexler. Maxine była szczęśliwa, że Jason żyje. Wróciwszy do łóżka uprzytomniła sobie, jak ciężki był ten weekend. Jej córka po raz pierwszy się upiła, a jeden z jej pacjentów dwukrotnie próbował popełnić samobójstwo. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, mogło być o wiele gorzej. Gdyby na przykład Jason Wexler się zabił. Całe szczęście, że do tego nie doszło. Ale chętnie powiedziałaby teraz Charlesowi Westowi, co o nim myśli. Otóż uważa go za skończonego idiotę.

Hospitalizacja ocaliła Jasonowi życie. I miała nadzieję, że już nic gorszego się nie wydarzy. Według statystyk, po każdej następnej próbie ryzyko wzrastało. W porównaniu z tym wybryk Dafne był dziecinadą. I naprawdę niczym więcej. Kiedy pozostawała pogrążona w tych myślach, Sam wśliznął się po ciemku do jej sypialni i wlaź pod kołdrę.

- Mamo, mogę spać u ciebie? - spytał. - Bo w mojej szafie czyha wściekły goryl.

- Jasne, kochanie.

Posunęła się, żeby zrobić mu więcej miejsca, ale on się do niej przytulił. Zastanawiała się, jak mu to wytłumaczyć, że w szafie nie ma żadnego goryla. Czy może lepiej dać już spokój.

- Mamo? - szepnął prosto do jej ucha.

- Co?

- Tego goryla to... zmyśliłem.

- Wiem, synku. - Uśmiechnęła się w ciemności i pocałowała go w policzek. Po chwili obydwójce spali już głębokim snem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz o ósmej rano Maxine była już w swoim gabinecie. Do południa przyjmowała pacjentów, a potem pojechała samochodem na Long Island, żeby odwiedzić Jasona Wexlera w klinice Silver Pines, gdzie dotarła o pół do drugiej. Nic nie jadła, oprócz połówki banana podczas jazdy samochodem. Wtedy też wykonała najpilniejsze telefony. Ze wszystkim uporała się zgodnie z planem i bez opóźnień.

Rozmawiała z Jasonem w cztery oczy przez godzinę, spotkała się z lekarzem prowadzącym, a potem jeszcze pół godziny spędziła z Jasonem i z jego matką. Helen Wexler była szczęśliwa, że posłuchała rady Maxine, dzięki czemu trzecia próba samobójcza została udaremniona. Przyznawała jej słusność i podziękowaniom nie było końca. Matce chłopca cierpła skóra na myśl, jak by się to skończyło, gdyby uparła się i zabrała Jasona do domu. Bardzo prawdopodobne, że tym razem już by nie przeżył. Wbrew temu, co sądził jej lekarz, doktor West, w domu z pewnością by go nie upilnowała.

Jason był apatyczny. Przekonanie, że ponosi winę za śmierć ojca nadal go nie opuszczało. Był pełen sprzecznych uczuć w związku z sobą samym i własnym życiem, i ciągle miał w pamięci kłótnię, po której ojciec umarł na zawał serca. Poradzić sobie z tym poczuciem winy to praca na długie miesiące, a może na lata. Maxine wiedziała dobrze, i nawet pani Wexler się domyślała, że sprawa nie jest prosta. Wbrew jej nadziejom Jason nie mógł wrócić do domu przed Bożym Narodzeniem. Maxine spodziewała się, że chłopak pozostanie w Silver Pines przez sześć miesięcy albo i przez rok, ale było za wcześnie, by powiedzieć o tym matce. Była wciąż jeszcze zbyt wstrząśnięta tym, co się stało wczoraj. Dziś rano Jason zapowiedział jej, że jeśli zechce się zabić, nic go nie powstrzyma. Maxine wiedziała z doświadczenia, że jest tak, jak mówił. To jeszcze bardziej przygnębiło Helen.

Jedyną drogą była terapia i właśnie znalazł się w miejscu, w którym znajdzie pomoc.

O czwartej po południu Maxine znowu jechała autostradą. Przez chwilę stała w korku na moście, ale już o piątej była z powrotem w swoim gabinecie. Na wpół do szóstej miała zapisaną pacjentkę. Właśnie przeglądała listę spraw, które pojawiły się podczas jej nieobecności, gdy zadzwonił doktor West, lekarz pani Wexler. Nie miała najmniejszej ochoty podejść do telefonu w obawie, że usłyszy kolejne irytujące brednie. Ale z drugiej strony, kiedy chodziło o pacjenta, uchylanie się od rozmowy świadczyłoby o braku profesjonalizmu. Zawsze dbała o pacjentów, a Jasonowi i jego matce współczuła głęboko. Lubiła Jasona, był dobrym chłopakiem z głęboką traumą, której ślad pozostanie w nim do końca życia. Niechętnie podniosła słuchawkę, szykując się na spotkanie z niesłychaną arogancją.

- Doktor Williams, słucham.

- Tu Charles West.

Pominał tytuł przed swoim nazwiskiem, a w jego głosie był smutek. Tego się nie spodziewała. Mówił dalej łagodnie i spokojnie.

- Miałem dziś rano telefon od Helen Wexler w sprawie syna. W jakim stanie jest teraz Jason?

Maxine pozostała ostrożna, wołała trzymać go na dystans, bo mu nie ufała. Zaraz zacznie szukać dziury w całym, kwestionować jej sposób myślenia. Po wczorajszej sprzeczce obawiała się, że West jest zdolny do wszystkiego.

- Czego pan oczekuje? Kiedy się z nim widziałam, był na środkach uspokajających, ale przytomny. Pamięta, co wczoraj zrobił, pamięta, dlaczego to zrobił. Było niemal pewne, że znowu tego spróbuje, pomimo wczorajszych obietnic. Ma ogromne poczucie winy w związku ze śmiercią ojca. - To już wszystko, co miała do powiedzenia Westowi. Zresztą, nie zasłużył nawet na to. - Teraz Jason potrzebuje pomocy, musi poradzić sobie z traumą w sposób bardziej konstruktywny. Wtedy próby samobójcze się nie powtórzą.

- Tak. Przepraszam. Dzwonię po to, żeby powiedzieć pani, że jest mi naprawdę przykro, bo wczoraj zachowałem się jak dureń. Helen Wexler jest bardzo przywiązana do syna. Ma tylko jego, od dawna. Małżeństwo było chyba nieudane. - Maxine też tak sądziła, ale nie przytaknęła mu. Uznała, że to, czego się domyśliła na temat Helen Wexler, nie jest jego sprawą. - Miałem przekonanie, że chodziło mu tylko o zwrócenie na siebie uwagi. Przecież pani wie, jakie są dzieciaki.

- Owszem, wiem - odrzekła sucho. - W większości prób samobójczych wcale nie chodzi o przyciągnięcie uwagi. Przeważnie w tle są problemy niezwykle trudne do rozwiązania. Z pewnością Jason uważa, że nie miał lepszego wyjścia. Nie będzie łatwo go przekonać, że jest inaczej.

- Głęboko wierzę, że to się pani uda. - Ku jej zdziwieniu był teraz niemal pokorny, w każdym razie daleki od wczorajszej impertynencji. - Muszę się przyznać, że wpisałem pani nazwisko do wyszukiwarki. Dowiedziałem się, kim pani jest, pani doktor.

Bardzo się wstydził, że wziął ją za jakąś podrzędną psychoanalityczkę, jakich wiele ma gabinety w okolicach Park Avenue, żerującą na różnych Wexlerach i wyolbrzymiającą ich problemy bez cienia sensu. Przeczytał jej życiorys i listę publikacji. Wiedział, ile miała wystąpień na konferencjach naukowych, w ilu programach uczestniczyła, ile instytucji prosiło ją o konsultacje. Współpracowała z dyrekcjami szkół w całym kraju, a jej książki o urazach dziecięcych i o manii samobójczej u nastolatków zaliczano do najważniejszych pozycji, jakie ukazały się na ten temat. W swojej dziedzinie była autorytetem. Poczuł, że jego sukcesy nie mogą się równać z tym wszystkim, czego się o niej dowiedział, i choć nie brakowało mu pewności siebie, zrobiło to na nim wrażenie.

- Dziękuję, doktorze West - powiedziała Maxine. - Ja po prostu rozumiałam, że Jason nie żartuje. Wyciągnęłam z tego odpowiednie wnioski.

- Jeszcze jedno. Proszę mi wybaczyć moje wczorajsze zachowanie. Wiedziałem, w jak złej formie jest teraz Helen Wexler, i myślałem o tym, by chronić ją przed całkowitym załamaniem. Jestem jej lekarzem ponad piętnaście lat,

więc znam Jasona od urodzenia. Jego ojciec też był moim pacjentem. Ale nie miałem pojęcia, że funkcjonowanie Jasona jest zaburzone aż do tego stopnia.

- Przypuszczam, że to się działo już przed śmiercią ojca. Śmierć jego siostry była wstrząsem dla całej rodziny, a z racji wieku Jason jest szczególnie podatny na urazy. Oczekiwania rodziców wobec niego musiały być wysokie, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy szkolne, lecz nie tylko.

Przecież on jeden im pozostał. Nie było mu z tym lekko. A śmierć ojca okazała się kroplą, która przelała czarę.

- Teraz już to wiem. - Jego skrucha robiła wrażenie szczerej. - Proszę się na mnie nie gniewać.

- W porządku. Każdy z nas jest omylny. Psychiatria nie jest pańską specjalnością. Ja też nie chciałabym być zmuszona do postawienia diagnozy dotyczącej wyrostka robaczkowego albo cukrzycy. Nikt nie może znać się na wszystkim, dlatego, panie doktorze, wszyscy po studiach wybieramy specjalizację.

Wypił całe piwo, którego wczoraj sobie nawarzył, a był ostatnim człowiekiem, po którym mogłaby się tego spodziewać.

- Zapewne będzie pan w kontakcie z Helen Wexler. Jest całkowicie wytrącona z równowagi. Rozmawiałam o niej z bardzo dobrym psychiatrą, pracującym z ludźmi, którzy przeżyli stratę. Wielomiesięczny pobyt Jasona w klinice, zwłaszcza w czasie świąt, będzie dla niej niełatwym przeżyciem. Wie pan, jak to bywa w takich przypadkach, zły stan psychiczny często przekłada się na somatyczne komplikacje.

Helen Wexler zdążyła już powiedzieć Maxine, że od śmierci męża wciąż cierpi na migreny, a trzy razy była poważnie przeziębiona. Próby samobójcze Jasona i jego hospitalizacja na pewno nie poprawią jej stanu zdrowia. Charles West był tego świadomy.

- Tak bywa. Będę ją obserwował. Zawsze zwracam uwagę na stan fizyczny moich pacjentów, którzy stracili którąś z bliskich osób. Niektórzy przewracają się

jak domki z kart, ale pani Wexler jeszcze się jakoś trzyma. Będę do niej dzwonił co jakiś czas, żeby sprawdzić, jak sobie radzi.

- Ostatnie zdarzenia wiele ją kosztowały - przyznała Maxine.

- Na jej miejscu i ja byłbym w szoku. Nie mam dzieci, ale nie wyobrażam sobie gorszej sytuacji, bo straciła córkę i omal nie straciła syna, a niedawno owdowiała. Trudno o więcej nieszczęść naraz.

- To prawda - powiedziała Maxine. - Niewiele brakowało, by straciła i syna. Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby do tego nie doszło. To mój zawód.

- Wciąż ma pani do czynienia z takimi sprawami. Nie zazdroszczę.

- Owszem - potwierdziła, spoglądając na zegarek. Jej pacjentka miała się zjawić za dwie minuty. - Dziękuję za pański telefon.

- Teraz będę wiedział, do kogo kierować moich pacjentów, którzy mają kłopoty z dziećmi.

- Zajmuję się przede wszystkim urazami dziecięcymi. To mniej obciążające niż praca z nastolatkami po próbach samobójczych. Trafiają do mnie ośmiolatki i dziesięciolatki, u których ujawniają się długofalowe skutki urazów.

- Znalazłem w Internecie pani wywiad na ten temat dla „New York Times'a”.

- No właśnie.

To był wywiad związany z jej drugą książką. Ta książka stała się publicznym wydarzeniem, bo dotyczyła urazów, jakie pozostawiają szkolne strzelaniny, dokonujące się na oczach dużych grup uczniów. Brała udział w programach państwowych i wiele razy występowała jako biegła przed Kongresem.

- Jeśli uzna pan, że powinnam wiedzieć o czymś, co dotyczy pani Wexler albo Jasona, proszę dać mi znać. Pacjenci nie zawsze wiedzą, że jakaś informacja jest istotna. Helen Wexler chce ze mną współpracować, ale jest bardzo zamknięta w sobie. Więc jeśli coś się panu przypomni, proszę zadzwonić.

- Zgoda.

Zabrzączał dzwonek. To pacjentka, która była zapisana na wpół do szóstej. Przyszła punktualnie co do minuty. Drobna czternastolatka z anoreksją, po

półrocznej hospitalizacji w szpitalu uniwersytetu Yale. Ostatnio zaczynała stawać na nogi.

- Jeszcze raz dziękuję za telefon. To był miły gest z pana strony. - Maxine pożegnała się uprzejmie. W końcu okazał się całkiem przyzwoitym facetem. Miał odwagę przyznać się do błędu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł i rozłączył się.

Maxine wyszła zza biurka, by przywitać się z pacjentką, która właśnie wśliznęła się jak kotka do gabinetu. Była to ładna dziewczynka, ale strasznie wychudzona i zapewne dlatego nie wyglądała na swój wiek. Raczej na dziesięć, jedenaście lat. W rzeczywistości niebawem miała skończyć piętnaście. Przed rokiem omal nie zagłodziła się na śmierć. Więc teraz już i tak nie było z nią najgorzej. Ale włosy nadal jej wypadały, straciła też kilka zębów, i zachodziła obawa, że funkcje rozrodcze zostały trwale uszkodzone. Była naprawdę ciężko chora.

- Cześć, Josephine, usiądź - powiedziała miękko Maxine, wskazując jeden z wygodnych foteli. Dziewczynka usiadła w nim z podwiniętymi nogami, wpatrzona w Maxine wielkimi, szeroko otwartymi oczami.

W pierwszych minutach wizyty z własnej woli przyznała się, że w zeszłym tygodniu wykradła matce środki przeczyszczające, ale po długich wahaniach odłożyła je z powrotem na miejsce. Maxine skinęła głową z zadowoleniem. Rozmawiały i o tym, i o innych sprawach. Josephine zaczęła znowu chodzić do szkoły i poznała tam chłopaka, który jej się podobał. Była już o wiele bardziej zadowolona ze swojego wyglądu niż w poprzednich miesiącach. Przebyła bardzo długą drogę od chwili, gdy w wieku trzynastu lat ważyła mniej niż trzydzieści kilogramów. Teraz przekroczyła czterdzieści, i to było jeszcze ciągle zbyt mało przy jej wzroście. Powinna dojść do pięćdziesięciu kilo. Ostatnio przybywało jej po pół kilograma co tydzień.

Po niej Maxine miała jeszcze jedną pacjentkę, szesnastoletnią dziewczynę, której problemem były samookaleczenia. Przedramiona miała całe posznytowane, dlatego nosiła długie rękawy. Miała też za sobą jedną próbę samobójczą, co

zdarzyło się przed rokiem. Lekarz rodzinny zwrócił się do Maxine z prośbą o podjęcie terapii i od tej pory rozpoczęła się powolna, ale stała poprawa. Przed opuszczeniem gabinetu Maxine zadzwoniła jeszcze do kliniki Silver Pines. Powiedziano jej, że w porze obiadu Jason zamienił pizamę na dzinsy i dołączył do pozostałych pacjentów. Prawie się nie odzywał i zaraz po obiedzie wycofał się do swojego pokoju. Ale początek miał już za sobą. Pozostawał pod ciągłą obserwacją ze względu na niebezpieczeństwo podjęcia kolejnej próby samobójczej. I tak jeszcze będzie przez dłuższy czas, póki lekarz prowadzący nie uzgodni z Maxine, że Jasonowi można już zaufać. Nadal był bardzo przygnębiony. Ale w klinice Silver Pines nic złego mu nie groziło, i właśnie dlatego Maxine nalegała na hospitalizację.

O wpół do ósmej jechała już windą do swojego mieszkania. Ledwie przekroczyła próg, wpadł na nią przebrany za indyka Sam, głośno gulgocząc, a ona się uśmiechnęła, szczęśliwa, że jest w domu. Znow miała za sobą długi i ciężki dzień. I ciągle jeszcze martwiła się o Jasona.

- Halloween już za nami! - zawołała do niego, gdy się zatrzymał.

Roześmiał się i podbiegł, by objąć ją mocno w pasie. Omal jej nie przewrócił. Był naprawdę silny.

- Przecież wiem. Mam być indykiem w szkolnym przedstawieniu - pochwalił się.

- To rola w sam raz dla ciebie - mruknął Jack, który przechodził przez korytarz w stroju do piłki nożnej i zabłoconych butach, zostawiając za sobą brudne ślady na chodniku. Tym się przejmował najmniej. Trzymał w rękach stosik gier wideo pożyczonych od kolegi.

- Zeldą się wścieknie, jak to zobaczy - ostrzegła go Maxine, patrząc na chodnik.

Ledwie to powiedziała, niania wyszła z kuchni i popatrzyła surowo na całą trójkę.

- Jeśli nie nauczysz się zostawiać tych butów przy drzwiach, wyrzucę ci je przez okno, Jacku Williamsie. Niszczysz wszystkie podłogi i dywany. Ile razy muszę to jeszcze powtórzyć?

- Przepraszam - wymamrotał pod nosem.

Prychnęła i wymaszerowała do kuchni, gdy zobaczyła, że usiadł na podłodze i ściąga buty.

Chłopiec spojrzał na matkę z uśmiechem.

- Wygraliśmy dzisiaj mecz z Kolegiatą. To mięczaki. Paru się popłakało.

Kolegiata była najstarszą i najbardziej szacowną ze szkół na Manhattanie. Maxine wiedziała, że w reprezentacji szkoły Daltona, do której chodził Jack, zdarzało się, że nieraz ktoś płakał podczas trudnego meczu. Chłopcy traktowali sport ze śmiertelną powagą. Nie potrafili jeszcze ani wygrywać, ani przegrywać z klasą.

- Gratulacje. A w czwartek przyjdę na wasz mecz.

Wszystkie zajęcia zawczasu ułożyła tak, żeby to było możliwe.

Teraz zagadnęła Sama.

- Kiedy odbędzie się wasze przedstawienie?

- W przeddzień Święta Dziękczynienia - odpowiedział uszczęśliwiony.

- Musisz nauczyć się tekstu?

Zagulgotał w odpowiedzi tak głośno, że Jack zatkał sobie uszy i uciekł.

- Za pięć minut kolacja! - zawołała z kuchni Zelda. Po czym wystawiła głowę i powiedziała do Maxine:

- Czekaliśmy już tylko na ciebie.

W te dni, kiedy Maxine miała dużo pracy, Zelda podawała kolację trochę później, chyba że dzieci były już bardzo głodne. Zawsze miała na uwadze, że Maxine lubi jeść kolację z dziećmi. Zelda wiedziała, jak bardzo jej na tym zależy. Była to jedna z wielu rzeczy, za które Maxine była jej wdzięczna. Zelda nigdy nie próbowała wykorzystywać w kontaktach z dziećmi nieobecności Maxine, nie było w niej przewrotności ani złej woli. Nie walczyła o władzę, jak to się zdarzało

opiekunkom w zaprzyjaźnionych domach. Zelda była całym sercem oddana ich rodzinie, i to już od dwunastu lat. I nigdy nie próbowała ograniczyć roli Maxine jako matki.

- Dziękuję, Zeldo. - Maxine się rozejrzała. Nie widziała się dziś jeszcze z córką. - Gdzie jest Dafne? U siebie? - Pomyślała, że Dafne dąsa się z powodu swojej kary.

- Zabrała swój telefon komórkowy i rozmawia przez cały czas - wyrwał się Sam, zanim Zelda zdążyła otworzyć usta.

Zgromiła go spojrzeniem. Chciała powiedzieć o tym Maxine w stosownej chwili. Zawsze jej mówiła o wszystkim, Maxine wiedziała, że może jej ufać.

- Nie skarż na siostrę - zbesztła go.

Maxine uniosła wysoko brwi i udała się do pokoju Dafne. Sam miał rację. Zastała ją z telefonem z ręki. Dafne siedziała na łóżku i trajkotała bez opamiętania z jakąś przyjaciółką. Maxine zbliżyła się do niej, wyciągnęła rękę i czekała. Dafne nerwowo przerwała rozmowę, rozłączając się bez pożegnania.

- Czy w naszym domu obowiązują jeszcze honorowe zasady, czy też muszę schować ten telefon pod kluczem?

Jej stosunki z Dafne w krótkim czasie bardzo się popsuły. Jeszcze nie tak dawno podporządkowałyby się karze bez szemrania. Nie ośmieliłyby się wykraść telefonu. Trzydzieści lat to taki wiek, w którym wszystko się szybko zmienia, pomyślała Maxine z przykrością.

- Przepraszam, mamó - powiedziała Dafne, odwracając wzrok.

Zelda wołała już wszystkich na kolację, więc zaczęli się schodzić do kuchni. Jack przyszedł boso, ubrany wciąż jeszcze w piłkarskie spodenki, Dafne była w swoim stroju szkolnym, a Sam dumnie obnosił kostium indyka. Maxine zdjęła zakiet od garsonki i włożyła domowe pantofle. Przez cały dzień chodziła w butach na wysokich obcasach. Zawsze w pracy wyglądała elegancko, i dopiero w domu mogła od tej elegancji odpocząć. Gdyby było dość czasu, przebrałaby się w dżinsy, ale była równie głodna jak dzieci.

Kolacja była prosta i smaczna, jak zawsze, odkąd gotowała im Zelda. Maxine uważała, że nie byłoby w porządku, gdyby niania jadła osobno. A ponieważ miejsce Blake'a było zawsze wolne, zgodnie z życzeniem Maxine zajmowała je Zelda. Chłopcy opowiadali, jak im dziś poszło, tylko Dafne milczała, nadąsana z powodu kary. A może dlatego, że zawstydziała się tej historii z telefonem Domyśliła się, że to Sam na nią naskarżył, więc popatrzyła na niego lodowato i obiecała półgłosem, że po kolacji się z nim rozprawi. Jack opowiadał o meczu, obiecał też matce, że pomoże jej uruchomić nowy program komputerowy. Po kolacji zniknęli w swoich pokojach, nie wyłączając Maxine, która była wykończona po ciężkim dniu. Zelda została w kuchni, żeby posprzątać. Maxine, po namyśle, zdecydowała się zajrzeć do Dafne.

- Mogę wejść? - spytała. Zawsze pytała, więc tym bardziej teraz.

- Na własną odpowiedzialność - padła odpowiedź, i taka musiała wystarczyć.

Na nic lepszego nie można było teraz liczyć z powodu szlabanu i historii z telefonem. Maxine weszła. Usiadła na łóżku obok Dafne, która oglądała telewizję. Lekcje miała już odrobione. Była dobrą uczennicą, nikt nie narzekał na jej stopnie. Jack był nieco zbyt roztrzepany, bo gry wideo zawsze stanowiły dla niego zbyt wielką pokusę, a Sam nawet nie zabrał się jeszcze do lekcji.

- Wiem, że jesteś na mnie wściekła za ten szlaban, Dafne. Ale nie podobała mi się ta historia z piwem. Chciałabym ci ufać, szczególnie wtedy, kiedy nie ma mnie w domu.

Dafne nie odpowiadała, patrzyła na ekran. Dopiero po dłuższej chwili spojrzała na matkę. W jej oczach był żal.

- To nie był mój pomysł. To nie ja przyniosłam piwo.

- Ale zgodziłaś się na to. I sędzę, że piłaś z innymi. Dom był dla nas świętością, Dafne. Podobnie jak zaufanie, które mieliśmy do siebie. Nie chcę, żeby to zostało zniszczone.

Ale wiedziała, że ta świętość nie jest już bezpieczna. W wieku Dafne taki incydent nie powinien dziwić, i Maxine była tego świadoma, jednak nie przestała

przecież być jej matką. Nie mogła udawać, że nic się nie stało. Dafne musiała to rozumieć. Tymczasem jeśli było jej przykro, to najwyraźniej głównie dlatego, że wpadła.

- Tak, wiem.

- Twoje koleżanki powinny szanować nasze reguły, kiedy przychodzą do tego domu. U nas imprezy z piwem są nie do przyjęcia.

- Inne dziewczyny robią jeszcze gorsze rzeczy - powiedziała Dafne przez zaciśnięte zęby.

Maxine wiedziała i o tym. O wiele gorsze rzeczy, naprawdę. Paliły marihuanę albo nawet sięgały po twarde narkotyki i ciężkie alkohole. W dzisiejszych czasach niejedna dziewczynka w wieku Dafne miała już za sobą pierwsze doświadczenia seksualne. Maxine spotykała się z takimi przypadkami w swojej praktyce zawodowej. Jedna z jej pacjentek uważała kontakty seksualne za sposób zdobywania pieniędzy już od szóstej klasy.

- Więc co się takiego stało, jeśli wypiliśmy kilka piw?

- Stało się to, że złamałaś zasady. A jeśli nadal będziesz to robić, gdzie się zatrzymasz? Mamy swoje niepisane umowy i trzeba je szanować, albo spróbować renegocjować w pewnych punktach. Ale nie na łapu-capu. Umowy to umowy. Nie przyprowadzam do domu facetów i nie urządzam rozbieraných baletów. Oczekujesz ode mnie, że będę się zachowywać w określony sposób, i właśnie tak się zachowuję. Nie znikam na całe noce, nie upijam się w swoim pokoju. Jak byś się czuła, gdybym zaczęła to robić?

Dafne uśmiechnęła się wbrew sobie, bo te przykłady zupełnie nie pasowały do Maxine.

- Z nikim się nie spotykasz. Matki niektórych moich koleżanek zawsze kogoś mają. Nawet po kilku facetów. Ty nie masz nawet jednego.

Te słowa miały zranić Maxine. I rzeczywiście, trochę ją zadrasnęły.

- Nawet gdyby ktoś tu do mnie przychodził, nie upijałabym się z nim w swoim pokoju. Gdy będziesz starsza, pozwolę ci wypić drinka, ale nie po kryjomu. W

twoim wieku nie jest to jeszcze dozwolone. Ani dla ciebie, ani dla twoich koleżanek. Nie życzę sobie, żeby trzynastolatki piły w naszym domu.

- Tak, wiem.

I niespodziewanie Dafne dorzuciła:

- Tatuś pozwalał nam pić wino na wakacjach w Grecji. Nawet Samowi pozwalał. I nie robił z tego problemu.

- To co innego. Wtedy on brał za to odpowiedzialność. Pozwalał ci pić wino, nie piłaś za jego plecami, chociaż nie mogę powiedzieć, że mi się to podoba. Jesteś za młoda, żeby pić alkohol. Za wcześnie na to.

Ale taki był Blake i jego metody wychowawcze, z którymi Maxine nie miała nic wspólnego. Dla Blake'a nie miały znaczenia żadne zasady ani w odniesieniu do dzieci, ani do niego samego. Blake nie odmawiał sobie przyprowadzania do domu kobiet, jeśli można je tak określić. Bo większość z nich to były bardzo młode dziewczyny, prawie dzieci, a im starsze było jego własne potomstwo, tym mniejsza stawała się ta różnica wieku. Zdaniem Maxine, to był z jego strony przejaw skrajnej lekkomyślności. Ale nic nie mówiła, bo Blake i tak by jej nie posłuchał. Raz czy drugi poruszyła nawet ten temat, ale zbył ją uśmiechem i dalej robił swoje.

- Kiedy będę starsza, pozwolisz mi pić alkohol w twojej obecności? - drażyła Dafne.

- Możliwe. Ale na pewno nie zgodzę się, żebyście teraz piły po kryjomu. Miałabym kłopoty, gdyby w związku z tym którejś stało się coś złego. Zgoda na takie rzeczy w ogóle nie wchodzi w grę.

Maxine należała do ludzi, którzy szanują zasady i sami dzieli o tym wszyscy, nie wyłączając Blake'a.

Dafne powstrzymała się od komentarza. Wiedziała, że inni rodzice traktowali zasady znacznie bardziej liberalnie. A niektórzy chyba wcale ich nie mieli. I tylko nieliczni byli podobni do matki. Z jej kolegów i koleżanek jedni urodzili się w takim domu, drudzy w innym, to była loteria.

Sam zajrzał do pokoju w swoim przebraniu indyka.

- Mamo, dlaczego muszę się kąpać? Pilnowałem się przez cały dzień i wcale się nie ubrudziłem.

Maxine uśmiechnęła się, a Dafne odwróciła się do nich plecami i wbiła wzrok w telewizor. Był to znak, że nasłuchiwała się już dosyć i wystarczy. Pochyliła się, żeby ją pocałować, i wyszła razem z Samem.

- To bez znaczenia, czy uważałeś i czy się ubrudziłeś. Tak, musisz się wykapać.

- Mam przerąbane...

Zelda już na niego czekała z groźną miną. Maxine zostawiła Sama w jej rękach i zajrzała do Jacka, który przysięgał, że odrobił lekcje. Potem poszła do siebie i włączyła telewizor. Miała przed sobą miły, spokojny wieczór w domowym zaciszu, taki, jakie lubiła najbardziej.

Przypomniała sobie słowa Dafne - o tym, że nigdy nie wychodzi. To była prawda, choć nie do końca. Czasem wychodziła, jeśli zapraszali ją starzy przyjaciele albo znajomi z czasów jej małżeństwa. Czasem bywała w operze, choć nie tak często, jak by chciała. Każde wyjście wymagało pewnego wysiłku, a ona po całym dniu pracy najbardziej lubiła odpoczywać w domu. Czasem szła z dziećmi do kina, a czasem na wieczorne przyjęcia w gronie lekarzy swojej specjalności, jeśli nie mogła się od tego wykręcić. Ale w tym, co zauważyła Dafne, było ziarno prawdy. Przecież od roku nie miała randki. Czasem ją to niepokoiło, zwłaszcza wtedy, kiedy zauważała, jak szybko biegnie czas. Miała już czterdzieści dwa lata, a w jej życiu oprócz Blake'a nie było dotąd żadnego mężczyzny na stałe. Po rozwodzie zdarzało jej się z kimś umówić, ale nie spotkała nikogo, dla kogo straciłaby głowę, i nie szukała nawet okazji, by kogoś takiego spotkać. Jeśli nie była w pracy, spędzała czas z dziećmi. Najczęściej miała do czynienia z lekarzami, a wśród nich prawie wszyscy byli żonaci. Jeśli nawet niektórzy mieli zwyczaj zdradzać swoje żony, to przecież nie o to jej chodziło i nie tego oczekiwała. Niewielu było atrakcyjnych mężczyzn stanu wolnego między czterdziestką a pięćdziesiątką. Ci najlepsi dawno już się z kimś związali. A jeśli nie, to zwykle się okazywało, że mają jakieś

problemy ze sobą, byli homoseksualistami albo ludźmi niezdolnymi do wchodzenia w związki, albo interesowały ich tylko młode dziewczęta. Znaleźć kogoś, z kim mogłaby się związać, nie było wcale tak łatwo, jak się wydawało. Ale to nie spędzało jej snu z powiek. Uważała, że jeśli jest jej pisane kogoś spotkać, spotka go we właściwym czasie. A na razie cieszyła się takim życiem, jakie było jej dane.

Kiedy zerwała z Blake'em, przypuszczała, że on szybko znajdzie sobie kogoś innego i się ożeni, ale teraz wydawało jej się to coraz mniej prawdopodobne. Był raczej jak motyl, co fruwa z kwiatka na kwiatek. Miewał coraz to nowe zdobycze, coraz ładniejsze i młodsze dziewczyny. A Maxine dzień po dniu spędzała wieczory w domu, w towarzystwie dzieci i ich niani, i wcale nie była pewna, czy naprawdę wolałaby coś innego. Nie zamieniłaby wieczoru z dziećmi na jakąś randkę nie wiadomo z kim. I co w tym złego? Czasem pozwalała sobie na wspomnienia. Wspominała spacer po plaży z Blake'em, jego żarty, przyjęcia, na których z nim tańczyła, noce w jego ramionach. Myśl, że mogłaby pójść do łóżka lub choćby tylko całować się z kimś innym, trochę ją przestraszała. Więc łatwo godziła się z losem. Nie była przecież sama, miała dzieci. Czego jeszcze potrzebowała? Zawsze sobie powtarzała, że to jej w zupełności wystarczy.

Była jeszcze zatopiona w tych myślach, kiedy Sam przyszedł do niej po kąpieli. Był boso, ubrany w czystą piżamę, z mokrymi włosami pachnącymi szamponem. Wskoczył na łóżko.

- O czym myślisz, mamó? O czymś smutnym?

Pytanie Sama przywołało ją do rzeczywistości. Uśmiechnęła się do niego.

- O niczym smutnym, kochanie. Po prostu zastanawiam się nad różnymi sprawami.

- Dorosłymi? - spytał, i ściszył telewizor pilotem.

- Tak, nad czymś w tym rodzaju.

- Mogę dziś spać u ciebie?

- Jasne. Będzie mi bardzo miło.

Naprawdę lubiła, kiedy u niej spał. Przytulał się i było to przyjemne dla obojga. Skoro w jej łóżku chciał spać rozkoszny mały Sam, czego więcej mogłaby chcieć? Żaden przelotny romans nie przyniósłby jej tyle szczęścia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W świąteczny poranek Maxine zajrzała do pokojów dzieci. Dafne leżała w łóżku i rozmawiała z przyjaciółką przez telefon komórkowy, który niedawno został jej uroczyście zwrócony. Szlaban nadal obowiązywał, więc była odcięta od spotkań z przyjaciółkami, ale mogła już prowadzić życie towarzyskie przez telefon. Jack siedział przed komputerem. Miał na sobie uroczysty strój: niebieską koszulę, szare spodnie i marynarkę. Maxine pomogła mu zawiązać krawat. A Sam, jeszcze w piżamie, tkwił przed telewizorem, w którym pokazywano świąteczną paradę organizowaną przez dom towarowy Macy'ego. Zelda wyjechała wcześniej rano. Chciała spędzić ten dzień u znajomej, która pracowała u jakiejś rodziny w Westchester i zapraszała do siebie na świąteczny obiad paczkę przyjaciółek same opiekunki do dzieci. Wszystkie należały do tej specjalnej kasty kobiet, które poświęcają życie opiece nad cudzymi dziećmi, kochają je i nie mają własnych.

Maxine przygotowała Samowi świąteczne ubranie, a potem poszła przypomnieć Dafne, że czas odłożyć telefon i wstać z łóżka. Ale Dafne udała się do łazienki z telefonem przyklejonym do ucha i zatrzasnęła za sobą drzwi. A Maxine wróciła do siebie, bo i ona musiała się przygotować. Postanowiła włożyć beżowy komplet: spodnie z zakietem i kaszmirową bluzkę w kolorze o ton jaśniejszym. Wciągnęła bluzkę przez głowę i zaczęła szczotkować włosy.

Po dziesięciu minutach przybiegł Sam. Miał krzywo zapiętą koszulę, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

- Może być? - spytał.

Uczesała mu czuprynę i kazała zapiąć rozporek.

- Ojej - jęczał, kiedy poprawiała mu koszulę i kazała przynieść krawat.

- Muszę? - targował się, wydymając policzki. - Będzie mnie uwierał w szyję.
- Zwiążemy luźno. Dziadek zawsze nosi krawat. Nawet Jack idzie dziś w krawacie.

- Tata nigdy go nie wkłada - powiedział Sam i popatrzył na nią z udręką w oku.

- Owszem, czasem wkłada. - Maxine się nie poddawała. Blake świetnie wyglądał w garniturach. - Zwłaszcza na specjalne okazje.

- Może kiedyś, teraz już nie.

- Wszystko jedno, ty musisz, bo dziś jest Święto Dziękczynienia. I nie zapomnij o półbutach.

Trzeba mu było przypomnieć, inaczej poszedłby w adidasach. Wrócił do siebie, żeby wziąć krawat i buty, a tymczasem w drzwiach ukazała się Dafne w czarnej mini, w czarnych rajstopach i w pantoflach na wysokim obcasie. Przyszła do matki, żeby pożyczyć inną bluzkę, różową, która bardzo jej się podobała. W jej uszach lśniły kolczyki z diamentkami. Dostała je od Maxine na trzynaste urodziny wraz z pozwoleniem na przekłucie uszu. Ale teraz chciała je przekłuć jeszcze raz. Utrzymywała, że „wszyscy” w jej klasie mają przynajmniej po dwa kolczyki w każdym uchu. Jak dotąd, Maxine nie ustąpiła. Dafne wyglądała bardzo ładnie z rozpuszczonymi ciemnymi włosami.

Znalazły tę różową bluzkę, zanim wrócił Sam. Wmaszerował do pokoju w półbutach, z miną kłamcy.

- Nie mogę znaleźć krawata - obwieścił, bardzo zadowolony.

- Owszem, możesz. Poszukaj dokładniej - Maxine była nieugięta.

- Jesteś wstrętna - odrzekł.

Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała. Włożyła swój beżowy komplet, pantofle na obcasach i sznur pereł. Po pół godzinie wszyscy byli gotowi. Chłopcy włożyli skafandry, a Dafne krótkie czarne paltko z futrzanym kołnierzem, które dostała od ojca na urodziny. Wyglądali tak jak trzeba, czysto i elegancko. Dziadkowie mieszkali niedaleko. Szło się do nich piechotą wzdłuż Park Avenue.

Dafne zażądała, żeby wezwać taksówkę, ale Maxine uważała, że spacer im się przyda. Był piękny, słoneczny dzień listopadowy, a dzieci już nie mogły doczekać się wieczornego spotkania z ojcem. Miał przylecieć samolotem z Paryża i w porze kolacji oczekiwać ich w swoim apartamencie. Maxine zgodziła się pójść razem z nimi. Dawno nie widziała Blake'a, więc pomyślała, że chętnie się z nim spotka.

Portier w domu dziadków złożył im świąteczne życzenia. Windą wjechali na górę. Matka Maxine czekała już na nich w otwartych drzwiach. Była uderzająco podobna do Maxine, tylko starsza i nieznacznie tęższa. Ojciec stał za nią, uśmiechnięty szeroko.

- No proszę - powiedział. - Jak ładnie wyglądacie wszyscy razem.

Najpierw pocałował córkę, potem podał rękę chłopcom, a tymczasem Dafne uścisnęła babcię. Uśmiechnęła się do dziadka, kiedy ją przytulił.

- Cześć, dziadku - powiedziała z czułością.

Rozsiedli się w salonie. Babcia umieściła w nim piękną dekorację z jesiennych kwiatów. Salon prezentował się bardzo uroczyście. Panował w nim nieskazitelny porządek. Dzieci siedziały spokojnie na kanapie i fotelach. Umiały zachowywać się jak należy podczas wizyty u dziadków. Dziadkowie bardzo je kochali, ale nie przywykli do szalonych zabaw, zwłaszcza takich, w jakich gustują chłopcy. Sam wyciągnął z kieszeni talię kart i namówił dziadka, żeby z nim zagrał w wojnę, a Maxine poszła z matką do kuchni dopilnować indyka. Wszystko już było przygotowane z największą starannością - lśniące srebrne sztuce, nieskazitelnie biały obrus i serwetki. Indyk był prawie gotowy, warzywa też. Od lat spotykali się na obiedzie w Święto Dziękczynienia, wszyscy bardzo lubili ten zwyczaj. Maxine często odwiedzała rodziców. Wspierali ją zawsze, zwłaszcza po rozwodzie z Blake'em. Lubili go co prawda, ale uważali, że odkąd zrobił majątek, przewróciło mu się w głowie. Jego obecny styl życia był czymś, co nie mieściło się w ich wyobrażeniach. Obawiali się, żeby to wszystko nie miało złego wpływu na dzieci. Ale przekonali się, że dzięki niezłomnym zasadom Maxine i ogromnej uwadze, jaką poświęcała wychowaniu, sytuacja została opanowana.

Ojciec Maxine wciąż jeszcze pracował jako lekarz, a także jako wykładowca i konsultant w trudnych przypadkach chirurgicznych. Był ogromie dumny z medycznej kariery córki. Kiedy zdecydowała pójść w jego ślady i dostała się na uczelnię medyczną, poczuł się bezgranicznie szczęśliwy. Był trochę zawiedziony, gdy postanowiła specjalizować się w psychiatrii, ponieważ ta dziedzina była mu raczej obca, ale potem zaimponowały mu sukcesy zawodowe Maxine. Na prawo i lewo rozdawał egzemplarze jej książek.

Matka Maxine zajrzała do piekarnika i sprawdziła, czy kartofle na słodko są już miękkie, a także nakłuła widelcem indyka, by sprawdzić, czy mięso się nie wysuszyło. Była spokojną, powściągliwą kobietą, zadowoloną z życia i żyjącą w cieniu męża, któremu zapewniała mocne oparcie. Była dumna z tego, że jest żoną lekarza. Nigdy nie pragnęła pracować poza domem. Należała jeszcze do pokolenia, w którym potrzeba kariery zawodowej nie była rozpowszechniona wśród kobiet. Jej rówieśniczki wychowywały dzieci, dbały o mężów, i jeśli tylko sytuacja materialna im na to pozwalała, siedziały w domu. Pracowała więc jako wolontariuszka w organizacjach dobroczynnych i w szpitalu męża. Najbardziej lubiła czytać niewidomym. Czowała się spełniona, szczęśliwa. Niczego jej w życiu nie brakowało. Ale niepokoiło ją, że jej córka samotnie dźwiga ciężar odpowiedzialności za rodzinę i że za dużo pracuje. Bardziej niż mąż przejmowała się wieczną nieobecnością Blake'a, mimo że ojciec Maxine także był często nieobecny i bardzo umiarkowanie uczestniczył w wychowaniu córki. Ale w jego wypadku przyczyną były obowiązki lekarza, które wykonywał z największym poświęceniem. Dlatego nieobecność męża była w oczach Marguerite Connors usprawiedliwiona, w przeciwieństwie do nieodpowiedzialnej pogoni Blake'a za przyjemnościami. Nigdy tego nie rozumiała, jak żył i czym się zajmował. Nie pojmowała też, dlaczego Maxine gotowa jest tak cierpliwie tolerować jego niefrasobliwość w stosunku do dzieci. Żal jej było i wnuków, i córki. I martwiło ją, że Maxine dotąd nikogo sobie nie znalazła.

- A co u ciebie słyhać, kochanie? Zapracowana jak zawsze? - spytała.

Rozmawiały kilka razy w tygodniu, ale rzadko o najważniejszych sprawach. Kiedy

Maxine zastanawiała się nad czymś istotnym, chętniej zwracała się do ojca, który miał bardziej realistyczne pojęcie o świecie. Matka przez pięćdziesiąt lat małżeństwa żyła pod kloszem, i teraz nie można było za bardzo liczyć na jej doświadczenie życiowe. Poza tym Maxine nie chciała jej martwić.

- Piszesz nową książkę?

- Jeszcze nie. I mam dużo pracy, jak zawsze w okresie świątecznym.

Uaktywniają się szaleńcy, którzy grożą dzieciom albo je dręczą. A dla moich nastoletnich pacjentów to ciężki czas, bo zbliżające się święta zawsze pogarszają ich stan. Zresztą wszyscy w tym czasie jesteśmy trochę nakręceni.

Pomogła matce umieścić ciepłe bułeczki w koszyku na pieczywo. Potrawy wyglądały fantastycznie i roztaczały cudowny zapach. Marguerite była doskonałą kucharką. Na co dzień miała kogoś do pomocy w prowadzeniu domu, ale w weekendy gotowała sama, dumna ze swoich umiejętności. Zawsze przygotowywała wspaniałe Boże Narodzenie, oczywiście z pomocą Maxine, choć Maxine była niezbyt biegła w sprawach domowych i kuchennych. Pod wieloma względami bardziej przypominała ojca. Odziedziczyła po nim zdrowy rozsądek i praktyczne podejście do życia. Była raczej typem naukowca niż artystką, i tak jak on, stąpała twardo po ziemi. Po dziś dzień to ojciec podpisywał чеки i płacił rachunki. Maxine była świadoma, że jeśli go zabraknie, matka poczuje się zupełnie zagubiona w rzeczywistości.

- Tak, święta to trudny okres i dla nas - powiedziała Marguerite, wyciągając indyka z pieca. Wyglądał tak efektownie, że można było z powodzeniem zamieścić jego zdjęcie w kolorowym magazynie dla pań. - To już sezon narciarski, a poza tym, gdy tylko nastaną chłody, robi się ślisko i ludzie przewracają się na ulicy, więc jest mnóstwo złamań. - Ona sama parę lat temu złamała sobie staw biodrowy i wszczepiono jej endoprotezę. Ale potem całkowicie odzyskała sprawność. - Ojciec zawsze ma najwięcej pracy o tej porze roku.

Maxine uśmiechnęła się zamiast odpowiedzi. Pomogła matce wyjąć pieczone kartofle na słodko i postawiła je na blacie pośrodku kuchni. Miały brązowozłotą, równomiernie zarumienioną skórkę.

- Tata ma mnóstwo pracy przez cały rok, mamo.

- Tak jak ty - odrzekła matka nie bez dumy.

Poszła po ojca, bo trzeba było pokroić indyka. Kiedy Maxine weszła za nią do salonu, ojciec jeszcze grał w karty z Samem, a dwoje starszych dzieci oglądało mecz piłkarski w telewizji. Ojciec był wielkim entuzjastą futbolu. Jako ortopeda przez wiele lat opiekował się reprezentacją New York Jetsów. Wielu dawnych zawodników nadal było jego pacjentami.

- Czas na indyka - oznajmiła matka.

Ojciec podniósł się, przeprosił Sama i ruszył do kuchni. Popatrzył na córkę i uśmiechnął się. Świetnie się bawił.

- Wydaje mi się, że Sam trochę szachruje - powiedział.

- Bez wątpienia - odparła Maxine.

Ojciec zniknął w kuchni, by zrobić to, co do niego należało.

Po paru minutach indyk był już pokrojony. Marguerite zaprosiła wszystkich do stołu. Rodzinny rytuał sprawiał Maxine ogromną przyjemność. Była szczęśliwa, że mogą spotkać się wszyscy razem, a rodzice cieszą się jeszcze dobrym zdrowiem. Matka miała już siedemdziesiąt osiem lat, a ojciec siedemdziesiąt dziewięć. Nadal byli w doskonałej formie. Lecz wciąż nie mogła się przyzwycząić do ich wieku.

Marguerite odmówiła modlitwę, jak co roku, a potem ojciec położył po porcji indyka na ich talerzach. Do pieczeni była galaretka żurawinowa, słodkie kartofle, dziki ryż, zielony groszek, szpinak, puree z kasztanów i domowe bułeczki.

Prawdziwa uczta.

- Pycha - zawołał Sam, zgarniając na swój talerz pieczone kartofle.

Nałożył sobie górę galaretki żurawinowej i potężną porcję nadzienia, za to żadnych jarzyn. Maxine nie upominała go, pozwoliła mu się cieszyć świątecznym obiadem.

Jak zawsze, gdy siedzieli razem przy stole, rozmowa była ożywiona. Dziadek wypytywał dzieci o postępy w szkole. Mecze, w których grał Jack, interesowały go szczególnie. Wkrótce byli tak najedzeni, że ledwie mogli się ruszać. Na deser pojawiły się jabłka z dynią i babeczki z nadzieniem bakaliowym oraz lody waniliowe i bita śmietana. Kiedy Sam wstawał od stołu, miał rozpięty kołnierzyk, przekrzywiony krawat, koszula wysunęła mu się ze spodni. Jack wyglądał nieco schludniej, ale i jemu przekrzywił się krawat. Tylko Dafne zachowała wygląd młodej damy. Trójka dzieci wróciła do salonu, żeby obejrzeć dalszy ciąg sportowych rozgrywek, a Maxine, odprężona, piła kawę z rodzicami.

- To był wspaniały obiad, mamó. - Lubiła kuchnię matki i żałowała, że w swoim czasie nie nauczyła się od niej gotowania. Zabrakło jej wtedy chęci, a może talentu. - Zawsze byłaś świetną kucharką.

Marguerite się rozpromieniła.

- Twoja matka jest wyjątkową kobietą - powiedział ojciec, i Maxine nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc, jak spojrzeli na siebie. Byli tacy mili dla siebie. I wciąż się jeszcze kochali, po tylu latach. W przyszłym roku pięćdziesiąta rocznica ślubu. Maxine już myślała o tym, by urządzić przyjęcie z tej okazji. Była ich jedynym dzieckiem, więc to ona powinna się tym zająć.

- Dzieci świetnie wyglądają - zauważył ojciec.

Maxine sięgnęła po jedną z czekoladek z miętowym nadzieniem, które matka postawiła przed nią w srebrnej miseczce. Trudno uwierzyć, by zdołała przełknąć coś jeszcze po tak sutym obiedzie.

- Dziękuję, tato. Mają się dobrze.

- Szkoda, że ich ojciec tak rzadko je widuje.

Ten komentarz słyszała od niego przy każdej wizycie. Ojciec lubił Blake'a, ale uważał, że w stosunku do dzieci zupełnie się nie sprawdził.

- Spotka się z nimi dziś wieczorem - rzuciła Maxine od niechcienia. Znała opinię ojca o Blake'u i nie mogła powiedzieć, że zupełnie się z nią nie zgadza.

- Na jak długo przyjechał? - spytała matka.

Ona też podzielała tę opinię, uważała, że Blake całkowicie ich rozczarował jako mąż i ojciec. Mimo to i ona lubiła Blake'a.

- Chyba na cały weekend. - Wcale nie była pewna, czy Blake zostanie w Nowym Jorku aż do niedzieli. Ale jednak przyjechał na Święto Dziękczynienia, żeby spotkać się z dziećmi. To już było bardzo wiele jak na niego. A dzieci były i tak szczęśliwe, nawet jeśli miały się pojawić na krótko.

- Kiedy ostatnio je widział? - spytał ojciec z wyczuwalną dezaprobatą.

- W lipcu. Zabrał je do Grecji, pływali jachtem. Były zachwycone.

- To nie to, o co naprawdę chodzi. Dzieci potrzebują ojca na stałe. A jego nie ma.

- Nigdy nie było - przyznała Maxine. Nie miała ochoty go bronić, ale też nigdy nie mówiła o nim źle, zwłaszcza w obecności dzieci. - Przecież właśnie dlatego się rozwiedliśmy. Kocha dzieci, ale o nich nie pamięta. Dlatego ma przerąbane, jak mawia Sam. Na szczęście wygląda na to, że one się do tego całkiem nieźle przystosowały. Może kiedyś będą miały mu to za złe, ale teraz są zadowolone. Kochają go takiego, jakim jest. A jest przemiłym facetem, choć całkowicie nieodpowiedzialnym, i bardzo lubią spędzać z nim czas.

Najkrótsza charakterystyka Blake'a, trafiająca w samo sedno.

Ojciec zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- A co z tobą? - spytał. Ciągle martwił się o córkę.

- U mnie wszystko dobrze - odpowiedziała bezbarwnym głosem. Domyślała się, co chciałby wiedzieć. Zawsze pytał o to samo.

- Jakiś mężczyzna pojawił się na horyzoncie? Zauważyła błysk nadziei w jego oku.

- Na razie nie - odparła z uśmiechem. - Nadal sypiam z Samem.

- Mam nadzieję, że to się kiedyś zmieni, bo inaczej zostaniesz sama, kiedy dzieci dorosną.

- Mam jeszcze trochę czasu, nie trzeba wpadać w panikę.

- Czas szybko ucieka. Ani się obejrzałem, kiedy byłaś już na studiach. A teraz? Jesteś autorytetem w swojej dziedzinie. A mnie wciąż się wydaje, gdy o tobie myślę, że masz piętnaście lat - powiedział ciepło, a matka przytaknęła.

- Masz rację, tato. Czasem, kiedy widzę Dafne w moich ciuchach i na wysokich obcasach, nie mogę uwierzyć, że czas pędzi tak szybko. Dopiero co miała trzy latka. Jack ni stąd, ni zowąd jest prawie mojego wzrostu, a zaledwie wczoraj był malutki. Sam przed chwilą był niemowlęciem. To przeraża, prawda?

- Jeszcze bardziej przeraża, kiedy ma się dzieci w twoim wieku. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję, dla mnie zawsze będziesz dziewczynką.

To jej wcale nie przeszkadzało. Dobrze mieć gdzieś w świecie takie miejsce i takich ludzi, dla których zawsze jest się dzieckiem. Bo trudno być dorosłym przez cały czas. Dlatego była szczęśliwa, że ma rodziców. Nie była najstarsza w rodzinie i czuła się z tym bezpiecznie.

Czasem się zastanawiała, czy szaleństwa Blake'a nie biorą się stąd, że Blake boi się dorosłości. Jeśli tak jest, nie umiałaby go potępić. Uciekał przed wzięciem odpowiedzialności za siebie i innych, a mimo to osiągnął w życiu wyjątkowy sukces. Ale on chciał na zawsze zostać „cudownym dzieckiem” albo uroczym młodym człowiekiem, a tymczasem był już mężczyzną w sile wieku. Miała pewność, że to go przeraża najbardziej. Jak szybko musiałby uciekać sam przed sobą, żeby jego lata go nie doścignęły? Wraz z młodością utracił tak wiele, że nie mogło mu być wesoło. Czas mknął z prędkością światła, dzieci rosły, a młodość się oddalała, aż całkiem znikła mu z oczu. Zapłacił wysoką cenę za to, że chciał być Piotrusiem Panem.

- Tylko nie wmawiaj sobie, że jesteś już na coś za stara - powiedział ojciec. - Jesteś jeszcze młodą kobietą. Każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, gdybyś na niego zwróciła uwagę. Czterdzieści dwa lata. Cóż to jest? Nie zamykaj się w domu, trzeba się trochę przewietrzyć, nie odmawiaj sobie rozrywek.

Rodzina wiedziała, że Maxine spędza wieczory w domu. Ojciec czasem wyrażał obawę, że córka nadal kocha Blake'a i usycha z tęsknoty, ale matka

powtarzała uparcie, że to niemożliwe. Jej zdaniem Maxine po prostu nie spotkała jeszcze nikogo odpowiedniego. I oboje pragnęli, by jak najprędzej znalazła kogoś takiego. Ojciec próbował parę razy aranżować spotkanie z jakimś lekarzem, ale gdy jego intencje stały się jasne, córka oświadczyła, że randki woli organizować sobie sama.

Maxine pomogła matce sprzątnąć ze stołu. Zrobiły razem trochę porządku w kuchni. Ale ponieważ nazajutrz miał przyjść ktoś do pomocy, mogły niebawem dołączyć do reszty rodziny, która w salonie oglądała mecz na kanale sportowym. Około piątej Maxine zaczęła zwoływać dzieci do powrotu. Nie chciały się ruszyć. Musiała im przypomnieć, że na kolację idą do Blake'a i dopiero to poskutkowało, bo każda chwila spotkania z nim była dla nich cenna. Rodzice Maxine rozstali się z nimi z żalem. Długo ściskali je i przytulali. Wspólny obiad udał się wspaniale. Był właśnie tym, co można sobie najlepszego wyobrazić, myśląc o Świącie Dziękczynienia.

Ruszyli wzdłuż Park Avenue pieszo do domu. Było już pół do szóstej. W domu dzieci zdjęły wizytowe ubrania, a o szóstej, dziwnie punktualnie jak na niego, zadzwonił Blake. Właśnie wylądował. Był w drodze z lotniska do swojego mieszkania, i prosił, żeby przyjechali na siódmą. Powiedział, że wszystko już załatwione. Zamówił potrawy w jakiejś restauracji. Wiedział, że u dziadków mieli na obiad świątecznego indyka, więc uprzedził, że u niego będzie coś zupełnie innego. Siądą do stołu o dziewiątej, a przedtem będą szaleć przez cały wieczór. Dzieci na samą myśl o tym wieczorze nie mogły się doczekać chwili spotkania.

- Czy jesteś przekonany, że nadal chcesz, żebym przyszła? - chciała wiedzieć Maxine.

Nie chciała się narzucać, ale wiedziała też, że Sam będzie się czuł pewniej w jej obecności. Ostatnio zaczynał się już trochę przyzwyczajać do Blake'a, lecz nigdy jeszcze nie spędził wystarczająco dużo czasu, żeby przełamać rezerwę. Blake nie miał nic przeciwko obecności Maxine. Lubił, kiedy do niego przychodziła, i zawsze

bardzo się starał dać jej to do zrozumienia. Choć rozwiedli się pięć lat temu, oboje chętnie się spotykali jak starzy przyjaciele.

- Będę uszczęśliwiony - odparł. - Dzieci będą się bawić, a my tymczasem nadrobimy zaległości. Dawno nie rozmawialiśmy.

Dzieci zawsze bawiły się u niego świetnie, znajdowały tam najnowsze gry wideo i filmy. Lubiły jego domową salę projekcyjną z wielkimi, miękkimi fotelami. Miał w domu wszystko, czego mogły zapragnąć, bo przecież sam po trosze pozostał dzieckiem. Przypominał Maxine Toma Hanksa w filmie *Duży*, w którym za sprawą jakiejś magicznej sztuczki chłopiec przybrał zewnętrzny wygląd dorosłego mężczyzny.

- A więc o siódmiej - przypomniał Blake.

Maxine odłożyła słuchawkę i powtórzyła to dzieciom. Miały godzinę, by odsapnąć. Musiały zapakować piżamy i szczoteczki do zębów. Sam wydawał się trochę zaniepokojony, więc zapewniła go, że będzie cudownie.

- W nocy możesz zawsze przyjść do Dafne - przypomniała mu, i ten pomysł chyba mu się spodobał. Chwilę później uprzedziła o tym Dafne i poprosiła ją, żeby zaopiekowała się Samem. Dafne chętnie się na to zgodziła.

Godzinę później Maxine przyjechała z dziećmi taksówką do Blake'a. Już w windzie, która miała ich zawieźć prosto do jego apartamentu, poczuli się jak w pojeździe kosmicznym. Żeby się dostać do penthouse'u, należało wystukać specjalny kod. Od chwili, gdy ojciec otworzył im drzwi, znaleźli się w jego własnym magicznym świecie, w którym mieszkał i królował. Otoczyła ich niezwykła muzyka z niewidocznych kolumn i dzieła sztuki w specjalnie zaprojektowanym oświetleniu. Wieczorna panorama miasta, widoczna przez ogromne okna, zapierała dech. Wewnętrzne ściany, bardzo wysokie, wyłożono lustrami, więc ten widok z okien otaczał ich ze wszystkich stron. Blake zajmował dwa piętra, połączone pośrodku spiralnymi schodami. Miał tu dosłownie wszystko, czego dusza zapragnie, nie brakowało żadnej odmiany zabawek ani gier. Ekran w jego prywatnym kinie zajmował całą ścianę. Blake ucałował i uściskał dzieci.

Wręczył Jackowi specjalne słuchawki do oglądania filmów. Dafne podarował nowy telefon komórkowy pokryty różową porcelanową emalią, z wygrawerowanymi jej inicjałami. Samowi pokazał, jak należy obchodzić się z nową konsolą do gier, którą dostarczono pod jego nieobecność. Dzieci rozbiegły się po swoich pokojach, w których tak dawno nie były, i zajęły się nowymi zabawkami. Nastąpiła chwila spokoju. Blake uśmiechnął się do byłej żony i otoczył ją ramieniem.

- Cześć, Maxine. Co u ciebie? Przepraszam za ten cyrk na kółkach.

Był zabójczo przystojny, jak zawsze. Opalony na brąz, przez co oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne. Nosił džinsy, czarny sweter z golfem i czarne kowbojskie buty ze skóry aligatora, które zrobiono dla niego w Mediolanie na specjalne zamówienie. Bez wątplenia sam jego wygląd rzucał na kolana. Wszystko w nim było efektowne, nietrudno się było dać oczarować - nawet na całe dziesięć minut. Bo już niebawem stawało się jasne, że nie można na nim polegać, że nie powie o sobie niczego ważnego, i niezależnie od tego, jak bardzo jest uroczy, nigdy nie dorośnie. Był najładniejszym, najinteligentniejszym, najmiłym Piotrusiem Panem na świecie. Wspaniałym partnerem, jeśli miało się ochotę odegrać rolę Wendy. Bo jeśli nie, to nie należało się z nim wiązać. Maxine musiała stale sobie o tym przypominać. Poddanie się oddziaływaniu jego osobowości było bardzo dużym przeżyciem. Wiedziała jednak, i to lepiej niż ktokolwiek inny, że Blake tylko z pozoru jest dorosłym mężczyzną. Nieraz myślała o nim jak o czwartym dziecku.

- Oni ten cyrk na kółkach bardzo lubią - powiedziała.

Wizyta u Blake'a była dla dzieci niczym wspaniała przygoda. A któż w ich wieku nie lubi przygód? Ale w jej wieku trudno już było przyjąć styl Blake'a za dobrą monetę.

- Świetnie wyglądasz, Blake. Jak było w Maroku, czy też w Paryżu, czyli tam, skąd wracasz?

- Z Marakeszu. Dom, który tam kupiłem, będzie absolutnie wyjątkowy. Spędziłem tam cały tydzień. W Paryżu byłem tylko od wczoraj.

Rozśmieszył ją kontrast między jej i jego życiem. Bo ona była wczoraj tylko w Silver Pines na Long Island, gdzie widziała się z Jasonem. Zupełnie inny świat niż ten, w którym żył jej były mąż, ale nie zamieniłaby się z nim. Jego świat coraz mniej ją pociągał.

- Ty też świetnie wyglądasz, Maxine. Nadal jesteś ciągle zajęta? Masz dziesięć tysięcy pacjentów? Nie pojmuję, jak możesz żyć w ten sposób.

Wiedział przecież, z jak trudnymi przypadkami miała do czynienia. Podziwiał ją i cenił, również za to, że była dobrą matką. Żoną też była dobrą. Zawsze tak uważał.

- Lubię swoją pracę - powiedziała z uśmiechem. - Ktoś musi się tym zajmować, i cieszę się, że to ja jestem tym kimś. Lubię pracować z dziećmi.

Mówiła prawdę, wiedział o tym.

- Jak było na obiedzie u rodziców?

Zawsze się trochę nudził na tych obiadach u jej rodziców, a jednak ich także lubił na swój sposób. Byli uosobieniem wartości rodzinnych, tym, czym każda rodzina chciałaby być, ale mało komu się to udawało. Od pięciu lat nie odwiedził ich ani razu.

- Było miło. Kochają dzieci, są dla nich tacy dobrzy. Jak na swoje lata świetnie się trzymają. Ojciec jeszcze wciąż operuje, choć rzadziej niż kiedyś. I ma stałe godziny przyjęć dla prywatnych pacjentów, chociaż za rok kończy osiemdziesiątkę.

- Ty też będziesz w świetnej formie w ich wieku - powiedział Blake, nalewając szampana do kieliszka, który wręczył Maxine. Sam pił wódkę Cristal. Pociągnął łyk, podziwiając panoramę rozpościerającą się za okami. Można było pomyśleć, że jego apartament unosi się w powietrzu ponad miastem. Wszystko, co do niego należało i wszystko, czego dotknął, miało w sobie coś z magii. Był tym, kim chciałby być każdy, kto marzy o wielkiej fortunie, ale mało kto umiałby z niej korzystać tak jak Blake.

Spodziewała się, że i tym razem Blake'owi będzie towarzyszyć kobieta.

- Właśnie puściła mnie w trąbę - wyznał ze smutnym uśmiechem. Była to dwudziestodwuletnia modelka. Porzuciła go dla wielkiej gwiazdy rocka, dla faceta, o którym Blake wiedział tylko tyle, że ma mniejszy samolot. Mówił o tym z miną tak żalowaną, że Maxine nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie wyglądał na rozsierzonego, i wiedziała, że nie jest skłonny do gniewu. Dziewczyny, które podrywał, były dla niego towarzyszkami zabawy. Nie zamierzał się wiązać, nie planował więcej dzieci. Więc nie miał do swoich dziewczyn pretensji, gdy wychodziły za mąż za kogo innego. On by się przecież z żadną z nich nie ożenił, to była ostatnia rzecz, jaka przyszłaby mu do głowy. Kiedy tak siedzieli w salonie, zajęci rozmową, wszedł Sam i wdrapał się na kolana Maxine. Przyglądał się Blake'owi z zainteresowaniem, jak przyjacielowi rodziny, nie jak ojcu. Po czym zaczął się dopytywać o dziewczynę Blake'a, którą poznali latem. Blake się roześmiał.

- Nie jesteś już na bieżąco. Od tamtej pory były jeszcze dwie kolejne. Właśnie opowiadałem o tym twojej mamie. Ostatnia zerwała ze mną w zeszłym tygodniu. Więc teraz jestem sam.

I popatrzył pytająco na Maxine.

- Mama nie spotyka się z facetami. W ogóle nie. Ma nas.

- Powinna się czasem z kimś spotkać - powiedział wesoło Blake. - Jest piękną kobietą. A wy przecież pewnego dnia będziecie dorośli.

Dokładnie o tym samym po południu przekonywał Maxine ojciec. Ale Sam skończy szkołę dopiero za dwanaście lat. Więc nie zamierzała się śpieszyć, mimo tych wszystkich dobrych rad.

Blake wypytał Sama, jak mu idzie w szkole, bo nie wiedział, o czym z nim rozmawiać. I Sam opowiedział mu, że był indykiem w szkolnym przedstawieniu. Maxine już wysłała Blake'owi e-mailem zdjęcia. Zawsze wysyłała mu zdjęcia ze wszystkich wydarzeń, w których uczestniczyły dzieci.

Dzieci wchodziły i wychodziły, zagadywały rodziców i na nowo oswajały się z Blake'em. Dafne popatrzyła na niego z cielecym zachwytem, ale gdy wyszła,

Maxine opowiedziała Blake'owi o incydencie z dwiema zgrzewkami piwa, by wiedział, że trzeba na nią uważać, i prosiła, żeby nie pozwolił jej na nic podobnego.

- Ale pomyśl o tym rozsądnie, Maxine - zganił ją łagodnie. - Nie bądź taka sztywna. To przecież jeszcze dziecko. Czy miesiąc szlabanu to kara proporcjonalna do przewinienia? Nie popadnie w alkoholizm przez dwie butelki piwa.

Właśnie czegoś w tym rodzaju mogła się po nim spodziewać, ale nie o to jej chodziło. Nie była zaskoczona. Wśród wielu innych różnic między nimi różnili się i w tej kwestii. Blake nie uznawał zasad. Nie stosował ich do nikogo, a już najmniej do samego siebie.

- Nie, jasne, że nie popadnie od razu w alkoholizm - odrzekła ze spokojem. - Ale jeśli teraz, w wieku trzynastu lat, pozwolę jej urządzać imprezy z piwem, to dokąd zajdziemy, kiedy skończy szesnaście? Eksperymenty z crackiem, kiedy będzie przyjmowała pacjentów w gabinecie? A może z heroiną? Powinna zrozumieć, że są granice. Powinna nauczyć się je szanować. A jeśli nie, to za parę lat będziemy gorzko płakać. Dlatego muszę teraz dać po hamulcach.

- Tak, wiem - westchnął.

Jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle, kiedy popatrzył na nią sennie. Wyglądał jak chłopiec, któremu nauczycielka palnęła właśnie kazanie. Maxine nie lubiła występować w tej roli, ale ją do tego zmuszał od lat. Już się prawie przyzwyczaiła.

- Pewnie masz rację - dodał. - Tylko dla mnie to nie jest aż taka wielka sprawa. W jej wieku robiłem znacznie gorsze rzeczy. Wykradałem whisky z barku ojca, kiedy byłem od niej o rok młodszy, i sprzedawałem kolegom po słonej cenie. - Roześmiał się, więc i Maxine się roześmiała.

- To co innego. To były interesy. Byłeś przedsiębiorcą, nie pijakiem. Założę się, że sam nie piłeś.

Nigdy nie pił dużo. Nigdy też nie zażywał narkotyków. Szalał na wszelkie inne możliwe sposoby.

- Wtedy nie piłem. - Uśmiechnął się do swojego wspomnienia. - Pierwszy raz zdarzyło mi się to dopiero w wieku czternastu lat. Ale lubiłem być trzeźwy, wolałem, żeby upiła się dziewczyna, z którą wyszedłem. Miałem z tego więcej korzyści.

Maxine znowu się uśmiechnęła.

- Coś mi mówi, że to się nie zmieniło.

- Teraz już nie muszę ich upijać - wyznał bezwstydnie.

Pozostawali w dość niezwykłej relacji, jak na ludzi, którzy przeżyli razem dziesięć lat i mieli trójkę dzieci. On był szalonym typem, którego widywała trzy razy w roku, a ona była tą odpowiedzialną, wychowującą dzieci i pracującą ciężko dzień w dzień. Byli różni jak dzień i noc.

Kolację podano punktualnie o dziewiątej, do tej pory wszyscy już zgłodnieli. Blake zamówił jedzenie w najlepszej japońskiej restauracji. Potrawy wykańczano na ich oczach, więc mogli zaobserwować wiele egzotycznych zabiegów. Kucharz wzniecał płomienie na półmiskach, siekał krewetki i podrzucał je wysoko, a potem łapał na talerz.

Dzieci były zachwycone widowiskiem. Wszystko, co organizował dla nich Blake, było zaskakujące i niecodzienne. Nawet Sam rozluźnił się w końcu i wyglądał na szczęśliwego, kiedy Maxine wychodziła do domu. Była już prawie północ. Dzieci oglądały film w sali projekcyjnej. Wiedziała, że nie położą się przed drugą albo trzecią nad ranem. Nie uważała, że to im zaszkodzi, nie chciała pozbawiać ich ani minuty z tej wizyty. Odeśpią w domu.

- Kiedy znowu wyjeżdżasz? - spytała, gdy podawał jej płaszcz.

Obawiała się, że powie: jutro. To byłby wielki zawód dla dzieci. Najchętniej spędziłyby u niego kilka dni, zwłaszcza że nie wiedziały, czy zobaczą go znowu na Boże Narodzenie. Choć zazwyczaj udawało mu się tak to urządzić, by na chwilę wpaść.

- Do niedzieli na pewno nie - odparł.

- To dobrze. Są takie smutne, kiedy wyjeżdżasz.

- Ja też. Jeśli to nie przekreśli twoich planów, chciałbym je zabrać do Aspen po Bożym Narodzeniu. Nie mam jeszcze żadnych konkretnych planów, ale przyjemnie jest spędzać tam Nowy Rok.

- Będą zachwycone.

Uśmiechnęła się do niego. Zawsze za nimi tęskniła, kiedy je zabierał. Ale chciała, by czuły, że mają ojca, a nie było łatwo zachęcić go do tych kontaktów. Trzeba było kuć żelazo, póki gorące, i teraz właśnie był odpowiedni moment, żeby się z nim na coś umówić.

- Przyjdiesz tu jutro na kolację? - zapytał, gdy już odprowadzał ją do windy.

Lubił, kiedy przychodziła. Nigdy by się z nią nie rozwiódł z własnej woli. To ona chciała rozwodu. Ale jej nie obwiniął. Po rozwodzie miał więcej wolności. Choć nie chciałby, żeby Maxine całkiem zniknęła z jego życia, i cieszył się, że do tego nie doszło. Obawiał się, że coś się zmieni, jeśli ona znajdzie sobie kogoś na stałe, co - był tego pewien - prędzej czy później nastąpi. Był nawet trochę zdziwiony, że do tej pory jeszcze nikogo nie znalazła.

- Tak, mogłabym przyjść - powiedziała. - Ale nie chciałabym wam przeszkadzać.

- Wszyscy lubimy, kiedy jesteś z nami - zapewnił ją i uścisnął na pożegnanie.

- Dziękuję za kolację.

Już w windzie pomachała mu ręką zza zamykających się drzwi. Winda zjechała pięćdziesiąt pięter w dół tak szybko, że aż czuło się ciśnienie w uszach. Maxine myślała o Blake'u. To dziwne, ale nic się nie zmieniło. Nadal go kochała. Tak jak dawniej. Nigdy nie przestała go kochać. Tyle że już nie chciała z nim być. Trudno było zrozumieć, co ich jeszcze łączyło. Ale cokolwiek to było, działało w obie strony.

Portier wezwał dla niej taksówkę. Jadąc do siebie, pomyślała, że to był bardzo przyjemny dzień. Miała dziwne uczucie, kiedy wchodziła do mieszkania pustego i ciemnego jak nigdy. Zapaliła światło. W swojej sypialni myślała jeszcze o dzieciach, nocujących w nieprzyzwoicie luksusowym apartamencie Blake'a. Jej

własne mieszkanie podobało jej się o wiele bardziej. Nie było w jego życiu niczego, co chciałaby z nim dzielić. Nie miała zamiłowania do zbytku i przesady. Cieszyła się, że on ma to, czego pragnie, ale sama pragnęła czego innego.

Po raz tysięczny od ich rozstania pomyślała, że podjęła słuszną decyzję. Blake Williams był mężczyzną, o jakim marzyły wszystkie kobiety - ale ona już nie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maxine spała głęboko, kiedy o czwartej nad ranem przy jej łóżku zadzwonił telefon. Zanim oprzytomniała, minęła chwila dłuższa niż zwykle. Tak głębokim snem zasypiała tylko wtedy, kiedy dzieci nie było w domu. Spojrzała na zegar i złękła się, że to Blake. Czy coś się stało któremuś z dzieci? Może Sam miał zły sen i chce wracać do domu? Podniosła słuchawkę, jeszcze nie do końca przytomna.

- Doktor Williams. - Nadała głosowi energiczne brzmienie, by ukryć, że była aż tak zaspana, choć przecież każdy mógł się tego po niej spodziewać o czwartej nad ranem.

- Przepraszam cię, że dzwonię o tej porze - mówiła Thelma Washington, znajoma lekarka, która wzięła za Maxine zastępstwo w Święto Dziękczynienia i w następujący po nim weekend. - Jestem teraz z Andersonami w New York Hospital. Myślę, że powinnam cię zawiadomić, co się stało. Hilary przedawkowała. Znaleźli ją o drugiej.

Hilary była piętnastolatką, cierpiała na depresję dwubiegunową i była uzależniona od heroiny. W ciągu ostatnich dwóch lat czterokrotnie podejmowała próby samobójcze. Usłyszawszy tę wiadomość, Maxine natychmiast oprzytomniała.

- Pomoc nadeszła niezwłocznie. Pielęgniarka podała naxolon. Ale to nie wygląda dobrze...

- Do diabła... Zaraz tam będę. - Maxine już wstawała z łóżka.

- Nie odzyskała świadomości i dyżurny lekarz obawia się, że już nie odzyska.

Współczuję ci - dodała Thelma, nie oszczędziwszy jej niczego.

- Ostatnio było z nią trochę lepiej. Radziła sobie.

- Teraz też sobie poradziła. Zaaplikowała sobie piekielny koktajl. Heroinę z kokainą i speedem, a do tego trutka na szczury, jak wykazało badanie krwi. W ostatnich dniach uliczni dilerzy rozprowadzali jakąś paskudnie zanieczyszczoną partię heroiny. Już dwoje dzieciaków umarło z tego powodu. Maxine... nie licz na zbyt wiele. Nie chcę cię zdołować, ale jeśli nawet z tego wyjdzie, to niewiele z niej zostanie.

- Tak, wiem. Dziękuję ci za telefon. Już się ubieram. Gdzie jej szukać?

- Na oddziale intensywnej terapii. Będę tam czekać na ciebie. Rodzice ledwo się trzymają na nogach.

- Nie dziwię się. - Ci nieszczęśliwi ludzie przeszli przez cztery próby samobójcze swojego dziecka, u którego poważne problemy ujawniły się w wieku dwóch lat. Hilary była uroczą dziewczynką, ale gdy miała dwanaście lat, do depresji dwubiegunowej dołączyło się uzależnienie od heroiny. Od dwóch lat znajdowała się pod opieką Maxine. Hilary była jedynaczką, rodzice kochali ją nad życie i zrobiliby dla niej wszystko. Zdarzały się takie przypadki: starania, choćby największe, nie przynosiły efektu, leczenie nie prowadziło do poprawy i nic się nie dawało zrobić. W ciągu dwóch ostatnich lat Maxine kilkakrotnie zalecała hospitalizację, ale poprawa była niewielka. Gdy Hilary wychodziła ze szpitala, od razu wracała do swoich fatalnych znajomości. Rozmawiały o tym nieraz.

Maxine wiedziała, że Hilary nie ma kontroli nad swoim życiem. Po prostu nie była w stanie powstrzymać się od brania. Skarżyła się, że przepisana przez Maxine narkotykowa terapia zastępcza nie daje jej nawet cienia tej ulgi, jakiej doznaje dzięki heroinie kupionej od dilerów. Już od dwóch lat była przyczyną nieustającego niepokoju Maxine.

W ciągu paru minut Maxine włożyła dżinsy i gruby sweter oraz buty na płaskim obcasie. Wyjęła z szafy ciepłe palto, złapała torebkę i pobiegła do windy. Taksówkę złapała natychmiast i była w szpitalu zaledwie kwadrans po telefonie Thelmy Washington. Znały się ze studiów na Harvardzie. Thelma była Murzynką i

należała do najlepszych psychiatrów, z jakimi Maxine kiedykolwiek współpracowała. Po studiach i po wielu latach kontaktów zawodowych były bardzo zaprzyjaźnione. Zarówno w sprawach medycznych, jak w tych prywatnych zawsze można było polegać na Thelmie. Były do siebie pod wieloma względami podobne i umiały pracować równie ofiarnie. Maxine czuła się bezpiecznie, gdy powierzała Thelmie swoich pacjentów.

Zanim podeszła do Andersonów, zamieniła parę słów z Thelma, dzięki temu znała sytuację na bieżąco. Hilary była w głębokiej śpiączce. Środki, które jej podawano, jak dotąd nie doprowadziły nawet do minimalnej poprawy. Przedawkowała w domu, kiedy rodzice wyszli. Nie zostawiła żadnego listu. Ale i bez listu przyczyny były jasne dla Maxine. Hilary mówiła jej wiele razy, że nie zależy jej na życiu. Dla pacjentów takich jak ona życie z depresją dwubiegunową jest nie do zniesienia.

Maxine czytała wyniki badań z wyrazem przygnębienia na twarzy, a Thelma zaglądała jej przez ramię.

- Mój Boże, zaaplikowała sobie chyba wszystkie brudy świata - powiedziała Maxine.

- Matka Hilary mówi, że wczoraj jej chłopak z nią zerwał. W samo Święto Dziękczynienia. To jej na pewno nie pomogło.

Maxine pokiwała głową i zamknęła kopertę z wynikami badań. Zrobiono wszystko, co było możliwe. Teraz już można było tylko czekać. Dla nikogo, łącznie z rodzicami, nie było tajemnicą, że nawet jeśli Hilary odzyska świadomość, mózg pozostanie nieodwracalnie uszkodzony. Jeśli pacjentka przeżyje. Bo i na to nie należało liczyć. Wzięła tyle, że mogłaby się już nie obudzić.

- Wiadomo dokładnie, o której to się stało? - spytała Maxine, gdy szły przez hol. Na twarzy Thelmy widać było zmęczenie i smutek. Wykańczały ją przypadki takie jak ten. Jej własna praktyka nie była aż tak przygnębiająca, ale mimo to chętnie współpracowała z Maxine. Praca z takimi pacjentami zawsze była wyzwaniem.

- Prawdopodobnie minęło kilka godzin, zanim ją znaleźli, więc sama rozumiesz. Te środki miały dość czasu, żeby zrobić swoje. Lekarz dyżurny uważa, że było za późno, żeby naxolon pomógł.

Naxolon znosił działanie twardych narkotyków, jeśli podano go niezwłocznie. W wypadku przedawkowania podanie naxolonu decydowało o życiu i śmierci, i ten właśnie lek uratował życie Hilary po każdej z czterech poprzednich prób samobójczych. Jeśli tym razem lek nie zadziałał, oznaczało to bardzo złą prognozę.

Maxine poszła najpierw do Hilary. Pacjentkę podłączono do respiratora. Na oddziale urazowym znajdowała się pod nieustającą opieką. Leżała nieruchomo na specjalnym łóżku, naga i przykryta prześcieradłem, twarz miała białą jak papier. Maszyna oddychała za nią.

Maxine zamieniła parę słów z pielęgniarkami, które były przy niej od początku, a także z lekarzem dyżurnym. Serce nadal pracowało, choć monitor co jakiś czas ukazywał zaburzenia rytmu. Poza tym piętnastoletnia dziewczyna o wyglądzie dziecka nie zdradzała żadnych oznak życia. Maxine przyglądała się jej przez dłuższą chwilę. Włosy ufarbowane na czarno, na ramionach tatuaże. Hilary płynęła własnym kursem, nie zważając na rodziców, którzy robili, co w ich mocy, żeby ją zatrzymać.

Maxine dała znak Thelmie i razem poszły do rodziców, czekających w poczekalni. Byli przy Hilary, dopóki pielęgniarki ich nie wyprosiły.

Angela Anderson płakała, kiedy Maxine do nich podeszła. Phil obejmował ją ramieniem i chyba też płakał. Już wiele razy przez to przechodzili, lecz wcale nie było im przez to łatwiej. Raczej przeciwnie. Przeczuwali, że tym razem Hilary posunęła się o wiele dalej.

- Co z nią? - spytali oboje, gdy Thelma wyszła, a Maxine usiadła przy nich.

- Bez zmian. Stan jest taki sam jak w chwili przyjęcia na oddział. Widziałam ją przed chwilą. Nadal walczy. Zawsze była twarda.

Maxine uśmiechnęła się do nich smutno. Serce jej się krajało, gdy patrzyła na ich cierpienie. Hilary była trudnym dzieckiem, lecz mimo to dawała się lubić.

- Narkotyki, które zażyła, były mocno zanieczyszczone. To się zdarza u ulicznych dilerów. Ale najgorsze jest to, że minęło wystarczająco dużo czasu, by zaczęły działać. Serce nie jest przecież z żelaza. Hilary wzięła ogromną dawkę środków o bardzo silnym działaniu.

O tym już wiedzieli, ale czuła, że powinna ich jakoś przygotować na najgorsze, bo tym razem to się nie mogło dobrze skończyć. Nic więcej nie była w stanie dla nich zrobić. Personel oddziału intensywnej terapii czynił wszystko, co było w jego mocy.

Thelma wróciła po paru minutach, niosąc dla wszystkich kawę z automatu. Potem Maxine poszła znowu do Hilary. Thelma zamierzała jej towarzyszyć, ale Maxine namówiła ją, żeby raczej poszła do domu. Nie było potrzeby, żeby obie tkwiły w szpitalu do rana. Maxine i tak musiała zostać przy swojej pacjentce. Przez chwilę patrzyła na monitor, śledząc pracę serca Hilary. Uderzenia stały się jeszcze bardziej nieregularne, a ciśnienie, jak się dowiedziała od dyżurnego, spadało. Nie było żadnych dobrych wiadomości.

Przez następne cztery godziny Maxine kursowała między salą intensywnej opieki medycznej a poczekalnią, w której siedzieli Andersonowie. Około pół do dziewiątej rano postanowiła zaprowadzić ich do córki, ponieważ była to, być może, ostatnia chwila, kiedy mogli ją jeszcze zobaczyć żywą. Szlochając głośno, matka Hilary pochyliła się nad nią i pocałowała córkę. Anderson stał przy żonie, ale z trudem wytrzymał ten widok. Respirator nadal pracował, lecz nie mógł już powstrzymać uchodzącego życia.

Ledwie wrócili do poczekalni, dyżurny lekarz wywołał Maxine.

- To wygląda coraz gorzej - powiedział jej w holu.

- Tak - odparła Maxine. - Wiem.

Poszła za nim do Hilary. Gdy tylko przestąpili próg, urządzenie monitorujące włączyło sygnał alarmu. Serce Hilary przestało bić. Kardiolog próbował zmusić je do ponownego podjęcia pracy. Zastosowano defibrylator. Potem masaż serca, bez skutku. Kolejne próby trwały jeszcze przez pół godziny, póki lekarz dyżurny nie dał

znaku, że to już koniec. Hilary umarła. Wszyscy stali nad nią w milczeniu przez długą, bolesną chwilę. Patrzyli jeden na drugiego. Wreszcie dyżurny zwrócił się do Maxine.

- Bardzo mi przykro - powiedział, i ruszył do drzwi. Nie miał tu już nic więcej do roboty.

- Mnie także - mruknęła Maxine.

Poszła do Andersonów. Gdy ją zobaczyli, zrozumieli, co się stało, i matka Hilary wybuchnęła płaczem. Maxine siedziała przy nich długo, obejmując ich ramionami. Chcieli jeszcze raz spojrzeć na Hilary, więc Maxine poszła z nimi do sali. Przed zawiezieniem do kostnicy ciało umieszczono w separacie, specjalnie z myślą o nich. Tam Maxine zostawiła ich samych prawie na godzinę. I w końcu, zrozpaczeni, ze złamanym sercem, odjechali do domu.

Maxine podpisała akt zgonu i inne formularze. Było już po dziesiątej, gdy wreszcie mogła opuścić oddział intensywnej terapii. Już wychodziła z windy, gdy usłyszała swoje nazwisko. Zawołała ją znajoma pielęgniarka. Maxine się zatrzymała. Spojrzenie miała posępne.

- Bardzo mi przykro... Właśnie się dowiedziałam... - odezwała się pielęgniarka. Miała dyżur, gdy poprzednim razem przywieziono Hilary po próbie samobójczej, brała udział w działaniach ratunkowych. Tym razem na oddziale intensywnej opieki dyżurowała równie sprawna ekipa, ale szanse Hilary były nieporównanie mniejsze. Gdy rozmawiały, Maxine zauważyła kątem oka wysokiego mężczyznę w lekarskim fartuchu, który przyglądał im się, stojąc nieopodal. Nie miała pojęcia, kto to. Począł, aż Maxine skończy rozmowę z pielęgniarką, która wsiadła do windy, żeby wjechać na oddział intensywnej terapii, i dopiero wtedy się zbliżył.

- Doktor Williams? - upewnił się. Bez wątplenia zauważył, że się śpieszyła, że wyglądała na zmęczoną i niewyspaną.

- Słucham?

- Jestem Charles West. Ten idiota, z którym miała pani ciężką przeprawę w związku z przypadkiem Jasona Wexlera parę tygodni temu. Po prostu chciałem panią poznać.

Nie była w nastroju do rozmów, ale nie chciała też splawić go arogancko. Zachował się wtedy bardzo przyzwoicie, przyznał się do błędu i przeprosił. Więc zdobyła się na wysiłek.

- Przepraszam, spędziłam tu ciężką noc. Przed godziną na oddziale intensywnej terapii umarła moja pacjentka. Piętnastolatka. Przedawkowanie. Do tego nie sposób się przyzwyczaić. Za każdym razem boli mnie serce.

To przypomniało im obojgu, jak mogła się skończyć historia z Jasonem, gdyby Maxine posłuchała doktora Westa. Oboje byli zadowoleni, że wtedy postawiła na swoim i nie uległa lekarzowi.

- Tak mi przykro. Szkoda dziewczyny. Właśnie badałem dziewięćdziesięciodwuletnią pacjentkę ze złamaniem kości udowej i zapaleniem płuc. Ma się coraz lepiej. A pani straciła pacjentkę piętnastoletnią. Mogę panią zaprosić na kawę?

Maxine nawet się nie zawahała.

- Może innym razem?

Skinął głową. Podziękowała mu za zainteresowanie i wreszcie mogła wyjść. Patrzył za nią, gdy szła przez hol. Zaskoczył go jej młodzieńczy wygląd. Wiedział skądinąd, ile naprawdę ma lat. Nie spodziewał się też, że wygląda tak łagodnie. Po scysji o Jasona Wexlera sporo przeczytał o niej w internecie, ale nie znalazł tam żadnej fotografii. Nawet na jej własnej stronie. Widocznie nie przywiązywała do tego wagi. Uważała, że ważne są tylko publikacje i wystąpienia naukowe.

Charles West wsiadł do windy, rozmyślając o niej i o ciężkiej nocy, jaką miała za sobą. Wyraz jej oczu powiedział mu wiele. Niespodziewanie usłyszał jej nazwisko, gdy zawołała ją pielęgniarka, i jakaś przemożna siła kazała mu poczekać, żeby się przedstawić. Teraz mógł myśleć tylko o niej, i miał nadzieję, że los jeszcze kiedyś skrzyżuje ich ścieżki.

Charles West był ostatnią osobą, o jakiej Maxine mogłaby pomyśleć, gdy jechała taksówką do domu. Miała w pamięci Hilary i Andersonów. Myślała o ogromnej stracie, jaką ponieśli, o niewyobrażalnej rozpaczy towarzyszącej śmierci dziecka. Nienawidziła takich chwil, i jak zawsze w podobnych okolicznościach postanawiała sobie, że uczyni wszystko co w jej mocy, by pozostałych pacjentów skuteczniej ochronić przed nimi samymi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W piątkowy wieczór Maxine nie miała chęci nigdzie wychodzić z Blake'em i z dziećmi. Kiedy Blake zadzwonił po południu, opowiedziała mu, jaką miała noc. Okazał jej współczucie i wychwalał za wszystko, co robiła. Ale akurat tego dnia nie wydawało jej się, że zasłużyła na pochwały. Powiedział, że zaraz zabiera dzieci na zakupy i spytał, czy nie poszłyby z nimi. Zachęcał ją, przekonując, że dla dzieci to będzie tym większa frajda, ale ona się opierała, i poznawał po jej głosie, że naprawdę jest strasznie zdołowana. Nie nalegał więc, tym bardziej że zamierzał razem z dziećmi poszukać dla niej prezentu na Boże Narodzenie: na jego liście zakupowej figurowały sklepy Tiffany'ego i Cartiera, o czym jej nie wspominał. Zaprosił ją za to na kolację. Ale i to zaproszenie odrzuciła. Było mu przykro, że aż tak się załamała po śmierci pacjentki, i zanim oddał słuchawkę dzieciom, poprosił szeptem, żeby były dla niej szczególnie miłe.

Porozmawiała z Samem, który świetnie znosił rozłąkę i wydawał się całkiem szczęśliwy. Kiedy poprosił, żeby się do nich przyłączyła wieczorem, obiecała, że spotka się z nimi jutro. Więc na razie bawili się tylko w towarzystwie Blake'a. Zabrał ich na brunch, co im się strasznie podobało, a z rana zorganizował przelot helikopterem. Z rozrywek, jakie im proponował, tę zawsze lubili najbardziej. Stało na tym, że Maxine spotka się z nimi nazajutrz. Poczuli się trochę lepiej, gdy odkładała słuchawkę.

Zadzwoiła do Thelmy Washington, by powiedziec jej, jak sie wszystko skonczylo. Thelma nie byla zaskoczona. Maxine podziekowala jej za zastepstwo, a potem zadzwoniła do Andersonów. Jak można się było spodziewać, byli kompletnie rozbici. Musieli zająć się pogrzebem, zawiadomić rodzinę i przyjaciół, załatwić wszystkie formalności, które są prawdziwym koszmarem dla kogoś, kto właśnie stracił dziecko. Maxine wyraziła swoje współczucie. Dziękowali jej za wszystko, co dla nich zrobiła. Ale choć wiedziała, że nic więcej zrobić nie mogła, przygniatało ją poczucie klęski i straty.

Blake zadzwonił znowu, gdy ubierała się, żeby wyjść na mały spacer. Chciał wiedzieć, czy nieco odpoczęła. Nie powiedział jej, oczywiście, ale właśnie razem z dziećmi wybrał dla niej piękną bransoletkę z szafirami.

Zapewniła go, że nic jej nie dolega, ale wzruszyło ją, że Blake tak się o nią niepokoił. Zresztą i dawniej, chociaż taki nieodpowiedzialny, bywał równie troskliwy i współczujący.

- Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz. Ja bym wylądował w domu wariatów, gdybym miał do czynienia z tym, z czym ty się stykasz na co dzień. - Wiedział, że śmierć każdego z pacjentów jest dla niej ciężkim przeżyciem, choć w jej zawodzie takie przeżycia były nie do uniknięcia.

- Z trudem to znoszę - przyznała. - Ale tak czasem bywa. Żał mi rodziców, to było ich jedyne dziecko. Na ich miejscu chyba bym tego nie przeżyła.

Tego się w życiu obawiała najbardziej - że coś mogłoby się stać któremuś z jej dzieci. Wolałyby każde inne nieszczęście i modliła się, by to jedno ją ominęło.

- Tak, okropna historia.

Mimo że tak dobrze radziła sobie z pracą, wiedział, że nie miała lekkiego życia, i to po części z jego winy. Więc teraz chciałby przychylić jej nieba. Ale niewiele mógł dla niej zrobić. Hilary była przecież jej pacjentką, nie córką.

- Myślę, że wolny dzień dobrze mi zrobi. - Maxine westchnęła. - Wolałabym spotkać się z wami jutro. - Tego wieczoru zamierzał zabrać ich na premierę gry

komputerowej, a nazajutrz do restauracji. - Poza tym nie będzie źle, jeśli spędzisz z nimi trochę czasu bez mojej kurateli.

Zawsze starała się ułatwić mu spotkania z dziećmi.

- Uwielbiam twoją kuratelę.

Powiedział to ze śmiechem, choć przecież lubił też być z dziećmi sam. Chciał zabrać je na łyżwy i namawiał ją, by z nimi poszła. Powiedziała, że może pójdzie, ale jutro. Skoro dzieci są w dobrych rękach i szczęśliwe, akurat dziś przyda jej się trochę samotności. Blake poprosił, żeby dała mu znać, jeśli zmieni zdanie, więc mu to obiecała. Dobrze się złożyło, że przyjechał akurat teraz, kiedy tak bardzo potrzebowała, żeby ktoś na chwilę przejął jej obowiązki.

Przez resztę popołudnia spacerowała samotnie po parku, a potem ugotowała sobie coś na kolację.

Sam zadzwonił do niej przed wyjściem na premierę gry. Nie posiadał się z radości, że tam idą, i wiedział już, że byłoby to niemożliwe bez Blake'a.

- Bawcie się dobrze wszyscy razem dziś wieczorem, a jutro pójdę z wami na łyżwy - obiecała.

Nabrała już na to ochoty i poczuła się znacznie lepiej, chociaż co jakiś czas nachodziła ją bolesna myśl o Andersonach. Myślała też o nich, jedząc w kuchni zupę, gdy wróciła Zelda.

- Wszystko w porządku? - spytała i zobaczyła smutek w oczach Maxine.

- Tak, w porządku, Zeldo. Dziękuję.

- Wyglądasz, jakby ktoś umarł.

- Zmarła moja piętnastoletnia pacjentka. Okropna historia.

- To ta praca jest okropna. Nawet mnie wpędza w depresję. Nie wiem, jak sobie dajesz radę. Czy nie lepiej zająć się czymś miłym, na przykład przyjmowaniem porodów?

Maxine się uśmiechnęła.

- Czasem udaje mi się kogoś uratować.

- Dobrze i to - powiedziała Zelda, siadając obok przy stole. Oceniała, że Maxine wygląda, jakby potrzebowała jej obecności, i nie całkiem się w tym myliła. Zawsze umiała wyczuć, kiedy dobrze jest porozmawiać z Maxine, a kiedy należy zostawić ją w spokoju. - Jak się czują dzieci u ojca?

- Świetnie. Latały z nim helikopterem, oprowadzał je po sklepach, jadły obiad w restauracji. A wieczorem idą na premierę gry komputerowej.

- Trafił im się ojciec w typie świętego Mikołaja - zauważyła Zelda.

Maxine kończyła jeść zupę.

- Stara się wynagrodzić im długie okresy, kiedy go nie widują. Nie chciała go krytykować, trzymała się faktów.

- Nie da się tego wynagrodzić za pomocą helikoptera - burknęła Zelda.

- To najlepsze, co potrafi dla nich zrobić. Nie umie być z ludźmi na stałe. Z nikim. Taki był już wcześniej, zanim doszedł do pieniędzy. Teraz jest gorzej, ale tylko dlatego, że ma dość środków, by spełnić wszystkie swoje zachcianki. Takich jak on nigdy nie brakowało. W dawnych czasach bywali kapitanami żaglowców, awanturnikami, odkrywcami. Krzysztof Kolumb też pewnie zostawił w domu czeredę dzieci. Niektórzy mężczyźni nie są stworzeni, żeby siedzieć w domu, być mężami i ojcami.

- Mój ojciec też był taki - przyznała Zelda. - Odszedł od nas, kiedy miałam trzy lata. Zaciągnął się do marynarki handlowej i zniknął. Wiele lat później matka dowiedziała się przypadkiem, że mieszka z nową żoną i czwórką dzieci w San Francisco. Nawet się nie postarał o rozwód. Nigdy do niej nie napisał. Po prostu zostawił nas bez słowa, ja, mojego brata i mnie.

- I więcej go nie zobaczyłaś? - zainteresowała się Maxine. Zelda nigdy jej o tym nie opowiadała. Była powściągliwa. Niewiele mówiła o sobie i w sprawy innych też nie wtykała nosa.

- Nie, nie zdążyłam. Chciałam jechać do Kalifornii, żeby się z nim spotkać. Pojechał do niego mój brat. Ale ojciec nie zrobił na nim najlepszego wrażenia. A mama umarła ze zgrzyoty. Zapiła się na śmierć, kiedy miałam piętnaście lat. Wtedy

wzięła mnie do siebie ciotka. Mieszkałam u niej przez trzy lata. Wyprowadziłam się, kiedy dostałam pierwszą posadę przy dzieciach.

A więc to dlatego odpowiadało jej życie przy obcej rodzinie. Szukała stabilności i ciepła, poczucia bezpieczeństwa, którego nie zaznała w dzieciństwie. Maxine wiedziała, że jej brat już nie żyje. Zginął wiele lat temu w wypadku motocyklowym. Zelda była sama na świecie, jeśli nie liczyć rodzin, u których pracowała, a także znajomych niań, z którymi zaprzyjaźniła się przez lata podczas spacerów z dziećmi.

- A poznałaś swoje przyrodnie rodzeństwo?

- Nie, bo to przez nich umarła moja matka. Nie chciałam ich znać.

Maxine wiedziała, że wcześniej Zelda pracowała przez dziewięć lat u innej rodziny, póki dzieci nie poszły do college'u. Zaczęła się zastanawiać, czy Zeldzie nigdy nie brakowało własnych dzieci. Ale o to nie ośmieliłaby się zapytać.

Rozmawiały w kuchni przy stole, póki Maxine nie zjadła, a potem każda z nich poszła do siebie. Zelda rzadko wychodziła wieczorem, nawet kiedy miała wolne. Maxine też była w zasadzie domatorką. Położyła się do łóżka wcześnie, nadal pogrążona w smutku z powodu śmierci Hilary i rozpaczony jej rodziców. Dopiero sen przyniósł jej ukojenie.

Nazajutrz poczuła się znacznie lepiej, choć wciąż jeszcze była przygnębiona. Spotkała się z dziećmi i Blake'em na lodowisku przy Rockefeller Center, i nawet jeździła z nimi na łyżwach. Potem wypili gorącą czekoladę w miejscowej kawiarni i wrócili do mieszkania Blake'a. Dzieci domagały się, by przed kolacją mogły obejrzeć film w domowej sali projekcyjnej. U Blake'a czuły się jak u siebie w domu. Zawsze w krótkim czasie zaprzyjaźniały się z nim na nowo, choćby po najdłuższej nieobecności. Dafne zaprosiła nawet dwie koleżanki. Chciała pochwalić się za-bójczo przystojnym ojcem i jego niezwykłym apartamentem na dachu wieżowca.

Maxine i Blake zamienili ze sobą parę słów, a potem dołączyli do dzieci oglądających film, który jeszcze nie ukazał się na ekranach. Blake miał rozległe znajomości i cieszył się przywilejami, jakie były udziałem nielicznych. Ale on

uważał to za rzecz naturalną. Powiedział Maxine, że z Nowego Jorku poleci do Londynu, żeby spotkać się z przyjaciółmi na koncercie rockowym. Rolling Stones, bo to oni mieli grać na tym koncercie, też byli jego przyjaciółmi. Czasami wydawało się Maxine, że Blake zna wszystkich. Kiedy wychodził z dziećmi, opowiadały potem, że przedstawiał je spotkanym przypadkiem sławnym aktorom i piosenkarzom. Na każdej imprezie Blake był za kulisami mile widzianym gościem.

Kiedy skończył się film, Blake zabrał ich na kolację. Zarezerwował stolik w nowo otwartej restauracji serwującej sushi. Było to w tej chwili najmodniejsze miejsce w Nowym Jorku. Maxine nigdy o nim nie słyszała, ale Dafne wiedziała o tej restauracji wszystko. A kiedy się tam pojawili, potraktowano ich jak VIP-ów. Przeszli przez główną salę, a potem zaprowadzono ich do małej salki, w której byli sami. Kolacja okazała się wyśmienita. Był to wspaniały wieczór. Potem podwieźli Maxine do domu, a dzieci zostały z Blake'em.

Odwiózł je do Maxine nazajutrz około piątej, bezpośrednio przed odlotem. Jak zawsze, gdy zostawała sama, Maxine pracowała przez cały dzień. Siedziała przy komputerze i pisała artykuł, kiedy dzieci wróciły do domu. Blake nie wszedł z nimi na górę, bo śpieszył się na lotnisko. Dzieci były pełne wrażeń, a Sam wręcz uszczęśliwiony, że znów ją widzi.

- Zabierze nas do Aspen na sylwestra - obwieścił. - Każdy z nas może wziąć ze sobą kolegę. Mogę wziąć ciebie zamiast kolegi, mamo?

Maxine się uśmiechnęła.

- Nie sądzę, kochanie. Może tatuś zechce zaprosić tam jakąś panią. Taka sytuacja byłaby dla mnie niezręczna.

- Ale przecież powiedział, że ta pani go rzuciła - zauważył przytomnie Sam, rozczarowany, że Maxine nie przyjmuje jego zaproszenia.

- Ale do tego czasu będzie już następna.

Blake'owi znalezienie następnej nigdy nie zajmowało dużo czasu. Kobiety wpadały w jego ręce jak dojrzałe jabłka.

- A jeśli nie?

- To wtedy porozmawiamy.

Chętnie spotkała się z Blake'em, kiedy przyjechał do Nowego Jorku, chętnie też poszła na łyżwy z nim i z dziećmi, ale wyjazd do Aspen to byłoby dla niej zbyt wiele, i niewykluczone, że znacznie więcej, niż chciałby od niej Blake. Gdy pożyczał im latem swój jacht, nie pływał razem z nimi przez cały czas. Poza tym wyjeżdżał z dziećmi po to, żeby się nimi nacieszyć. Ale sprawiło jej przyjemność zaproszenie Sama.

Dzieci opowiedziały z rozbawieniem o wszystkim, co robiły i co widziały przez ostatnie trzy dni. Cała trójka tryskała radością. Tym razem nie okazywali smutku, jak zazwyczaj po wyjeździe Blake'a, bo już czekali na ten obiecany wyjazd do Aspen. Była zadowolona, że Blake chciał ich tam zabrać. I miała nadzieję, że o tym nie zapomni, że nie wydarzy się nic nowego i nie będzie musiał odwoływać obietnicy. Dzieci uwielbiały być z nim w Aspen, i zresztą wszędzie, gdzie je ze sobą zabierał. Sama jego obecność przemieniała każdą wycieczkę w wielką i wspaniałą przygodę.

Przy kolacji Dafne oznajmiła, że Blake pozwolił jej korzystać z apartamentu zawsze, kiedy będzie miała na to ochotę, także wtedy, gdy nie ma go w mieście. Maxine była trochę zaskoczona. Nigdy dotąd nie było o tym mowy, więc pomyślała, że Dafne musiała źle zrozumieć Blake'a.

- Powiedział, że mogę przyprowadzić koleżanki i pokazywać im filmy w sali projekcyjnej - wyjaśniła Dafne z dumą.

- Może chodziło o przyjęcie urodzinowe albo inną specjalną okazję. Nie nastawiaj się na to, że będziesz mogła stale tam siedzieć.

Nie podobał jej się ten pomysł Blake'a. Przecież nie miało sensu pozwalać grupce trzynastolatek na przesiadywanie w jego apartamencie. Niechętnie wyraziłaby zgodę nawet gdyby Blake miał być obecny. Uważała, że powinien najpierw ją spytać o zdanie. Ale Dafne wydawała się rozdrażniona jej odpowiedzią.

- Jest moim ojcem, pozwolił mi, a mieszkanie należy przecież do niego - powiedziała, patrząc gniewnie na matkę.

- Owszem. Ale nie będziesz mogła tam chodzić pod jego nieobecność.

W tym mieszkaniu wszystko się mogło zdarzyć. Dziwiło ją, że Blake jest aż tak lekkomyślny. Dotarło do niej zniechęcenie, że wychowanie nastolatków, mających takiego ojca jak Blake, może okazać się wyjątkowo trudnym zadaniem. Przeraziła ją ta myśl. Jak dotąd, nie było takich problemów, ale rozumiała, że właśnie teraz mogą się zacząć. Wyglądało na to, że Dafne zamierza podjąć walkę i wyegzekwować przywilej otrzymany od Blake'a.

- Porozmawiam z nim o tym - powiedziała Maxine.

Dafne, wściekła, poszła do swojego pokoju. Maxine zamierzała powiedzieć Blake'owi, żeby był trochę roztropniejszy. Nie powinien pozwalać sobą manipulować, na przykład dając dzieciom swobodę, jakiej zazwyczaj żądają nastolatki, bo nastolatki wpędzają się w kłopoty, kiedy dostają to, czego chcą. Miała nadzieję, że Blake będzie z nią lojalnie współdziałał. Bo jeśli nie, to następnych kilka lat może okazać się dla niej koszmarem. W pojęciu Blake'a Dafne chciała od niego drobiazgu - po prostu kluczy od mieszkania. Ale wystarczyło sobie wyobrazić, jaki z nich zrobi użytek, żeby zadrzeć. Trzeba koniecznie załatwić sprawę z Blake'em. Co na pewno nie spodoba się Dafne. Jak zwykle to na niej, matce, ciąży obowiązek stanowczego rozstrzygnięcia.

Tego wieczoru Maxine kończyła swój artykuł, a dzieci oglądały telewizję w swoich pokojach. Były zmęczone trzema dniami pełnymi ekscytujących przeżyć w towarzystwie Blake'a. Spędzanie czasu z Blake'em było jak chodzenie po linie albo skoki na trapezie, bez chwili przerwy. Potrzebowali trochę czasu, żeby ochłonać.

Nazajutrz rano w domu panował chaos niemożliwy do opanowania. Wszyscy zaspali. Przy śniadaniu Jack rozsypał płatki kukurydziane, Dafne nie mogła znaleźć swojej komórki, bez której nie zgodziła się pójść do szkoły, a Sam wybuchnął strasznym płaczem, kiedy zauważył, że jego ulubione buty zostały w mieszkaniu ojca. Zeldę rozboleł ząb. Dafne znalazła swój telefon w ostatniej chwili przed wyjściem. Maxine obiecała Samowi, że podczas przerwy na lunch kupi mu nowe buty, takie same jak tamte, i miała nadzieję, że jakimś cudem jej się to uda. Gdy

wychodziła do pracy, Zelda właśnie umawiała się przez telefon z dentystą. Był to jeden z tych poranków, kiedy chce się rwać włosy z głowy albo zrobić stop-klatkę i puścić wszystko jeszcze raz od początku, bez zakłóceń. Jadąc do dentysty, Zelda podwiozła Sama do szkoły. Maxine złapał deszcz w drodze do pracy i zanim doszła na miejsce, zdążyła przemoknąć. Pierwszy pacjent już na nią czekał, co się zdarzało bardzo rzadko.

Udało jej się nadrobić stracony czas i przyjąć wszystkich porannych pacjentów, a także znaleźć buty dla Sama. Wszystko to razem przełożyło się na lunch przełknięty w biegu. Po południu zadzwoniła Zelda, by powiedzieć, że ząb wymagał leczenia kanałowego. Maxine zamierzała właśnie załatwić zaległe telefony, kiedy sekretarka przekazała jej, że na linii jest Charles West, który prosi o rozmowę. Maxine niechętnie podeszła do telefonu, w jej głosie słychać było zmęczenie i irytację. Taki to był dzień, okropny od początku do końca.

- Doktor Williams, słucham - powiedziała z energią.

- Cześć.

Nie była to forma powitania, jakiej Maxine mogła się po nim spodziewać. Na przyjacielską pogawędkę zupełnie nie miała nastroju. Ostatni pacjent miał się zjawić niebawem. Został jej kwadrans na załatwienie zaległych telefonów.

- Witam. W czym mogę panu pomóc? - spytała bez wstępów, czując, że jej głos brzmi trochę zbyt szorstko.

- Po prostu chciałem pani powiedzieć, że było mi bardzo przykro z powodu pani pacjentki, kiedy spotkaliśmy się w piątek.

- Ach tak - powiedziała, zniecierpliwiona. - To miło z pana strony. Naprawdę byłam zgnębiona. Można stawać na głowie, by pomóc, ale w niektórych przypadkach i tak nie ma ratunku. Żal mi rodziców. Jak się ma dziewięćdziesięciodwuletnia staruszka ze złamaniem szyjki kości udowej?

Był zaskoczony, że nie wyleciało jej to z głowy. Przypuszczał, że on na miejscu Maxine szybko by o tym zapomniał.

- Jutro wraca do domu. W jej imieniu dziękuję za pamięć. Ta kobieta mnie zdumiewa. Ma dziewięćdziesięcioletniego przyjaciela.

- Więc radzi sobie lepiej ode mnie.

Maxine się roześmiała, a to było właśnie to, co chciał osiągnąć.

- Ode mnie też. Co roku ma nowego narzeczonego. Przebiera w nich jak w ulegawkach. Za parę tygodni, idę o zakład, pojawi się z kolejnym. Każdemu życzyłbym takiej starości. Bałem się o nią, kiedy złapała zapalenie płuc, ale szybko wróciła do zdrowia. To mi się podoba. Chciałbym mieć wyłącznie takich pacjentów.

- Czy jest coś, co mogłabym dla pana zrobić? - spytała trochę sztywno, bo przecież była zajęta.

- Tak - wydawał się zakłopotany. - Może pozwoliłaby się pani zaprosić na lunch. Bo wciąż mi głupio po tej historii z Wexlerami.

Innego pretekstu nie zdołał wymyślić.

- Niech pan nie żartuje - odparła, spoglądając na zegarek. Akurat dzisiaj musiał się wyrwać z tym telefonem, kiedy ona od rana nie ma ani chwili spokoju. - Pomylił się pan, ale doceniam pańskie dobre intencje. Mania samobójcza nie należy do pana specjalności. Proszę mi wierzyć, nie umiałabym pomóc pana długowiecznej pacjentce z zapaleniem płuc i złamaniem szyjki kości udowej. W dodatku takiej, która przebiera w narzeczonych.

- Umie pani być wielkoduszna. A co z lunchem?

- Nic pana do tego nie zobowiązuje.

- Wiem. Ale bardzo mi na tym zależy. Na przykład jutro?

Miała pustkę w głowie. O co mu chodzi z tym zaproszeniem? Była zdezorientowana. W jej rozkładzie zajęć brakowało miejsca na taki lunch.

- Nie wiem... Mogę mieć pacjentów... - wyjąkała, po omacku szukając wymówki.

- No to pojutrze. Przecież na pewno czasem musi pani coś jeść.

- No, tak... jeśli znajdę czas. - Zwykle nie znajdowała. Spojrzała na kalendarz i wygadała się nieopatrzenie, że czasem jest wolna w porze lunchu, na przykład w czwartek. - Ale naprawdę nie musi pan...

- Tak, wziąłem to pod uwagę. - Roześmiał się.

Zaproponował restaurację położoną niedaleko jej gabinetu, by nie musiała nigdzie jeździć. Znała ją. Był to nieduży, przyjemny lokalik, w którym czasem jadała lunch z matką. Z koleżankami nie umawiała się już od lat. Szkoda jej było czasu, bo potrzebowała go dla pacjentów, a wieczorem wolała jadać z dziećmi. Znała parę kobiet, które były równie zajęte jak ona. Życia towarzyskiego w zasadzie od dawna nie prowadziła.

Umówili się w czwartek w południe. Kiedy Maxine odkładała słuchawkę, była tym wciąż zaskoczona. Nie wiedziała, czy powinna to potraktować jak przejaw daleko posuniętej uprzejmości, czy raczej jak randkę, w każdym razie czuła się trochę głupio. Z trudem przypominała sobie, jak wyglądał. W piątek rano była tak załamana, że zapamiętała tylko jego wysoki wzrost i siwiejące jasne włosy. Reszta była niewyraźną plamą, po prostu nie zwróciła na niego uwagi. Odnotowała ten lunch w kalendarzu, załatwiła szybko parę telefonów i przyjęła ostatniego pacjenta.

Tego wieczoru musiała sama ugotować coś dzieciom na kolację, bo Zelda była na środkach przeciwbólowych i leżała w łóżku. Dzień zakończył się tak samo jak się rozpoczął, wśród zamętu i nieporozumień. Przez to wszystko kolacja się przypaliła, więc Maxine przez telefon zamówiła pizzę.

Kolejne dwa dni były równie trudne, i dopiero w czwartek około południa przypomniał jej się nagle ten lunch, na który umówiła się z Charlesem Westem. Siedziała przy biurku i patrzyła posepnie w swój kalendarz. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że przyjęła jego propozycję. Ani go nie знаła, ani nie pragnęła poznać. Ostatnie, na co miałyby ochotę, to lunch z nieznajomym. Popatrzyła na zegarek - była już spóźniona pięć minut. Złapała płaszcz i wybiegła na ulicę. Nie było nawet czasu, żeby poprawić włosy albo użyć szminki.

Kiedy weszła do restauracji, Charles West czekał już przy stoliku. Wstał, kiedy weszła, dzięki temu go rozpoznała. Tak jak zapamiętała, był wysoki i miał przyjemny wygląd. Mógł się zbliżyć do pięćdziesiątki. Uśmiechnął się do niej.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, trochę zdenerwowana.

Zauważył nieufność w jej oczach. Wiedział o kobietach wystarczająco dużo, by się zorientować, że w przeciwieństwie do jego długowiecznej pacjentki, Maxine nie szuka przygód. Była zdystansowana i powściągliwa.

- Cały ten tydzień jest dla mnie bardzo ciężki - wyjaśniła.

- Dla mnie też - odpowiedział. - Myślę, że święta ludziom nie służą. Moi pacjenci najbardziej chorują między Świętem Dziękczynienia a Nowym Rokiem, więc przypuszczam, że i pani pacjentom nie wiedzie się lepiej.

Był odprężony i swobodny, gdy podszedł kelner. Maxine nie zamówiła nic do picia, a Charles poprosił o kieliszek wina.

- Mój ojciec, który jest chirurgiem ortopedą, twierdzi, że w tym okresie jest najwięcej złamań.

Charles był wyraźnie zaintrygowany, więc dodała:

- Arthur Connors.

- Znam go. Świetny facet. Nieraz konsultował moich pacjentów.

Rzeczywiście Charles West wyglądał jak ktoś, z kim jej ojciec powinien się dobrze rozumieć.

- Konsultuje chyba wszystkie trudne przypadki w Nowym Jorku. Ma mnóstwo pacjentów.

- Co panią skłoniło, żeby zająć się psychiatrią, zamiast pracować razem z nim?

- Spojrzał na nią uważnie znad kieliszka z winem.

- Psychiatria fascynowała mnie od dzieciństwa. Ortopedia jest trochę jak stolarka. Przepraszam, wiem, że to okropnie brzmi. Ale w psychiatrii mogę działać więcej.

I lubię pracować z nastolatkami. W tym wieku najłatwiej uzyskać prawdziwą poprawę. U starszych problemy są już utrwalone. Nie wyobrażam sobie, że

mogłabym prowadzić jeden z tych licznych gabinetów przy Park Avenue, gdzie psychoanalityk wysłuchuje zwierzeń znerwicowanych i znudzonych pań domu albo maklerów giełdowych, popijających i zdradzających żony. Przepraszam, jeśli wyraziłam się zbyt dosadnie.

Spojrzała na niego tak zakłopotana, że się uśmiechnął. Mówiła o sprawach, które mogły zostać opowiedziane tylko między lekarzami.

- Zauważam to z ciężkim sercem, ale dzieci wydają mi się uczciwsze od dorosłych i bardziej warte starania, by je ratować.

- Zgadzam się z panią. Wątpię tylko, czy makler zdradzający żonę idzie do psychoanalityka.

- Ma pan rację. To jego żona idzie do psychoanalityka. Ten rodzaj praktyki wpędziłby mnie w nieustającą depresję.

- W przeciwieństwie do nastolatków z manią samobójczą?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

- Bywa mi bardzo smutno, ale to nie jest depresja. Nie sędzę, bym mogła naprawdę pomóc ludziom dorosłym, którzy chcą zostać tylko wysłuchani. Tym dzieciakom naprawdę pomagam.

- Rozumiem.

Wypytał ją o jej książkę o urazach dziecięcych. Kupił ją ostatnio, co zrobiło na niej wrażenie. W połowie lunchu dowiedziała się od niego, że jest po rozwodzie. Ożenił się w wieku dwudziestu jeden lat, a dwa lata temu żona go zostawiła dla kogoś innego. Maxine była zaskoczona spokojem, z jakim o tym mówił. Wyjaśnił jej, że rozwód nie był dla niego zaskoczeniem. W małżeństwie źle im się układało już od dawna.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Maxine współczująco. - Ma pan dzieci?

Pokręcił głową. Jego żona nie chciała ich mieć.

- Może kiedyś będę tego żałował. Żona miała bardzo ciężkie dzieciństwo.

Obawiała się, że nie potrafi być dobrą matką. A teraz już i dla mnie jest trochę za późno.

Ale nie brzmiało to tak, jakby naprawdę rozpaczał z tego powodu, raczej jakby sądził, że ominęło go jakieś ciekawe doświadczenie.

- A pani ma dzieci? - zapytał, gdy przyniesiono zamówione dania.

- Mam trójkę - odpowiedziała z uśmiechem. Bez dzieci nie wyobrażała sobie życia.

- Przy trójce jest mnóstwo roboty. Pewnie zajmuje się pani nimi na zmianę z mężem.

Wiedział, że w wielu rodzinach tak jest. Maxine się roześmiała.

- Nie. Ich ojciec zawsze jest w podróży. Widuje się z nimi kilka razy w roku. Więc jestem matką na pełny etat. I może tak jest dla mnie lepiej.

- W jakim są wieku? - zapytał. Widać było, że go to interesuje. Oczy jej błyszczały, kiedy mówiła o dzieciach.

- Trzynaście, dwanaście i sześć lat. Dziewczynka jest najstarsza.

- Nie jest łatwo poradzić sobie z taką trójką - powiedział nie bez podziwu. - Od jak dawna jest pani rozwiedziona?

- Od pięciu lat. Jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach. On jest wyjątkowym człowiekiem, tylko nie bardzo nadaje się na męża i ojca. W nim samym jest zbyt wiele z dziecka. Zmęczyło mnie to, że byłam jedyną dorosłą osobą w rodzinie. Mój były mąż jest dla dzieci kimś w rodzaju zwariowanego wujaszka. Nigdy nie dorósł do roli ojca i zapewne już nie dorośnie.

Powiedziała to z uśmiechem. Charles przyglądał jej się, zaintrygowany. Była inteligentna i ładna, a trudny zawód Maxine budził jego szacunek. Jej książka też mu się spodobała.

- Gdzie mieszka?

- Wszędzie. W Londynie, W Nowym Jorku, w Aspen i na Karaibach. Ostatnio kupił posiadłość w Marakeszu. Jego życie jest jak bajka.

Charles zastanawiał się, czyją była żoną, ale nie zapytał, by jej nie zrazić zbytnią ciekawością.

- Myślałam... - zająknęła się. - Myślałam, że zaprasza mnie pan na lunch...
żeby się zrehabilitować za tę historię z Wexlerami.

Uśmiechnął się do niej. Wyglądała na zaskoczoną takim obrotem ich rozmowy. Pomyślał, że może już kogoś ma i chce, żeby się tego domyślił.

- Spotyka się pani z kimś? - spytał.

Wpędził ją tym pytaniem w jeszcze większe zakłopotanie. Oblała się rumieńcem.

- Ma pan na myśli randki?

- Tak, randki. - Roześmiał się.

- Nie.

Od roku nie miała żadnej randki i z nikim nie poszła do łóżka. Kiedy o tym myślała w taki sposób, ogarniało ją przygnębienie, więc przeważnie nie myślała. Po prostu nie spotkała nikogo, z kim chciałaby się związać na dłużej, czasem wydawało jej się nawet, że wcale nie ma na to ochoty. Umawiała się niekiedy z różnymi znajomymi, odkąd rozwiodła się z Blake'em. Ciągłe rozczarowania ją zmęczyły. Prościej było zapomnieć. Randki aranżowane przez przyjaciół były dla niej szczególnie przykre, ale niewiele lepiej się to kończyło, kiedy poznała kogoś przypadkiem. Temat ją krępował.

- Chyba nie - dorzuciła. - W każdym razie nie w ostatnim czasie.

Znała pary, które poznały się w internecie. Ale nie wyobrażała sobie, żeby to ona zawierała w ten sposób znajomości. Tak samo, jak nie mogłaby ich zawierać na ulicy. Nigdy nie podejmowała postanowień, że przestanie się umawiać z mężczyznami. Po prostu tak wyszło. A poza tym była zawsze zajęta.

- Zje pani ze mną kolację? - spytał miękko. Trudno mu było uwierzyć, że kobieta tak ładna jak ona żyje zupełnie sama. Pomyślał, że może to skutek jakiegoś urazu, doznanego w małżeństwie, albo w jakimś innym związku, już po rozwodzie.

- Chętnie - powiedziała, choć to, co proponował, było właśnie randką.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem i rozbawieniem.

- Maxine, wyjaśnijmy sobie od razu kilka spraw. Nie chciałbym, żebyś myślała, że zapraszam cię na interdyscyplinarne spotkanie naukowe. To świetnie, że oboje jesteście lekarzami. Ale tak naprawdę nie robiłoby mi to wielkiej różnicy, gdybyś była tancerką kabaretową albo fryzjerką. Podobasz mi się. Jesteś piękną kobietą. Dobrze mi się z tobą rozmawia. Zauważyłem, że masz poczucie humoru. I nie uwierzę, że nie lubisz mężczyzn. Twoje CV mogłoby zawstydzić wiele osób, zarówno mężczyzn, jak kobiety. Ale dla mnie jesteś po prostu atrakcyjna, jesteś sexy i tyle. Zapraszam cię na kolację, bo chciałbym cię lepiej poznać. To będzie randka. Coś mi mówi, że tego nie bierzesz pod uwagę. Mógłbym sobie wyobrazić, że masz swoje powody. Gdyby tak było, powiedziałaś mi o tym. Lecz jeśli nie ma ważnych powodów, żeby odmówić, to przyjmij zaproszenie. Zgadzasz się?

Uśmiechała się, jeszcze wciąż zarumieniona, gdy mówił.

- Tak. W porządku. Chyba po prostu zapomniałam, jak to jest umawiać się z mężczyzną.

- Nie rozumiem, jak do tego doszło. Może bym zrozumiał, gdybyś zasłaniała twarz jak muzułmanka.

Dla niego wyglądała olśniewająco i większość mężczyzn byłaby tego samego zdania. Musiała się nieźle uprzeć, żeby wyjść z obiegu, musiała schować swoje zalety pod kocem.

- Więc kiedy pójdziemy na tę kolację?

- Nie wiem. Wieczory w zasadzie miewam wolne. W przyszłą środę muszę być na spotkaniu Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, poza tym nie mam żadnych planów.

- To może wtorek? Mógłbym przyjechać po ciebie o siódmej i zabrać cię w jakieś przyjemne miejsce.

Lubił dobre restauracje i dobre wina, czyli to, co ją omijało od lat. Jeśli nie liczyć wypadów z Blake'em i z dziećmi. Ale właśnie te wieczory były w jej życiu czymś najbardziej niepoważnym. Czasem się spotykała ze starymi przyjaciółkami, od dawna zameżnymi, ale nigdy na mieście. Zapraszały ją na kolację do domów.

Zresztą nawet z nimi ostatnio spotykała się coraz rzadziej. Pozwoliła, by jej życie towarzyskie uszło z braku uwagi i zainteresowania. Charles West uprzytomnił jej mimochodem, że schowała się przed światem jak ślimak w muszli. Umówiła się z nim na wtorek i nawet nie zapisała tego w kalendarzyku.

- Ale musisz mi powiedzieć, gdzie mieszkasz.

Podawała mu adres i obiecała, że zobaczy dzieci. Odprowadził ją do gabinetu. Spacer u jego boku sprawił jej przyjemność. Podczas lunchu okazał się doskonałym kompanem. Podziękowała mu za zaproszenie i wróciła do pracy trochę oszołomiona. Umówiła się na randkę. Na prawdziwą randkę z przystojnym czterdziestodziewięcioletnim internistą. Pod koniec lunchu powiedział, ile ma lat. Uśmiechnęła się, gdy sobie uprzytomniła, że jej ojciec byłby bardzo zadowolony. Powie mu o tym przy najbliższej okazji. Albo też specjalnie zadzwoni do niego po randce. A potem wszystkie myśli o Charlesie Weście wyparowały jej z głowy. W gabinecie czekała na nią Josephine. Maxine zrzuciła płaszcz i nie zwlekając, rozpoczęła sesję.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Weekend był dla Maxine po brzegi wypełniony obowiązkami. Jack miał mecz piłki nożnej, a ona zadeklarowała, że przygotuje kanapki dla drużyny. Sam był zaproszony na aż dwa przyjęcia urodzinowe, więc musiała ustalić z inną matką, że będą na zmianę przewoziły dzieci samochodem z miejsca na miejsce. Dafne zaprosiła na pizzę dziesięcioro kolegów i koleżanek. Było to jej pierwsze spotkanie towarzyskie po tej nieszczęsnej imprezie zakrapianej piwem, więc Maxine nie spuszczała oka z gości. Zelda czuła się już całkiem dobrze, ale w weekend miała wolne. Wybierała się na wystawę i do przyjaciółki.

Maxine miała do napisania jeszcze jeden artykuł, do którego mogła się zabrać dopiero późnym wieczorem. Poza tym dwoje z jej pacjentów zostało

hospitalizowanych przed weekendem, jeden po przedawkowaniu narkotyków, drugiego przyjęto na obserwację ze względu na nasilenie ryzyka samobójstwa.

W poniedziałek musiała odwiedzić sześcioro dzieciaków w różnych szpitalach, czekali na nią pacjenci zapisani na wizytę. A kiedy wróciła do domu, okazało się, że Zelda ma ciężką gripę. We wtorek rano czuła się jeszcze gorzej. Maxine kazała jej zostać w łóżku. Dafne mogła odebrać Sama ze szkoły, a Jacka przywiezie z treningu matka kolegi. Dadzą sobie radę. I daliby sobie radę, gdyby nie to, że okoliczności sprzysięgły się przeciwko nim.

Maxine przez cały dzień przyjmowała pacjentów, jednego po drugim. Wtorek był dniem, na który zazwyczaj zapisywała zgłaszających się po raz pierwszy. Każdy z nich musiał jej opowiedzieć swoją historię, a jeśli chodzi o nastolatków, pierwsze spotkania są decydujące, więc nie wolno jej było stracić zimnej krwi. W południe zadzwonili do niej ze szkoły Sama. Zwymiotował dwa razy w ciągu ostatniej godziny, a Zelda nie była w stanie po niego pojechać. Musiała to zrobić ona podczas dwudziestominutowej przerwy między wizytami. Złapała więc taksówkę i odstawiła Sama do domu. Wyglądał bardzo źle. W taksówce zwymiotował jeszcze raz, tym razem na jej płaszcz. Taksówkarz był wściekły, bo musiał przerwać pracę, żeby posprzątać, więc zażądał dodatkowo dwudziestu dolarów. Odprowadziła Sama na górę, zapakowała go do łóżka i poprosiła Zeldę, żeby mimo gorączki miała na niego oko. Zostawić ich razem to tak, jakby zlecić ślepemu opiekę nad kulawym, ale nie miała innego wyjścia. Wskoczyła pod prysznic, przebrała się i wróciła do gabinetu, spóźniając się o dziesięć minut na spotkanie z następną pacjentką. To zrobiło nie najlepsze wrażenie, matka dziewczynki była już trochę zniecierpliwiona. Maxine musiała przeproszać i tłumaczyć się chorobą syna.

Po dwóch godzinach zadzwoniła Zelda, żeby powiedzieć, że Sam znowu wymiotował i że ma gorączkę. Maxine prosiła, żeby dać mu tylenol. To samo doradziła Zeldzie. O piątej zaczęło padać. Ostatnia pacjentka przyszła spóźniona. Przyznała się, że po południu paliła trawę. Maxine została dłużej, by omówić z nią to zdarzenie. Dziewczyna brała udział w spotkaniach Anonimowych Narkomanów. I

może w jej przypadku to nie był najlepszy pomysł, tym bardziej że brała leki. Maxine właśnie wychodziła, kiedy zadzwonił wystraszony Jack. Nie zdążył się zabrać samochodem z matką kolegi i stał sam na rogu w zakazanej okolicy gdzieś w Upper West Side. Był wściekły na tę matkę kolegi, bo mogła na niego chwilę poczekać. Samochód Maxine stał w garażu odległym o kilkanaście ulic, a znalezienie taksówki zajęło jej pół godziny. Było już po szóstej, kiedy w końcu dotarła do Jacka, który czekał na przystanku i trząśł się z zimna. Z powodu korków dojechali do domu dopiero za piętnaście siódma, oboje mokrzy i przemarznięci. Sam wyglądał bardzo źle. Kiedy Maxine weszła do jego pokoju, rozplakał się. Dom przypominał szpital. Zbadala Sama i Zeldę, a Jackowi kazała wziąć gorący prysznic. Był przemoczony do suchej nitki i zaczynał kichać. W korytarzu spotkała Dafne.

- Jak się masz? Jesteś zdrowa, mam nadzieję - przywitała ją.

- Wszystko w porządku. Ale na jutro muszę napisać pracę semestralną z fizyki. Możesz mi pomóc?

- Dlaczego nie poprosiłaś mnie w weekend?

- Dopiero dzisiaj mi się przypomniało.

- Ładna historia - mruknęła Maxine, i w tej samej chwili w holu zadzwonił wewnętrzny telefon. Portier powiedział, że na dole jest doktor Charles West. Maxine oniemiała z przerażenia. Charles! Zupełnie o nim zapomniała. Był wtorek. Byli umówieni na randkę, mieli pójść na kolację, i zamierzał przyjechać po nią o siódmej. Przyjechał punktualnie co do minuty. Ale w domu prawie wszyscy byli chorzy, a Dafne oczekiwała pomocy w fizyce. Maxine powinna była odwołać spotkanie. Odwołać w ostatniej chwili to niezbyt grzecznie. Z drugiej strony - naprawdę nie mogła teraz wyjść. Wciąż miała na sobie ubranie, które włożyła do pracy. Zeldą była w takim stanie, że nie można było zostawić dzieci pod jej opieką. Wszystko razem - koszmar. Kiedy trzy minuty później otwierała Charlesowi drzwi, była w zupełnym popłochu. Zdziwił się, widząc ją w spodniach i swetrze, z mokrymi włosami, bez makijażu.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Przeżyliśmy dzisiaj piekło. Jedno z dzieci miało problemy z żołądkiem, drugie zmarzło i przemokło, trzecie zapomniało napisać na jutro pracę semestralną. A nasza niania akurat złapała grypę z gorączką. Wejdz, proszę.

Wszedł i zobaczył błędzącego po korytarzu Sama, zielonkawego na twarzy.

- To Sam - powiedziała Maxine.

W tej samej chwili Sam zwymiotował mu pod nogi. Charles patrzył na niego w osłupieniu.

- O rety... - powiedział tylko, i przeniósł wzrok na Maxine.

- Wejdz do salonu i poczekaj. Zaraz tam do ciebie przyjdę.

Zaprowadziła Sama do łazienki, gdzie zwymiotował jeszcze raz, potem pobiegła do przedpokoju i wytarła podłogę ręcznikiem. Gdy położyła Sama w swoim łóżku, zjawiała się Dafne.

- To co będzie z moją pracą semestralną?

- O mój Boże! - Maxine gotowa była się rozplakać albo dostać ataku hysterii. - Nawet nie wspominaj mi o tej pracy. Ktoś na mnie czeka w salonie. Idź, porozmawiaj z nim. Nazywa się Charles West.

- Kto to taki? - spytała Dafne, zbита z tropu. Wydawało jej się, że matka oszalała. Próbowwała jednocześnie uczesać się i umyć ręce. To się nie mogło udać.

- Znajomy. Nie, nie całkiem znajomy. Właściwie nieznajomy. Mam z nim iść na kolację.

- Teraz? - spytała Dafne ze zgrozą. - A praca semestralna? Od niej zależy mój stopień na koniec semestru.

- No to trzeba było wcześniej pomyśleć. Nie mogę ci w tym pomóc. Mam randkę, twój najmłodszy brat wymiotuje, Zelda jest umierająca a Jackowi grozi zapalenie płuc, bo przez godzinę stał w deszczu na przystanku.

- Ty masz randkę? - Dafne wytrzeszczyła oczy. - Co się stało?

- Nic. I prawdopodobnie nic się nie stanie, jak tak dalej pójdzie. Czy mogłabyś łaskawie zająć go rozmową?

Ledwie to powiedziała, Samowi znowu zebrało się na wymioty, więc wciągnęła go szybko z powrotem do łazienki, a Dafne, całkiem zrezygnowana, udała się do salonu. Zdążyła jeszcze rzucić przez ramię, że jeśli tego nie zaliczy, to nie będzie jej wina, bo nie dostała w domu żadnej pomocy.

- Więc czyja to będzie wina? Moja? - zawołała za nią Maxine przez otwarte drzwi łazienki.

- Już mi lepiej - oznajmił Sam, choć wcale na to nie wyglądał.

Położyła go z powrotem do łóżka, podkładając kilka ręczników. Znowu umyła ręce i zajęła się włosami. Już miała iść do salonu, kiedy Sam spojrzał na nią żałośnie i spytał:

- Jak to się stało, że masz randkę?

- Po prostu. Zaprosił mnie na kolację. Mały wydawał się zmartwiony.

- Lubisz go?

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy matka miała poprzednią randkę. Ona zresztą też.

- Jeszcze nie wiem - przyznała. - Ale to nie jest nic wielkiego, Sam. Po prostu zjemy coś razem.

Kiwnął głową.

- Zaraz do ciebie przyjdę - obiecała mu. Więc chyba nie było takiej możliwości, żeby w końcu poszła na tę kolację.

Kiedy weszła do salonu, Dafne właśnie opowiadała Charlesowi o jachtach i samolotach swojego ojca, o penthousie i willi w Aspen. To nie było dokładnie to, co Maxine chciałaby mu wyznać na pierwszej randce, lecz była wdzięczna za to, że Dafne zechciała pominąć Londyn, St. Barthelemy, Maroko i Wenecję. Zgromiła ją spojrzeniem, ale podziękowała za zajęcie Charlesa rozmową. Zaczęła gorąco przepraszać go za wypadek, który się zdarzył Samowi. Ale tym, za co naprawdę chciałaby przeprosić, były wynurzenia Dafne na temat Blake'a i jego majątku. Dafne nie zamierzała się jednak zamknąć, więc Maxine odesłała ją do pokoju, żeby zajęła

się pracą semestralną. Dziewczynka odeszła z ociąganiem i niechęcią. Maxine poczuła, że jeszcze chwila i zbierze jej się na płacz.

- Nie gniewaj się. Nasz dom nie jest na co dzień aż tak zwariowany. Nie wiem, co się z nami dzieje. Wszyscy dziś oszaleli. Przepraszam cię za Dafne.

- Nie ma za co przepraszać. Po prostu opowiadała mi o ojcu. Jest z niego dumna.

Maxine podejrzewała, że Dafne raczej próbowała umyślnie onieśmielić Charlesa. To było w jej stylu. Ale wołała zachować problem dla siebie.

- Nie miałem pojęcia, że byłaś żoną Blake'a Williamsa - powiedział, trochę zbity z tropu.

- Tak... - Maxine żałowała, że nie można puścić tego wieczoru od początku, wycinając scenę, którą zobaczył na powitanie. Nie doszłoby zresztą do tej sceny, gdyby nie zapomniała, że się z nim umówiła. Zapomniała to zapisać w kalendarzyku i stało się. - Blake Williams był moim mężem, to są fakty i nie ma o czym mówić. Napijesz się czegoś?

Ale uprzytomniła sobie, że w domu nie ma żadnego alkoholu prócz taniego białego wina, którego Zelda używała do celów kuchennych. Zamierzała przed wtorkiem kupić coś przyzwoitszego, ale i o tym zapomniała.

- Naprawdę mamy iść na tę kolację? - upewnił się.

Wydawało mu się to niemożliwe. Jedno dziecko chore, drugie potrzebuje pomocy w sprawach szkolnych, a sama Maxine wyglądała na zmęczoną do nieprzytomności.

- Poczujesz do mnie niechęć, jeśli nie pójdziemy? - spytała otwarcie. - Nie wiem, jak to się stało, ale naprawdę wyleciało mi to z głowy. Zapomniałam zapisać sobie w kalendarzu. A dzisiaj był wyjątkowo trudny dzień.

Miała łzy w oczach. Może by się pogniewał, gdyby jej nie współczuł. Była po prostu przeciążona.

- Pewnie właśnie dlatego z nikim się nie umawiałam. Jak widzisz, to nie wychodzi mi najlepiej.

Otóż to.

- Może po prostu brakuje ci chęci.

Była gotowa przyznać mu rację. Randka to za duży kłopot, za trudno było znaleźć na to czas i siły. Poza pracą i dziećmi na nic więcej nie było już miejsca w jej życiu. Na żadną randkę.

- Przepraszam, Charles. Nie zawsze bywa aż tak źle. Zwykle udaje mi się trzymać rozkładu jazdy.

- To nie twoja wina, że domownicy się pochorowali. Możemy spróbować jeszcze raz? Na przykład w piątek?

Nie chciała już wspominać o tym, że w piątek wieczorem Zelda ma wolne. Jeśli to będzie konieczne, poprosi ją, żeby została. Poza tą historią z dentystą tydzień temu i dzisiejszą chorobą Zelda radziła sobie przecież ze wszystkim świetnie. Można było na nią liczyć.

- Byłoby wspaniale. Ale zostań, jeśli chcesz. Zaraz zrobię coś na kolację, zjemy razem z dziećmi.

Zarezerwował stolik w La Grenouille, znanej francuskiej restauracji na Manhattanie, ale nie wspomniał o tym, by nie robić jej przykrości. Był wprawdzie zawiedziony, lecz zniósł to po męsku. Stać go było, żeby przeboleć straconą randkę.

- Zostanę jeszcze przez chwilę. Widzę, że masz pełne ręce roboty. Ale nie gotuj dla mnie. Mogę spojrzeć na twojego syna i nianię?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Będę ci bardzo wdzięczna. To tylko grypa. Ale ty się na tym znasz o wiele lepiej ode mnie. Grypa należałaby do moich kompetencji tylko wtedy, gdyby była wyrazem autodestrukcyjnych skłonności.

Roześmiał się. On sam był już bliski skłonności autodestrukcyjnych, gdy widział chaos panujący w jej domu. Rzadko miał do czynienia z dziećmi i z zamieszaniem, jakie potrafią robić wokół siebie. Prowadził spokojne, uporządkowane życie, które dawało mu sporo zadowolenia.

Zaprowadziła Charlesa korytarzem do swojej sypialni. Sam leżał w jej łóżku i oglądał telewizję. Wyglądał już trochę lepiej. Przeniósł wzrok na matkę i zdumiał się, widząc obok niej obcego mężczyznę.

- Sam, to jest Charles. Jest lekarzem, obejrzy cię i powie nam, co ci jest.

Charles nie mógł nie zauważyć, że dzieci są dla niej najważniejsze na świecie.

- Czy to z nim miałaś iść na randkę? - spytał Sam podejrzliwie.

- Tak, z nim - powiedziała, trochę zakłopotana. - Nazywa się doktor West.

- Charles - poprawił i uśmiechnął się, podchodząc do łóżka. - Cześć, Sam.

Marnie wyglądasz. Wymiotowałaś przez cały dzień?

- Sześć razy - odpowiedział z dumą Sam. - Nawet w taksówce, kiedy wracałem ze szkoły.

Charles wyobraził sobie tę scenę i popatrzył ze współczuciem na Maxine.

- To niedobrze. Mogę dotknąć twojego brzucha?

Sam kiwnął głową i podciągnął bluzę od pizamy. Wtedy wszedł Jack.

- Wezwałaś do niego doktora? - zaniepokoił się.

- Umówiła się z nim na randkę - wyjaśnił Sam. Jack popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Z kim?

- Z doktorem - wyjaśnił bratu Sam. Maxine przedstawiła Jacka Charlesowi.

- Grasz w nogę? - spytał Charles.

Jack potwierdził, zastanawiając się, skąd się wziął ten doktor, z którym matka umawia się na randki, i dlaczego dotąd nigdy o nim nie słyszeli.

- Na jakiej pozycji? Ja też grałem w nogę, kiedy chodziłem do szkoły.

Koszykówka była dla mnie łatwiejsza, ale piłka nożna ciekawsza.

- Dla mnie też! A w przyszłym roku będę grał w hokeja - odpowiedział Jack ku zdumieniu Maxine.

- Hokej to twardy sport. Powoduje znacznie więcej kontuzji niż piłka nożna - powiedział Charles, kończąc badanie Sama. - Już z tego wychodzisz, Sam. Założę się, że jutro staniesz na nogi.

- Będę jeszcze wymiotował?

- Raczej nie. Tylko dobrze odpocznij przez noc. Chciałbyś się napić coca-coli albo piwa imbirowego?

Sam kiwnął głową. Obserwował Charlesa z zainteresowaniem. Maxine uprzytomniła sobie, jak bardzo niezwykła była dla nich wszystkich obecność mężczyzny w domu. Ale trochę im się to podobało. Charles umiał się znaleźć. Jack też go obserwował. A chwilę później przyszła Dafne. Wszyscy naraz znaleźli się w sypialni Maxine.

- Gdzie podzieliście waszą chorą nianię? - spytał Charles.

- Pójdziemy do niej - powiedziała Maxine.

Wyprowadziła go z pokoju, akurat gdy Sam zachichotał, a Jack uciszył go, kładąc mu palec na ustach. Idąc w stronę kuchni, Maxine i Charles słyszeli te chichoty i szept. Maxine próbowała ich wytłumaczyć.

- To dlatego, że są nieprzyzwyczajeni - powiedziała przepaszająco.

- W porządku. To fajne dzieciaki - rzucił lekko. Przeszli przez kuchnię i mały korytarzyk do służbówki.

Maxine zapukała, cicho otworzyła drzwi i w progu przedstawiła Zeldzie Charlesa, pytając, czy życzy sobie, żeby rzucił na nią okiem. Zeldę się zmieszała. Nie miała pojęcia, kim był doktor West i dlaczego przyszedł.

- Nie jestem aż tak chora - powiedziała zakłopotana, myśląc, że może Maxine wezwała go specjalnie dla niej. - To przecież tylko grypa.

- Był u nas i tak. Zbadał przed chwilą Sama.

Pomyślała, że może to nowy pediatra, którego jeszcze nie zna. Do głowy by jej nie przyszło, że to ktoś, z kim Maxine umówiła się na wieczór. Charles zbadał Zeldę i powiedział jej mniej więcej to, co Samowi.

Chwilę później Maxine znalazła się razem z Charlesem w kuchni. Wyjęła coca-cole, prażynki i sos meksykański, który znalazła w lodówce. Charles powiedział, że nie zostanie, nie chciał sprawiać dodatkowego kłopotu. Z dziećmi miała i tak dość problemów. Siedzieli przy stole kuchennym i rozmawiali jeszcze

przez chwilę. Przeszedł próbę ogniową i przy okazji poznał wszystkich domowników. Z pewnością od widoku wymiotującego Sama też można zacząć bliższą znajomość, choć ona osobiście wolałaby jakiś inny sposób poznawania Charlesa z dziećmi. Co do niego, jej zdaniem, zdał egzamin na piątkę. Nie była to typowa pierwsza randka. W żadnym razie.

- Przepraszam za wszystko - zaczęła znowu.

- Nic się nie stało - odrzekł wesoło, choć żałował kolacji, którą zjedliby razem w La Grenouille. - W piątek spędzimy razem uroczy wieczór. Kiedy ma się dzieci, trzeba być elastycznym.

- Zazwyczaj nie muszę być elastyczna aż do tego stopnia. Jestem całkiem nieźle zorganizowana. To tylko dzisiaj sytuacja wymknęła się spod kontroli. Głównie dlatego, że Zelda zachorowała. Bo zawsze mogę na nią liczyć.

Było oczywiste, że ma kogoś, na kogo może liczyć, i że tym kimś nie jest jej wiecznie nieobecny były mąż. Po rozmowie z Dafne domyślał się już, dlaczego jej małżeństwo się rozpadło. Czytał kiedyś o Blake'u Williamsie. Należał do śmietanki towarzyskiej, był tam jedną z ważniejszych postaci, a to znaczyło tyle, że rodzina nie miała z nim lekkiego życia. To, co Maxine powiedziała mu podczas lunchu, było prawdą.

Charles zajął się dziećmi, żeby się pożegnać, i życzył Samowi zdrowia.

- Dziękuję.

Sam pomachał mu ręką na pożegnanie, a Maxine odprowadziła go do drzwi.

- Przyjadę po ciebie w piątek o siódmej - obiecał. Podziękowała mu za cierpliwość.

- Nie przejmuj się. Nie żałuję tego wieczoru, miałem okazję poznać twoje dzieci.

Pomachał jej ręką, znikając w windzie. Padła z ciężkim westchnieniem na łóżko obok Sama. Wszyscy znowu się zebrali w jej sypialni.

- Mogłaś nas uprzedzić, że masz randkę - zrzędził Jack.

- Sama o niej zapomniałam.

- Ale kim on właściwie jest? - spytała podejrzliwie Dafne.

- Lekarzem. Poznałam go przez przypadek. - Maxine wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Nie powinna się przed nimi tłumaczyć. - A przy okazji chcę ci powiedzieć - zwróciła się do córki - że nie powinnaś przechwalać się ojcem.

- Dlaczego? - spytała Dafne.

- Dlatego, że opowiadanie o jego jachtach i samolotach jest w złym tonie.

Ludzie niezbyt chętnie tego słuchają.

Przecież właśnie dlatego Dafne to zrobiła. Wzruszyła ramionami i wyszła.

- On jest w porządku - odezwał się Sam.

- Tak, być może - mruknął Jack bez przekonania. Wcale nie uważał, że jego matce potrzebny jest mężczyzna. Doskonale radzili sobie bez mężczyzn. Choć raczej nie przeszkadzało im, że ojciec spotyka się z kobietami. Po prostu nie byli przygotowani, że w życiu ich matki może pojawić się mężczyzna, i nikomu z nich nie przypadło to do gustu. Nie znajdowali wystarczającego powodu, żeby ktoś taki wtargnął do ich domu. Dali matce do zrozumienia, że wszystko widzą jasno i wyraźnie.

Zrobiła się już ósma, rodzina była głodna, więc Maxine poszła do kuchni, żeby przyrządzić coś do jedzenia. Gdy wyciągała z lodówki sałatę, jajka i szynkę, przyszła Zelda w szlafroku. Wydawała się zaintrygowana.

- Kim jest ten tajemniczy nieznajomy? Czy to hrabia Monte Christo?

- Prawidłowa odpowiedź brzmi: Diego de la Vega. A poważnie? To lekarz, poznałam go przypadkiem. Umówiłam się z nim na wieczór i całkiem o tym zapomniałam. Ledwie wszedł, Sam zaczął wymiotować. To była scena nie z tej ziemi.

- Czy po tym zechce się jeszcze z tobą spotkać? Wygląda sympatycznie. I jest przystojny.

Wiedziała, że Maxine od dawna z nikim się nie spotykała, a ten facet robił dobre wrażenie. Uznała nową znajomość za obiecującą, tym bardziej że oboje byli lekarzami i mieli wspólne zainteresowania.

- Prawdopodobnie w piątek wieczorem - powiedziała Maxine. - Pod warunkiem, że pozbiera się po dzisiejszym szoku.

- Nieźle się to zapowiada. - Zelda wzięła sobie szklanekę piwa imbirowego i wróciła do łóżka.

Maxine ugotowała makaron, pokroiła w plastry zimne mięso i usmażyła jajka. Na deser mieli ciasteczka orzechowe. Potem sprzątnęła kuchnię i poszła pomóc Dafne pisać pracę semestralną. Uporały się z tym dopiero przed dwunastą. Kiedy wreszcie położyła się do łóżka, w którym spał już Sam, miała chwilę czasu, by przed zaśnięciem pomyśleć o Charlesie. Nie zastanawiała się, czy coś z tego wyjdzie i nie była pewna, czy rzeczywiście spotkają się w piątek, ale dziś wyszło w sumie nie najgorzej. Przecież nie uciekł z przerażeniem w oczach. To już coś. I na razie tyle musiało jej wystarczyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W piątkowy wieczór, gdy Charles po nią przyjechał, wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku. W domu nie było nikogo. Zelda gdzieś się wybrała. Dafne poszła na jakąś imprezę z koleżankami, Sam był już zdrowy i nocował u kolegi, a Jack został zaproszony na urodziny. Maxine kupiła szkocką whisky, dżin, szampana i butelkę dobrego francuskiego wina. Solidnie przygotowała się na tę wizytę. Czekwała na niego ubrana w krótką czarną sukienkę. Włosy uczesała w zgrabny kok. Miała w uszach kolczyki z diamencikami, a na szyi perły.

Kiedy o siódmej otwierała mu drzwi, miał taką minę, jakby wstępował na pole minowe. Rozejrzał się i zaczął nasłuchiwać. Cisza go zaskoczyła.

- Co zrobiłaś z dziećmi? - spytał zaniepokojony. Uśmiechnęła się.

- Oddałam je do adopcji, a nianię zwolniłam. Nie było to łatwe, ale rodzinę poświęca się dla wyższych celów. Nie chciałam, żeby dzieci zepsuły nam kolejny wieczór. Pozbyłam się ich wszystkich bez mrugnięcia okiem.

Poprosił o szkocką z wodą sodową. Usiedli w salonie przy srebrnej tacy pełnej orzechów. Cisza aż dzwoniła w uszach.

- Przykro mi z powodu wtorku, Charles. Przeżyłeś sceny jak z horroru.

Lub raczej prosto z życia. Aż za bardzo.

- To było jak otrzęsiny. Przechodziłem już podobne w college'u.

Wkładanie głowy do wiadra z piwem było pewnie łatwiejsze i bardziej zabawne niż to, co go u niej spotkało. Ale próbował dalej. Maxine bardzo mu się podobała. Uczciwa, inteligentna, doskonały psychiatra o wielkim prestiżu zawodowym, a do tego wszystkiego piękna kobieta. Tylu zaletom trudno się oprzeć. Jedyne, co w niej działało mu na nerwy, to dzieci. Nie był przyzwyczajony. Nigdy specjalnie nie zależało mu na tym, żeby mieć własne. Ale Maxine dzieci miała wpisane do inwentarza, nie można było tego zmienić. Jednak przynajmniej tym razem zeszły mu z drogi, i mógł się cieszyć wieczorem we dwoje, a właśnie na to miał największą ochotę.

W La Grenouille zachowali się wobec niego uprzejmie, i mimo odwołania poprzedniej rezerwacji dosłownie w ostatniej chwili, na piątek znowu zarezerwowali dla niego stolik na ósmą wieczorem. Bywał tam często, znali go jako dobrego klienta. Wyszedł z Maxine za kwadrans ósma i dotarli na miejsce punktualnie co do minuty. Kelner zaprowadził ich do jednego z najlepszych stolików. Na razie wszystko szło jak z płatka. „Ale był dopiero początek wieczoru, pomyślał Charles, wiele się jeszcze może zdarzyć”. Po wypadkach sprzed trzech dni nic go już nie mogło zaskoczyć. Wtedy przez chwilę myślał nawet, żeby się wycofać. Ale teraz był zadowolony, że tego nie zrobił. Cieszył się, że jest tu z Maxine, i doskonale się czuł w jej towarzystwie.

Z początku, między przystawką z małż a bażantem, po którym przyszło chateaubriand, rozmawiali o pracy i o aktualnych problemach medycyny, które interesowały ich oboje. Był ciekawy jej opinii, podziwiał wiedzę i orientację. I dopiero przy suflecie poruszył temat Blake'a.

- Byłem zaskoczony, że dzieci nie są wobec niego bardziej krytyczne, skoro tak rzadko znajduje dla nich czas.

Ale rozumiał, że była to raczej jej zasługa, bo gdyby chciała, z łatwością mogła nastawić je przeciwko Blake'owi, który tak mało jej pomagał. I wiele kobiet na jej miejscu nie powstrzymałoby się od tego.

- W gruncie rzeczy porządny z niego facet - powiedziała. - Wyjątkowy gość. One to przecież widzą. Tylko tyle, że ma dla nich trochę za mało czasu.

- Postępuje jak skończony egoista, jest skoncentrowany na własnych przyjemnościach - zauważył Charles.

- Trudno mu się dziwić - odrzekła Maxine ze spokojem - wzięwszy pod uwagę jego sukcesy finansowe. Niewielu ludzi potrafiłoby się oprzeć pokusom. Ma do dyspozycji niezliczone mnóstwo zabawek, a bawić się bardzo lubi. Bawi się przez cały czas. To, co go interesuje, zawsze jest albo zabawne, albo ryzykowne. Taki jest jego styl życia. Nigdy nie było inaczej. Bezpieczniej było oddanie wszystkich tych pieniędzy na cele dobroczynne. Oddał dużo, ale sam nie zajmuje się dobroczynnością. Mówi, że życie jest krótkie, a jemu się powiodło i dlatego ma prawo szukać rozrywek. Był adoptowanym dzieckiem, i myślę, że chociaż miał dobrą i kochającą rodzinę adopcyjną, zawsze towarzyszył mu brak poczucia bezpieczeństwa w sensie materialnym i emocjonalnym. Próbuje brać z życia, ile tylko może, zanim wszystko straci. Trudno walczyć z takim podejściem. Nieustająca obawa przed stratą i porzuceniem każe mu zagarniać, co się da, bo sądzi, że w końcu i tak będzie musiał oddać wszystko. To zresztą rodzaj samospelniającej się przepowiedni.

- Na pewno trudno mu się pogodzić z tym, że stracił ciebie - wtrącił ostrożnie Charles.

- Nie całkiem mnie stracił. Nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Zawsze się spotykamy, kiedy przyjeżdża do Nowego Jorku. Jestem kimś ważnym w jego życiu, bliską osobą i matką jego dzieci. Wie, że może na mnie liczyć. Zawsze mógł. Ale

ma coraz to nowe dziewczyny, o wiele młodsze i zabawniejsze ode mnie. Jestem dla niego zbyt poważna.

Charles też tak myślał. To mu się właśnie w niej podobało. Dla niego była poważna akurat w miarę. Jej związek z byłym mężem wydał mu się dziwny. Sam nigdy nie widywał byłej żony. Nie mieli dzieci, więc po rozwodzie nic ich już nie łączyło, oprócz pewnej dozy niechęci. Bliskość zniknęła bez śladu. Jakby nigdy nie byli parą.

- Jeśli są dzieci - powiedziała Maxine - to one wiążą ludzi na zawsze. I muszę przyznać, że gdyby ich nie było, bardzo bym tego żałowała. Dobra relacja jest korzystna dla nas wszystkich, a przede wszystkim dla dzieci. Byłoby dla nich bardzo źle, gdyby ich rodzice się nienawidzili.

„Być może, pomyślał Charles, dla dzieci to lepiej, ale gorzej dla mężczyzny, który miałby zająć jego miejsce, dla kobiety, która miałaby ją zastąpić”. Blake był twardą sztuką i niełatwo z nim konkurować. I ona także, choć tak skromna, na swój sposób mogła się wydać nie do zastąpienia.

Mimo olśniewającej kariery zawodowej, mimo sukcesu książek, które napisała, nie było w niej ani cienia arogancji, ani śladu zarozumialstwa. To także mu się podobało. Nie osiągnął tyle co ona i był tego świadomy. Charles West był o sobie bardzo dobrego zdania i nie miał żadnych kompleksów. Miał odwagę głoszenia własnych opinii i nie zawahał się, kiedy uważał, że musi przeciwdziałać jej pomysłom w sprawie Jasona Wexlera. Wycofał się dopiero wtedy, gdy dowiedział się, z jakim autorytetem ma do czynienia. Wtedy uwierzył, że ona wie lepiej.

A prawdę mówiąc, uwierzył w to dopiero po trzeciej próbie samobójczej Jasona. Zrobiło mu się naprawdę głupio. Na ogół nie lubił przyznawać się do błędów, ale w tej sprawie nie miał innego wyjścia. Maxine miała swoją siłę, ale ta siła wydawała mu się niezwykle łagodna, kobieca. Nie czuła potrzeby, by w każdej sprawie postawić na swoim, i rzadko to czyniła, głównie wtedy, gdy się obawiała, że w grę wchodzi sprawy życia i śmierci. Ale jej upór nigdy nie wynikał z pychy.

Charles był gotów uznać ją po prostu za ideał kobiety. Nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak ona.

- Jak twoje dzieci przyjęły, że się ze mną spotykasz? - spytał, gdy byli przy deserze.

Nie odważył się spytać, jak go oceniły, ale był tego bardzo ciekawy. We wtorek nie mógł nie zauważyć, jak bardzo były zaskoczone jego widokiem. Na pewno ich nie uprzedziła, bo przecież sama o nim zapomniała. Nikt się go więc nie spodziewał. Ale wszystko, co się potem zdarzyło, było piekielną niespodzianką dla niego. Nazajutrz opowiedział tę historię przyjacielowi, który pokładał się ze śmiechu. I ten przyjaciel powiedział mu prosto z mostu, że to dobra nauka. Nie bądź taki sztywny, powiedział, Wyluzuj trochę. W zasadzie Charles unikał kobiet z dziećmi. To, że były nimi ciągle zajęte, po prostu mu przeszkadzało. W najlepszym razie miały eksmężów, którzy opiekowali się dziećmi na zmianę z nimi. Ale Maxine nie miała nikogo, kto zdjąłby z niej ten ciężar. Oprócz niani, ale niania też była żywą istotą i miała swoje własne kłopoty. Więc Maxine dźwigała wiele na swoich barkach, i musiał się z tym liczyć, gdyby chciał się z nią związać. Byłoby to dla niego prawdziwe wyzwanie.

- Zupełnie je zatkało - przyznała Maxine. - Nie spotykałam się z nikim od dawna. Wiedzą, że w życiu ich ojca są kobiety, ale chyba nie brały pod uwagę, że i w moim może się ktoś pojawić.

Ona sama też chyba nie brała tego pod uwagę. Mężczyźni, z którymi się spotykała, nie interesowali jej naprawdę, więc szybko znikali z horyzontu. A lekarze z jej kręgów zawodowych wydawali się za bardzo nadęci. Albo czuła, że nie ma z nimi nic wspólnego, albo też jej poświęcenie sprawom zawodowym oni uważali za przeszkodę. Większość mężczyzn nie chce mieć żony, która musi nagle jechać na urazówkę o czwartej nad ranem i codziennie ma tak wiele zajęć poza domem. Blake też tego nie lubił, ale wiedział, że dzieci są dla niej równie ważne jak medycyna. Maxine była nadmiernie obciążona obowiązkami, co wyszło na jaw we wtorkowy wieczór. Niewiele miejsca pozostawało w jej życiu dla drugiej osoby. I Charles

domyślał się, że dzieciom ta sytuacja odpowiada. Miały to wypisane na twarzach, kiedy je zobaczył. Chciały ją zatrzymać dla siebie. Nie był wśród nich mile widzianym gościem. Nie potrzebowały go, a i ona pewnie nie bardzo. Nie miała w sobie tej desperacji, właściwej samotnym kobietom w jej wieku, które nade wszystko pragną związać się z mężczyzną. Wolą swoje samotne, ale szczęśliwe i spełnione życie. To także go w niej pociągało. Nie chciał być niczym wybawieniem, choć chętnie byłby podporą. Maxine tego nie oczekiwała. Ten stan rzeczy miał swoje dobre i złe strony.

- Sądziysz, że mogłyby przywyknąć do czyjejś stałej obecności? - spytał niby od niechcienia, ale badał grunt.

Maxine nie odpowiedziała od razu.

- Możliwe. Chyba tak. To by zależało od tej osoby. Od tego, czy by do nich pasowała. Emocje działają w obie strony i z obu stron potrzeba dużo dobrej woli.

Charles przytaknął. Odpowiedź była rozsądna.

- A ty? Myślisz, że mogłabyś przywyknąć do mężczyzny, który by zagościł na stałe w twoim życiu? Wydajesz się taka samodzielna.

- Jestem samodzielna - powiedziała, popijając napar miętowy, który był ostatnim akcentem cudownej kolacji. Charles naprawdę znał się na jedzeniu i na winach. - Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie. Myślę, że umiałabym się dostosować, gdyby to był ten właściwy mężczyzna. Musiałabym naprawdę uwierzyć, że z tego coś będzie. Boję się popełnić kolejny błąd. Blake i ja byliśmy zbyt różni. Nie zważaliśmy na to, póki byliśmy młodzi. Ale w pewnym momencie stajesz się dorosły i wtedy już bardzo dobrze wiesz, czego ci potrzeba, i to naprawdę nie jest bez znaczenia. W tym wieku już nie możesz sam siebie oszukiwać, że wszystko jest w porządku, kiedy widać, że nie jest. Kiedy jesteśmy starsi, trudniej docierają się tryby, po prostu dlatego, że nasze życie ma ich w sobie coraz więcej. Wszystko wydawało się proste, kiedy byliśmy dziećmi. A potem to już zupełnie inna historia. Nie jest łatwo znaleźć właściwego partnera. Ciekawych kandydatów także spotyka się coraz rzadziej, a ci, którzy się pojawiają, mają za dużo własnego

bagażu. Więc najpierw musi pojawić się poczucie, że cała rzecz jest warta wysiłku. A dzieci to dobra wymówka, żeby nie próbować. Za ich sprawą jestem ciągle zajęta, ale też za ich sprawą szczęśliwa. Kłopot w tym, że dorosną. Wtedy zostanę sama. Na razie jeszcze za wcześnie, żeby się martwić.

Była to prawda, więc znowu przytaknął. Dzieci chroniły ją przed samotnością, były też powodem, by nie szukać nowego związku. Wyczuł, że bała się spróbować jeszcze raz. Miał wrażenie, że Blake zabrał ze sobą lwią część uczuć Maxine, i jeśli nawet, jak to ujęła, byli „zbyt różni”, wciąż jeszcze go kochała. Z tego mógł wyniknąć następny poważny problem. Kto chciałby konkurować z legendą faceta, który doszedł do bajecznych pieniędzy i na dodatek miał tyle osobistego wdzięku? Piekielnie trudne zadanie, niewielu mężczyzn by się na to poważyło i, jak widać, dotąd nie trafił się taki śmiałek.

Zmienił temat, wrócili do rozmowy o pracy. Do jej badań nad manią samobójczą u nastolatków, do jej zainteresowania urazami wywołanymi przez zamachy terrorystyczne. W porównaniu z jej praktyką to, czym on się zajmował, nie było szczególnie interesujące. Miał do czynienia z banalnymi przeziębieniami, z całą gromadą zwyczajnych przypadków i pospolitych dolegliwości, a od czasu do czasu trafiał się pacjent z nowotworem, załamany diagnozą. Ale kogoś takiego Charles musiał niezwłocznie skierować do specjalisty, po czym tracił go z oczu. Jego praktyka nie obracała się wokół sytuacji kryzysowych. Czasem umierał któryś z pacjentów, choć raczej rzadko.

Po kolacji wrócił do niej na szklaneczkę brandy z jej barku. Zaopatrzenie barku było świeżej daty, wszystkie butelki kupiła z myślą o randce, choć nie była nawet do końca pewna, czy do niej dojdzie. Jeśli Charles się nie pojawi, na następną okazję bateria butelek poczeka pięć albo i dziesięć lat, przygadywała Zelda. Ale ten dobrze zaopatrzony barek niepokoił Maxine ze względu na dzieci. Miała zamiar trzymać alkohol pod kluczem. Nie powinno się wystawiać dzieci na pokusy. Przypadek Dafne był dla niej przestrożą.

Maxine podziękowała Charlesowi za wspólny wieczór. Musiała przyznać, że dobrze jej zrobiło parę godzin spędzonych w cywilizowanym świecie, kiedy mogła, dobrze ubrana, spędzić czas na rozmowie z człowiekiem całkowicie dorosłym. Doświadczenie było o wiele ciekawsze niż wizyta w KFC czy w Burger Kingu z pół tuzinem dzieciaków, co, niestety, najczęściej się zdarzało. A Charles docenił w niej naturalną elegancję. Uznał, że Maxine w pełni zasługuje na kolejne spotkania w La Grenouille i miał nadzieję, że do nich dojdzie. Była to jedna z dwóch jego ulubionych restauracji. Jako drugą wymieniał Le Cirque. Cenił dobrą kuchnię francuską wraz z atmosferą, jaka jej towarzyszyła. Znajdował przyjemność w niespiesznym celebrowaniu jedzenia. Podobały mu się nawet ceremonialne bankiety stowarzyszeń lekarskich. Zastanawiał się nad zabraniem jej gdzieś na kolację razem z dziećmi, ale nie był przekonany do tego pomysłu. Mógł z tego wynikać nieudany wieczór, nawet jeśli dzieci jakimś cudem potrafiłyby się odpowiednio zachować. Wolał spotykać się z nią sam na sam, by nic ich nie rozpraszało. Wciąż miał przed oczami widok Sama, wymiotującego mu prawie na buty. Gdy wychodził, napomknęli o tym w żartach, bo stali dokładnie w tym samym miejscu co wtedy.

- Chciałbym się znowu z tobą spotkać, Maxine - powiedział Charles.

Z jego punktu widzenia wieczór był udany. Ona także była zadowolona, mimo wtorkowego falstartu. Tym razem było zupełnie inaczej. Było cudownie.

- Ja też bym chciała.

- Zadzwoń do ciebie.

Nie pochylił się, żeby ją pocałować. Nie chciał jej zrazić. Pośpiech nie był w jego stylu. Jeśli jakaś kobieta naprawdę mu się podobała, działał rozważnie i powoli, zdobywając kolejne przyczółki, by później posunąć się dalej, jeśli oboje będą tego chcieli. Nie był w gorącej wodzie kąpany, lubił znaleźć właściwy moment, ani za wcześnie, ani za późno. Chciał, by to była ich wspólna wola, a dobrze wiedział, że Maxine nie jest jeszcze gotowa. Na tak długo wypadła z randkowego obiegu, a raczej nigdy w nim naprawdę nie była. Myśl o stałym związku jeszcze nie zagościła na dobre w jej głowie.

Więc zamierzał podsuwać tę myśl stopniowo, o ile sam się upewni, że to jest to, czego szukał. Bo i on nie był jeszcze zdecydowany. Dobrze się czuł w jej towarzystwie, ale co do reszty, przyszłość pokaże. Przede wszystkim nie uporał się jeszcze z przeszkodą, jaką stanowiły dzieci.

Kiedy zamykała za nim drzwi, Jack dawno już wrócił z urodzin i spał w swoim pokoju, Zelda też była u siebie. W całym domu panował spokój. Maxine rozebrała się, umyła zęby i położyła się spać, myśląc o Charlesie. Było jej z nim miło, to oczywiste. Ale na myśl, że ma się spotykać z mężczyzną, czuła się nieswojo. Był taki dorosły, taki odpowiedzialny, a przy tym tak dobrze wychowany. Nie mogła sobie wyobrazić sobotniego popołudnia z Charlesem i gromadką dzieci, choć jeśli chodzi o Blake'a, to tak właśnie spędzał czas, kiedy zjawiał się w Nowym Jorku. Nic w tym dziwnego, Blake był przecież ich rodzonym ojcem. A jego życie i tak nie toczyło się w domu. Był tylko podróżnym, przejazdem goszczącym w ich życiu, choć przecież podróżnym najmilej widzianym. Był jak kometa na ich niebie.

Charles miał w sobie coś solidnego, i to ją do niego zbliżało. Ale nie był ani radosny, ani zabawny, ani zdolny do szalonych pomysłów. Przez chwilę o tym zapomniała, ale teraz na nowo zrozumiała, że nie można mieć wszystkiego. Gdyby kiedyś chciała na serio z kimś się związać, to tylko z kimś, na kim naprawdę można polegać. Charles z pewnością należał do takich ludzi. Uśmiechnęła się do siebie na myśl, że wie, czego jej potrzeba. Blake był szalony i pełen pomysłów. Charles - odpowiedzialny i godny zaufania. Niestety, na całym świecie nie ma mężczyzny, który łączyłby w sobie te dwie cechy. Nie może istnieć dorosły Piotruś Pan z solidnymi zasadami. To zbyt wiele. I jeśli zacznie czekać na kogoś takiego, pomyślała, ma wszelkie szanse zostać na starość sama. Życie z kimś takim jak Blake nie jest możliwe, a z kimś takim jak Charles - może nie dość pociągające. Więc nie trzeba zbyt wiele o tym myśleć. Nikt jej nie zmusza, żeby dokonała wyboru. Była po prostu kolacja, dobre jedzenie i dobre wino w towarzystwie inteligentnego faceta. Przecież nikt nie wspominał o małżeństwie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Blake był w Londynie. Miał się tam spotkać ze swoim doradcą finansowym w sprawie trzech spółek, które właśnie zamierzał przejąć. Miał też umówione spotkania z architektami. Jedno w sprawie wprowadzenia pewnych zmian w jego londyńskim mieszkaniu, drugie na temat przebudowy nowego domu w Marakeszu. W sumie w obu projektach uczestniczyło sześciu specjalistów od wnętrz. Blake czerpał z tego mnóstwo przyjemności. Zamierzał zostać w Londynie przez miesiąc, a po Bożym Narodzeniu zabrać dzieci do Aspen. Zaprosił także Maxine, ale odmówiła, utrzymując, że należy mu się trochę czasu sam na sam z dziećmi, co jego zdaniem było zupełnie bez sensu, bo zawsze bawili się najlepiej, kiedy była razem z nimi.

Kiedy przywoziła mu dzieci do którejś z jego posiadłości albo brała od niego jacht na kilka letnich tygodni, to zazwyczaj dzień lub dwa na początku i na końcu spędzali z nimi we dwójkę. Wielkoduszność leżała w jego naturze. Ale równie chętnie pożyczał jacht i domy przyjaciołom. Nie mógł korzystać ze wszystkiego naraz. I nie potrafił zrozumieć, o co Maxine podniosła taką wrzawę, kiedy pozwolił Dafne wziąć klucze od nowojorskiego apartamentu.

Dafne była już wystarczająco duża, żeby nie narobić z koleżankami bałaganu, a gdyby nawet, miał przecież służbę, która mogła posprzątać. Uważał, że jeśli Maxine czegoś się w związku z tym obawia, to tylko dlatego, że popada w paranoję. Wiedział, że jego córka jest dobrym dzieckiem, a poza tym, co mogłoby jej się przytrafić w wieku trzynastu lat? Po kilku rozmowach telefonicznych na ten temat ustąpił dla świętego spokoju, choć nadal uważał, że Maxine popada w przesadę. Penthouse stał pusty przez większą część roku. W Londynie Blake bywał o wiele częściej i to w Londynie przecinały się zazwyczaj jego szlaki. Wybierał się do Szwajcarii na narty przed powrotem do Nowego Jorku. Zamierzał spędzić tam parę dni dla rozgrzewki przed Aspen. Nie był na nartach już od maja, gdy zrobił krótki wypad do Ameryki Południowej.

W ciągu pierwszych dni spędzonych w Londynie po świątecznym spotkaniu z dziećmi, Blake poszedł na koncert Rolling Stonesów, ulubiony zespół muzyczny, na który został zaproszony przez samego Micka Jaggera, należącego do jego starych przyjaciół. To on wprowadził Blake'a w świat rocka, w ten sposób Blake poznał wiele gwiazd. Były wśród nich kobiety. Krótki romans Blake'a z jedną z tych kobiet, słynną piosenkarką rockową, przetoczył się przez czołówki wielu gazet, i z jej winy ten romans nagle się zakończył, kiedy wyszła za mąż za kogo innego. Dla niego małżeństwo nie wchodziło w grę, przyznawał to uczciwie. Nigdy przed żadną kobietą nie udawał, że chce się z nią ożenić, ani nawet nie sugerował, że gotów byłby to rozważyć. Miał za dużo pieniędzy i za dużo do stracenia w razie rozwodu. Chyba że jego żona byłaby równie bogata jak on. Ale dziewczyny, z którymi flirtował, bogate wcale nie były.

Najbardziej lubił te młode, pełne życia, niemające zobowiązań. Chciał się tylko bawić w ich towarzystwie. Nigdy żadnej nie skrzywdził. Po skończonym romansie zostawiał im cenną biżuterię, futra, samochody i inne prezenty, a także najpiękniejsze wspomnienia. On zaś rozglądał się za następnym flirtem. Wciąż zaczynał od początku. Kiedy przyjechał do Londynu, akurat z nikim nie był związany. Nie miał z kim pójść na koncert Rolling Stonesów, poszedł więc sam. A potem wylądował na bajecznie wystawnym przyjęciu w Kensington Palace. Można tam było spotkać członków rodziny królewskiej, modelki, aktorki, lwy salonowe i arystokratów - cały wielki świat. To był jego świat. Świat, który Blake kochał.

Tego wieczoru flirtował z tuzinem kobiet, poznał paru interesujących mężczyzn, i już zbierał się do wyjścia, popijając przy barze ostatniego drinka, gdy zauważył, że uśmiecha się do niego piękna rudowłosa dziewczyna. Miała w nosie kolczyk z diamentem, na czole nosiła hinduski znak bindi, znak kobiet zamężnych - rubinową kropkę między brwiami. Ubrana była w sari. Włosy dzięki żelowi sterczały sztywno, ramiona pokrywał tatuaż. Przyglądała mu się bez skrepowania. Nie wyglądała na Hinduskę, choć rubinowa kropka między brwiami w pierwszej chwili trochę go zmyliła. Sari miało kolor błękitnego letniego nieba, podobnie jak

jej oczy. Nigdy jeszcze nie widział Hinduski z tatuażami. Przedstawiała kwiaty. Takie same zobaczył na jej odsłoniętym płaskim brzuchu. Piła szampana i przegryzała oliwkami ze szklanej misy stojącej na barze.

- Cześć - powiedziała po prostu.

Gdy jej olśniewająco błękitne spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Blake'a, uśmiechnęła się do niego jeszcze szerzej. Była pociągająca w najwyższym stopniu, a przy tym nie umiał odgadnąć jej wieku. Od osiemnastki do trzydziestki, wszystko było możliwe. Zresztą wiek nie miał znaczenia. Wydała mu się cudowna.

- Skąd pani jest? - spytał, spodziewając się, że powie z Bombaju, albo z Delhi, choć ruda fryzura także przeczyła takiej możliwości. Zaśmiała się i pokazała rząd pięknych białych zębów. Była najdziwniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

- Z Knightsbridge - powiedziała, nie przestając się śmiać. Jej śmiech dźwięczał mu w uszach jak dzwoneczki, delikatnie i miło.

- A bindi?

- Podoba mi się. Mieszkałam w Dżajpurze przez dwa lata. Polubiłam sari i kolczyki.

Wystarczyło pięć minut znajomości, by Blake oszalał na jej punkcie.

- Był pan kiedyś w Indiach? - spytała.

- Kilka razy - rzucił lekko. - Kiedyś byłem na safari, a rok temu pojechałem tam robić zdjęcia tygrysów. Ale najwspanialsze tygrysy widziałem w Kenii.

Podniosła brwi.

- Urodziłam się w Kenii. Moja rodzina mieszkała przedtem w Rodezji. A potem wróciliśmy do Anglii. Ale tu jest straszliwie nudno. Wrócę do Afryki przy pierwszej okazji, jaka mi się trafi.

Była więc Brytyjką, a akcent i intonacja zdradzały jej pochodzenie z wyższych sfer, więc zaczął się zastanawiać, kim może być i kim są jej rodzice. Na ogół nie zadawał sobie takich pytań, lecz tym razem obudziła się w nim ciekawość. Nawet te tatuaże były intrygujące.

- A pan? Kim pan jest? - spytała.

Była zapewne jedyną osobą w okolicach baru, która tego nie wiedziała. To mu się spodobało. Kryła się w tym jakaś ożywcza świeżość. I od początku czuł, że przyciągają się nawzajem. Z wielką siłą.

- Blake Williams.

Nie powiedział nic więcej. Dopijała szampana. Blake miał w szklance wódkę z lodem. To był jego ulubiony drink przy podobnych okazjach. Po szampanie następnego dnia bolała go głowa, po wódce nigdy.

- Jest pan Amerykaninem. Żonaty?

Uznał to pytanie za dziwactwo.

- Nie. Dlaczego?

- Nie zadaję się z żonatymi. Nawet z nimi nie rozmawiam. Miałam do czynienia z pewnym koszmarnym Francuzem, który okłamywał żonę. Kto raz się sparzył, dmucha na zimne. Amerykanie są na ogół w porządku pod tym względem. Francuzi nie. Ma taki żonę i kochankę i oszukuje obydwie. A pan kogoś oszukuje? - zapytała, jakby oszukiwanie było rodzajem sportu, czymś jak tenis albo golf. I znowu się roześmiała.

- W zasadzie nie. Nie, naprawdę myślę, że nigdy tego nie robiłem. Zresztą nie miałbym powodu. Nie mam nawet żony. A jeśli przyjdzie mi ochota przespać się z kimś nowym, po prostu zrywam poprzedni związek. To znacznie prostsze od kłamstwa. Bardzo nie lubię dramatów i komplikacji.

- Ja też ich nie lubię. I właśnie tak wyobrażam sobie Amerykanów. Są prostolinijni i nieskomplikowani. To tylko Europejczycy wszystko komplikują. Robią, co mogą, by życie stało się problemem. Moi rodzice rozwodzili się przez dwanaście lat. Ciągłe schodzili się i rozchodzili. Dla reszty rodziny to było nie do zniesienia. Co do mnie, nigdy nie wyszłam za mąż i nie zamierzam. Małżeństwo to same kłopoty.

Mówiła o tym swobodnie, jakby rozmawiali o pogodzie albo podróżach. Była piękną i bardzo dziwną dziewczyną. Brytyjczyk określiłby ją słowem „narwana”. W tym sari, z tatuażami i kropką na czole miała w sobie coś z leśnej nimfy albo elfa.

Na przedramieniu nosiła wielką bransoletę ze szmaragdami, której przedtem nie dostrzegł pośród tatuaży, a na palcu duży pierścień z rubinem. Kimkolwiek była, biżuterii raczej jej nie brakowało.

- Powinienem się z panią zgodzić, że ludzie lubią robić z życia wielki problem. Ale jestem w jak najlepszych stosunkach z moją byłą żoną. Lubimy się bardziej niż za czasów małżeńskich.

Był przekonany, że Maxine też tak uważa.

- Macie dzieci? - spytała, podsuwając mu oliwki. Wrzucił dwie do swojej szklanki.

- Tak, trójkę. Dziewczynkę i dwóch chłopców. Trzynaście, dwanaście i sześć lat.

- Uroczy wiek. Co do mnie, nie zamierzam mieć dzieci. Ludzie, którzy się na to decydują, są bardzo odważni. Mnie to za bardzo przeraża, te wszystkie koklusze, anginy i ta odpowiedzialność. Potem trzeba posyłać je do szkoły, uczyć dobrych manier. To dużo trudniej, niż ułożyć konia albo psa, a ja nawet tego nie potrafię. Miałam kiedyś psa, załatwiał się wyłącznie w domu. Jestem przekonana, że z dzieckiem byłoby jeszcze gorzej.

Jeszcze się śmiała z tego, co powiedziała, gdy przeszedł Mick Jagger i przywitał się z nią. Różni ludzie się z nią witali i wydawało się, że wszyscy oprócz Blake'a dobrze ją znają, więc nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że nigdy dotąd jej nie spotkał. Bo przecież spędzał w Londynie mnóstwo czasu.

Potem z wielkim przejęciem opowiadał jej o swoim nowym domu w Marakeszu. Ona także uznała, że to bardzo obiecujący projekt. Wyznała, że kiedyś chciała studiować architekturę, ale musiała zrezygnować, bo nie poradziłaby sobie z matematyką. W szkole była do niczego.

Wtedy i do niego podeszli jacyś znajomi, a kiedy znowu odwrócił się w jej stronę, już jej nie było. Był zawiedziony i nieszczęśliwy. Chciałby z nią dalej rozmawiać. Inteligentna, ekscentryczna, nie zapominała języka w gębie.

Była inna niż wszystkie. A przede wszystkim piękna. Spytał o nią Micka Jaggera.

- Nie znałeś jej? - Mick Jagger był zaskoczony. - To Arabella. Jest hrabianką. Jej ojciec uchodzi za najbogatszego faceta w Izbie Lordów.

- Czym ona się zajmuje? - Mógł się spodziewać, że niczym, ale rozmawiając z nią, odniósł jednak wrażenie, że ma co robić w życiu.

- Jest malarką. Portrecistką. Ludzie płacą majątek za jej portrety. Maluje też ich psy i konie. Jest kompletnie zwariowana, ale da się lubić. To taka typowo brytyjska odmiana dziwaczki. Była związana z jakimś niebywale kapryśnym Francuzem, markizem albo kimś takim. Nie wiem, co tam się między nimi wydarzyło, ale za niego nie wyszła. Wyjechała potem do Indii, miała romans z bogatym Hindusem. Wróciła do domu z walizką efektownej biżuterii. Nie wiem, jak to się stało, żeś się wcześniej na nią nie natknął. Może dlatego, że tak długo siedziała w Indiach. Jest przezabawna.

- Tak, świetna dziewczyna - powiedział Blake, zazdrozcząc Jaggerowi tej znajomości. - Wiesz, gdzie jej szukać? Zapomniałem poprosić o numer telefonu.

- Jasne. Niech twoja sekretarka skontaktuje się z moją. Na pewno mam jej numer. Wszyscy mają. Pół Anglii zamawia u niej portrety. Możesz udawać, że chcesz zamówić portret.

Blake nie był pewien, czy potrzebuje pretekstu, choć może dobrze było mieć jakiś w zanadru. Opuścił więc przyjęcie, żałując, że nie wyszedł razem z nią. Nazajutrz rano sekretarka odnalazła numer jej telefonu. Bez najmniejszego trudu.

Przez chwilę siedział nad karteczką, wpatrując się w cyfry, a potem zadzwonił. W słuchawce odezwał się kobiecy głos. Ten sam, który zapamiętał z wczorajszego przyjęcia.

- Arabella?

Starał się, by zabrzmiało to poufale. Czuł się niepewnie, jak nigdy od wielu lat. Była o wiele bardziej wyrafinowana od dziewczyn, które zwykł podrywać. Wolał porównywać ją z huraganem niż z innymi kobietami.

- Tak, to ja - odpowiedziała, ucinając końcówki na sposób brytyjski.

Roześmiała się, zanim zdążył się przedstawić. Znowu usłyszał te same dzwoneczki, które rozbrzmiewały mu w uszach wczorajszego wieczoru. Była cudowna.

- Tu Blake Williams. Spotkaliśmy się na przyjęciu w Kensington Palace przy barze. Uciekła pani bez pożegnania.

- Zajął się pan kim innym, więc poszłam sobie. Jak to miło, że pan zadzwonił. Zabrzmiało szczerze, naprawdę się ucieszyła.

- Ale mniejsza o tamto pożegnanie. Przyjemniej się z panią witać. Czy jest pani wolna w porze lunchu? - spytał bez owijania w bawełnę.

- Niestety, nie - odparła z żalem. - Maluję czyjś portret, a mój model ma czas tylko w porze lunchu. To znany polityk. - Chodziło o Tony'ego Blaira. - Jego kalendarz jest bardzo napięty. Może jutro?

- Byłbym szczęśliwy.

Blake czuł się jak dwunastolatek. Miała dwadzieścia dziewięć lat, ale przy niej tak się właśnie czuł, choć skończył już czterdzieści sześć.

- W Santa Lucia o pierwszej?

- Zgoda. Jesteśmy umówieni - powiedziała. - A więc do jutra.

Zanim się obejrzał, już się rozłączyła, bez żadnych pogaduszek. Tylko to, co niezbędne, żeby się spotkać na lunchu. Zastanawiał się, czy przyjdzie znowu w hinduskim stroju. Nie mógł się doczekać, kiedy ją znowu zobaczy, i o niczym innym nie potrafił myśleć. Już od lat żadna kobieta nie wprawiła go w taki stan.

Nazajutrz Blake przyszedł na spotkanie punktualnie i czekał na nią przy barze. Zjawiała się po dwudziestu minutach, z nastroszoną rudą fryzurą, w spódniczce mini, zamszowych butach na obcasie i w nieprawdopodobnym futrze z rysiów. Wyglądała jak gwiazda filmowa. Hinduska kropka między brwiami zniknęła bez śladu. Arabella pachniała dziś raczej Mediolanem albo Paryżem, ale oczy miała nadal tak olśniewająco błękitne, jak mu się wydawało wczoraj. Rozpromieniła się na jego widok i uściśnęła go jak starego znajomego.

- To miło, że zaprosiłeś mnie na obiad - powiedziała tak, jakby zaproszenie na obiad zdarzyło się jej po raz pierwszy w życiu.

Bił od niej blask, i mimo demonstrowanej swobody, Blake wyczuwał jakiś rodzaj niedostępności. To najbardziej go podniecało. Czuł się jak szczenię u jej stóp, nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Sam szef zaprowadził ich do stolika, uwijając się z jednakową gorliwością wokół obojga.

Rozmowa przy stole płynęła swobodnie. Blake wypytywał o jej pracę i opowiadał o swoich doświadczeniach w branży internetowej, co bardzo ją zainteresowało. Rozmawiali o sztuce, architekturze, żeglarskim, koniach i psach. Również o jego dzieciach. Wymienili opinie na każdy temat, jaki tylko przyszedł im do głowy i opuścili restaurację o czwartej. Powiedział, że bardzo chciałby zobaczyć jej obrazy. Zaprosiła go do swojej pracowni na jutro, zaraz po sesji z Tonym Blaire'em. Powiedziała coś jeszcze, a mianowicie, że w piątek wyjeżdża na wieś. W Anglii każdy, kto coś znaczył, spędzał weekendy na wsi, albo we własnym wiejskim domu, albo u przyjaciół. Ledwie rozstali się na ulicy, Blake już zaczął za nią tęsknić. Obsesja na jej punkcie opanowała go do tego stopnia, że po południu wysłał jej bukiet kwiatów z dowcipnym bilecikiem. Kiedy go doręczono, zadzwoniła natychmiast. Były to róże i orchidee, przetykane dzikimi liliami. Zamówił ten bukiet w najwytworniejszej kwiaciarni Londynu. Skomponował go, dorzucając elementy egzotyki, bo uważał, że to do niej pasuje najlepiej. Był przekonany, że poznał kobietę swojego życia, która w dodatku była bardziej sexy niż ktokolwiek na świecie.

Przyszedł do jej pracowni nazajutrz późnym przedpołudniem, zaraz po wyjściu Tony'ego Blaira. Wygląd Arabelli znowu go zaskoczył. Była kobietą o wielu twarzach. Wcielała się w egzotyczną Hinduskę, to znów w królową balu, w jednej chwili przypominała dziecko, w następnej wampa, potem nimfę, i zawsze miała w sobie coś z życiowego rozbitka. Kiedy wpuściła go do swojej pracowni, ubrana była w wytarte dzinsy poplamione farbami, czerwone trampki i biały podkoszulek. Na przedramieniu nosiła ciężką bransoletę z rubinami, a między

brwiami znów pojawiło się hinduskie bindi. Wszystko w niej było trochę szalone, ale tym bardziej interesujące. Pokazała mu kilka portretów, nad którymi właśnie pracowała, a także kilka starszych rzeczy, które zrobiła tylko dla siebie. Były piękne. Niektóre przedstawiały konie. Portret premiera Blaira był zdaniem Blake'a wyjątkowo udany. Mick Jagger się nie mylił, naprawdę miała talent.

- Twoje obrazy są wspaniałe. Absolutnie fantastyczne, Arabello.

Otworzyła butelkę szampana, aby uczcić jego pierwszą wizytę w pracowni. Lecz nie ostatnią, taką wyraziła nadzieję. Wypił z nią dwa kieliszki, mimo swej zadawnionej niechęci do szampana. Dla niej wypiłby przecież nawet truciznę. I zaprosił ją do siebie. Chciał jej teraz pokazać swoje skarby. Miał trochę naprawdę cennych dzieł sztuki i niezwykły dom, który kochał, z którego był dumny. Bez trudu znaleźli taksówkę i po pół godzinie zwiedzali już dom Blake'a, a Arabella co chwila wydawała okrzyki zachwyty. On także otworzył butelkę szampana - dla niej, bo sam pił tym razem wódkę z lodem. Włączył sprzęt nagłaśniający, zaprezentował salę widowiskową, którą niedawno urządził, pokazał jej wszystko, czym się mógł pochwalić, a o dziewiątej wieczorem już leżeli w jego ogromnym łóżu, Kochając się w najbardziej szalony sposób. Nigdy dotąd nie doświadczył czegoś takiego, nawet będąc pod wpływem narkotyków, z którymi miał trochę doświadczeń, choć raczej nieprzyjemnych. Arabella sama w sobie działała na niego jak narkotyk, i gdy później leżeli obok siebie w jego wielkiej wannie, czuł się tak, jakby odbył z nią podróż na księżyc i z powrotem. A potem ona znowu się chciała kochać. Jęcząc z nieprzytomnej rozkoszy po raz czwarty tego wieczoru, słyszał jej śmiech, w którym dźwięczały dzwoneczki. Elf, napotkany w Kensington Palace, doprowadził go na skraj szaleństwa. Blake nie wiedział czy to miłość, czy obłąd, ale czymkolwiek to było, pragnął, by trwało bez końca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W następny piątek Charles i Maxine znowu umówili się na spotkanie dwojga bardzo odpowiedzialnych dorosłych w La Grenouille. Zamówili langustę i doskonale białe risotto z truflami. I znowu Maxine była zachwycona kolacją, nawet jeszcze bardziej niż przed tygodniem. Podobała jej się także rozmowa, którą prowadzili, inteligentna, interesująca, a Charles nie wydawał się już tak zasadniczy jak przedtem. Nie był pozbawiony poczucia humoru, tylko starał się utrzymywać je w ryzach. Tak jak wszystko inne. Jak twierdził, lubił, by wszystko w jego życiu było zaplanowane, przewidywalne i pod kontrolą. Prowadził właśnie takie życie, jakie było marzeniem Maxine, i do jakiego nie udało jej się nakłonić Blake'a. Nawet teraz, już po rozwodzie, nie było możliwe, bo przy trojgu dzieciach niczego nie da się zaplanować. Również w jej praktyce lekarskiej regularne było jedynie pojawianie się zaskakujących sytuacji. Ale osobowościowo byli do siebie podobni. Charles był znacznie bliższy jej ideału niż Blake, i powtarzała sobie, że jeśli nawet jest mniej spontaniczny, to przynajmniej potrafi zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa. Wiedziała, czego się można po nim spodziewać. I był miły, co także ją w nim pociągało.

Właśnie wracali taksówką do domu po drugim spotkaniu w La Grenouille. Zapowiedział wypad do Le Cirque na następny piątek, a potem może będzie Daniela albo Café Boulud. To były jego ulubione miejsca, które pragnął z nią dzielić. W taksówce odezwał się jej telefon. Myślała w pierwszej chwili, że to któreś z dzieci. Ale to była wiadomość od Thelmy Washington, która prosiła o kontakt, co oznaczało, że z którymś z pacjentów Maxine stało się coś poważnego. Tylko w takich sprawach Thelma zwracała się do niej w weekendy. Jeśli sprawa nie była zbyt poważna, Thelma zajmowała się nią sama, chyba że Maxine z góry uprzedziła, iż chce zostać powiadomiona.

- Cześć. Co się dzieje? - spytała szybko Maxine.

Charles też pomyślał, że to któreś z jej dzieci. Miał nadzieję, że to nic pilnego. Spędzali razem przyjemny wieczór i nie życzył sobie, żeby cokolwiek im w tym przeszkodziło. Maxine słuchała uważnie, ze ściągniętymi brwiami, przymknawszy powieki. To nie wróżyło nic dobrego.

- Ile dostała jednostek krwi?

Zapadła cisza, bo Maxine słuchała odpowiedzi.

- Mamy w odwodzie jakiegoś kardiochirurga, który mógłby szybko przyjechać? Może Jones? O, cholera... Dobra. Zaraz tam będę.

Obróciła się do Charlesa ze zmartwioną miną.

- Bardzo mi przykro. To okropne, że na koniec muszę ci zepsuć wieczór.

Jedną z moich pacjentek zabrała właśnie karetka reanimacyjna. Chciałabym, żeby ta taksówka zawiozła mnie do szpitala Columbia Presbiteryan. Po drodze podrzucę cię do domu.

W głowie huczało jej to, co powiedziała Thelma. Chodziło o piętnastoletnią dziewczynę. Maxine zajmowała się nią dopiero od pół roku. Właśnie podjęła próbę samobójczą i znajdowała się na granicy życia i śmierci. Maxine uważała, że powinna być przy niej, by uczestniczyć w decyzjach, jakie będzie trzeba podejmować. Charles natychmiast się zgodził, ale dodał:

- Dlaczego nie miałbym pojechać tam z tobą? Mogę być w pobliżu i służyć wsparciem moralnym, jeśli już do niczego innego się nie przydam.

Mógł się jedynie domyślać, z jak ciężkimi przypadkami miała do czynienia na co dzień. Podziwiał ją za to. Z medycznego punktu widzenia były to sprawy ciekawsze od tych, którymi on się zajmował, lecz również bardziej stresujące.

- Może się zdarzyć, że spędzę tam całą noc. Mam przynajmniej nadzieję, że tak będzie. - Jedynym powodem, by stało się inaczej, byłaby śmierć pacjentki, niestety, bardzo prawdopodobna.

- To nie problem. Jeśli nie wytrzymam, wrócę do domu. Do diabła, przecież jestem lekarzem. To dla mnie nic nowego.

Uśmiechnęła się. Było jej przyjemnie, że łączy ich medycyna. Wspólnota doświadczeń tworzy silną więź. Podała kierowcy adres szpitala i popędzili w stronę północnej części miasta. Maxine tymczasem wyjaśniała Charlesowi sytuację. Dziewczyna podcięła sobie żyły na nadgarstkach i wbiła w serce kuchenny nóż. Zadała sobie mnóstwo trudu. Przez zupełny przypadek matka znalazła ją na tyle szybko, że istniała nikła szansa na odratowanie. Karetka przybyła na miejsce w ciągu paru minut. Podali jej dotąd dwie jednostki krwi. W drodze do szpitala serce stanęło dwa razy, ale zmusili je do podjęcia pracy na nowo. Była na granicy śmierci, lecz jednak żyła. To jej druga próba samobójcza.

- Mój Boże, więc ona tego nie zrobiła na niby. Zawsze myślałem, że samobójstwa wśród dzieciaków to tylko taka gra o uwagę dorosłych, i że starają się wszystko robić tak, żeby ich odratowano.

Nie, to nie było na niby. Rozmawiali o tym, ale gdy tylko przybyli na miejsce, Maxine od razu wkroczyła do akcji. Ubrana była w czarną koktajlową sukienkę i pantofle na wysokich obcasach. Zrzuciła wieczorowy płaszcz, pożyczyła biały fartuch i odnalazła Thelmę, a potem spotkała się z ekipą od reanimacji. Zbadła pacjentkę, porozmawiała z chirurgiem, z lekarzem dyżurnym i z lekarzem prowadzącym. Na żyły założono już szwy. Kardiochirurg przyjechał po kwadransie i zabrał pacjentkę na salę operacyjną, Maxine tymczasem została z rodzicami dziewczyny. Charles rozmawiał w korytarzu z Thelmą.

- Widać, że naprawdę coś umie - powiedział.

Thelma całkowicie się z nim zgadzała, co do umiejętności Maxine, i nawet dość jej się podobało, że był tak przejęty i pełen szacunku. Maxine była szybka jak tornado. Spotkała się z nimi w korytarzu pół godziny później.

- Co z dziewczyną? - spytała Thelma.

Mogła już wracać do domu, została tylko ze względu na Charlesa. Natomiast Maxine nie miała wyboru, trzymały ją obowiązki.

- Nadal czekamy. Nie wiadomo, co z tego będzie - powiedziała Maxine, błagając los, żeby organizm wybrał życie.

Eloise, jej pacjentka, była na sali operacyjnej już od czterech godzin, gdy przed piątą rano Maxine usłyszała wreszcie coś konkretnego. Ku jej zdumieniu Charles czekał razem z nią. Thelmy już dawno nie było. Chirurg wszedł do pokoju lekarskiego z miną zwycięzcy i uśmiechnął się do nich szeroko.

- Daję słowo, czasem zdarzają się cuda. Ta mała była o włos od śmierci. Wiele się jeszcze będzie działo w najbliższych dniach, ale na razie możemy mieć nadzieję, że z tego wyjdzie.

Z westchnieniem ulgi Maxine rzuciła się Charlesowi na szyję. Przytulił ją z uśmiechem. Był wyczerpany, ale zadowolony, bo z medycznego punktu widzenia ta noc była jednym z jego najciekawszych doświadczeń od wielu lat. Śledził rozwój sytuacji i decyzje, jakie podejmowano w porozumieniu z Maxine.

Poszła porozmawiać z rodzicami dziewczyny, a parę minut po szóstej razem z Charlesem opuściła szpital. Zamierzała wrócić tu za parę godzin. Wiedziała, że będzie musiała być w stałym kontakcie ze szpitalem jeszcze przez kilka dni, ale najgorsze minęło. Można było sobie pozwolić tylko na umiarkowany optymizm, przecucie mówiło jej, że tym razem się uda wyrwać dziewczynę ze szponów śmierci.

- Brak mi słów, żeby powiedzieć ci, jak bardzo jestem pod wrażeniem - wyznał cicho Charles. Objął ją ramieniem, a ona się do niego przytuliła, kiedy jechali znowu taksówką. Jeszcze nie ochłonęła ze szczęścia po pomyślnym finale nocnej akcji ratunkowej, ale zmęczenie dawało znać o sobie. Oboje wiedzieli, że teraz ma ledwo parę godzin na odpoczynek, a potem musi wracać do szpitala. Ale dla niej to nie było nic nowego.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - Dziękuję, że zostałeś. Pomogłeś mi tym, że byłeś obok. W takich sytuacjach zawsze jestem sama. Mam nadzieję, że tym razem dobrze się skończy. Przecucie mi to mówi.

- Mnie też. Ten kardiochirurg to najwyższa klasa. Tak samo pomyślał o niej.

- Tak, to świetny fachowiec.

Gdy taksówka zatrzymała się przed jej domem, nagle dotarło do niej, jak bardzo jest wykończona. Wysiadła, nogi ciążyły, jakby były z ołowiu, poczuła, że ani chwili dłużej nie wytrzyma na wysokich obcasach. Nadal miała na sobie biały fartuch, a pod nim wieczorową sukienkę. W rękach trzymała płaszcz. Charles nosił dobrze skrojony ciemny garnitur w klasycznym stylu, białą koszulę i krawat w kolorze morskim. Podobał jej się ten klasyczny styl. I to, że po długiej nocy w szpitalu elegancja Charlesa pozostała nienaganna.

- Czuję się jak psu z gardła wyjęta - powiedziała ze śmiechem.

- Wcale na to nie wyglądasz. Byłaś wspaniała.

- Dzięki. Wspaniały był cały zespół, a najwspanialsze jest to, że akurat mieliśmy szczęście. Nigdy nie wiesz, jak się sprawy potoczą. Trzeba tylko czynić wszystko, co w naszej mocy i modlić się, żeby się udało. Zawsze tak robię.

Patrzył na nią pełen podziwu i uwielbienia. Było pół do siódmej rano, a on zapragnął pójść z nią do jej mieszkania i położyć się razem z nią do łóżka. Po tej ciężkiej nocy, kiedy jej nie opuścił, chciałby zasnąć przytulony do niej, czując na sobie jej ramiona. Wczoraj każde z nich sądziło, że jeszcze za wcześnie nawet na pocałunek, ale ostatnie godziny wiele zmieniły. Pocałował ją więc, a potem jeszcze raz, dłużej. Objęła go mocno.

- Zadzwoń do ciebie - wyszeptał.

Maxine przez długi czas siedziała jeszcze w kuchni, myśląc o uratowanej pacjentce, o całej tej ciężkiej nocy, o pocałunku Charlesa. Nie wiedziała, która z tych trzech rzeczy najbardziej ją porusza. Bez wątplenia najistotniejsza była udaremniona próba samobójcza. Ale pocałunek Charlesa był dla niej zaskoczeniem. A przy tym sprawił jej przyjemność. Lubiała jego obecność. Wydawało się, że Charles pod każdym względem spełnia jej oczekiwania.

I teraz, wiedząc, że wszystko jest możliwe, poczuła lęk. Nie była pewna, czy w jej życiu znajdzie się miejsce i dla niego, i dla jej dzieci.

Dochodziła już dziewiąta, kiedy wreszcie położyła się do łóżka. Dzieci jeszcze spały i miała nadzieję, że zdąży trochę odpocząć, zanim się obudzą. Gdy po dwóch

godzinach wstała i poszła do kuchni wypić kawę, nagły atak ze strony Dafne niemal zbił ją z nóg. Nie była na to przygotowana. Na dzień dobry Dafne omal nie zamordowała jej wzrokiem, a Maxine nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Gdzie byłaś w nocy? - spytała Dafne, kipiąc gniewem.

- W szpitalu. O co ci chodzi?

- Kłamstwo! Byłaś z NIM!

Zachowywała się jak zdradzona kochanka. Nic się nie może równać z wściekłością dziecka, które się dowiaduje, że matka kogoś ma. Wystarczą nawet same podejrzenia.

- Owszem, byłam z NIM na kolacji, jeśli o to ci chodzi - odpowiedziała spokojnie Maxine. - W taksówce dostałam wiadomość, że jedna z moich pacjentek jest w szpitalu. Myślę, że wyciągnęliśmy ją z najgorszych kłopotów i będzie dobrze, jeśli nic nowego się nie wydarzy. - Zazwyczaj w takich wypadkach opowiadała dzieciom z grubsza o przebiegu akcji ratunkowej.

- Nie wierzę ci. Myślę, że byłaś u niego przez całą noc. Spałaś z nim.

Dafne rzuciła jej te słowa prosto w twarz ze złością, a Maxine patrzyła na nią zdumiona. Ten wybuch był zupełnie nieoczekiwany i uprzytomnił jej, jak silny opór ze strony dzieci wywoła pojawienie się Charlesa w jej życiu. Przynajmniej jeśli chodzi o Dafne.

- To się może zdarzyć, i może to będzie on, a może ktoś inny. Jeśli w moim życiu zajdzie jakaś zmiana, na pewno nie zapomnę wam o tym powiedzieć. Ale zapewniam cię, że tę noc spędziłam w szpitalu. Twoje zachowanie jest nie do przyjęcia.

Maxine też się rozgniewała, więc Dafne trochę zmiękła.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? - spytała.

W tej chwili do kuchni wszedł Sam i popatrzył na siostrę z urazą. Wydawało mu się, że jest niemiła dla mamy, i właśnie tak było.

- Dlatego, że jak dotąd nigdy cię nie oszukałam - powiedziała surowo Maxine.

- I nie ma powodu, żebym teraz zaczęła kłamać. Nie podobają mi się twoje oskarże-

nia. Są aroganckie, niepotrzebne i nieuzasadnione. Więc się opanuj i zacznij zachowywać przyzwoicie.

Po tych słowach Maxine opuściła kuchnię, nie odezwawszy się ani słowem do Sama.

- Patrz, co zrobiłaś - warknął Sam. - Mama się przez ciebie wściekła. A pewnie jest zmęczona, jeśli nie spała całą noc. I teraz do wieczora będzie miała popsuty humor. Wielkie dzięki.

- NIC nie rozumiesz - powiedziała Dafne i wyszła, trzaskając drzwiami. Sam pokręcił głową i nasypał sobie płatków kukurydzianych do miseczki. Od rana wszystko wskazywało, że nie będzie to łatwy dzień.

W południe Maxine była z powrotem w szpitalu i przekonała się, że z Eloise jest coraz lepiej. Odzyskała już świadomość. Maxine mogła z nią nawet porozmawiać, ale nie dowiedziała się, dlaczego dziewczyna zrobiła to, co zrobiła. Wskazana była długoterminowa hospitalizacja. Rodzice wyrazili zgodę. Bez względu na koszty. Nie chcieli ryzykować kolejnej próby samobójstwa.

Okolo drugiej wróciła do dzieci. Dafne gdzieś poszła z koleżankami, podobno poszukać świątecznych prezentów. Choć Maxine sądziła raczej, że córka po prostu nie chce się z nią spotkać. I na razie jej to odpowiadało. Wciąż jeszcze była zła na Dafne za jej poranne zachowanie. A Sam był, jak zwykle, przemiły. Pojechali razem na mecz piłkarski Jacka. I ku ich radości drużyna Jacka wygrała. Kiedy po piątej wrócili do domu, humor im dopisywał. Dafne wróciła już wcześniej, wyraźnie łagodniejsza niż rano.

O szóstej zadzwonił Charles i powiedział, że dopiero niedawno się obudził. Nie mógł uwierzyć, że Maxine była na nogach przez cały dzień.

- To dla mnie zwykła rzecz. - Zaśmiała się. - Nie mam kiedy odpoczywać. Mam przecież dzieci.

- Nie wiem, skąd bierzesz siłę do takiego życia. Bo ja padłem jak długi. Jak się ma pacjentka?

Jego głos brzmiał sennie i zmysłowo.

- Znacznie lepiej. Na szczęście te dzieciaki mają zdrowe organizmy. Dzięki temu dość często udaje się je uratować. Choć, niestety, nie zawsze.

- Cieszę się, że tym razem się udało. - Teraz to była także jego sprawa. - Jakie masz plany?

- Idziemy do kina na dziewiątą, a przedtem chyba wstąpimy gdzieś na pizzę albo na chińskie jedzenie. - I kiedy to powiedziała, wpadła na pewien pomysł. Sądziła, że jest zbyt zmęczony, by do nich dołączyć, i ona także czuła narastające zmęczenie, ale od zawsze kolacja w niedzielny wieczór znaczyła dla nich więcej niż w dzień powszedni. - Może jutro zjadłbyś coś z nami?

- Z tobą i z dziećmi? - upewnił się, wykazując znacznie mniej entuzjazmu, niż oczekiwała. To była dla niego zupełnie nowa sytuacja.

- Tak, mogłoby być wspaniale. Możemy zamówić do domu chińskie jedzenie albo co innego, jeśli wolisz.

- Lubię chińskie jedzenie. Tylko nie chciałbym być intruzem przy rodzinnym stole.

- Myślę, że dla nas to nie będzie problem. A dla ciebie? Śmiała się, a on nie potrafił wymyślić żadnej wymówki.

- Dobrze.

Odpowiedział takim tonem, jakby właśnie zgodził się skoczyć na bungee z wierzchołka Empire State Building. I według jego kryteriów, kolacja z dziećmi należała właśnie do kategorii sportów ekstremalnych. Maxine doceniła jego odwagę. Bo najwyraźniej był tym pomysłem śmiertelnie przerażony.

- Więc przyjdź jutro o szóstej.

Dafne, która właśnie weszła, spiorunowała ją wzrokiem.

- Zaprosiłaś go jutro na kolację? - spytała, gdy tylko Maxine odłożyła słuchawkę.

- Tak. - Nie zamierzała nikogo prosić o zgodę. Do dzieci bez przerwy ktoś przychodził. Zawsze przyjmowała ich gości z otwartymi ramionami, więc ona też miała prawo zapraszać swoich przyjaciół. Nawet jeśli rzadko z tego korzystała.

- To ja nie będę jutro jadła z wami - burknęła Dafne.

- Owszem, będziesz - powiedziała spokojnie Maxine, i przypomniała jej, że też miewa gości. - Nie rozumiem, dlaczego robisz z tego taki problem. On jest naprawdę miłym człowiekiem. Przecież nie zamierzam z nim uciec. Jakoś pogodziłaś się z tym, że twój ojciec ma coraz to nową dziewczynę.

- Czy on jest twoim chłopakiem? - spytała Dafne ze zgrozą.

- Nie, na razie nie jest. Ale nie byłoby w tym nic oburzającego, gdyby nim został. Znacznie dziwniejsze jest to, że przez tyle lat z nikim się nie spotykałam. Więc nie rób z tego jakiejś wielkiej sprawy.

Prawdopodobnie jednak była to wielka sprawa dla Dafne. Zagrożeniem dla niej nie był akurat Charles, tylko sama możliwość pojawienia się mężczyzny w życiu jej matki. Jackowi też nie za bardzo podobał się ten pomysł.

- Na razie nic się nie dzieje - powiedziała Maxine. - Puknijcie się w czoło i nie róbcie z tego tragedii. Po prostu zaprosiłam kogoś do domu. Jeśli coś się u mnie zmieni, nie omieszkam wam powiedzieć. Na razie chodzi tylko o wspólną kolację. Rozumiecie?

Lecz ledwie to powiedziała, przypomniał jej się poranny pocałunek Charlesa. Powinna przyznać córce trochę racji. Już teraz było coś więcej niż wspólna kolacja. Dafne wyszła bez słowa.

Nazajutrz, gdy pojawił się Charles, Dafne zamknęła się w swoim pokoju. Maxine namawiała, prosiła, gniewała się, i uzyskała w końcu tyle, że Dafne przyszła do stołu. Lecz jej zachowanie i mina wyrażały niemy protest. Całkowicie ignorowała Charlesa i rzucała matce ponad stołem piorunujące spojrzenia. A o siódmej, kiedy przyniesiono chińską kolację, odmówiła jedzenia. Za to Sam i Jack jedli, aż im się uszy trzęsły. Charles pogratulował Jackowi wygranego meczu i zaczął go wypytywać o szczegóły.

Potem wdał się w ożywioną dyskusję z Samem. Dafne popatrzyła na braci jak na zdrajców, a dwadzieścia minut później znowu zamknęła się w swoim pokoju. Charles nawiązał do tego, gdy po kolacji Maxine sprzątała ze stołu. Kolacja była

dobra, a Charles całkiem nieźle sobie radził. Nie był przyzwyczajony do rozmów z dziećmi, więc musiał się specjalnie postarać, ale robił, co mógł.

- Dafne mnie nienawidzi - powiedział zgnębiony i sięgnął po ciasteczko ryżowe.

- To nieprawda. Nie zna cię. Po prostu się boi. Nigdy się z nikim nie spotykałam na serio. Nikogo nie zapraszałam do domu na kolację. Ona nie wie, co to wszystko znaczy.

- Wiesz o tym od niej? - spytał. Maxine się roześmiała.

- Nie. Ale jestem matką i lekarzem psychiatrą od nastolatków. Ona czuje się zagrożona.

- Powiedziałem coś, co ją przestraszyło? - zaniepokoił się.

- Nie, byłeś wspaniały. - Uśmiechnęła się do niego. - Po prostu postanowiła zademonstrować swoje stanowisko. Osobiście z trudem znoszę dziewczęta w jej wieku - dorzuciła beztrąsko, a Charles roześmiał się, bo przecież zajmowała się nimi zawodowo. - Najgorsze są piętnastolatki. Ale to się zaczyna już w wieku trzynastu lat. Hormony i tak dalej. Dziewczynki powinny się trzymać pod kluczem i nie wypuszczać przed ukończeniem siedemnastu lat.

- I to mówi osoba, która zajmuje się ich leczeniem. Ładna historia.

- Nie ma się co oburzać. Dzięki doświadczeniu zawodowemu wiem, o czym mówię. Wszystkie są dręczycielkami swoich matek. Bohaterami są dla nich ojcowie.

- Zauważyłem - powiedział ponuro. Dafne przechwalała się ojcem od pierwszych minut ich znajomości. - Ale z chłopcami poszło mi lepiej.

- Poszło doskonale - zapewniła go. - Dziękuję, że spróbowałeś. Mimo że nie pasjonują cię dzieci.

- Ty mnie pasjonujesz - odparł miękko. - Postarałem się dla ciebie.

- Wiem.

I zanim się spostrzegli, już całowali się na środku kuchni. Wtedy wszedł Sam.

- Ojejku! - zawołał, gdy to zobaczył.

Odskoczyli od siebie z minami winowajców, a Maxine otworzyła lodówkę i udawała, że coś w niej przestawia.

- Dafne cię zabije, jak zobaczy, że się całujecie - ostrzegł matkę Sam.

Roześmiała się. Charles też się roześmiał.

- Przepraszam, Sam. Już więcej nie będę - obiecała.

Sam zignorował jej skruchę, pochwycił dwa ciasteczka ryżowe i uciekł.

- Naprawdę go lubię - powiedział Charles.

- Twoja obecność dobrze im robi. Wszystkim, nie wyłączając Dafne - wyjaśniła ze spokojem. - To dla nich o wiele lepsze, niż gdyby dalej mieli mnie na wyłączność.

- Nie wiedziałem, że zamierzałaś zastosować mnie jako specjalny środek wychowawczy - jęknął Charles, i znowu się roześmieli.

Potem usiedli jeszcze w salonie i trochę rozmawiali, a o dziesiątej Charles wyszedł. Mimo wrogości, jaką Dafne zademonstrowała przy stole, spędzili razem przyjemny wieczór. Charles był tak dumny z siebie, jakby udało mu się przeżyć spływ wodospadem Niagara w zwykłym kajaku, a Maxine poczuła się szczęśliwa, kiedy weszła do sypialni i zastała w swoim łóżku na wpół śpiącego Sama.

- Mamo, wychodzisz za niego za męża? - wyszeptał, nie otwierając nawet oczu, kiedy pocałowała go w czoło.

- Nie, synku. Jest tylko przyjacielem.

- To czemu się z nim całowałaś?

- Tak po prostu. Dlatego, że go lubię. Co nie znaczy, że zamierzam za niego wyjść.

- Zrobisz tak jak tata? On nie żeni się z tymi dziewczynami.

- Właśnie. Coś w tym rodzaju. Nic wielkiego.

- On też zawsze tak mówi.

Sam wydawał się uspokojony. Po chwili już spał.

Pojawienie się Charlesa było wstrząsem dla całej rodziny, ale Maxine nadal uważała, że wszystkim im wyjdzie na dobre. I bardzo jej się podobało, że ma z kim

wychodzić wieczorem. Przecież to nie jest zbrodnia. Niedługo się do tego przyzwyczają. A poza wszystkim innym, Blake nieustannie umawiał się na randki. Kto mógłby jej zabronić tego samego?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Blake pozostał w Londynie aż do Bożego Narodzenia i czas ten, spędzony z Arabellą, wydawał mu się zaczarowany. Nigdy dotąd nie był z nikim tak do głębi szczęśliwy ani tak mocno odurzony miłością. Namalowała nawet jego portret - niewielki obrazek, akt. Kochał każdą chwilę, kiedy mógł być przy niej. W któryś weekend zabrał ją do St. Moritz, gdzie jeździli na nartach. Na trzy dni pojechali do Paryża, żeby tam zrobić przedświąteczne zakupy, i zamieszkali w Ritzu. Byli nawet w Wenecji i spali w pałacu, który należał do Blake'a. To był najbardziej romantyczny okres w całym jego dotychczasowym życiu. I oczywiście zaprosił ją do Aspen, na zimowe wakacje, na które zabierał dzieci. Boże Narodzenie spędzali razem w Londynie. Ona zamierzała spotkać się ze swoją rodziną, ale on wołał jej nie towarzyszyć. Nie wypadła dobrze na spotkaniach rodzinnych. Kiedy się decydował na takie wizyty, wszystko szło mu na opak i zostawiał po sobie rozczarowanie. A co do Arabelli, po prostu chciał mieć ją tylko dla siebie. Ona się na to zgadzała bardziej niż chętnie. Zamieszkała z nim w jego londyńskim domu. Tabloidy zdążyły już zamieścić mnóstwo ich wspólnych zdjęć.

Jedno z nich, wypatrzona w magazynie „People”, Dafne pokazała Maxine. Minę miała pełną dezaprobaty.

- Tata chyba się znowu zakochał.

- Daj spokój, Dafne. To nigdy nie jest na poważnie. On się tylko bawi w miłość.

W tych dniach Dafne była obrażona na oboje rodziców, na Blake'a tak samo jak na Maxine.

- Obiecał, że tym razem nie przywiezie żadnej dziewczyny do Aspen.

Właśnie na tym najbardziej jej zależało. Miała spędzić ten czas tylko z nim, być jedyną kobietą w jego życiu. Znając Blake'a, Maxine wiedziała, że nie ma na to zbyt wielkich szans. Nowa kobieta Blake'a wydała jej się bardzo piękna. Ale była szczęśliwa, że ma Charlesa, a miłostki Blake'a nie robiły na niej wrażenia. Nigdy się nimi za bardzo nie przejmowała.

- Mam nadzieję, że jej tam nie przywiezie - powtarzała Dafne.

Maxine powiedziała w końcu, że jej zdaniem raczej przywiezie. Uznała, że lepiej zawczasu przygotować Dafne na tę przykrość.

Arabella już przyjęła zaproszenie do Aspen. Nigdy tam jeszcze nie była. A pomysł spędzenia zimowych wakacji razem z uroczymi dziećmi Blake'a bardzo jej przypadł do gustu. Pomagała mu szukać prezentu dla Dafne. Wybrali śliczną diamentową bransoletkę od Graffa. Arabella zapewniła go, że to będzie najlepszy prezent. W sam raz dla księżniczki, powiedziała. Blake potem wrócił jeszcze do sklepu i wybrał prezent w sam raz dla hrabianki - wspaniałą bransoletę z szafirami. A gdy jej wręczał ten prezent, oniemiała z wrażenia. Boże Narodzenie obchodzili w wigilię, nazajutrz miał lecieć do Nowego Jorku własnym samolotem. Dotarł do nowojorskiego mieszkania późnym popołudniem w pierwszy dzień świąt, i od razu zadzwonił do Maxine. Właśnie wróciła z dziećmi od swoich rodziców, ze świątecznego obiadu. Dzieci były już spakowane i gotowe do podróży.

- Ostatnio byłeś bardzo zajęty - przekomarzała się z nim. - Dafne przeczytała o tym w „People”.

Nie powiedziała mu, że Dafne była wściekła.

- Poczekaj, aż ją poznasz. Jest wyjątkowa.

- Nie mogę się doczekać. - Roześmiała się.

Zazwyczaj kobiety znikwały z jego życia zanim zdążył je przedstawić.

Wszystkie miłości nigdy nie trwały dłużej niż parę tygodni. Znała Blake'a na tyle dobrze, by mu nie uwierzyć, gdy zaczął zapewniać, że teraz to co innego. Przecież zawsze tak mówił. Nie mogła sobie wyobrazić, że jest w stanie kogokolwiek traktować poważnie. Nowa kobieta była starsza od tych, które zwykle padały jego

łupem, lecz i tak miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, więc z punktu widzenia Maxine była jeszcze dzieckiem.

Nagle poczuła, że ma ochotę też mu o czymś powiedzieć.

- Ja też kogoś mam. Zabrzmiało nonszalancko.
- No proszę. Coś nowego. Kim jest ten szczęściarz?
- Internistą. Poznałam go przez wspólnych pacjentów.
- Zaczyna się ciekawie. Jest miły?
- Tak uważam.

Unikała sentymentalnego stylu, co było dla niej typowe. Zawsze zachowywała powściągliwość.

- Jak przyjmują go dzieci?
- Dzieci... - Westchnęła. - To osobna historia. Dafne go wręcz nienawidzi.

Jack trochę się go boi, a co do Sama, nie bardzo się nim przejął.

- Dlaczego Dafne go nienawidzi?
- Bo to facet. Dzieci uważają, że one powinny mi wystarczać. I tak w zasadzie jest. Ale przyda się mała zmiana. Trochę kontaktu z kimś dorosłym między wizytami pacjentów i wożeniem dzieci na zajęcia.

- Tak powinno być.

Spróbowała go ostrzec przed gniewem ich córki.

- Z tobą też zaczniesz walczyć.
- Dafne? - zdziwił się Blake. - Dlaczego?

Nie mógł sobie tego wyobrazić. Tak bardzo był naiwny.

- Z powodu twojego nowego romansu. Ostatnio stała się zaborcza w stosunku do nas obojga. Twierdzi, że obiecałeś tym razem przyjechać do Aspen bez żadnej kobiety. Zamierzasz dotrzymać słowa?

Zawahał się.

- No... nie. Będę z Arabellą.
- Tak myślałam. Powiedziałam Dafne, że prawdopodobnie tak się stanie.

Może z tego wyniknąć niezła awantura. Przygotuj się na najgorsze.

- Dziękuję. Powiem Arabelli. Bardzo chciała poznać dzieci, nie mogła się tego doczekać.

- Z chłopcami nie będzie kłopotu. Musisz po prostu wspierać Arabelle. Dafne ma trzynaście lat. To groźny wiek.

- Na to wygląda - mruknął, ale był przekonany, że Arabella potrafi zawojować każdego, nawet Dafne. Nie obawiał się specjalnych kłopotów. - Zabiorę dzieci jutro o wpół do dziewiątej - uprzedził Maxine.

- Będą na ciebie czekały gotowe do podróży - obiecała. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Dafne przestała wprawdzie szaleć w kwestii Charlesa, ale go unikała i w weekendy nigdy jej nie było. Charles nie lubił Bożego Narodzenia. Nie miał żadnych krewnych, więc zwykle wyjeżdżał do swojego domu w Vermoncie. Maxine zamierzała tam do niego przyjechać po wyprawieniu dzieci z Blake'em. Była tym bardzo przejęta.

To miało być dla nich coś w rodzaju nocy poślubnej. Spotykali się już od sześciu tygodni i nie mogła tego odkładać w nieskończoność. Ale przespać się z nim znaczyło dla niej wkroczyć w nowy etap życia.

Blake zabrał dzieci rano zgodnie z umową, a Maxine nie zeszła na dół, żeby się z nim zobaczyć. Przez dzieci przekazała tylko pozdrowienia. Nie chciała mu wchodzić w paradę, kiedy był z Arabellą. Sam uczeplił się matki i przez chwilę nie chciał puścić, póki nie powiedziała, że w każdej chwili będzie mógł do niej zadzwonić. Przypomniała dwojgu starszym, żeby opiekowali się małym Samem i wpuszczali go do swoich łóżek, jeśli obudzi się w nocy. Dafne miała już zawczasu popsuty humor, bo Maxine uprzedziła ją, że Blake zabiera Arabelle.

- Ale przecież obiecał... - powtarzała ze łzami w oczach poprzedniego wieczoru.

Maxine musiała ją uspokajać: z tego wcale nie wynika, że Blake już jej nie kocha albo nie zależy mu na wspólnych wakacjach. To znaczyło tylko tyle, że znowu ma jakąś kobietę. I obie wiedziały, że kimkolwiek jest Arabella, nie będzie to

związek długotrwały. Ona zniknie tak samo, jak wszystkie jego wcześniejsze dziewczyny. Dlaczego miałyby być wyjątkiem? Dafne uściskała matkę i pobiegła do windy, w której Jack i Sam już na nią czekali.

Po ich wyjeździe w mieszkaniu zrobiło się niezwykle cicho. Maxine razem z Zeldą zajęły się sprzątaniami. Zelda zdążyła nawet zmienić dzieciom pościel przed wyjściem do teatru na przedpołudniowe przedstawienie. Potem Maxine zadzwoniła do Charlesa, do Vermontu. Oczekiwał jej z niecierpliwością. Ona także nie mogła się doczekać tego spotkania, choć była zarazem pełna niepokoju. Pójście z nim do łóżka wydawało jej się czymś tak znaczącym, jakby wiązało się z powtórzną utratą dziewictwa. A on, opowiadając o domu w Vermoncie, na wszelki wypadek nazywał go „górkim szalasem”, bo wiedział o luksusach, jakie oferował jej Blake.

Uprzedzał, że wnętrza są niewyszukane, a warunki spartańskie. Ale w pobliżu był ośrodek sportów zimowych. Charles marzył o wspólnej wyprawie na narty, ale podkreślał, że to miejsce nie umywa się ani do St. Moritz, ani do Aspen, do żadnego ze słynnych zimowych kurortów, które dobrze znała.

- Przestań się tym przejmować, Charles - uspokoiła go. - Gdyby to miało dla mnie znaczenie, byłabym żoną Blake'a po dziś dzień. Przecież to ja zażądałam rozwodu. Mam ochotę spędzić ten czas z tobą i spartańskie warunki mnie nie przestraszą. Jadę tam do ciebie, nie żeby podziwiać dom. - I to była prawda.

Charles liczył na upragnioną odmianę losu: tym razem mieli być sami. Obecność dzieci zawsze go stresowała. Pod choinkę kupił im płyty ulubionych zespołów muzycznych, zdając się na sugestie Maxine. Samowi podarował kilka filmów DVD. Nie miał pojęcia, co im się może spodobać, więc kiedy wręczał te płyty, czuł się bardzo niepewnie. Dla Maxine kupił klasyczny szal Chanel, który bardzo mu się podobał, i jej spodobał się także. Przyniósł te prezenty cztery dni przed Bożym Narodzeniem, nazajutrz wyjeżdżał do Vermontu. Wolał jechać wcześniej, uprzedzając świąteczne korki na drogach. Maxine trochę żałowała, ale ze względu na dzieci i dla niej tak było łatwiej. Dafne nie przełknęłaby łatwo jego

obecności przy świątecznym stole, więc w końcu Maxine uznała to za najlepsze rozwiązanie.

Od Maxine Charles dostał krawat. Włożył go tego samego wieczoru, wychodząc z nią na kolację. Ich związek był niekrepujący dla obojga, wolny od zobowiązań, i nie zmuszał do żadnych ograniczeń w pracy zawodowej ani w życiu domowym. Ale Maxine obawiała się, że pójście z nim do łóżka może oznaczać rewolucję. Nie potrafiła wyobrazić sobie, że zamieszkałby z nimi. Zresztą już zapowiedział, że nigdy się na to nie zdecyduje. Bałby się, że Dafne zamorduje go podczas snu. Poza tym obecność dzieci przeszkadzałaby im spać ze sobą, i tu Maxine musiała się z nim zgodzić.

Wyjechała w południe. Zamierzała zostać w Vermoncie do Nowego Roku. Miała nadzieję dotrzeć na miejsce około szóstej wieczorem. W drodze dwa razy odbierała telefon od Charlesa, który chciał się upewnić, że wszystko w porządku. Kiedy minęła Boston, zaczął padać śnieg, ale drogi były przejezdne, choć w okolicach New Hampshire śnieg padał coraz gęściej. Tam właśnie była, kiedy zadzwoniła do niej Dafne. Właśnie wylądowali w Aspen. Dafne wydawała się rozgorączkowana.

- NIENAWIDZĘ JEJ, mamó! - wyszeptała. Słuchając tego, Maxine wzniosła oczy do nieba. - Jest OKROPNA!

- Na czym to polega? - spytała Maxine.

Starła się zachować bezstronność, choć wiedziała, że niektóre z dziewczyn Blake'a bywały naprawdę dziwne. W ciągu ostatnich pięciu lat Maxine nauczyła się odnosić do nich z filozoficznym spokojem. Znikały szybko, więc nie warto było się nimi przejmować, dopóki nie skrzywdziły żadnego z dzieci. Ale one już wiedziały, jak się bronić.

- To polega na tatużach, ma je wszędzie, od góry do dołu.

Maxine się uśmiechnęła.

- Ta poprzednia też je miała, i wcale ci nie przeszkadzały. Jest niemila?

Może odnosiła się do dzieci zbyt szorstko. Maxine sądziła jednak, że Blake by na to nie pozwolił. Kochał swoje dzieci, choć był kobieciarzem.

- Nie mam pojęcia. Nie zamierzam z nią rozmawiać - powiedziała arogancko Dafne.

- Nie bądź nieuprzejma, Dafne. Tak nie wolno traktować innych. Sprawiasz przykrość ojcu. A chłopcy? Rozmawiają z nią?

- Narysowała Samowi kilka głupich obrazków. Jest malarką albo kimś w tym rodzaju. I ma coś między brwiami, coś takiego bez sensu.

- Co takiego ma między brwiami? - Maxine wyobraziła sobie coś jak strzałkę na gumowej przyssawce.

- No wiesz, to, co mają Hinduski. U niej to zwykła podróba.

- Masz na myśli znak bindi? Daj spokój, Dafne, nie bądź dla niej taka surowa. Może jest trochę dziwna. Trzeba dać jej szansę.

- Nienawidzę jej.

Ale Maxine wiedziała, że Dafne nienawidzi także Charlesa, nienawidziła w ogóle wielu osób, czasem także rodziców. Po prostu taki wiek.

- Nie walcz z nią, szkoda sił. Po tych wakacjach pewnie już nigdy jej nie spotkasz. Wiesz, jak to jest.

- Teraz jest inaczej - powiedziała Dafne. - Tata naprawdę ją kocha.

- Raczej wątpię. Dopiero niedawno ją poznał.

- Przecież go znasz. Zawsze na początku dostaje hopla na ich punkcie.

- Właśnie. A potem puszcza je w trąbę i zapomina. Nie martw się.

Lecz kiedy Dafne się rozłączyła, zaczęła się zastanawiać, czy córka nie ma racji, że z tą dziewczyną jest inaczej. Może zauważyła coś szczególnego. Wszystko było możliwe. Maxine nie umiała sobie wyobrazić Blake'a w stałym związku, ale nigdy nic nie wiadomo. Niewykluczone, że on jednak kiedyś dojrzeje. Nie umiała przewidzieć, jak się będzie z tym czuła. Może marnie. Podobnie jak dzieci, przyzwyczała się i nie chciała zmian. Zmiany nigdy nie są łatwe. Ale kiedy już nastąpią, trzeba się z nimi pogodzić. Dotyczyło to życia Blake'a tak samo jak jej

własnego. Przecież dlatego Charles wywołał w domu taki sprzeciw. Zmiana, otóż to. Ona też obawiała się zmian.

Z powodu opadów śniegu podróż trwała dłużej, niż przewidywali. Dotarła na miejsce dopiero o ósmej. Był to niewielki, ładny domek w stylu typowym dla Nowej Anglii, ze stromym dachem, ukryty za zwykłym wiejskim ogrodzeniem. Wyglądał tak samo jak te, które widywała na pocztówkach. Charles wybiegł na zewnątrz, żeby się z nią przywitać, i zaniósł do domu bagaże. Od frontu była pergola, a wewnątrz duża sypialnia z jednym łóżkiem, salon z kominkiem i przytulna wiejska kuchnia. Maxine była zawiedziona, kiedy się przekonała, że nie ma tu dość miejsca dla dzieci, gdyby kiedyś zechciała je przywieźć. Nie było nawet pokoju gościnnego, w którym mogłyby spać we trójkę. To był dom dla samotnego mężczyzny, ewentualnie dla dwojga osób. Ale już nikt więcej by się nie zmieścił. Tak żył Charles. I takie życie mu odpowiadało. Stawiał sprawę jasno.

Ale dom wydał jej się miły i ciepły. Charles wstawił bagaże do sypialni i pokazał szafę, w której mogła powiesić swoje rzeczy. Dziwne uczucie, być z nim w tym domu sam na sam. Tak jakby ta sytuacja wynikła trochę przedwcześnie. A co by było, gdyby nie chciała z nim spać? - zastanawiała się. Ale teraz było już za późno na takie pytania. Wydało jej się naraz, że przyjazd do Vermontu był zbyt odważny. Milczała, kiedy on się krzątał, pokazując, gdzie leżą ręczniki i ścierki, gdzie jest pralka, gdzie łazienka - a łazienka była tylko jedna. W jego kuchni wszystko było nieskazitelnie czyste. Zostawił dla niej zimnego kurczaka i trochę zupy, lecz po długiej podróży była zbyt zmęczona, żeby jeść. Poczula się szczęśliwa, że może z nim usiąść przy kominku z filiżanką gorącej herbaty.

- Jak dzieci? Dobrze zniosły podróż? - zapytał.

- Tak, wszystko w porządku. Dafne dzwoniła do mnie, kiedy wylądowali w Aspen. Była trochę przygnębiona, bo Blake przywiózł swoją nową dziewczynę. Wcześniej obiecywał, że tym razem będzie sam. Ale właśnie niedawno ją poznał, więc nie mógł się z nią rozstać. Zawsze ma taką nadwyżkę entuzjazmu w początkach znajomości.

- Nie marnuje czasu - wtrącił Charles z nutą dezaprobaty. Zawsze czuł się nieswojo, kiedy wspominała o Blake'u.

- Dzieci się do niej przyzwyczajają. Zawsze się przyzwyczajają.

- Nie jestem taki pewny, czy Dafne przyzwyczai się do mnie.

To go niepokoiło przez cały czas. Nie umiał poradzić sobie z piekielną furją trzynastolatki. Maxine przejmowała się tym znacznie mniej od niego.

- Wszystko będzie dobrze. Potrzeba tylko czasu.

Długo rozmawiali, siedząc przy kominku. Krajobraz za oknem był wyjątkowo piękny. Wyszli na ganek i patrzyli na świeży śnieg. To była magiczna chwila, kiedy Charles objął ją i pocałował. Lecz ledwie to uczynił, odezwał się telefon komórkowy. Dzwonił Sam. Chciał tylko powiedzieć jej dobranoc. Życzyła mu miłych snów, a kiedy odwróciła się znowu do Charlesa, zauważyła, że jest spięty.

- Nawet tutaj ciebie szukają - powiedział. - Nigdy nie weźmiesz urlopu?

- Nie chcę. Są przecież moimi dziećmi. Nie mam nikogo oprócz nich.

Wypełniają mi życie.

Właśnie to go niepokoiło i dlatego tak się tych dzieci obawiał. Nie wierzył, że zdoła ją od nich oderwać.

- Należy ci się od życia coś więcej - rzekł cicho.

Zabrzmiało to tak, jakby proponował jej pomoc i oparcie. Była wzruszona. Pocałował ją znowu, i tym razem nikt nie zadzwonił, nikt im nie przeszkodził. Weszli do środka i po kolei wzięli prysznic w łazience. Wszystko było trochę krępujące, a trochę zabawne. Maxine parsknęła śmiechem. Miała na sobie długą kaszmirową koszulę nocną, szlafrok od kompletu i ciepłe skarpetki. Nieznośnie romantyczny zestaw. Lecz kiedy pakowała torbę, nie przyszło jej do głowy nic innego, co mogłaby zabrać. Charles był w pasiastej piżamie. Pomyślała, że pewnie wyglądają teraz jak jej rodzice, gdy kładą się do podwójnego małżeńskiego łóżka.

- Czuję się jak w innym świecie - wyszeptała.

Pocałował ją, i napięcie złagodniało. Jego ręce błądziły po jej ciele. Potem zdjęły z niej szlafrok i nocną koszulę, wszystko po kolei upuszczając na podłogę.

Od tak dawna nie spała z mężczyzną, że obawiała się własnej reakcji i onieśmielenia. Ale był kochankiem tak delikatnym i troskliwym, że wszystko, co się działo, wydawało się najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Leżeli w mocnym uścisku, a Charles mówił jej, jak bardzo jest piękna, że ją kocha, a ona ze zdumieniem słuchała tych słów. Zastanawiała się, czy mówił dlatego, że tak wypadało, skoro już byli razem w łóżku. Powiedział jej, że się zakochał od pierwszego wejrzenia. Łagodnie, jak tylko potrafiła, odpowiedziała, że potrzebuje trochę więcej czasu, żeby się rozeznac w swoich uczuciach. Tak wiele jej się w nim podobało, że miała nadzieję go pokochać, gdy pozna go lepiej. Czuła się przy nim bezpiecznie, a to było dla niej bardzo ważne. Ufała mu. I po tych szeptach w ciemności znowu zaczęli się kochać. Potem, szczęśliwa, nasycona, przepełniona spokojem, usnęła w jego ramionach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nazajutrz Maxine i Charles ubrali się ciepło i poszli na długi spacer po śniegu. Przedtem zrobił dla niej śniadanie: naleśniki z syropem klonowym i plastrami kruchego bekonu. Patrzyła na niego z czułością. Pocałował ją ponad stołem. Odkąd ją spotkał, marzył o takim śniadaniu w jej towarzystwie. Ale nie będzie mógł zbyt często liczyć na takie chwile. Dzieci dwa razy dzwoniły do niej podczas śniadania. Dafne nie zamierzała dać za wygraną i podjęła otwartą walkę z nową miłością ojca. Słuchając rozmów Maxine, Charles ściągnął brwi. To, co powiedział, kiedy skończyła rozmawiać, wprawilo ją w osłupienie.

- Może pomyślisz, że oszalałem, Maxine, ale czy oni nie są już za duzi, żeby mieszkać w domu rodzinnym?

- Chodzi ci o to, że powinni zaciągnąć się do wojska albo wstąpić na uniwersytet?

Jack i Dafne mieli przecież dwanaście i trzynaście lat.

- W ich wieku byłem w szkole z internatem. To doświadczenie okazało się dla mnie bardzo pożyteczne. Przygotowało mnie do życia. I naprawdę lubiłem ten internat.

Maxine słuchała go w osłupieniu.

- Nigdy - powiedziała zdecydowanie. - Nigdy tego nie zrobię swoim dzieciom. W jakimś sensie utraciły już Blake'a. Nie zamierzam się ich pozbyć. Dlaczego miałabym to zrobić? Żeby wygodniej urządzić sobie życie? Nie zależy mi na tym. W tym wieku dzieci potrzebują rodziców, którzy przekażą im swój system wartości, nauczą rozwiązywać problemy, radzić sobie z takimi sprawami, jak używki i seks. Nie chcę, żeby jakiś wychowawca w szkole z internatem uczył tego moje dzieci. Tego powinny nauczyć się ode mnie.

- Ale co będzie z tobą? Zamierzasz zacząć żyć dopiero wtedy, kiedy dzieci pójdą na studia? Bo trzymanie ich przy sobie to właśnie oznacza.

- Rodząc je, zobowiązałam się do opieki nad nimi - powiedziała łagodnie. - To jest rola rodziców. W moim gabinecie codziennie oglądam skutki zaniedbywania dzieci. Nawet jeśli wszystkie warunki dobrej opieki są spełnione, i tak mogą pojawić się problemy. Kiedy umywasz ręce i wypychasz je do internatu, jest tak, jakbyś sam się prosił o kłopoty.

- Mnie jakoś nie zaszkodziło - próbował się bronić.

- Zgoda. Ale postanowiłeś, że nie będziesz miał dzieci - odparła bez ogródek. - To też coś o tobie mówi. Być może w dzieciństwie zabrakło ci czegoś ważnego. Spójrz na Brytyjczyków. Wysyłają do internatów dzieci ośmioletnie. Dla niektórych to są traumatyczne przeżycia, jako dorośli wciąż do nich wracają. Dla dzieci oddalenie domu nigdy nie pozostaje bez konsekwencji. Ludzie, którzy przeszli przez podobne doświadczenia, mają potem trudności z budowaniem trwałych związków. Nastolatki też nie powinny mieszkać w internatach. Chcę być z moimi dziećmi i sama je uczyć, jak mają żyć.

- Mnie się wydaje, że to zbyt wielkie poświęcenie - powiedział sucho.

- Wcale nie.

Pomyślała, że nic o nim nie wie. Jego osobowości brakowało czegoś bardzo ważnego. Ten brak ujawniał się, kiedy Charles miał do czynienia z dziećmi. I nie wróżyło to dobrze na przyszłość. Może właśnie z powodu tego defektu Maxine w niego zwątpiła. Chciałaby go kochać, ale do tego konieczne było, by on pokochał dzieci, zamiast kombinować, jak się ich pozbyć. Sama myśl o takim rozwiązaniu wprawiała ją w drżenie. Charles to zauważył i szybko się wycofał. Nie chciał jej przecież rozgniewać, naprawdę myślał, że podsuwa doskonały pomysł. Ale ona wcale tak nie uważała. Wszystko było jasne.

Popołudnie spędzili na nartach. Z Charlesem jazda na nartach była łatwa i przyjemna. Nie był tak znakomitym narciarzem jak Blake, lecz jednak całkiem niezłym. Maxine jeździła równie dobrze, więc odpowiadały im trasy o tym samym stopniu trudności. Po powrocie z nart byli tak odprężeni i szczęśliwi, że zapomnieli o drobnej kłótni przy śniadaniu. Charles miał prawo do swoich opinii i wszystko było w porządku, dopóki nie próbował jej niczego narzucić. Wieczorem, ku zadowoleniu Charlesa, dzieci nie zadzwoniły. Nikt mu nie przeszkadzał cieszyć się nią przez cały wieczór. Zabrał ją na kolację, a po powrocie kochali się w salonie przy kominku. Nie mogła się nadziwić, jak swobodnie się przy nim czuje. Jakby żyła z nim od niepamiętnych czasów. Zasypiali przytuleni. Padał śnieg. Wydawało się Maxine, że czas się zatrzymał, a oni znaleźli się we dwoje w cudownym bajkowym świecie.

W domu Blake'a w Aspen życie nie toczyło się tak spokojnie jak u Charlesa w Vermoncie. Sprzęt hi-fi ryczał na cały regulator, Jack i Sam grali w gry komputerowe, co chwila ktoś wpadał z wizytą, a Dafne nie ustawała w wysiłkach, żeby zatruć życie Arabelli. Rzucała aroganckie uwagi i złośliwe docinki na temat jej strojów. Odmawiała jedzenia czegokolwiek, co ugotowała Arabella. Dopytywała się, czy po zrobieniu sobie tatuaży Arabella poddała się badaniom na wirusa HIV. Arabella nie potrafiła sobie z nią poradzić, ale zapewniała Blake'a, że jest zdecydowana wytrwać. A Blake nie ustawał w przekonywaniu jej, że to dobre dla dzieci.

Bardzo chciał, żeby wszystko się ułożyło. Dafne tymczasem robiła co mogła, by nic się nie mogło ułożyć. Próbowwała nawet podburzać chłopców przeciwko rywalce, ale jak dotąd bez sukcesów. Ich zdaniem Arabella była w porządku, pomimo tych tatuaży i dziwacznej fryzury.

Jack w ogóle nie zwracał uwagi na nową dziewczynę ojca, a Sam był dla niej miły. Dopytywał się o znak bindi, ojciec wyjaśnił mu, że Arabella mieszkała w Indiach, nosi go od tamtej pory i jest jej w nim do twarzy. Samowi też się podobał. Wzruszając ramionami, Dafne powiedziała Arabelli, że widziała dość kobiet, które przemknęły przez życie jej ojca, by nauczyć się nie poświęcać im uwagi. Zapewniła ją, że Blake się jej pozbędzie w ciągu najbliższych sześciu tygodni. I tylko to naprawdę zraniło Arabellę do tego stopnia, że Blake znalazł ją płaczącą w łazience.

- Kochanie... dziecinko... Co się stało?

Szlochała tak rozpaczliwie, jakby pękało jej serce. Płacz kobiety był jedyną rzeczą, której Blake nie potrafił znieść. Zwłaszcza płacz kobiety, którą kochał. Arabella chciała mu powiedzieć, co ją spotkało od tej małej jędzy, jego córki, ale z miłości do niego się powstrzymała. Bo kochała go z całego serca. I on także kochał ją do szaleństwa. W końcu zgodziła się powtórzyć mu uwagę, która doprowadziła ją do łez.

- Po prostu powiedziała mi, że niedługo mnie porzucisz. I pomyślałam, że ma rację, i że się mnie pozbędziesz, kiedy tylko wrócimy do Londynu.

Podniosła na Blake'a szeroko otwarte oczy i znowu zaczęła szlochać. Objął ją mocno.

- Nikt się tutaj nie zamierza nikogo pozbyć - zapewnił ją. - Szaleję za tobą. Nie zamierzam odejść, i jeśli mam cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, tobie też nie pozwolę. Będziemy razem przez długi, długi czas. Przykro mi to powiedzieć, ale moja córka jest o ciebie zazdrosna.

Tego samego popołudnia Blake podjął próbę porozmawiania z Dafne.

- Co się z tobą dzieje, Dafne? Miałem przecież tyle dziewczyn, a niektóre z nich, prawdę mówiąc, były głupie jak but.

Jego szczerość rozśmieszyła Dafne. Niektórym rzeczywiście natura odmówiła inteligencji, były śliczne, ale niemądre. A jednak nigdy nie dokuczała żadnej z nich.

- Z Arabellą to co innego - wyznała z ociąganiem.

- Tak, bo jest mądrzejsza i dowcipniejsza od nich wszystkich razem wziętych.

I jest od nich trochę starsza. Więc o co ci chodzi?

Był znękany jej zachowaniem i dawał to do zrozumienia. Dręczyła Arabellę bez żadnego sensownego powodu.

- Chodzi właśnie o to, tatusiu. Wiem, że jest więcej warta od tamtych...

Dlatego jej nienawidzę.

- Wytlumacz mi jaśniej. - Był zupełnie zbity z tropu.

Dafne mówiła cichym dziecięcym głosem i wyglądała jak bezradne dziecko.

- Boję się, że nigdy jej się nie pozbędziemy.

- I co w tym złego, skoro jest miła?

- A jeśli się z nią ożenisz? - powiedziała Dafne z taką miną, jakby coś ją zabolalo.

Blake popatrzył na nią zdumiony.

- Ożenić się z nią? Po co miałbym to zrobić?

- Nie mam pojęcia. Wszyscy tak robią.

- Nie żenię się z nią. Temat wyczerpany. Ożeniłem się z waszą matką. Mamy trójkę wspaniałych dzieci. Nie mam po co żenić się po raz drugi. Arabella i ja po prostu lubimy być razem. To wszystko. Nie rób z tego wielkiej sprawy. My nie robimy.

- Mówiła, że cię kocha, tato - powiedziała Dafne ze łzami w oczach. - I sama słyszałam, jak powiedziałeś, że też ją kochasz. Kiedy ludzie się kochają, to się żenią. A ja nie chcę, żebyś się żenił z kimś innym, bo jest mama.

- Ale przecież się nie żenię - powiedział rzeczowym tonem. - Wasza matka i ja nie jesteśmy już małżeństwem, ale kochamy się na swój sposób. I jest w moim życiu miejsce dla innych kobiet, z którymi nie będę się żenił. I mnóstwo miejsca dla

ciebie. Nie musisz się o to martwić. Masz moje słowo, Dafne. Nigdy się nie ożenię. Z nikim. To ci wystarczy?

- Tak... może. A jeśli zmienisz zdanie?

- Jeśli zmienię zdanie, najpierw uzgodnię je z tobą. Będzie ci wolno odwozić mnie od tego pomysłu wszelkimi sposobami. Umowa stoi? Ale pod warunkiem, że przestaniesz ją teraz dręczyć. To nie do przyjęcia. Jest naszym gościem, a czuje się tu okropnie.

- Wiem - mruknęła Dafne z uśmiechem triumfu. Postarała się przecież.

- To się musi skończyć. Bądź dla niej miła. Obie jesteście fajnymi dziewczynami.

- Koniecznie, tato?

- Tak, koniecznie - powiedział stanowczo.

Zaczynał się niepokoić, że odtąd Dafne będzie nękać każdą kobietę, z którą przyjdzie mu ochota się związać. Pozwalała sobie również na nieprzyjemne uwagi na temat Charlesa, przyjaciela Maxine. Wyglądało na to, że żąda od rodziców, by żyli samotnie. Bardzo nierealistyczne podejście. Blake był zadowolony, że Maxine w końcu sobie kogoś znalazła. Zaslugiwała, żeby też mieć coś z życia. Nie był o nią zazdrosny. Ale Dafne, owszem, była. Naprawdę chciała wszystko popsuć. Blake nigdy nie przypuszczał, że jego córka zacznie się zachowywać w ten sposób. Z dnia na dzień zamieniła się w małą złośnicę. Być może Maxine miała rację, że to sprawa wieku. Ale taka złośliwość mu się nie podobała. Jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie mógł jej zabierać na wakacje. Nigdy by nie przypuszczał, że kiedyś może do tego dojść.

- Chciałbym, żebyś się teraz postarała z nią zaprzyjaźnić. Zrób to dla mnie - poprosił.

Dafne, z ociąganiem, przyrzekła poprawę.

Wieczorem nie dały się jeszcze odczuć żadne efekty tej rozmowy. Blake zaczął żałować, że przywiózł Arabellę. Nie dlatego, że przeszkadzała dzieciom, tylko dlatego, że one ją nękały. Ale w ciągu dwóch dni zachowanie Dafne uległo

znaczącej poprawie. Zaczęła odpowiadać, kiedy Arabella się do niej zwracała, i powstrzymała się od żarcików na temat jej tatuaży albo fryzury. Coś się zmieniło. I Arabella więcej nie płakała. Wreszcie wakacje przestały być dla Blake'a udawką.

Pewnego spokojnego popołudnia, gdy był na nartach z Arabellą, zauważył, jak przyjemnie jest zostawić dzieci w domu. Zatrzymywali się co jakiś czas, żeby odpocząć po trudniejszych fragmentach trasy, a wtedy Blake ją całował. I wrócili do domu, żeby się kochać. Arabella wyznała, że nie może się już doczekać powrotu do Londynu, choć oczywiście nie żałuje, że poznała jego dzieci. Ale musiała się nimi zajmować przez cały czas i poczuła się zmęczona.

Było już pewne, że Dafne nigdy się z nią nie zaprzyjaźni. Najlepsze, na co można było liczyć, to trudny rozejm, który udało się w końcu osiągnąć. Zachowanie Dafne stało się znacznie łagodniejsze. Ale Blake się obawiał, że zawieszenie broni nie potrwa długo. Nie zazdrościł był jej żonie kłopotów, z jakimi musi się mierzyć za każdym razem, kiedy w domu pojawia się jej przyjaciel.

Po raz pierwszy w życiu odstawiał dzieci do Nowego Jorku z wyraźną ulgą. Maxine właśnie wróciła z Vermontu i ledwo weszła do domu, gdy dzieci przyjechały z Blake'em. Arabella czekała w jego apartamencie. Mieli wracać do Londynu wieczorem.

Sam rzucił się matce na szyję z takim impetem, że omal jej nie przewrócił. Jack i Dafne też wydawali się uszczęśliwieni powrotem.

- Jak było? - spytała Maxine Blake'a.

Wyglądała na odprężoną. Z jego wzroku wyczytała, że nie za dobrze. Począł, aż Dafne wyjdzie z pokoju, zanim odpowiedział.

- Trudniej niż zwykle. - Uśmiechnął się niewesoło. - Uważaj na Dafne, Maxine, inaczej czeka cię samotna starość.

Rozśmieszyła ją ta przestroga. To była ostatnia rzecz, którą by się chciała przejmować. Poza tym miała za sobą cudowne dni z Charlesem w Vermoncie. Wróciła spokojna i zadowolona, a Charles stał się jej bliższy niż ktokolwiek inny przez te ostatnie lata. Byli podobni do siebie pod wieloma względami, byli po prostu

idealną parą. Ich medyczne specjalności uzupełniały się, oboje byli sumienni, pedantyczni i dobrze zorganizowani. Gdyby byli sami, mogliby prowadzić życie wolne od wszelkich problemów. Prawdziwym wyzwaniem był dopiero powrót do domu.

- Nie dała za wygraną?

- Nie całkiem. Skończyła ze złośliwymi docinkami, z którymi wyskakiwała na początku, ale użyła wszelkich sposobów, by zatruć nam życie. Obawiałem się, że Arabella tego nie wytrzyma i wyjedzie.

- Założę się, że nie ma własnych dzieci. Tak to bywa. - Maxine pokiwała głową.

- Po czymś takim można stracić chęć posiadania dzieci. Nie obwiniam Arabelli. Mnie też to dotyczy - powiedział, śmiejąc się.

- Biedna. - Maxine wydała z siebie współczujący pomruk. - Nie wiem, jak sobie z tym poradzimy. Trzynastolatki słyną z takiego zachowania. Zanim sytuacja się poprawi, przez długi czas będzie jeszcze gorzej.

- Daj mi znać, kiedy Dafne skończy studia.

Blake zaczął zbierać się do wyjścia. Zajrzał jeszcze do pokoiw dzieci, żeby się z nimi pożegnać, pocałował je i przystanął na chwilę w drzwiach wyjściowych.

- Trzymaj się, Maxine. Mam nadzieję, że ten facet będzie dla ciebie dobry. Powiedz mu, że jeśli nie będzie, to się z nim rozprawię.

- To samo powiedz ode mnie Arabelli - powiedziała, przytulając go. - Dokąd się teraz wybieracie?

- Na kilka tygodni do Londynu, a potem do Marakeszu. Chciałbym rozpocząć prace budowlane. To raczej pałac niż dom. Przyjedź kiedyś, pokażę ci go.

Tyle że ona nie miała pojęcia, kiedy znajdzie na to czas.

- Prawdopodobnie będę w St. Barthelemy pod koniec stycznia. Wezmę jacht i trochę popływam - dodał.

Maxine wiedziała, jak to będzie. Dzieci nie zobaczą go teraz przez długie miesiące, prawie na pewno aż do letnich wakacji. Przywykły do tego, ale ona wiedziała, że będzie im brakowało Blake'a.

- Będę z tobą w kontakcie - obiecał.

Czasem był, czasem nie. Ale jeśli go potrzebowała, to nigdy nie wiedziała, gdzie go szukać.

- Uważaj na siebie - powiedziała, uściskując go przy windzie.

- Ty też.

Odwzajemnił uścisk i pojechał na dół. Zawsze ogarniało ją jakieś dziwne uczucie przy pożegnaniach z Blake'em. Zaczynała się zastanawiać, jakie byłoby ich życie, gdyby się nie rozwiedli. Czy widywałaby go równie rzadko. Ale nie chciała mieć męża tylko na papierze. Potrzebowała czegoś innego, co właśnie znalazła, kogoś takiego jak Charles. Kogoś, kto nie zniknął. I był dorosły pod każdym względem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po powrocie do Londynu i Blake, i Arabella mieli mnóstwo pracy. Blake odbył wiele spotkań w związku z obydwoma domami, które zamierzał przebudować, a ona dostała zamówienie na portret. Dopiero po dwóch tygodniach mogli znowu się wyrwać. A kiedy to uczynili, Blake od razu poczuł się lepiej. W Londynie był ciągle zmarznięty i miał już dosyć zimy. W Aspen i w Nowym Jorku też nie było ciepło, ale w Aspen można było przynajmniej jeździć na nartach. Teraz nie mógł się doczekać wyjazdu do Maroka. Arabella nigdy tam nie była. Cieszył się, że może ją zabrać ze sobą. Oboje byli bardzo przejęci tą podróżą. Towarzyszył im architekt. Mieli zamieszkać w hotelu La Mamounia. Blake dostał już pierwsze szkice projektu, i wydawały mu się znakomite. Realizacja zajmie najwyżej rok, z czego Blake także był bardzo zadowolony. Najbardziej lubił fazę pomysłów i obserwowanie, jak nabierają realnych kształtów. Arabella miała zmysł artystyczny,

więc czekało go wiele radości, gdy będzie dzielił z nią te przeżycia. Rozmawiali o projektach przez całą podróż. A kiedy wylądowali, piękno tego miejsca zrobiło na niej ogromne wrażenie. Słońce właśnie zachodziło i delikatny różowy odblask opromieniał widoczne w oddali góry Atlas.

Czekał na nich samochód przysłany z hotelu. Arabella była zachwycona miastem, przez które przejeżdżali. Imponujący minaret meczetu Koutobia od razu rzucił jej się w oczy. Gdy przejeżdżali przez centralny plac Jemaa el Fna, zapadał już zmierzch. Plac wyglądał malowniczo, niczym dekoracja do filmu. Nawet podczas podróży po Indiach rzadko widywała tyle egzotyki naraz. Byli tam zaklinacze węży, tancerze, akrobaci, sprzedawcy napojów, poganiacze mułów, mężczyźni w długich burnusach. Obrazek jakby wyrwany z *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*. Blake zapowiedział, że oprowadzi ją po miejscowych targowiskach. Szczególnie warte uwagi były Souk el Zarbia, Medina, bazar w obrębie murów i Menara, uznawana za najbardziej romantyczne miejsce na świecie. Atmosfera tego miasta była ekscytująca. Opuścili przyciemniane szyby, żeby lepiej widzieć i żeby poczuć zapachy przypraw, kwiatów, zwierząt; wszystkie one mieszały się i stapały w aromat jedyny w swoim rodzaju. Wszędzie wokół panował gorączkowy ruch. Między autami przepychały się motorowery i motocykle, każdy jeździł jak chciał, nie przestrzegając żadnych reguł, trąbiły klaksony, ludzie krzyczeli, a do kakofonii dźwięków dołączali się uliczni grajkowie. Arabella popatrzyła na Blake'a z wyrazem szczęścia na uśmiechniętej twarzy. Podobało jej się tu jeszcze bardziej niż w Indiach, również dlatego, że była tu z nim.

- Kocham to miejsce! - zawołała.

Blake się rozpromienił. I nie mógł się już doczekać, kiedy pokaże jej swój pałac. Uważał Marakesz za najpiękniejsze miasto, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się zwiedzać. Arabella się z nim zgodziła. Nigdy jeszcze nie widział jej tak rozradowanej.

Wjechali w szpaler ogromnych palm, u ich wylotu widniała pokryta brzoskwiniowym tynkiem fasada hotelu La Mamounia. Arabella słyszała o nim już

wiele lat temu i zawsze pragnęła się tu znaleźć, a przyjechać tu razem z Blake'em to był najwspanialszy sposób realizacji tego marzenia. Zauważyła ażurowe ozdoby z drewna i mozaiki na fasadzie. Pozdrawiali ich mężczyźni w miejscowych strojach. Natychmiast pojawił się też dyrektor hotelu. Blake zatrzymywał się tu już kilka razy w związku z kupnem pałacu. Tym razem zamiast apartamentu zarezerwował jedną z trzech luksusowych willi należących do hotelu, i zamierzał trzymać ją do czasu, aż przebudowa jego pałacu zostanie ukończona.

Weszli więc przez witrażowe drzwi z czerwonych, żółtych i niebieskich szybek do głównego holu tylko po to, by Arabella mogła go zobaczyć. Miał marmurową podłogę, boazerie z czarnego marmuru na ścianach i ogromny, fantazyjny żyrandol. Pozdrawiali ich mężczyźni w białych szerokich spodniach, szarych kaftanach i czerwonych fezach. Hotel miał pięć wytwornych restauracji i pięć barów, a dla wygody gości nawet łaźnię turecką. Kiedy dyrektor hotelu zaprowadził ich do willi wynajętej przez Blake'a, czekała już tam na nich hotelowa służba. W willi były trzy sypialnie, salon, pokój stołowy i dwie kuchnie: mała do użytku gości i duża, w której kucharz hotelowy mógł przygotować posiłek, jeśli goście nie życzyli sobie jeść na mieście ani w żadnej z hotelowych restauracji. Willa miała osobną bramę i ogród, w którym znajdowała się nawet sadzawka z hydromasażem, więc gdyby podczas swojego pobytu nie życzyli sobie przekroczyć progu hotelu, mieli tu wszystko, co potrzeba.

Arabella niecierpliwie czekała na wyprawę do miasta. Blake poprosił kierowcę, żeby ich zawiózł. Po zwiedzaniu zamierzali zjeść kolację we własnym ogrodzie.

Oboje wzięli prysznic i przebrali się. Przekąsili coś lekkiego przy ogrodowym stole i wyszli, trzymając się za ręce. Spacerowali po mieście, chodzili po głównym placu, klucząc między zaklinaczami węży, potem wynajęli dorożkę i zwiedzili przedmieścia. Było tak, jak wymarzyła sobie Arabella. Wieczorem siedzieli w ogrodowej sadzawce z hydromasażem, wdychając zapach kwiatów, a potem

schowali się w sypialni, by tam kochać się bez końca. Był już prawie świt, kiedy usnęli spleceni w uścisku.

Nazajutrz rano czekało na nich wystawne śniadanie. Przy stole Blake wyciągnął szkice i pokazywał jej różne rozwiązania, a po śniadaniu pojechali samochodem do jego pałacu. Arabella ujrzała budowlę jeszcze wspanialszą, niż się spodziewała, pełną łuków i wieżyczek, z ogromnym wewnętrznym dziedzińcem ozdobionym przepięknymi starymi mozaikami. Sale były wysokie i przestronne. To rzeczywiście był prawdziwy pałac, i Blake rozglądał się, szczęśliwy, na wszystkie strony, kiedy chodził po nim w towarzystwie architekta i Arabelli. Miała kilka znakomych pomysłów związanych z kolorystyką. Blake poczuł nagle, że chciałby z nią dzielić ten pałac. Objął ją na tarasie, z którego widać było góry Atlas, i zaczął całować z pasją, która nie gasła, odkąd się poznali.

- Chciałbym, żeby ten pałac stał się domem naszej miłości. To dla nas idealne miejsce. Będiesz mogła tu malować.

Spodziewał się, że spędzi tu długie miesiące, zanim przebudowa zostanie ukończona. Ale przecież nawet tu nie brakowało okazji do życia towarzyskiego. Arabella miała wśród przyjaciół parę Francuzów, którzy osiedlili się w Marakeszu. Spotkali się z nimi na kolacji w przeddzień wyjazdu. To była cudowna wycieczka.

Blake podrzucił architekta do Londynu i poleciał z Arabellą na Azory, a stamtąd do St. Barthelemy. Ten dom także przypadł jej do gustu. Tydzień później wypłynęli na morze jachtem Blake'a. Był to największy jacht, jaki kiedykolwiek widziała. Płynęli na Grenadiny, wyspy leżące u północnych wybrzeży Wenezueli. Musiała przeorganizować swój zawodowy kalendarz, aby podróżować razem z Blake'em. Ale nie żałowała ani przez chwilę. Leżeli nago na gorących od słońca deskach pokładu i wpatrywali się w przezroczystą zielonkawą wodę. Był już luty. W innych częściach świata leżał śnieg. Ale dla nich zawsze było lato. Najwspanialsze lato, jakie tylko można sobie wyobrazić: lato ich miłości.

Maxine brnęła do swojego gabinetu przez śnieżne zasy. Była bardziej zavalona pracą niż kiedykolwiek. Miała wiele nowych spraw do skonsultowania, bo

znowu zdarzyło się kilka wypadków strzelaniny w szkołach, więc czekały ją podróże w różne miejsca kraju, gdzie władze lokalne organizowały sztaby specjalistów, by pomóc dzieciakom, które przeszły przez doświadczenie przemocy.

Jej życie osobiste układało się dobrze, była szczęśliwa z Charlesem. Zima miała się ku końcowi. I Dafne wreszcie się uspokoiła. Między nią i Charlesem nie było wprawdzie przyjaźni, ale skończyły się aroganckie zaczepki, a od czasu do czasu nawet porzucała wyniosły dystans i śmiała się razem z nim. Dokonywał nadludzkich wysiłków, by żyć w przyjaźni z dziećmi. Łatwiej było kolegować się z Samem i Jackiem. Zabierał ich na mecze koszykówki. Dafne była zbyt zajęta swoim życiem towarzyskim i nigdy nie miała dość czasu, ale i ją zawsze zapraszał.

Maxine starannie ukrywała przed dziećmi, że sypia z Charlesem. Nigdy nie zostawał na noc w jej mieszkaniu, chyba że dzieci spały u przyjaciół. Dwa lub trzy razy w tygodniu nocowała u niego, ale wracała wcześniej rano, zanim dzieci wstały. Dlatego jej noce z Charlesem były krótkie, a ona wciąż czuła się niewyspana. Ale uważała, że tak jest najlepiej. Co jakiś czas wyjeżdżali razem na weekend. Na nic więcej nie mogli liczyć. Spotykali się już dwa i pół miesiąca, kiedy nadeszły walentynki. Charles zarezerwował na wieczór stół w La Grenouille. Nazywał tę restaurację „ich knajpką”. Oboje ją lubili. Spotykali się tam przynajmniej raz w tygodniu. Poza tym jadał u nich niedzielną kolację i nawet parę razy sam coś dla nich ugotował.

Maxine była wzruszona, kiedy w walentynki dostała od niego tuzin róż. Bilecik, dołączony do bukietu, oznajmiał z prostotą: „Kocham cię. C”. Był naprawdę miłym facetem. Jego sekretarka przyniosła kwiaty i wręczyła Maxine z uśmiechem. Ona także lubiła Charlesa. Maxine włożyła czerwoną sukienkę, którą kupiła specjalnie na ten wieczór. Kiedy po nią przyjechał, powiedział, że wygląda w niej bosko. Sam robił miny, kiedy Charles ją pocałował, ale do tego byli już przyzwyczajeni.

Był to przemiły wieczór. Potem Charles wszedł do niej na górę. Podała mu szklaneczkę brandy i usiedli w salonie, tak jak często siadali, rozmawiając o tym, co

nowego się wydarzyło, zwłaszcza po ostatniej serii zamachów w szkołach, po której miała wygłosić swoją opinię przed Kongresem. Zamierzał być obecny wśród publiczności. Powiedział, że jest z niej bardzo dumny, i wziął ją za rękę. Dzieci już spały głębokim snem.

- Kocham cię - powiedział.

Uśmiechnęła się do niego. Ostatnio jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli, zwłaszcza odkąd on dokładał starań, żeby się zbliżyć do dzieci.

- Ja też cię kocham, Charles. Dziękuję ci za piękne walentynki.

Takich walentynek nie miała od lat. Związek z Charlesem był tym, czego najbardziej potrzebowała. Spędzali razem właśnie tyle czasu, ile chciała. Nie za dużo i nie za mało. Charles nie próbował zagarnąć jej tylko dla siebie, ale mogła liczyć na spotkania kilka razy w tygodniu. Lubił rozmawiać o jej pracy i zawsze miał czas dla dzieci.

- Ostatnie dwa miesiące były dla mnie cudowne - powiedział. - Najlepsze, jakie mi się zdarzyły w życiu.

Czuł, że jest mu bliższa, niż była kiedykolwiek jego była żona w ciągu dwudziestu jeden lat małżeństwa. Już dawno zdał sobie sprawę, że przez całe życie czekał na Maxine. Tego wieczoru zamierzał jej o tym powiedzieć.

- Dla mnie też - powiedziała, i pocałowała go. Przyjemnie było czuć na jego wargach smak brandy.

Nie zapalili światła w salonie, tak było przyjemniej i bardziej romantycznie.

- Chciałbym, żeby nasze spotkania nie były takie pośpieszne. Oboje potrzebujemy więcej snu - ciągnął. - Nie powinnaś wstawać o czwartej nad ranem, kiedy u mnie nocujesz. Na dłuższą metę nie da się żyć w ten sposób.

Słuchając go, złękła się, że będzie chciał się wprowadzić do ich mieszkania. Wiedziała aż za dobrze, że dla dzieci byłby to wstrząs. W końcu przyzwyczyły się do tego, że Charles się z nią spotyka. Ale mieszkanie z nim pod jednym dachem to byłoby dla nich za wiele. Odpowiadało jej, że on ma swoje mieszkanie, a ona swoje.

- Myślę, że na razie nie jest tak źle - odrzekła spokojnie.

Ale on potrząsnął głową.

- Moim zdaniem to nie zdaje egzaminu. Żadne z nas dwojga nie jest stworzone do luźnych związków, Maxine. Jesteśmy już wystarczająco dojrzały, by wiedzieć, czego potrzebujemy i gdzie tego szukać.

Otworzyła szeroko oczy. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, nie wiedziała nawet, o co mu chodzi.

- Co do ciebie, wiedziałem to od razu. Jesteśmy podobni do siebie jak dwie krople wody... Oboje jesteśmy lekarzami. Mamy podobny sposób myślenia o wielu sprawach. Lubię spędzać z tobą czas. Przyzwyczaiałem się do twoich dzieci. Maxine... Wyjdiesz za mnie?

Gwałtownie wciągnęła powietrze, a potem długo milczała, podczas gdy on czekał, patrząc na nią w słabym świetle wpadającym z ulicy. Widział przerażenie w jej oczach.

- Będzie dobrze. Obiecuję ci to. Wiem na pewno, że to najlepsze wyjście.

Ona nie miała tej pewności. Małżeństwo to trwały związek. Na zawsze. Co prawda, myślała tak również o swoim związku z Blake'em, a wyszło zupełnie inaczej. Skąd miała wiedzieć, jak będzie z Charlesem?

- Jest chyba jeszcze za wcześnie, Charles. To trwa dopiero dwa miesiące.

- Dwa i pół - uściślił. - Chyba oboje wiemy, że nie ma lepszego rozwiązania.

Ona też tak myślała. Ale też wiedziała, że to ryzykowne ze względu na dzieci. Była o tym przekonana. Więc nie mogła mu obiecać, że za niego wyjdzie. Jeszcze nie teraz. Dzieci dostałyby szału.

- Dzieci potrzebują więcej czasu - powiedziała łagodnie. - Może i my tego potrzebujemy. „Na zawsze” to bardzo długo. I żadne z nas nie chce popełnić błędu. Bo oboje mamy już za sobą taki błąd.

- Ale też nie powinniśmy czekać z tym w nieskończoność. Chciałbym żyć z tobą - zawiesił głos - jako twój mąż.

Było to coś, czego pragnie wiele kobiet: oświadczyzny mężczyzny, który nie kłamie, naprawdę chce się ożenić. Wiedziała, że Charles jest szczerzy. Ale ona też musiałaby chcieć tego naprawdę. A nie była jeszcze gotowa.

- Więc jak chcesz to rozwiązać?

Musiała szybko coś wymyślić. Nie zamierzała przecież dać mu kosza. Chciała tylko poczekać z małżeństwem, chciała nabrać pewności.

- Porozmawiam o tym z dziećmi do czerwca. Wtedy minie sześć miesięcy naszej znajomości. Sześć miesięcy to już coś. W czerwcu zaczynają się wakacje. Zasygnalizuję im, a one będą miały czas przemyśleć sprawę w ciągu lata.

Wydawał się trochę rozczarowany, ale zrozumiał, że nie został odrzucony, co z drugiej strony sprawiło mu ogromną radość. Bo przedtem się tego obawiał najbardziej.

- A kiedy ślub?

Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- W sierpniu? Dwa miesiące powinny im wystarczyć na oswojenie się z tą myślą. Dość, żeby się mogły do niej przyzwyczaić. I dla nas to też dobry moment. Zanim wrócą do szkoły.

- Czy w twoim życiu wszystko musi kręcić się wokół dzieci, Maxine? Czy jest coś takiego, co zależałoby tylko od twojej woli? Od naszej woli?

- Obawiam się, że nie - powiedziała przepraszaająco. - Ale to ważne, żeby one dobrze się czuły, inaczej i nam będzie ciężko.

Zwłaszcza jemu byłoby ciężko, gdyby dzieci zaczęły protestować. A Maxine obawiała się, że tak będzie, nawet jeśli powie im o tym dopiero w czerwcu. Z ledwością zaakceptowały obecność Charlesa, i po prostu nie przychodzi im do głowy, że mogłaby ponownie wyjść za mąż. Przestały o tym myśleć na samym początku, kiedy je zapewniła, że nie ma takiego zamiaru. Uwierzyły jej. I teraz owszem, gotowa była wywrócić własne życie do góry nogami, mówiąc Charlesowi, że najważniejsze, by jej dzieci były szczęśliwe.

- Prawdopodobnie przyzwyczajają się szybciej, jeśli je postawimy przed faktem dokonanym - powiedział stanowczo. - Mogę się z tym pogodzić, że ślub będzie w sierpniu, a z dziećmi porozmawiamy dwa miesiące wcześniej. Ale miałem nadzieję, że wszyscy się o tym dowiedzą już teraz. - Uśmiechnął się do niej. - Oczekiwanie będzie pełne emocji.

Przytulił ją mocno i poczuł bicie jej serca. Była przestraszona, lecz jednocześnie wzruszona. Kochała go, ale ten związek był tak inny od tamtego, który łączył ją z Blake'em. Tylko że teraz miała już swoje lata, Charles także, i rzeczywiście lepiej wiedziała, czego chce. Charles był dojrzałym mężczyzną godnym zaufania, kimś, kogo zawsze jej brakowało. Nie był wariatem jak Blake, na którego, przy całym jego uroku, nie można było liczyć. Jego pomysł miał dużo sensu, choć zupełnie ją zaskoczył.

Więc choć wszystko wydawało się Maxine przedwczesne, to musiała przyznać Charlesowi słuszność. Byli dojrzałymi ludźmi, więc po co tracić czas?

- Kocham cię - wyszeptała.

Pocałował ją.

- Ja też cię kocham. Gdzie weźmiemy ślub?

- Może w moim domu w Southampton? Jest duży, wszyscy się w nim pomieszczą, jest też ogród. - Oboje mieli mnóstwo znajomych.

- To świetny pomysł.

Dwa razy spędzał tam z nimi weekend i polubił ten dom. Ale nagle się stropił.

- Zabierzemy dzieci ze sobą w podróż poślubną?

- Nie, nie zabierzemy. - I nowy pomysł przyszedł jej do głowy. - Możemy pożyczyć od Blake'a jego jacht.

Ale Charles się zasepił, kiedy to usłyszał.

- Nie chciałbym spędzać miodowego miesiąca na jachcie twojego byłego męża - powiedział zdecydowanie. - Choćby to był najwspanialszy jacht świata. Będiesz moją żoną, nie jego.

Był zazdrosny o Blake'a nie od dzisiaj, więc Maxine szybko się wycofała.

- Przepraszam. Wybacz mi głupi pomysł.
- Może Wenecja... - Zawsze lubił Wenecję.

Ugryzła się w język i nie wspomniała ani słowem o pałacu Blake'a. Charles najwyraźniej o nim nie pamiętał.

- Albo Paryż. Byłoby pięknie.

Paryż był jednym z niewielu miejsc, gdzie Blake nie miał domu.

- Zastanowimy się nad tym. Mamy czas do wakacji.

Chciał jej dać zaręczynowy pierścionek. Lecz w tej sytuacji nie mogłaby go nosić, skoro zamierzała nie mówić nic dzieciom aż do czerwca. Ale zanim się obejrzą, będzie już sierpień. Za pół roku Maxine zostanie panią West. Charles był tym uszczęśliwiony. Ona też tego chciała. Maxine West - to brzmiało bardzo dobrze.

Siedzieli w salonie jeszcze długo i rozmawiali szeptem o swoich planach. Postanowili, że Charles sprzeda mieszkanie i przeprowadzi się do nich. Jego mieszkanie było dla nich za małe, więc trzymanie go nie miałoby sensu. Tej nocy Maxine miała ochotę się z nim kochać, ale to było niemożliwe. W jej łóżku spał Sam. Zgodziła się nazajutrz zostać na noc u niego, „żeby przypieczętować umowę”, jak się wyraził. Oboje mieli już dość tej sytuacji, w której nie mogli spędzić razem całej nocy. Dobrze by było rano budzić się pod jednym dachem. I wiedziała, że przyjemnie będzie mieć obok siebie wszystkich, których kochała.

Gdy wychodził, długo się całowali. Był tak czuły, tak kochający, tak miły dla niej. W drzwiach windy szepnął jeszcze:

- Dobranoc, pani West.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Kocham cię.

Zamknęła drzwi, poszła do sypialni, ale nie mogła przestać o tym myśleć. Naprawdę nie planowała małżeństwa, ale teraz, kiedy było już postanowione, poczuła, że właśnie tego pragnie. Chciała wierzyć i miała nadzieję, że dzieci zaakceptują tę decyzję. Dobrze, że Charles zgodził się poczekać. Charles to dla niej

odpowiedni mężczyzna, powinna była od początku być jego żoną. Lecz wtedy nie miałyby Dafne, Jacka i Sama. Więc w końcu wszystko wyszło najlepiej jak mogło. I miała miłość Charlesa. Tylko to się liczyło.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Choć Maxine i Charles na razie nie mówili dzieciom o swoich planach, fakt, że te plany istniały w niedostrzegalny sposób wpływał na domowy układ sił. Charles nagle zaczął wykazywać więcej stanowczości w stosunku do dzieci i Dafne szybko to zauważyła.

- Co on sobie właściwie wyobraża? - poskarżyła się pewnego dnia, kiedy kazał Jackowi zdjąć piłkarskie korki i zmienić koszulkę przed wyjściem na wspólną kolację.

Maxine też zwróciła na to uwagę. Ale sprawiło jej przyjemność, że Charles stara się stanąć na wysokości zadania, nawet jeśli na razie wychodzi mu niezręcznie. Wiedziała, że intencje miał jak najlepsze. Wzięcie na siebie ojcowskiej roli w jego wypadku było ogromnym krokiem do przodu.

- Chciał jak najlepiej - powiedziała do córki. Była skłonna usprawiedliwić go znacznie łatwiej niż Dafne.

- Nie, nie chciał. Po prostu postawił na swoim. Tatuś nigdy by się tak nie zachował. Nic by go nie obchodziło, w czym Jack wychodzi. Pozwoliłby mu w tych korkach wleźć choćby do łóżka.

- Może to wcale nie tak dobrze. Może potrzebujemy trochę więcej porządku w naszym życiu.

Charles miał zamiłowanie do ładu, w jego życiu wszystko było uporządkowane i pod kontrolą. Był zupełnym przeciwieństwem Blake'a.

- To znaczy co? Urządźcie nam w domu koszary? - wrzasnęła Dafne i wyszła.

Maxine pomyślała, że słusznie zrobiła, odkładając na lato zaręczyny i ślub. Dzieci na razie z pewnością nie były na to gotowe. Miała nadzieję, że z czasem ich opór będzie coraz słabszy.

W marcu Maxine miała mnóstwo zajęć. Czekał ją udział w dwóch konferencjach naukowych na dwóch końcach kraju. Pierwsza, w San Diego, dotyczyła wpływu zamachów terrorystycznych na funkcjonowanie dzieci poniżej dwunastu lat. Miała tam wygłosić główny referat. Druga, na temat samobójstw wśród nastolatków, odbywała się w Waszyngtonie. Maxine zgodziła się wziąć udział w panelu otwierającym tę konferencję, a oprócz tego wygłosić odczyt drugiego dnia. Natychmiast po tym wykładzie musiała wracać do domu, bo w szkołach zaczynała się przerwa wiosenna. Miała nadzieję namówić Blake'a, by zabrał dzieci na czas ferii, ale odpowiedział jej, że jest w Maroku, zajęty organizacją prac przy przebudowie domu, zakopany po uszy w projektach i szkicach, i nie może tego zostawić. Dla dzieci był to zawód, a dla niej kłopot, bo musiała odłożyć wszystkie zajęcia w ciągu tego tygodnia, zlecając Thelmie opiekę nad pacjentami.

Zabrała dzieci na narty do New Hampshire. Niestety, Charles nie mógł z nimi pojechać. Miał w tym czasie pacjentów. Pozwoliła każdemu z dzieci zabrać ze sobą kogoś z kolegów i wszyscy się świetnie bawili. Kiedy zadzwoniła z New Hampshire do Charlesa i powiedziała mu o tym, uznał za szczęśliwy traf, że nie miał czasu na ten wyjazd, bo sześcioro dzieci już było dla niego o wiele za dużo. Nawet z trójką kiepsko sobie radził. Zabrać szóstkę na wakacje to jego zdaniem obłąd. Ale Maxine była zadowolona i codziennie dzwoniła do niego z New Hampshire, opowiadając, co się nowego wydarzyło. A nazajutrz po powrocie miała jechać na konferencję do Waszyngtonu. Charles przyjechał tam do niej na jeden wieczór. Poszli do łóżka o północy. Tydzień był naprawdę po brzegi wypełniony zdarzeniami.

Charles okazywał lekkie niezadowolenie, kiedy widział, że Maxine na nic nie ma czasu, ale przynajmniej teoretycznie potrafił ją zrozumieć. Była kobietą z trójką dzieci, zdanych tylko na nią, i z praktyką medyczną wymagającą niemałego poświęcenia. Nie mogła przecież w żadnej sprawie liczyć na pomoc i radę ze strony

Blake'a. Przeważnie nie była w stanie skontaktować się z nim telefonicznie, więc przestała nawet próbować i wszystkie decyzje podejmowała na własną rękę.

Blake wpakował się po uszy w nową przygodę z przebudową domu. Jak zawsze interesował się tylko tym, co jemu sprawiało przyjemność. Maxine mogła więc liczyć jedynie na Zeldę. Maxine była jej dozgonnie wdzięczna i zawsze się czuła jej dłużniczką. Ani Blake, ani Charles nie mieli pojęcia, jak ogromny wysiłek był konieczny, by życie w domu mogło się toczyć w miarę gładko, a dzieci były zadbane i otoczone właściwą opieką. Uwaga Charlesa, że mogłaby wyjechać z nim razem na miesiąc, żeby odpocząć, tylko ją rozśmieszyła. Wyjechać? Jak? Kiedy? Nie było takiej możliwości. Nie miała żadnej wolnej chwili, a Blake znowu zniknął. W Aspen robił, co mógł, żeby dzieci się dobrze bawiły, ale teraz nie miał zamiaru spotkać się z nimi aż do lata. Dla nich to było bardzo długo, i do tego czasu wszystkie ich sprawy spoczywały na barkach Maxine.

Przyszła wiosna i robiło się coraz cieplej, więc do Maxine zgłaszało się coraz więcej nastolatków w kryzysie.

U pacjentów z depresją dwubiegunową wiosną i jesienią stan się zwykle pogarszał. Najbardziej niebezpieczne miesiące to marzec, kwiecień, maj i czerwiec, a potem wrzesień. U cierpiących na depresję zimową wiosna przynosiła poprawę. Dni stawały się dłuższe, świeciło słońce, kwitły kwiaty. Ale najciężej chorzy czuli się jeszcze bardziej wyzuci z nadziei niż zazwyczaj. Byli jak kamienie wyrzucone na brzeg, kiedy przyływ zaczyna się cofać. I zapadali się głęboko w swoją ciemność, udrękę i rozpacz. To był trudny czas dla dzieciaków z manią samobójczą.

Mimo jej wysiłków dwoje pacjentów w marcu popełniło samobójstwo, a potem jeszcze jeden w kwietniu. Znosiła wyjątkowo ciężkie chwile. Kolejny pacjent popełnił samobójstwo, gdy znajdował się pod opieką Thelmy. Był to osiemnastoletni chłopak, z którym pracowała od czterech lat. Serce jej się krajało na myśl o jego rodzicach, zresztą sama też głęboko odczuła tę stratę. Przed nią był jeszcze wrzesień, statystycznie najbardziej ryzykowny miesiąc dla jej chorych, zwłaszcza dla chłopców.

Thelma i Maxine spotkały się na lunchu, by omówić przypadki samobójstw. Przy okazji Maxine podzieliła się z Thelmą wiadomością o swoich utrzymywanych w tajemnicy zaręczynach. Thelmę ucieszyła ta jedyna dobra wiadomość.

- No, no. To dopiero nowina - zawołała. - Jak przyjęły wiadomość dzieci?

Maxine powiedziała jej, że do czerwca dzieci się o tym nie dowiedzą. A ślub jest planowany na sierpień.

- Mam nadzieję, że do sierpnia już się z tym pogodzą. Czerwiec będzie za dwa miesiące, ale widzę, że stopniowo coraz bardziej przyzwyczajają się do Charlesa. Choć przywykły mieć mnie tylko dla siebie. Jak dotąd nie musiały się mną z nikim dzielić.

Maxine wyznawała problem z troską w oczach, ale Thelma się uśmiechnęła.

- Dzięki temu są normalnymi, dobrze przystosowanymi, miłymi dziećmi. Bardzo dobrze, że miały cię tylko dla siebie. Że nie musiały z nikim rywalizować o twój czas i uwagę.

- Charles będzie cennym uzupełnieniem naszej rodziny. To mężczyzna, jakiego zawsze potrzebowaliśmy - powiedziała z nadzieją w głosie Maxine.

- Tym trudniejsza będzie dla nich ta zmiana - zauważyła Thelma. - Gdyby to był jakiś dureń, mogłyby go zlekceważyć. Ale jest rozsądnym i przyzwoitym facetem. Co, przynajmniej przejściowo, uczyni go wrogiem publicznym numer jeden. Zapnij pasy bezpieczeństwa, Maxine, bo coś mi mówi, że wchodzicie w strefę turbulencji. Ale potem wszystko się ułoży. Ogromnie się cieszę - dodała z szerokim uśmiechem.

- Dzięki. - Maxine też się uśmiechnęła, choć co do dzieci wcale nie była spokojniejsza. - Myślę, że masz rację w sprawie turbulencji. Nie tęsknię do kłopotów, dlatego odłożyliśmy te zaręczyny na kilka miesięcy.

Ale teraz czerwiec był już blisko. I Maxine coraz bardziej się obawiała tej chwili, kiedy trzeba będzie powiedzieć dzieciom o ślubie. Dlatego ich małżeńskie plany budziły w niej sporo napięcia i ambiwalentne uczucia. Zaczęły jej się

wydawać jakoś nie do końca realne, dopóki dzieci się o nich nie dowiedzą i nie zaakceptują ich.

W kwietniu poszli z Charlesem do sklepu Cartiera, żeby wybrać pierścionek. W sklepie tylko przymierzyła, a Charles wręczył jej go uroczyście podczas kolacji w La Grenouille. Ale i tak nie mogła go jeszcze nosić, tylko trzymała w szufladzie biurka, zamykanej na kluczyk, i wyjmowała co wieczór, żeby na niego popatrzeć. Bardzo jej się podobał. Był śliczny, a kamień roztaczał niezwykły blask. Nie mogła się doczekać, kiedy zacznie go nosić. Ten pierścionek spowodował, że małżeńskie plany zaczęły się wydawać nieco bardziej realne. Tymczasem zarezerwowała sierpniowy termin w firmie cateringowej z Southampton. Ślub miał się odbyć już za cztery miesiące. Musiała poszukać odpowiedniej sukni. A także zawiadomić rodziców i Blake'a, ale nie wcześniej, niż powie o tym dzieciom. Czuła, że należy im się pierwszeństwo.

Wielkanoc spędziła z Charlesem i dziećmi w Southampton, i było bardzo miło. Nocą Charles szeptał z nią o ich tajemnicy, i chichotali jak para dzieciaków. Spacerowali po plaży, trzymając się za ręce, a Dafne znacząco przewracała oczami.

W maju Maxine odbyła poważną rozmowę z Zeldą. Zelda miała wtedy zły dzień. Jedna z jej przyjaciółek zginęła w wypadku drogowym. Po raz pierwszy rozmawiały wtedy o smutku Zeldy, związanym z tym, że nie miała własnego dziecka. Maxine była pełna współczucia. Ale sądziła, że zły nastrój Zeldy minie, a wraz z nim zniknie myśl o dziecku. Że to tylko zły dzień.

- Naprawdę nie jest za późno - powiedziała, próbując ją pocieszyć. - Może się przecież zdarzyć, że kogoś spotkasz. Nawet dziecko nie jest jeszcze wykluczone. - Nawet jeśli zrobiło się już trochę późno, medycyna poszła tak do przodu, że to umożliwia.

Maxine z Charlesem też rozmawiała o dziecku, ale uważał, że trójka mu w zupełności wystarczy. Sądził, że na niemowlę jest już za stary, choć Maxine wcale tak nie myślała. Gdyby tego chciał, byłoby wspaniale. Ale nie chciał.

- Wolę chyba adopcję - powiedziała rzeczowo Zelda. - Przez całe życie zajmuję się dziećmi innych i wiem, że potrafię je kochać. Nie mam z tym żadnego problemu. - Uśmiechnęła się, a Maxine ją uścisnęła. Wiedziała, że to prawda. - Może powinnam się zainteresować adopcjami.

Maxine przytaknęła. Mówiły zapewne o jednej z tych rzeczy, o jakich się mówi tylko po to, żeby się pocieszyć, niekoniecznie zamierzając je realizować. Maxine nie wierzyła, że Zelda chce tego naprawdę.

Zelda nic nie wiedziała o małżeńskich planach Maxine. Maxine zamierzała powiedzieć o nich dzieciom już za trzy tygodnie, kiedy skończy się szkoła. Była pełna obaw, lecz także nadziei. Najwyższy czas, by się dowiedziały. Zelda nie wracała więcej do pomysłu adopcji, a Maxine puściła to w niepamięć. I była przekonana, że Zelda także zapomniała o tej rozmowie.

Ostatniego dnia nauki, na początku czerwca, otrzymała telefon ze szkoły, gdy w swoim gabinecie przyjmowała pacjentów. Pomyślała od razu, że to jakaś zwykła, rutynowa sprawa. Dzieci miały wrócić do domu za dwie godziny.

Chodziło o Sama. Potracił go samochód, kiedy przechodził przez ulicę do auta kolegi, bo jego matka miała podzucić ich do domu. Karetka pogotowia zabrała Sama do New York Hospital. Jedna z nauczycielek pojechała razem z nim.

- O Boże, czy coś mu się stało?

Ale czy mogło mu się nic nie stać, skoro zabrano go do szpitala karetką? Maxine była przerażona.

- Chyba złamał nogę. Pani Williams... tak mi przykro. Było mnóstwo zamętu, bo to ostatni dzień roku szkolnego. Sam jest dzielnym chłopcem.

Dzielnym chłopcem? Niech lepiej dadzą sobie spokój. Jak mogli do tego dopuścić? Kręcąc głową, odłożyła słuchawkę i wróciła do gabinetu. Gdy sekretarka przełączyła do niej ten telefon, miała w gabinecie pacjenta, siedemnastolatka. Opiekowała się nim od dwóch lat. Powiedziała mu, czego dotyczył telefon. Wyraził współczucie. Przepraszała, ale musiała przerwać wizytę. Prosiła sekretarkę o odwołanie wszystkich popołudniowych wizyt. Chwyciła torebkę i już miała

wychodzić, gdy przyszło jej do głowy, że należałoby zadzwonić do Blake'a, nawet jeśli nie mógł wiele pomóc. Był przecież ojcem Sama. Zadzwoniła do jego domu w Londynie. Odebrał kamerdyner i powiedział, że Blake jest w Maroku i można go zastać w La Mamounia. Kiedy dzwoniła do Marakeszu, hotelowy telefonista przyjął wiadomość, ale odmówił informacji, czy Blake tam rzeczywiście mieszka. W telefonie komórkowym Blake'a odzywał się tylko automat zgłoszeniowy. Była rozgorączkowana. Zadzwoniła do Charlesa. Obiecał, że będzie na nią czekał przed izbą przyjęć. Więc w pośpiechu wybiegła na ulicę.

Nie było trudno odnaleźć Sama na urazówce. Miał złamaną rękę i nogę, pęknięte żebra i wstrząs mózgu. Rozpoznała typowy wyraz twarzy dziecka w szoku pourazowym. Nawet nie płakał. Charles okazał się wspaniałym opiekunem. Wszedł z nim na salę operacyjną, kiedy Samowi składano złamane kości ręki i nogi. Pęknięte żebra się tylko bandażuje. A wstrząs mózgu był na szczęście lekki. Maxine omal nie wyszła z siebie, czekając w holu. Późnym popołudniem mogli zabrać Sama do domu. Charles został z nimi, a Sam trzymał za ręce ich oboje. Serce jej się krajało, kiedy widziała syna w takim stanie. Położyli go do łóżka. W szpitalu dostał środki przeciwbólowe, więc był trochę oszołomiony. Jack i Dafne przerazili się, kiedy go zobaczyli. Ale niebezpieczeństwo minęło, teraz trzeba było tylko czasu, żeby złamania się zrosły. Matka kolegi, która miała go zabrać samochodem, zadzwoniła do Maxine i bardzo przepraszała. Tłumaczyła, że nikt nie zauważył nadjeżdżającego samochodu. Podobno jego kierowca był zrozpaczony. Ale oczywiście nie tak jak Maxine. Dobrze, że nie skończyło się gorzej.

Charles został na noc i spał na kanapie. Na zmianę z Maxine doglądał Sama. Oboje odwołali pacjentów, których mieli przyjąć nazajutrz. Zelda także opiekowała się Samem. O północy Maxine weszła do kuchni, żeby napić się herbaty. Akurat dyżurowała przy Samie. Wpadła na Dafne, która przeszła ją rozgniewanym wzrokiem.

- Dlaczego on u nas śpi? - spytała, mając na myśli Charlesa.

- Dlatego, że się o nas troszczy - Maxine była zmęczona i nie miała siły odpiierać zaczepek Dafne. - Wspaniale opiekował się Samem, kiedy byliśmy w szpitalu. Był z nim nawet na sali operacyjnej.

- Dzwoniłaś do tatusia? Maxine miała tego dość.

- Owszem, dzwoniłam. Jest w tym cholernym Maroku i nie sposób się z nim skontaktować. Nie oddzwonił. Czy ta odpowiedź cię zadowoliła? Coś jeszcze?

Dafne rzuciła jej zranione spojrzenie i uciekła do swojego pokoju. Wciąż chciała wierzyć, że ojciec jest kimś, kim nigdy nie był i nie będzie. Cała trójka chciała w to wierzyć. Jack uważał ojca za bohatera. Lecz to był zwyczajny facet. Każde z nich oczekiwało od niego dojrzałości, każde liczyło na to, że będzie z nimi w stałym kontakcie. Lecz przeważnie był nieosiągalny. I tym razem stało się to, co zawsze. Właśnie dlatego Maxine wystąpiła o rozwód.

Minęło pięć dni, zanim zdołała odnaleźć Blake'a w Maroku. Powiedział jej, że miało tam miejsce trzęsienie ziemi, które wyrządziło ogromne szkody. Maxine przypomniała sobie, że słyszała o tym piąte przez dziesiąte. Przez ostatnie dni martwiła się tylko o Sama. Dokuczaly mu połamane żebra i nadal nękały go bóle głowy związane z doznanym urazem. Rękę i nogę miał w gipsie, więc bolały go najmniej. Blake bardzo się przejął, kiedy mu o tym powiedziała.

- Byłoby miło, gdybyś był dostępny pod jakimkolwiek numerem telefonu, Blake. To po prostu śmieszne. Jeśli coś się wydarzy, nie wiadomo, gdzie cię szukać.

Lecz wcale nie chciało jej się śmiać, była wściekła.

- Przepraszam cię, Maxine. Linie telefoniczne zostały zerwane, przekaźniki nie działały. Moja komórka i konto mejlowe dopiero od dzisiaj znowu są na chodzie. To było naprawdę potężne trzęsienie ziemi, niedaleko stąd zginęło wielu ludzi. Brałem udział w akcji ratunkowej, organizowałem dostawy żywności, wody i lekarstw drogą lotniczą.

- Od kiedy to zostałeś dobrym samarytaninem? - rozzłościła się. Charles był przy niej przez cały czas. A Blake'a jak zwykle zabrakło.

- Ludzie głodują, na ulicach leżą zwłoki. Zastanów się, czy mam zostawić wszystko i polecieć do Sama?

- Nie trzeba. Sam czuje się lepiej. - Uspokoila się trochę. - Ale to było straszne dla nas wszystkich. A najbardziej dla niego. Teraz śpi. Mógłbyś do niego zadzwonić za parę godzin.

- Naprawdę mi przykro, Maxine - powiedział i zabrzmiał szczerze. - Miałaś dość kłopotów już i bez tego wypadku Sama.

- Ze mną wszystko w porządku. Charles jest przy mnie.

- To dobrze - odparł Blake spokojnie. W jego głosie słyhać było zmęczenie. Pomyślała, że może naprawdę robił w Maroku coś pożytecznego, choć trudno jej było sobie to wyobrazić. - Zadzwonię do Sama. Ucałuj go ode mnie.

- Dobrze.

I rzeczywiście zadzwonił do Sama parę godzin później. Sam rozmawiał z nim ogromnie przejęty. Opowiadał, jak Charles trzymał go za rękę na sali operacyjnej podczas nastawiania kości. Jak mama odchodziła od zmysłów ze zdenerwowania, więc lekarz dyżurny nie wpuszczał jej na salę operacyjną. Co było prawdą. Omal nie zemdlala ze strachu o Sama. Charles był w tej historii bohaterem. Blake obiecał Samowi, że wkrótce go odwiedzi. Tymczasem Maxine zaczęła czytać wszystko, co wpadło jej w ręce na temat trzęsienia ziemi w Maroku. Rozmiary katastrofy były ogromne. Dwa miasteczka całkowicie zburzone, większość mieszkańców zginęła pod gruzami. W kilku dużych miastach też odnotowano zniszczenia. Blake nie kłamał. Ale ona wciąż nie wyzbyła się żalu, że nie można się do niego dodzwonić, kiedy jest potrzebny. To było dla Blake'a typowe. Nie zmieniał się wcale. Zostanie nicponiem do końca swoich dni. Niesolidnym i niesłownym. Całe szczęście, że w jej życiu pojawił się Charles.

Charles przez ostatni tydzień spał u nich na kanapie. Przychodził codziennie po pracy, żeby doglądać Sama i pomagać całej rodzinie. Oboje sądzili, że przyszła już odpowiednia chwila, by powiedzieć dzieciom o planowanym ślubie. Był czerwiec i szkoła się skończyła.

Maxine zebrała wszystkich w kuchni na śniadaniu w sobotę rano. Charles też był obecny, choć Maxine miała jednak wątpliwości, czy to dobry pomysł. Ale on tego chciał. Był z nimi podczas choroby Sama, więc jak mogła go teraz odsunąć? A dzieci i tak znajdą potem okazję, żeby powiedzieć jej na osobności co o tym myślą, jeśli emocje będą się domagały rozładowania.

Z początku czuła się niepewnie, kiedy mówiła o tym, jak dobry był dla nich Charles w ciągu ostatnich paru miesięcy. Przenosiła wzrok z jednego dziecka na drugie, starając się przypomnieć im to w sposób przekonujący. Bardzo obawiała się ich reakcji na wiadomość, którą miała do przekazania. Ale nie zostało już nic innego do zrobienia, trzeba było w końcu powiedzieć.

- Charles i ja postanowiliśmy pobrać się w sierpniu.

Zapadła martwa cisza. Nikt się nie odezwał. Dzieci patrzyły na matkę jak skamieniałe.

- Kocham waszą matkę i was - odezwał się Charles.

Zabrzmiało to sztywniej, niżby chciał. Ale nigdy dotąd nie znalazł się w podobnej sytuacji i naprawdę mówił z duszą na ramieniu. Zelda krzątała się po kuchni.

- Żartujecie? - spytała Dafne.

- Nie - odparła poważnie Maxine.

- Ledwie go znasz - zwróciła się Dafne do matki, ignorując Charlesa.

- Spotykamy się prawie od siedmiu miesięcy, a jesteśmy już w takim wieku, że wiemy, czego chcemy.

Powtórzyła te słowa za Charlesem, który je kiedyś wypowiedział w rozmowie. Dafne zerwała się od stołu i wyszła z kuchni. Chwilę później usłyszeli trzaśnięcie drzwi od jej pokoju.

- Czy tata o tym wie? - zapytał Jack.

- Jeszcze nie. Chcieliśmy, żebyście byli pierwsi. Teraz zawiadomię tatę, babcię i dziadka.

- Aha - mruknął Jack i także zniknął. Było dużo ciężiej, niż się spodziewała. Nasłuchiwała ze ściśniętym sercem, czy jego drzwi także trzasną. Nie trzasnęły, zamknął je bardzo cicho.

- Mnie się wydaje, że to dobrze - powiedział spokojnie Sam, patrząc na nich oboje. - Dbaleś o mnie, kiedy byłem w szpitalu, Charles.

Sam potraktował ich uprzejmie i nie wydawał się rozgniewany, ale on także miał powody do obaw. Mógł się bez trudu domyślić, że nie będzie już sypiał w łóżku mamy. Jego miejsce miał zająć Charles. Ślub był nie po myśli żadnego z dzieci. Kiedy nie znali jeszcze Charlesa, niczego im nie brakowało.

- Mogę teraz obejrzeć u ciebie telewizję? - spytał Sam. Żadne nie dopytywało się o szczegóły, na temat ślubu.

Nie chciały niczego wiedzieć. Chwilę później Sam wyszedł, podpierając się Szwedkami, z którymi radził sobie znakomicie. Maxine i Charles zostali w kuchni sami.

- Gratulacje - powiedziała Zelda, przystając w drzwiach. - Dzieci się przyzwyczają. Otrząsną się z pierwszego szoku. A ja się zaczynałam tego domyślać.

Uśmiechnęła się, ale i ona wydawała się trochę zmartwiona. To była wielka zmiana w życiu całej rodziny. Nikt na taką zmianę nie czekał.

- Dla ciebie wszystko zostanie po staremu, Zeldo - uspokoiła ją Maxine. - Będziesz nam potrzebna jak do tej pory. A może nawet jeszcze bardziej.

- Dzięki. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby było inaczej.

Charles uśmiechnął się do niej. Lubił ją, choć wolałby nie spotykać się z nią późnym wieczorem, gdy będzie wchodził po coś do kuchni w piżamie. Miał zacząć zupełnie nowe życie, z żoną, trójką dzieci i nianią zatrudnioną na pełny etat.

Swoboda jego życia prywatnego należała już do przeszłości. Lecz mimo to uważał, że decyzja o ślubie była słuszna.

- A dzieciaki za chwilę zapomną, że im się coś nie podobało - pocieszała ich Zelda. - Potrzebują tylko trochę więcej czasu.

- Myślałam, że będzie gorzej - przyznała Maxine. Charles wydawał się zrażony niepowodzeniem.

- Znacznie gorzej nie mogło być. Miałem nadzieję, że ktoś się ucieszy. Nie liczyłem na Dafne, ale przynajmniej chłopcy...

- Nikt nie lubi zmian - zauważyła Maxine. - A to jest dla nich ogromna zmiana. I dla nas także.

Pochyliła się do niego, żeby go pocałować. Uśmiechnął się do niej niewesoło, a tymczasem Zelda poszła do siebie, zostawiając ich samych.

- Kocham cię - rzekł Charles. - Przykro mi, że dzieci są przez to tak nieszczęśliwe.

- Przejdzie im. Pewnego dnia będziemy się z tego śmiali, jak z naszej pierwszej randki.

- Może to był zły omen - powiedział, strapiony.

- Skąd. Będzie wspaniale. Zobaczysz - odrzekła Maxine i znowu go pocałowała. A Charles w cichości ducha chciał wierzyć, że właśnie ona ma rację.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dzieci siedziały w swoich pokojach przez kilka godzin, wstrząśnięte tym, czego się dowiedziały od Maxine. Charles tymczasem poszedł do domu. W tych dniach już nie sypiał na kanapie w salonie. Uznał, że powinni zostać sami, opuścić ich więc, wciąż jeszcze trochę wytrącony z równowagi, bo choć Maxine pocieszała go, że wszystko się dobrze skończy, wcale nie miał takiej pewności. Nie poddał się, lecz jednak był mocno dotknięty.

Po jego wyjściu Maxine usiadła przy kuchennym stole z filiżanką herbaty. Ku jej zadowoleniu Zelda wróciła do kuchni i z filiżanką herbaty usiadła obok niej.

- W tym domu już tylko z tobą mogę normalnie rozmawiać - powiedziała Maxine.

- Rzeczywiście, zrobiło się u nas cicho. Teraz musimy poczekać, aż opadnie bitewny pył.

- Wiem. Przykro mi, że aż tak ich przestraszyłam, ale przecież nie mają racji. Charles po wypadku Sama sprawdził się jako partner. Zrobił to, czego oczekiwała, był kimś, kogo potrzebowała od zawsze.

- Polubią go - powiedziała Zelda. - Charlesowi też nie jest teraz łatwo. Trzeba pamiętać, że nigdy nie miał do czynienia z dziećmi.

Maxine skinęła głową. Nikt nie składa się z samych zalet. Zresztą, gdyby Charles miał własne dzieci, to opór pojawiłby się pewnie po obu stronach. Więc w sumie jednak mieli dość prostą sytuację.

Maxine ugotowała coś na kolację, ale dzieci odsunęły od siebie talerze. Wszyscy stracili apetyt, nie wyłączając jej samej. Przykro było patrzeć na ich grobowe miny. Zwłaszcza na minę Dafne.

- Jak mogłaś nam to zrobić, mamó? To śliski typ.

Wygłosiła najbardziej niesprawiedliwą ocenę, jaką można było wystawić Charlesowi, więc Sam musiał interweniować.

- Nie, to nieprawda. Był dla mnie dobry. Byłby dobry i dla ciebie, gdybyś nie była wobec niego taka wredna.

Miał rację, chociaż Dafne mu tego nie przyznała.

- Po prostu nie jest przyzwyczajony do dzieci - powiedziała Maxine.

Wszyscy wiedzieli, że tak jest.

- Kiedy zabrał mnie na mecz, zaczął mnie namawiać na szkołę z internatem - powiedział Jack. - Mamó, wyślecie nas do internatów?

- Jasne, że nie. Charles był w szkole z internatem, którą bardzo lubił. Ja was nigdzie nie zamierzam wysłać.

- Teraz tak mówisz - odezwała się Dafne. - Ale jak zostanie twoim mężem, zrobisz, co ci każe.

- Nie może i nie chce mi niczego „kazać”. Nie jesteście jego dziećmi.

- Już teraz przebiera miarę. Myśli, że jest panem i władcą.

- Nieprawda. - Maxine broniła Charlesa, ale była zadowolona, że dzieci dały upust swoim emocjom. Teraz nareszcie będzie można rozmawiać otwarcie. - Ma swój sposób życia, ale wam niczego nie narzuca. Ani on by tego nie chciał, ani ja bym na to nie pozwoliła.

- Nienawidzi tatusia - burknął Jack.

- Też nieprawda. Może jest o niego trochę zazdrosny, ale to nie jest nienawiść.

- A tatuś? Myślisz, że co tatuś powie? - zainteresowała się Dafne. - Założę się, że się zmartwi, jeśli wyjdiesz za męża.

- Nie sądzę. Przecież on ma coraz nowe dziewczyny. Wciąż jest z Arabellą? - Ostatnio Maxine jakoś o niej nie słyszała.

- Tak - powiedziała Dafne ponuro. - Mam nadzieję, że się z nią nie ożeni. Modlę się o to.

Dzieci były tak smutne, jakby na dom spadło straszne nieszczęście. Z pewnością nie pragnęły tego ślubu. Spodziewała się oporu, ale jednak było jej ciężko. Tylko Sam odważył się przyznać, że to nie jest żadna katastrofa. Ale on trochę lubił Charlesa.

Charles zadzwonił po kolacji, żeby się dowiedzieć, co u nich słychać. Tęsknił za Maxine, lecz tylko w domu mógł odpocząć od dzieci. Ostatni tydzień był dla wszystkich trudny. Najpierw wypadek Sama, teraz to. A Maxine nie miała dokąd uciec.

- W porządku. Wszystko się ułoży - powiedziała. - Potrzebujemy czasu.

- Ile? Dwadzieścia lat? - spytał zdruzgotany.

- To przecież dzieci. Dajmy im kilka tygodni. Będą tańczyły na naszym weselu razem ze wszystkimi.

- Blake już wie?

- Zadzwoń do niego później. Najpierw do rodziców. Ale się zdziwią!

Charles spotkał ich kiedyś i polubił. Cieszyła go myśl, że wejdzie do lekarskiej rodziny.

Dzieci były przygaszone przez cały wieczór. Siedziały w swoich pokojach, oglądając filmy. Sam spał u siebie. Kiedy leżała w łóżku, nie mogła sobie wyobrazić, że za dwa miesiące w tej sypialni zamieszka z nią Charles. Tak długo była sama, że zupełnie odwykła od obecności innej osoby. Sam dobrze zgadł, że nie będzie już mógł sypiać w jej łóżku. Utraci swój przywilej. Kochała Charlesa, ale wszystko, co dobre, miało i gorszą stronę, także dla niej. Takie jest życie. Coś za coś. Choć trudno jej było pogodzić się z myślą, że koszta poniosą dzieci.

Zadzwoniła do Blake'a krótko po północy. W Marakeszu był poranek. Wydawał się czymś zajęty i przez to roztargniony. Słyszała w tle hałas, jakby pracowały silniki. Ledwo się słyszeli.

- Gdzie jesteś? Co robisz? - wołała do telefonu.

- Na ulicy, pomagam koordynować prace ekip odgruzowujących.

Przywiozłem buldożery. Wciąż jeszcze znajdujemy zwłoki w ruinach. Maxine, tu jest dużo dzieci wałęsających się po mieście, bez dachu nad głową. Ludność jest zdziesiątkowana, a te dzieci szukają rodziców. Rannych kładzie się gdzie popadnie, bo szpitale są przepełnione. Nie potrafisz sobie wyobrazić, co się tutaj dzieje.

- Potrafię - powiedziała smutno. - Miałam już do czynienia z katastrofami żywiołowymi. To zawsze tak wygląda.

- Może mogłabyś tu przyjechać. Brakuje ludzi, którzy pomogliby zorganizować instytucje opieki nad dziećmi i doradzili miejscowym władzom, jak nadzorować ich pracę. Potrzeba tu kogoś takiego jak ty. Zastanów się nad tym.

Jego dom nie został uszkodzony. Mógłby zresztą w każdej chwili wyjechać, bo miał dokąd, ale polubił ten kraj i jego mieszkańców. Więc robił dla nich, co mógł.

- Przyjechałabym, gdyby ktoś mnie zaprosił. Wtedy mogłabym polecieć tam nawet zaraz i zebrać odpowiedni zespół.

- Ja cię zapraszam.

- Nie bądź śmieszny. Dla ciebie mogłabym pracować bezpłatnie. Ale chcę mieć jasną sytuację. Muszę wiedzieć, czego się ode mnie oczekuje. To, co robię, to

bardzo szczególny rodzaj doradztwa i wiąże się z problemami urazów dziecięcych, z bieżącą pomocą i organizowaniem stałych instytucji opieki. Chciałabym przedtem wiedzieć, czy rzeczywiście planują takie działania.

- Postaram się o formalne zaproszenie. Jak się ma Sam?

- Nieźle. Chodzi o kulach, całkiem zręcznie. - W tym momencie przypomniała sobie, po co do niego zadzwoniła. - Muszę ci coś powiedzieć - dodała.

- O wypadku Sama? - Zaniepokoiła go powaga w jej głosie. Nigdy nie mówiła do niego w taki sposób. Tym razem martwił się o Sama bardziej niż o siebie.

- Nie. O mnie. Wychodzę za mąż. Za Charlesa Westa. Ślub będzie w sierpniu. Milczał przez chwilę.

- Dzieci rozpaczają? - zapytał.

- Tak. - Nie zamierzała go okłamywać. - Odpowiadało im takie życie, jakie prowadziliśmy. Nie chcą niczego zmieniać.

- To rozumiałe. Co do mnie, też nie życzyły sobie, żebym się ożenił. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Maxine. - Jego głos też nigdy jeszcze nie zabrzmiał tak poważnie.

- Tak, wiem.

- Więc przyjmij gratulacje. - Roześmiał się, co już było bardziej w jego stylu. - Słowo daję, nie spodziewałem się, że to się stanie tak szybko. Ale może tak będzie lepiej dla was wszystkich. Dzieci tego jeszcze nie rozumieją. Słuchaj, zadzwonię wkrótce. Teraz jestem zajęty. Tyle się wydarzyło, że trzeba będzie o tym porozmawiać na spokojnie. Uważaj na siebie i ucałuj ode mnie dzieci... I gratuluję ci jeszcze raz, Maxine.

Zanim zdążyła podziękować, już się rozłączył. Odłożyła słuchawkę i wróciła do łóżka. Próbowała wyobrazić sobie Blake'a w zrujnowanym Maroku, pomagającego sierotom i rannym, organizującego odgruzowywanie, przywożącego lekarstwa i żywność. Po raz pierwszy robił z pieniędzy lepszy użytek niż inwestowanie w dochodowe przedsięwzięcia. Tym razem sam podwinął rękawy i

zabrał się do roboty. Niewiarygodne. I przyszło jej do głowy, że może Blake wreszcie wydorósł. Lecz jeśli tak, o wiele za późno.

Rano Maxine zadzwoniła do rodziców. Nareszcie komuś sprawiła radość tą wiadomością. Ojciec powiedział jej, że jest szczęśliwy. Lubił Charlesa i uważał go za najodpowiedniejszego kandydata na męża dla córki. Był zadowolony, że przyszły mąż Maxine jest lekarzem. Życzył jej wszystkiego najlepszego i poprosił, żeby przekazała Charlesowi jego gratulacje. Zachował się, jak powinien. Potem do telefonu podeszła matka i zaczęła wypytywać o wesele.

- Czy dzieci się cieszą? - spytała.

Maxine uśmiechnęła się, zdumiona jej naiwnością.

- Nie spodziewałam się, że będzie łatwo, mamó. Dla nich to zbyt wielka nowość.

- Charles jest bardzo miłym człowiekiem. Jestem pewna, że twoje małżeństwo wyjdzie dzieciom na zdrowie.

- Mam nadzieję - powiedziała Maxine, ale bez takiego przekonania, jakie brzmiało w głosie jej matki.

- Powinniście któregoś dnia wpaść do nas na kolację.

- Bardzo chętnie, mamó. - Będzie dobra okazja, żeby Charles poznał ich lepiej, tym bardziej że nie miał własnej rodziny.

Było jej przyjemnie, że uszczęśliwieni rodzice zaaprobowali jej małżeństwo. Wiele to dla niej znaczyło. I wiedziała, że ważne było także dla Charlesa. Entuzjazm rodziców zrównoważył niechęć dzieci.

Tego wieczoru Charles jadł u niej kolację. Przy stole dzieci zachowywały się spokojnie. Obyło się bez przykrych wyskoków, bez niegrzecznych odzywek, lecz jednak widać było, że nie są szczęśliwe. Zjadły i poszły do swoich pokoi. Nie tego spodziewał się Charles.

Maxine opowiedziała mu o rozmowie z rodzicami. To go trochę pocieszyło.

- Oni przynajmniej mnie lubią. Zabierzmy ich do La Grenouille.

- Chcą, żebyśmy najpierw poszli do nich - powiedziała. Trzeba go było wprowadzić do rodziny, powinien się wciągnąć w rodzinne obyczaje.

Po kolacji przyszła jej do głowy pewna myśl. Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła pierścionek zaręczynowy, który od dawna czekał na swoją chwilę. Poprosiła Charlesa, żeby włożył go jej na palec. Zauważył, że jest bardzo przejęta. Teraz wszystko naprawdę nabrało realności. Byli zaręczeni i mieli się pobrać, niezależnie od tego, czy dzieci będą z tego zadowolone, czy nie. Brylant był piękny, roztaczał taki sam blask, jak ich nadzieje, ich miłość, która nie zgasła nawet w najtrudniejszych chwilach. Patrzyli na niego oboje, a potem Charles ją pocałował. Nic się przecież nie zmieniło. To tylko kolejna trudność, którą muszą razem pokonać. Maxine przewidziała to lepiej niż on. Był szczęśliwy, że podoba jej się jego pierścionek i on sam. Do ślubu zostało jeszcze dziewięć tygodni.

- Pora zacząć przygotowania - powiedziała, i poczuła się odmłodzona. Przyjemnie było nie musieć już dłużej utrzymywać tajemnicy.

- O mój Boże. - Charles przytulił ją mocno. - To będzie wielka impreza?

Maxine już zamówiła zaproszenia. Miały być gotowe za trzy tygodnie. Ale jeszcze nie zrobili listy gości. Wspomniała coś o spisie prezentów do wyłożenia u Tiffany'ego.

- Czy ten zwyczaj dotyczy też rozwodników? - zdziwił się Charles. - Nie jesteśmy na to odrobinę za starzy?

- Jasne, że nie. - Wyglądała trochę tak, jakby zakręciło jej się w głowie ze szczęścia. - I muszę wybrać suknię ślubną.

Myślała też o tym, żeby kupić uroczystą sukienkę dla Dafne. Ale obawiała się, że Dafne w ogóle nie zgodzi się przyjść na ślub, więc w sprawie tej sukienki nie zamierzała się upierać.

Tego wieczoru ułożyli listę gości. Okazało się, że jest na niej dwieście osób. Przejrzeli ją jeszcze raz i zostawili sto pięćdziesiąt osób, co do których oboje nie mieli wątpliwości. Maxine uważała, że powinna zaprosić Blake'a. Charles zaprotestował.

- Na naszym ślubie nie może być twojego byłego męża. Co byś powiedziała, gdybym ja chciał zaprosić byłą żonę?

- To zależy od ciebie. Jeśli chcesz ją zaprosić, nie mam nic przeciwko temu. Dla mnie Blake jest członkiem rodziny, a dzieci mi nie darują, jeśli go pomnę.

Charles aż jęknął, kiedy to usłyszał.

- Moje pojęcie rodziny chyba się nie pokrywa z twoim.

Już od dawna wiedział, że rodzina, do której wchodzi, nie jest całkiem zwyczajna. Ze zdumieniem myślał o tym, że właśnie ma poślubić byłą żonę Blake'a Williamsa. Więc żadne zwyczajne normy tu nie obowiązywały.

- Dobrze, zrób jak uważasz. Z jakiej racji miałbym ci mówić, co masz zrobić? Jestem tylko skromnym panem młodym, nikim więcej.

Powiedział to na wpół serio, na wpół przekomarzając się z nią, ale nadal wydawało mu się to zdumiewającym dziwactwem, że jego przyszła żona musi zaprosić na swój ślub byłego męża, któremu w przeciwnym razie robi się przykro. Jeśli nie chciał ściągnąć na siebie jeszcze gorszej burzy, jeśli nie chciał jeszcze bardziej zniechęcić do siebie swoich przybranych dzieci, nie było innego wyboru, tylko się poddać.

- Ale nie on będzie cię prowadził do ołtarza, mam nadzieję?

- Oczywiście że nie, głuptasie. Poprowadzi mnie mój ojciec.

To go pocieszyło. Maxine wiedziała - choć o tym nie rozmawiali - że Charles zawsze miał jakiś problem z Blake'em. Każdy na jego miejscu miałby ten sam problem, bo trudno mierzyć się z kimś tak sławnym. Jeśli majątek byłby miarą sukcesu, to sukces Blake'a sięgał niebios. Ale to nie zmieniało faktu, że był człowiekiem nieodpowiedzialnym, że nie miał czasu dla własnych dzieci. Maxine chętnie spotykała się z Blake'em i wiedziała, że nigdy nie przestanie go kochać na swój sposób. Ale to Charles był człowiekiem, którego chciała mieć za męża. Nie było co do tego wątpliwości.

Uzgodnili większość spraw. Charles pocałował ją na pożegnanie. Roześmiali się oboje, kiedy błysnęła pierścionkiem.

- Dobranoc, pani West - szepnął.

Kiedy to usłyszała, uprzytomniła sobie, że w sprawach zawodowych będzie musiała pozostać przy nazwisku Williams. Zmiana byłaby zbyt kłopotliwa ze względu na praktykę lekarską i jej dotychczasowe osiągnięcia, bo pod nowym nazwiskiem nie byłaby nikomu znana. Więc nawet jeśli prywatnie będzie występowała jako Maxine West, to musi pozostać doktor Williams i do końca życia nosić nazwisko Blake'a. Tych spraw po prostu nie można rozwiązać inaczej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Blake zadzwonił do Maxine w przerwie między wizytami pacjentów. Był to dla niej ciężki dzień. Konsultowała trzy przypadki na prośbę innych lekarzy, a oprócz tego negocjowała z firmą cateringową w Southampton koszty obsługi przyjęcia weselnego. Proponowali cenę wziętą z sufitu, lecz wiedziała, że bez nich się nie obejdzie. Rodzice zaproponowali, że za to zapłacą. Ale w jej wieku już nie korzysta się z pomocy rodziców. Z drugiej strony - nie mogła pozwolić, by firma cateringowa doprowadziła ją do bankructwa. Najdroższa była przenośna altana, w której Maxine chciała urządzić ogrodowy bufet. Zwłaszcza gdyby zamówiła taką z przezroczystymi ścianami. Ta nieco tańsza byłaby z kolei zbyt ponura. Czowała się wykończona, kiedy zadzwonił Blake.

- Cześć - powiedziała dość szorstko. - Co się stało?

- Zły moment? Przepraszam, Maxine. Zadzwonię później, jeśli wolisz.

Spojrzała na zegarek i zorientowała się, że u niego jest już noc. Nie wiedziała, czy dzwoni z Londynu czy z Maroka, ale w obu miejscach obowiązywał ten sam czas. W jego głosie usłyszała zmęczenie.

- Nie, nie, w porządku. Następna pacjentka przyjdzie dopiero za parę minut. Co u ciebie?

- Nic ciekawego, ale muszę wszystko robić sam. Jestem w Imlil, trzy godziny drogi od Marakeszu. Ku mojemu zdumieniu mają tu maszt i jest zasięg, dlatego

mogłem zadzwonić. Poza tym nie ma nic. Zająłem się tymi dziećmi, Maxine. Ich sytuacja jest po prostu straszna. Tutaj ciągle jeszcze wyciąga się ludzi z ruin. Całe rodziny zostały pogrzebane pod gruzami. Wiele dzieci błąka się z nieprzytomnym spojrzeniem po ulicach. W tych miasteczkach bieda aż piszczała, teraz dodatkowo żywioł obrócił je w perzynę. Ocenia się, że zginęło ponad dwadzieścia tysięcy osób.

- Wiem - powiedziała Maxine. - Czytałam o tym w „Timesie” i widziałam zdjęcia w CNN.

Uderzyło ją, że nie mogła się do niego dodzwonić, kiedy jego syn miał wypadek, a teraz nagle okazuje się, że Blake chce ratować świat. Ale to już lepiej, niż kiedy latał samolotem po całym świecie z jednego przyjęcia na następne. Miejsca katastrof nie były jej obce, pracowała już w takich warunkach. Jednak po raz pierwszy widziała Blake'a przejętego czymś, co nie dotknęło go osobiście. Może dlatego, że zobaczył nieszczęście na własne oczy.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział Blake. Padał z nóg. Od dziesięciu dni prawie nie sypiał. - Próbuję zorganizować opiekę nad dziećmi. Poznałem tu różne wpływowe osoby, kiedy kupowałem dom. Instytucje państwowe są tak przeciążone, że osoby prywatne muszą robić, co w ich mocy, żeby ratować sytuację. Zająłem się sprawą dzieci, sam przygotowałem duży projekt pomocy. Potrzebuję konsultanta. Kogoś, kto wie, jaki rodzaj opieki i pomocy będzie potrzebny nie tylko doraźnie, ale i na przyszłość. To twoja działka. Potrzebuję twojej wiedzy, Maxine.

Był zapracowany, zmęczony i smutny.

Słuchając go, westchnęła głęboko. Oczekiwał od niej zbyt dużo.

- Bardzo bym chciała pomóc - odważyła się to powiedzieć. Była pod wrażeniem ogromu pracy, jaką wziął na siebie. Ale patrzyła realistycznie. - Nie potrafię ocenić sytuacji na odległość. Nie wiem, jaki jest stan prawny, czego chce tamtejszy rząd. Ty znasz te okoliczności z pierwszej ręki. Teorie nie pomogą, kiedy masz do czynienia z katastrofą. Trzeba być na miejscu, żeby wiedzieć, co można zrobić.

- Jasne - powiedział. - Dlatego dzwonię. Przyjedź, Maxine. Jesteś potrzebna tym dzieciom. I mnie.

Była oszołomiona tym, co od niego usłyszała. Wspominał już wcześniej o tych dzieciach, ale nie wiedziała, czy powinna to potraktować poważnie i czy rzeczywiście zamierza ją tam ściągnąć. Jej kalendarz na najbliższy miesiąc był całkowicie wypełniony. W lipcu miała jak co roku wyjechać z dziećmi na wakacje. A w sierpniu ślub. Po prostu urwanie głowy.

- Nie da rady, Blake... Chciałabym przyjechać, ale nie mam kiedy. Teraz walą do mnie tłumy pacjentów, wielu z nich w okropnym stanie.

- Przyślę ci mój projekt. Gdybyś mogła przylecieć chociaż na jeden dzień, to będzie ogromna pomoc. Chciałbym spojrzeć na wszystko z twojej perspektywy. Posłuchać, co o tym myślisz. Mam dość pieniędzy, żeby zmienić tę sytuację, tylko nie mam pojęcia, jak ich użyć. Chciałbym, żebyś mi powiedziała, co warto zrobić. Inaczej będę dalej działał po omacku.

Złożył jej zadziwiającą propozycję. Nie widziała możliwości, by ją przyjąć. Lecz z drugiej strony, nigdy dotąd nie prosił o nic podobnego. I zrozumiała, że włożył w tę sprawę całe serce, oddał swój czas i pieniądze. Uczestniczyła w podobnych projektach i zawsze dawały jej wielką satysfakcję. Niezależnie od tego, jak bardzo krajało jej się serce na widok ludzkich nieszczęść i jak padała z nóg ze zmęczenia, była szczęśliwa, kiedy widziała, że sytuacja się poprawia. To była wielka rzecz, móc pomagać ludziom. Poczwała się dumna z niego i z tego, co robił, i kiedy słuchała, jak o tym mówił, miała niemal łzy w oczach. Zamierzała opowiedzieć wszystko dzieciom, by i one mogły być z niego dumne.

- Chciałabym ci pomóc - powiedziała powoli. - Tylko jeszcze nie wiem, kiedy i w jaki sposób.

Bardzo chętnie poleciałaby do Maroka, żeby wesprzeć go radą. Była pod wrażeniem jego starań i ciężkiej pracy. Musiała przyznać, że bardzo się zmienił, dlatego nie mogła mu odmówić. Tylko nie miała pojęcia, jak problem zmieścić w swoim kalendarzu.

- A jeśli odwołałabyś wszystkie wizyty zapisane na piątek? W czwartek przyślę po ciebie samolot, wylecisz wieczorem. W ten sposób mogłabyś tu zostać przez weekend. Wrócisz w niedzielę w nocy i w poniedziałek już będziesz w swoim gabinecie.

Myślał o tym od wielu godzin. Ale w słuchawce po jej stronie zapadła cisza.

- Weekend mam wolny - powiedziała wreszcie z namysłem. W weekendy i tak umawiała się zawsze z Thelmą na zastępstwo. Ale wiedziała, że trzydniowy wyjazd do Maroka to w jej wypadku szaleństwo, jeśli wziąć pod uwagę, ile spraw miała na głowie.

- Oprócz ciebie nie mam się do kogo zwrócić. Te dzieci się nie pozbierają, jeśli ktoś nie stworzy dla nich dobrego programu pomocy. Większość z nich jest kompletnie zdruzgotana. Niektóre były ranne, zdarzają się wśród nich urazy głowy, uszkodzenia wzroku, zmiążdżone kończyny. Szkoła albo dom zawaliły im się na głowę. Wiele z nich straciło rodziców.

Blake zapłakał raz na widok wyciągniętego z gruzów żywego noworodka.

- Daj mi parę godzin, żebym mogła się do tego przymierzyć - powiedziała spokojnie Maxine, a w tej samej chwili brzęczyk powiadomił ją, że pacjentka już przyszła. - Pomyślę nad tym.

Był wtorek. Gdyby zgodziła się polecieć, to miała dwa dni na przygotowania. Ale żywiol nie przysyła ostrzeżenia, kiedy zamierza zaatakować, i nie zostawia czasu na zaplanowanie akcji ratunkowej. Kiedy brała udział w takich akcjach, zawsze musiała spakować się i wyjechać w ciągu paru godzin. Bardzo chciała mu pomóc, a przynajmniej polecić mu kogoś, kto mu pomoże. Miała kontakty ze stowarzyszeniem psychiatrów w Paryżu, specjalizujących się w takich problemach. Lecz jednak coś ją ciągnęło do Maroka, chciała zająć się tym osobiście. Od dawna nie robiła nic równie ważnego.

- Kiedy mogę do ciebie zadzwonić? - spytała.

- O każdej porze. Nie kładę się do łóżka już od tygodnia. Dzwon na moją brytyjską komórkę albo na telefon satelitarny. Oba już teraz działają... przeważnie.

Maxine... dziękuję. I... Kocham cię. Jestem ci wdzięczny, że znalazłaś dla mnie chwilę czasu. Teraz wiem, z czym miałaś do czynienia podczas takich akcji. Jesteś niezwykłą kobietą.

Szanował ją teraz jeszcze bardziej po tym wszystkim, co zobaczył na własne oczy. Wiedziała, że mówił szczerze. I zobaczyła w nim coś, czego dotąd brakowało.

- Trzymaj się - powiedziała łagodnie, niemal ze łzami w oczach. - Zadzwoń niedługo. Nie wiem, czy zdołam przyjechać, ale jeśli nie, to skontaktuję cię z kimś, kto świetnie zna się na rzeczy.

- Przyjedź sama, Maxine. Proszę...

- Postaram się. - Odłożyła słuchawkę i wpuściła pacjentkę do gabinetu.

Musiała się bardzo skupić, by nie umknęło jej nic z tego, co mówiła dwunastoletnia dziewczynka. Miała problem z samookaleczaniem się. Oba ramiona i przedramiona były od góry do dołu pokryte bliznami. Skierował ją do Maxine psycholog szkolny. Kłopoty zaczęły się po zamachach 11 września. Jej ojciec, strażak, zginął w akcji. Jej przypadek był jednym z tych, na których podstawie Maxine przygotowywała wówczas opracowanie zamówione przez władze miejskie. Wizyta pacjentki przedłużyła się.

Gdy wróciła do domu, dzieci siedziały z Zeldą w kuchni. Mogła im opowiedzieć o tym, co ich ojciec robił w Maroku. Kiedy doszła do tego, że prosił, by do niego przyjechała, dzieciom zaświeciły się oczy. Były bardzo przejęte i oczywiście chciały, żeby ten wyjazd doszedł do skutku.

- Jeszcze nie wiem, czy dam radę - powiedziała.

Była zdenerwowana i trochę roztargniona. Wyszła z kuchni, żeby zadzwonić do Thelmy. Thelma nie mogła wziąć zastępstwa w piątek, bo właśnie wtedy prowadziła zajęcia w Nowojorskiej Szkole Medycznej, ale obiecała, że na piątek znajdzie kogoś innego. A w weekend zastąpi ją jak zawsze.

Maxine wykonała jeszcze kilka innych telefonów i sprawdziła w komputerze, jakie zajęcia ma zaplanowane na piątek. Nie przyszła do kuchni na kolację. Blake przysłał jej swój projekt, co pomogło podjąć decyzję. O ósmej wszystko już

wiedziała. Mogła polecieć do Maroka. Chodziło przecież o życie ludzi. Zawsze w takich okolicznościach przypominał jej się wers Talmudu, mówiący, że kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat. Być może Blake coś w końcu zrozumiał, choć trwało to piekielnie długo. Potrzebował czterdziestu sześciu lat, by stać się współczującą ludzką istotą.

Czekała do północy, żeby do niego zadzwonić, bo wtedy w Maroku był wczesny ranek. Próbowwała po kilka razy na oba telefony, i wreszcie się udało. Wydawał się jeszcze bardziej wyczerpany niż wczoraj. Powiedział jej, że był na nogach przez całą noc. Wiedziała, że w takich sytuacjach nie da się działać inaczej. Każdy w podobnych warunkach żył tak jak on. Po prostu nie ma czasu na spanie i jedzenie. I teraz Blake też tego doświadczył. Powiedziała więc krótko:

- Przyjadę.

Na te słowa w słuchawce rozległ się jego krótki szloch. Szloch ulgi, lecz także oznaka wyczerpania i przemęczenia.

- Kamień z serca... Maxine, nie wiem, jak ci dziękować. Dzielna z siebie kobieta. Kocham cię... Dzięki, jestem ci bardzo wdzięczny!

Powiedziała mu, jakich danych potrzebuje, zanim przyleci do Maroka, i co będzie musiała zobaczyć tam na miejscu. Do niego należało skontaktować ją z przedstawicielami władz i z dyrektorami szpitali, a także zorganizowanie jak najwięcej spotkań z poszkodowanymi dziećmi wszędzie tam, gdzie je zebrano. Zamierzała jak najlepiej wykorzystać każdą minutę swojego pobytu w Maroku, i Blake'owi też na tym zależało. Obiecał zająć się wszystkim od początku do końca i podziękował jej jeszcze pół tuzina razy, zanim się rozłączył.

- Mamo, jestem z ciebie dumna - powiedziała Dafne, kiedy Maxine skończyła rozmowę. Stała w otwartych drzwiach i słyszała kilka ostatnich zdań. Była wzruszona.

- Dziękuję, kochanie. - Maxine wstała i przygarnęła ją. - Jestem dumna z waszego ojca. Nie ma żadnego doświadczenia w takich sprawach, ale robi wszystko, co w jego mocy.

Dla Dafne była to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy dotarło do niej, że oboje rodzice są dobrymi ludźmi, co poruszyło ją do głębi, podobnie jak Maxine poruszyło poświęcenie Blake'a. Rozmawiały o tym przez chwilę, gdy Maxine spisywała pośpiesznie listę rzeczy, których będzie potrzebowała. Potem wysłała mejla do Thelmy, by potwierdzić, że leci w piątek i rzeczywiście potrzebuje kogoś na zastępstwo.

Maxine wiedziała, że powinna też zadzwonić do Charlesa. Zamierzali jechać na weekend do Southampton, byli też umówieni z przedstawicielem firmy cateringowej, a także z ogrodnikiem. Ale mógł załatwić wszystko bez niej albo odłożyć do następnego weekendu. To nie robiło wielkiej różnicy, bo do weselnego przyjęcia zostały jeszcze dwa miesiące. Ale było już zbyt późno, żeby zadzwonić od razu. Położyła się więc i przewracała w łóżku, nie mogąc zasnąć, przez wiele godzin. Rozmyślała o tym, czym powinna się zająć, kiedy będzie w Maroku. Zaangażowanie Blake'a niepostrzeżenie stało się jej sprawą, i była wdzięczna Blake'owi, że chce je z nią dzielić. Kiedy odezwał się budzik, miała wrażenie, że zasnęła ledwie przed pięcioma minutami. Zadzwoniła do Charlesa zaraz po śniadaniu. Zastała go jeszcze w domu. Musiała za dwadzieścia minut być w swoim gabinecie. Były wakacje, więc dzieci wysypiały się długo. Zelda krzątała się po kuchni, przygotowując się do odparcia szturm, który nastąpi, kiedy wstaną.

- Cześć, Maxine - powiedział Charles, uradowany, że ją słyszy. - Wszystko w porządku? - Wiedział już, że kiedy dzwoni do niego o niezwykłych porach, to może oznaczać złe wiadomości. Tak było niedawno, po wypadku Sama. Życie staje się bardziej skomplikowane, kiedy w grę wchodzi dzieci. - Jak się ma Sam?

- Świetnie. Dzwonię, żeby cię o czymś uprzedzić. Muszę wyjechać i nie będzie mnie w weekend - mówiła pośpiesznie i trochę bardziej szorstko, niż chciała, ale musiała już wychodzić z domu i wiedziała, że on też musi wyjść. Oboje byli punktualni do przesady. - Trzeba odwołać spotkania z ogrodnikiem i firmą cateringową, chyba że weźmiesz to na siebie. Ale możemy odłożyć spotkania na na-

stępny weekend. Po prostu wyjeżdżam. - Uprzytomniła sobie, że mówi trochę beżładnie.

- Coś się stało? - Ostatnio wciąż wyjeżdżała na konferencje naukowe, ale w weekendy starała się zawsze być z dziećmi. - Coś złego?

- Lecę do Maroka, do Blake'a - powiedziała prosto z mostu.

- Lecisz do... Czy wszystko rozumiem? - Charles nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Spróbowała szybko wyjaśnić, o co chodzi.

- Zaraz wytłumaczę. Podczas pobytu Blake'a w Maroku było trzęsienie ziemi. Zaczął pomagać przy organizowaniu transportów żywności i lekarstw, potem zajął się dziećmi. Wydaje się, że sytuacja jest bardzo trudna, a Blake nie wie, jak sobie z nią poradzić. To jego pierwsze zetknięcie z akcją humanitarną. Potrzebuje mojej pomocy. Chciałby, żebym zbadała sytuację tych dzieci, spotkała się z przedstawicielami różnych rządowych i pozarządowych organizacji uczestniczących w usuwaniu skutków katastrofy, i żebym pomogła mu stworzyć projekt pomocy.

Mówiła o tym tak, jakby Blake po prostu zlecił jej zrobienie zakupów w supermarkecie. Charles był oszołomiony.

- Robisz to dla niego? Dlaczego?

- Nie dla niego. Po raz pierwszy widzę, że on robi coś dla innych. Dojrzał do tego w wieku czterdziestu sześciu lat. Jestem z niego dumna. I chcę wspomóc go radą.

- To śmieszne, Maxine. - Charles aż kipiał gniewem. - Od tego jest Czerwony Krzyż. Nie jesteś tam potrzebna.

- Chyba czegoś nie rozumiesz - nastroszyła się. - Nie będę szukała ludzi pod gruzami, prowadziła ambulansu, opatrywała rannych. Mam doradzać rządowi, jak prowadzić rehabilitację dzieci dotkniętych nieszczęściem. Właśnie tego ode mnie potrzebują. Lecę tam tylko na trzy dni. Blake przysyła po mnie samolot.

- Będiesz u niego mieszkać? - spytał podejrzliwie.

Zachowywał się tak, jakby mu właśnie powiedziała, że wybiera się z Blake'em na wycieczkę jachtem. Robiła to już nieraz, wypływała z nim na takie wycieczki dla przyjemności dzieci, i nic z tego więcej nie wynikało. Blake był przecież ojcem jej dzieci, i to w jej opinii wystarczało za uzasadnienie. Ale z drugiej strony nie było jej obojętne, czy Charles to zrozumie, czy nie. Chodziło tylko o pracę, która czekała na nią w Maroku. O nic innego.

- Nie sądzę, żebym w ogóle gdziekolwiek mieszkała, jeśli ogrom katastrofy jest podobny do tych, z którymi miałam do czynienia. Będę spała na stojąco albo w czasie jazdy autem. Może w ogóle spotkam się z Blake'em nie na dłużej niż parę chwil.

Śmieszne wydawało jej się raczej to, że Charles gotów był zrobić jej scenę zazdrości o coś tak mało zagrażającego i oczywistego.

- Myślę, że nie powinnaś się zgodzić. - Był naprawdę wściekły.

- Tego w ogóle nie rozważamy. Przykro mi, że tak mówisz. - Maxine nie dała się wyprowadzić z równowagi. - Charles, nie masz żadnych powodów do niepokoju. - Starła się przemawiać łagodnie i jasno, żeby do niego dotrzeć. Był zazdrosny. To urocze. Ale Blake ściągał ją tam ze względu na jedną z jej specjalności, miał dla niej zadania, jakie wykonywała już wiele razy w różnych częściach świata. - Kocham cię. Jednak polecę do Maroka i przyłożę rękę do tworzenia programu pomocy. Tylko przypadkiem jest, że człowiekiem, który mnie tam zaprasza, jest akurat Blake. Mogła to być równie dobrze każda z instytucji zaangażowanych w tę akcję.

- Ale te instytucje cię nie zaprosiły. On to zrobił. I nie mogę zrozumieć, dlaczego przyjął jego zaproszenie. Przypomnij sobie, przecież po wypadku Sama musiałaś szukać go prawie cały tydzień.

- Dlatego, że był wtedy w Maroku i właśnie zdarzyło się tam trzęsienie ziemi - powiedziała z rozpaczą w głosie. Ta rozmowa wydawała jej się z każdą minutą coraz bardziej pozbawiona sensu.

- No dobrze, a gdzie był wcześniej, kiedy go potrzebowałaś? Na przyjęciach, na jachtach, z kobietami. Sama mi o tym mówiłaś, nigdy nie mogłaś się do niego

dodzwonić, i nie z powodu trzęsienia ziemi. To wariat, Maxine. Chcesz jechać na drugi koniec świata, żeby mógł się przed tobą popisać, że wyciąga spod gruzów paru ocalonych? Oszczędź mi tego. Do diabła z nim. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

- Proszę, nie rób tego - powiedziała Maxine przez zaciśnięte zęby. - Nie wyjeżdżam na potajemną schadzke z byłym mężem. Mam skonsultować program pomocy dla tysięcy dzieci osieroconych podczas trzęsienia ziemi. Wiele z nich zostało ciężko rannych i doznało urazów psychicznych, z których nie wydobędą się przez resztę życia, jeśli ktoś im teraz nie pomoże we właściwy sposób. Skuteczność pomocy zależy od dostępnych funduszy i możliwości organizacyjnych, ale jednak mój przyjazd pozwoli lepiej wykorzystać te środki. I tylko to mnie interesuje, a nie spotkanie z Blake'em. Chcę pomóc dzieciom.

Sądziła, że wyjaśniła mu wszystko najlepiej jak tylko można, ale do niego to nie trafiło. Nie wierzył jej nawet przez moment.

- Nie wiedziałem, że się żenię z matką Teresą - powiedział, jeszcze bardziej wściekły niż przedtem.

Doprowadził ją do rozpacz. Ostatnia rzecz, której sobie życzyła, to kłótnia z Charlesem o ten wyjazd. Wyjaśnienia na nic się nie zdały, tylko pogorszyły sytuację. Obiecała Blake'owi że przyjedzie, i zamierzała dotrzymać słowa. Niezależnie od tego, czy Charles to popiera, czy nie. Nie chciała, żeby traktował ją jak swoją własność. Powinien szanować jej pracę, a nawet jej dobre stosunki z Blake'em. Przecież Charlesa kochała, do niego należała przyszłość. Blake był przeszłością. Był ojcem jej dzieci.

- Żenisz się ze mną. Jestem lekarzem psychiatrą, zajmuję się leczeniem manii samobójczej u nastolatków, a moją dodatkową specjalnością są urazy psychiczne u dzieci. Myślę, że to wszystko jest dla ciebie jasne. Skutki trzęsienia ziemi w Maroku wiążą się z moją specjalnością. Jediną przyczyną, dla której chcesz mnie zatrzymać jest Blake. Czy możemy zachowywać się jak ludzie dorośli? Nie urządziłabym ci awantury, gdybyś ty miał wyjechać. Dlaczego nie chcesz spojrzeć na to rozsądnie?

- Bo nie rozumiem, co cię właściwie z nim łączy. Myślę, że to nie jest zdrowa relacja. Nigdy się do końca nie rozstaliście. Jest pani psychiatrą, pani doktor Williams, ale pani relacja z byłym mężem jest głęboko zaburzona. Oto, co myślę.

- Dziękuję za szczerość, Charles. Rozważę, co mi powiedziałeś. Ale teraz jestem już spóźniona do pracy, a pojutrze wyjeżdżam do Maroka na trzy dni. Obiecałam, i chcę tak zrobić. Będę ci wdzięczna, jeśli zechcesz przyjąć to z nieco większą dojrzałością. Powinieneś mi zaufać. Nie jestem nastawiona na seks z Blake'em w ruinach.

Podniosła głos, tak jak wcześniej on. Kłócili się. O Blake'a. Bez sensu.

- Nie pytam, co będziesz tam z nim robiła. Ale powiem ci jedno: nie zgodziłbym się na to, gdybyśmy byli po ślubie. Możesz jeździć po całym świecie, zaliczając każde trzęsienie ziemi albo inne tsunami i diabli wiedzą co jeszcze, nie mam nic przeciwko temu. Ale nie licz na to, że będziesz się tam spotykać ze swoim byłym mężem, a ja ci pobłogosławię. Jestem pewny, że wykorzystał pretekst, żeby cię tam ściągnąć i zatrzymać. I nie wierzę, że chodzi mu o marokańskie sieroty. Ten facet jest ludzką istotą akurat na tyle, żeby olewać wszystkich oprócz samego siebie. Mówiłaś mi, że ciebie też tak traktował. Te sieroty są tylko wymówką i sama dobrze o tym wiesz.

- Charles, mylisz się - powiedziała spokojnie. - Nigdy nie sądziłam, że byłby zdolny do przejmowania się innymi. Szanuję to, co teraz robi. Chciałabym mu pomóc, skoro potrafię. Nie jadę tam dla niego. Jadę do tych dzieci. Proszę, spróbuj to zrozumieć.

Nie odpowiedział. Oboje byli wściekli. Martwiło ją, że pokłócili się o Blake'a. Jeśli dalej będzie się tak zachowywał, bardzo skomplikuje życie i jej, i dzieciom. Woląaby, żeby Charles skończył z tymi pretensjami. A na razie wyjeżdżała do Maroka. Zawsze dotrzymywała słowa. Więc trzeba było mieć nadzieję, że Charles się uspokoi. Rozłączyli się, choć nie doszli do porozumienia.

Maxine przez chwilę jeszcze patrzyła na telefon, całkiem wytrącona z równowagi. I aż podskoczyła, kiedy usłyszała czyjś głos za plecami. W ogniu kłótni z Charlesem nie zauważyła, że Dafne weszła do pokoju.

- To dupek - powiedziała Dafne grobowym głosem. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że zamierzasz za niego wyjść, mamó. I w dodatku nienawidzi tatusia.

Maxine się z nią nie zgadzała, ale była w stanie zrozumieć, dlaczego Dafne tak uważa.

- Charles nie rozumie tego, co mnie łączy z Blake'em. Ze swoją byłą żoną nawet nie rozmawia. Nie mają dzieci.

Ale z Blake'em łączyło ją coś więcej niż dzieci. Na swój sposób kochali się nadal. Ich miłość przeobraziła się w coś innego, w jakiś rodzaj więzi rodzinnej, której nie chciałyby utracić. I nie zamierzała rozmawiać o tym z Charlesem. Miała nadzieję, że on coś zrozumie, ale nie rozumiał nic.

- Nadal wybierasz się do Maroka? - spytała Dafne z niepokojem.

- Tak. Mam nadzieję, że Charles się z tym pogodzi.

- To jego sprawa.

- Moja też - powiedziała Maxine. - Kocham Charlesa.

Wciąż miała nadzieję, że z czasem Dafne także go polubi. Znała wiele przypadków, kiedy dzieci nie zaakceptowały ojczyma. Wiedziała, że to się zdarza, zwłaszcza w tym wieku, ale żyć z tym byłoby ciężko.

Maxine spóźniła się do gabinetu o całe pół godziny, i nadrabiała opóźnienie przez cały dzień. Była po uszy zawałona pracą, przyjmowała pacjentów i odwoływała wszystko, co tylko dało się odwołać z jej piątkowych zajęć. Natychmiast po powrocie do domu zadzwoniła do Charlesa, ale poczuła się zniechęcona, bo Charles wciąż się jeszcze gniewał. Uspokajała go ze wszystkich sił, zaproponowała nawet wspólne wyjście wieczorem. Wprawił ją w osłupienie, gdy powiedział, że spotka się z nią dopiero po jej powrocie. W ten sposób ukarał ją za ten wyjazd, na który zgodziła się na prośbę Blake'a.

- Bardzo bym chciała zobaczyć się z tobą jeszcze przed wyjazdem - powiedziała łagodnie.

Ale Charles nie ustąpił. Było jej z tego powodu niezmiernie przykro. Nie zdołała go udobruchać. Uważała jego zachowanie za dziecinne. Musiała liczyć na to, że oprzytomnieje do jej powrotu. Zadzwoiła później jeszcze raz, ale jego telefon był wyłączony. Dusił emocje w sobie i najwyraźniej chciał ją przetrzymać.

Tego dnia zjadła kolację z dziećmi, a w czwartek wieczorem, po kolejnym dniu ciężkiej pracy, przed samym wyjazdem, zadzwoniła do niego znowu. Tym razem odebrał telefon.

- Chciałam się z tobą tylko pożegnać - powiedziała najspokojniej jak potrafiła.
- Zaraz jadę na lotnisko.

Wylatywała z Newark, gdzie zawsze lądował samolot Blake'a.

- Uważaj na siebie - burknął.

- Wysłałam ci mejlem oba numery telefonu Blake'a, brytyjski i satelitarny.

Myślę, że będą działały.

- Nie będę do ciebie dzwonił na jego numer.

Wyglądało na to, że Charles znowu się rozgniewał. Miał przed sobą okropny weekend. Wiedziała o tym i było jej przykro, ale też miała żal, że nie umiał zdobyć się na trochę więcej zrozumienia. Teraz była już przejęta podróżą i tym, co miała robić w Maroku. W takich sytuacjach trzeba stanąć na wysokości zadania, nawet jeśli serce pęka z powodu osobistych komplikacji. Kiedy brała udział w usuwaniu skutków katastrof, była przydatna i czuła, że jej życie ma sens. Wiedziała, że Blake też potrzebuje poczucia sensu. Po raz pierwszy on także brał udział w takiej akcji, i to był jeden z powodów, dla których zgodziła się wyjechać. Nie chciała zostawić go samego w takiej chwili, czuła, że powinna wspomóc zmianę, jaka w nim zaszła. Tego Charles już nie potrafił zrozumieć. I Dafne miała rację: Charles nienawidził Blake'a. A przede wszystkim był o niego nieprzytomnie zazdrosny.

- Więc sama do ciebie zadzwonię - obiecała mu. - Zostawiłam Zeldzie twój numer telefonu, na wszelki wypadek.

- Właściwie zamierzam wyjechać do Vermontu - odparł.

W czerwcu musiało tam być pięknie. Byłaby szczęśliwa, gdyby był w lepszych stosunkach z dziećmi i mógł odwiedzać je również podczas jej nieobecności. Już za dwa miesiące zostanie przecież ich ojczymem. Ale przypuszczała, że pod jej nieobecność dzieci nie zechcą go widzieć. Wielka szkoda! Dużo czasu jeszcze upłynie, zanim obie strony zaczną czuć się ze sobą swobodnie. Na razie to ona była jedynym pomostem między nimi.

- Bądź ostrożna. Na obszarach, które zniszczyła katastrofa, nigdy nie jest bezpiecznie. I to przecież nie jest Ohio, tylko północna Afryka - przestrzegł ją na pożegnanie.

- Będę ostrożna, nie martw się o mnie - powiedziała. - Kocham cię, Charles. W poniedziałek będę z powrotem.

Odłożyła słuchawkę i ogarnął ją smutek. Nieporozumienie uporczywie powracało, choć miała nadzieję, że rozejdzie się po kościach. Bardzo żałowała, że nie chciał się z nią zobaczyć przed wyjazdem. Jego upór w tej sprawie wydał się jej małostkowy i dziecinny. Kiedy poszła pocałować dzieci na pożegnanie, pomyślała sobie, że mężczyźni, choćby byli całkiem dorośli i udawali nadzwyczaj dojrzałych, na zawsze pozostają małymi chłopcami.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Samolot Blake'a wystartował z lotniska Newark w czwartek około północy. Maxine usadowiła się wygodnie w luksusowym fotelu. Niebawem zamierzała udać się do jednej z dwóch sypialni, żeby się dobrze wyspać. W obu stały ogromne łoża z piękną pościelą, ciepłymi pledami, puchowymi poduszkami. Steward przyniósł jej przekąskę, a potem lekką kolację złożoną ze świeżego omletu przygotowanego na pokładzie i porcji wędzonego łososia. Podał jej także dane na temat lotu, który miał trwać siedem i pół godziny. Lądowanie przewidziano na siódmą trzydzieści rano czasu miejscowego. Na lotnisku będzie czekał samochód z kierowcą, który zawiezie ją do miejscowości, w której przebywał Blake. Ratownicy założyli tam swoją bazę. Również Międzynarodowy Czerwony Krzyż zaangażował się w tę akcję na wielką skalę.

Maxine podziękowała za te informacje, zjadła posiłek i około dziewiętej położyła się do łóżka. Potrzebowała odpoczynku, to była ostatnia okazja, by się dobrze wyspać przed trudami, które czekały ją w Maroku. Zachęcały do tego luksusy, w jakie Blake wyposażył swój samolot. Ściany obite beżowoszarą tkaniną, meble pokryte skórą w tym samym kolorze. Na każdym fotelu leżał kaszmirowy koc, miękka poduszka, a przez całą długość kadłuba ciągnął się gruby szary wełniany chodnik. Sypialnia była utrzymana w kolorze pastelowożółtym. Maxine zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Przespała twardym snem sześć godzin, a po przebudzeniu leżała jeszcze przez chwilę w łóżku, myśląc o Charlesie. Był na nią bardzo rozgniewany, ale nie wątpiła, że podjęła słuszną decyzję.

Uczesała się i umyła zęby, a potem włożyła buty na protektorach. Odzwyczała się już od nich. Wyciągnęła je z dna szafy, gdzie trzymała ubrania przeznaczone na takie okazje. Była to odzież prosta i wygodna, bo Maxine liczyła się z tym, że przez parę dni przyjdzie jej spać w tym, co będzie miała na sobie.

Gdy wyszła z sypialni, wyglądała rześko, była wypoczęta. Zjadła ze smakiem śniadanie, które podał jej steward: rogaliki, jogurt i koszyk świeżych owoców. Po

śniadaniu trochę czytała. Wkrótce samolot zaczął schodzić do lądowania. Przypięła przy kołnierzu kaduceusza, znak służb medycznych, by było wiadomo, że jest lekarką, kiedy się znajdzie na miejscu katastrofy. Włosy zaplotła w warkocz i w spłowiałej koszuli typu safari pod grubym swetrem była już gotowa do działania. Miała z sobą jeszcze kilka podkoszulków na zmianę i grubą kurtkę. W domu, zanim się spakowała, Jack sprawdził dla niej w internecie prognozę pogody. Wzięła też manierkę, którą przed zejściem z pokładu samolotu napełniła wodą mineralną. Za paskiem miała rękawice do pracy, a w kieszeni rękawiczki gumowe.

Do małej torby podróźnej włożyła zapas czystej bielizny i ręcznik, przydatny, jeśli będzie możliwość umycia się pod prysznicem. Zabrała też kilka podstawowych leków na wszelki wypadek. Parę masek chirurgicznych, bo odór rozkładających się zwłok bywa nie do zniesienia, a czasem ma się do czynienia z przypadkami chorób zakaźnych. I opakowanie chusteczek higienicznych nasączonych spirytusem. Przed wyjazdem starała się o niczym nie zapomnieć. Akcja ratunkowa zawsze wygląda trochę jak operacja wojskowa, odbywająca się w warunkach skrajnego chaosu. Nie wzięła żadnej biżuterii oprócz zegarka. Pierścionek zaręczynowy od Charlesa zostawiła w domu.

Mogła przystąpić do swoich zadań. Na lotnisku czekał obiecany przez Blake'a dżip z kierowcą. Pośpiesznie wsiadła i ruszyli. Znała trochę francuski, co wystarczyło, żeby porozumiewać się z kierowcą podczas jazdy. Powiedział jej, że zginęło mnóstwo ludzi, tysiące. I było wielu rannych. Mówił o zwłokach leżących na ulicy, których nie było komu pogrzebać, co dla Maxine oznaczało niebezpieczeństwo wybuchu epidemii w najbliższym czasie. Nie trzeba być lekarzem, żeby o tym wiedzieć, wiedział o tym nawet kierowca.

Droga z Marakeszu do Imlil trwała trzy godziny. Dwie godziny do miasta Asni w górach Atlas, a potem jeszcze godzina po kamienistym trakcie. Było tu chłodniej niż w Marakeszu, a zieleń wokół wydawała się bujniejsza. Mijali wioski złożone z lepianek, stada kóz i owiec. Po poboczach wałęsały się kury, mężczyźni prowadzili osły, dzieci niosły na głowach wiązki chrustu. Niektóre chaty były w

ruinie. Między Asni a Imlilem ślady trzęsienia ziemi były bardzo liczne. Mijali całkowicie zburzone wioski.

Kiedy dojeżdżali do Imlil, wokół wszystkie chaty były zrównane z ziemią i na każdym kroku widziało się ludzi grzebiących w ruinach w poszukiwaniu zabitych i rannych. Niektórzy z braku odpowiednich narzędzi robili to gołymi rękami. Może szukali swoich najbliższych. Wielu płakało. Maxine poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Trudno było tym ludziom nie współczuć, bo wiedziała aż za dobrze, że stracili żony, mężów, narzeczone, rodzeństwo, dzieci i rodziców.

Na przedmieściach Imlil spotkali ludzi z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i marokańskiego Czerwonego Półksiężycy, którzy pomagali mieszkańcom w odgruzowywaniu ulic. Tłumy wędrowały po poboczach dróg. Dużo osłów i bydła wałęsało się samopas, często powodując zatory na drodze. Na ostatnich kilometrach musieli wyraźnie zwolnić. Rząd marokański przyjmował pomoc od wszystkich możliwych organizacji i państw, wszędzie warczały helikoptery. Były znajomym akcentem wśród morza gruzów i ruin, pamiętała je z poprzednich takich akcji.

W wielu miejscowościach od dawna brakowało prądu i wody, warunki życia były bardzo surowe, szczególnie powyżej Imlil, w górach. Kierowca służył jej informacjami i opowiadał o tym regionie, gdy zatrzymywali się, by przepuścić wieśniaków, uchodźców i bydło. Powiedział, że do Imlil ściągnęli górale z Ikkiss, Tacheddirt i Seti Chambarouch. Imlil było bramą Atlasu i doliny Tizane, rozpościerającej się u stóp Jebel Toubkal, najwyższego szczytu północnej Afryki, czterotysięcznika. Góry, które wydawały się całkiem bliskie, były teraz pokryte śniegiem. Miejscowa ludność to muzułmanie i Berberowie. Mówili dialektami arabskiego i berberyjskiego, ale jak się już okazało, niektórzy znali francuski. Blake porozumiewał się z miejscowymi po francusku albo przez tłumaczy. Jak dotąd nie spotkał nikogo znającego angielski, oprócz ludzi z misji Czerwonego Krzyża. Ale Blake znał francuski wystarczająco dobrze, żeby sobie poradzić.

Dowiedziała się od kierowcy, że w okolicach Imlil znajdował się pałac Kabash Toubkal, dawna letnia siedziba gubernatora. Można tam było dojść z Imlil

spacerem w dwadzieścia minut. I nie było jak dojechać, chyba że na osle. Kierowca powiedział jej, że nawet rannych zwożono tam teraz na osłach.

Mężczyźni nosili dżelby, długie berberyjskie płaszcze z kapturami. Wszyscy byli zmęczeni, pył wżerał się w ich twarze i ubrania, mieli za sobą długą drogę na osle albo pieszą wędrówkę, albo pracę przy odgruzowywaniu. Im bliżej Imlil, tym więcej pojawiało się zburzonych przez trzęsienie ziemi domów z betonowych płyt. Wśród ruin stały namioty Czerwonego Krzyża, w których znalazły miejsce szpitale polowe i przytułki dla niezliczonych uchodźców. Oferowały im dach nad głową i posiłek. Maxine pracowała już kilka razy dla ONZ i wiedziała, że jeśli potrzebna jest pomoc długoterminowa, to właśnie oni najczęściej się zajmują jej koordynacją. Jedną z najważniejszych spraw, z jakimi organizacje pomocowe musiały się teraz zmierzyć, były masowe zachorowania na malarię, szerzące się w zniszczonych wioskach. Malarię roznosiły komary. Pojawiło się także niebezpieczeństwo wybuchu epidemii cholery i tyfusu, a to z powodu zanieczyszczenia wód gruntowych. Zwłoki chowano pośpiesznie, zgodnie z miejscową tradycją, ale pod gruzami pozostawało jeszcze wiele trupów, toteż choroby zakaźne stale zagrażały ludności.

W obliczu tej sytuacji ogarniało Maxine poczucie bezsilności, bo wiedziała, jak wiele pracy wymagało rozwiązanie problemów i jak mało miała czasu na to, żeby zrobić coś dla Blake'a. W istocie było na to zaledwie dwa i pół dnia. Nagle zaczęła żałować, że nie może tu zostać przez kilka tygodni. Ale to było nie do pomyślenia. W Nowym Jorku miała obowiązki, była odpowiedzialna za wiele spraw, nie mówiąc już o tym, że zostawiła dzieci. Nie chciała też jeszcze bardziej dokuczyć Charlesowi. Ale wiedziała, że organizacje pozarządowe i międzynarodowe grupy ratowników będą miały pełne ręce roboty przez wiele miesięcy. Zastanawiała się też, czy Blake zostanie tu tak długo.

W Imlil zobaczyli zawalone piętrowe budynki, przewrócone samochody, ziemię poszatkowaną szczelinami i ludzi oplakujących swoich bliskich. Im bliżej miejsca, gdzie Blake miał na nią czekać, tym gorzej to wszystko wyglądało.

Wiedziała, że Blake kierował akcją z jednego z namiotów należących do Czerwonego Krzyża. Kiedy przejeżdżali powoli wzdłuż szpaleru tych namiotów, Maxine poczuła ohydny, drażniący zapach śmierci, który poznała już w przeszłości i którego nie sposób zapomnieć. Wyciągnęła z kieszeni maskę chirurgiczną i przewiązała twarz. Sytuacja była tak zła, jak tylko można się było spodziewać. Podziwiała Blake'a, że wytrzymał tak długo. Wiedziała, jakim szokiem musiało być dla niego to doświadczenie.

Dżip zbliżał się do centralnego punktu miasta, gdzie sterczały ruiny zawalonych domów, wszędzie piętrzyły się sterty gruzu i potłuczonego szkła, na chodnikach układano zwłoki, niektóre przykryte płachtami folii, tu i ówdzie pracowały gromady ludzi z łopatami. Wokół kręciły się zrozpaczone dzieci. Starsze opiekowały się młodszymi. Z dwóch ciężarówek Czerwonego Krzyża ochotnicy rozdawali żywność i gorącą herbatę. Był też namiot sanitarny z wielkim znakiem Czerwonego Krzyża, otoczony wieloma mniejszymi namiotami. Kierowca zatrzymał się przed jednym z tych mniejszych. Wysiedli. Gapiła się na nich gromada umorusanych dzieciaków. Niektóre były bose, inne niekompletnie ubrane. Dzień był ciepły, bezwietrzny. Maxine zdjęła sweter i zawiązała go sobie w pasie. Zapach rozkładających się zwłok, moczu i fekaliiów był wszechobecny. Weszła do namiotu, szukając wzrokiem znajomej postaci. Odnalazła natychmiast. Blake rozmawiał po francusku z jakąś dziewczynką. Przypuszczała, że podszlifował swój francuski, uwodząc dziewczyny w nocnych klubach St. Tropez. Teraz mu się to przydaje, pomyślała z uśmiechem. Dokończył rozmowę z dziewczynką i przekazał ją wolontariuszom z Czerwonego Krzyża, opiekującym się dziećmi. Uściskał Maxine. Ledwie słyszała, co do niej mówił, bo gdzieś na zewnątrz, niedaleko, hałasowały buldożery. Blake sprowadził je z Niemiec drogą powietrzną. Ale grupy ochotników musiały nadal używać łopat przy wydobywaniu zwłok spod gruzów.

- Dobrze, że jesteś - powiedział łamiącym się głosem. - Sytuacja jest tragiczna. Mamy tu już ponad tysiąc dzieci, które straciły rodziny. Jest bardzo prawdopodobne, że zbierzemy ich o wiele więcej.

Ponad siedem tysięcy dzieci zginęło pod gruzami. I dwukrotnie więcej dorosłych. Rodziny zostały zdziesiątkowane, ich dobytek przepadł. Podobno bliżej gór było jeszcze gorzej. Blake przebywał tu od pięciu dni. Z mieszkańców prawie nikt nie ocalał. Założono tylko punkt pierwszej pomocy, do którego kierowano ofiary z innych miejsc i po wstępnych badaniach lekarskich wysyłano najciężej rannych do szpitali w Marakeszu.

- Wygląda to fatalnie - przyznała.

Skinął głową, trzymając jej rękę w swojej. Oprowadził ją po obozowisku. Na każdym kroku spotykali zapłakane dzieci, prawie każdy wolontariusz prowadził przynajmniej jedno.

- Co będzie z tymi dziećmi? - spytała Maxine. - Czy rząd myśli już o tym, jak zorganizować opiekę?

W każdym poszczególnym przypadku konieczne było oficjalne potwierdzenie śmierci rodziców. Dopóki formalnościom nie stanie się zadość, będzie panował bałagan.

- Międzynarodowy Czerwony Krzyż i marokański Czerwony Półksiężyc pracują już nad tym, ale na razie mamy zamęt. Wszystkie sprawy są załatwiane na słowo, musimy wierzyć w to, co ludzie nam mówią. Ja sam nie ogarniam wszystkiego, zajmuję się tylko dziećmi.

W jego słowach znowu uderzyło ją coś zdumiewającego. Jak dotąd, nie miał czasu dla dzieci, nawet swoich własnych. Nie był jednak pozbawiony opiekuńczych instynktów, i serce także najwyraźniej miał na właściwym miejscu.

Dwie godziny zajęło jej zwiedzanie z Blake'em obozowiska. Musiała rozmawiać po francusku, co wymagało sporego wysiłku. Zaproponowała pomoc ludziom, którzy prowadzili punkt sanitarny. Zameldowała się u głównego chirurga jako psychiatra specjalizujący się w syndromie urazowym. Rozmawiała z kilkorgiem pacjentów. Spotkała kobietę, która była w ciąży bliźniaczej i poroniła, gdy dach zawalił się jej na głowę. Mąż się nie uratował, został pod gruzami. Twierdziła, że ocalał jej życie, zanim sam zginął. Mieli jeszcze trójkę dzieci, nie

wiedziała, co się z nimi stało. To był jeden z dziesiątków równie dramatycznych przypadków. Obok leżała śliczna młoda dziewczyna, której trzeba było amputować obie ręce do ramion. Rozpaczliwie płakała po stracie matki. Maxine zatrzymała się przy niej na dłuższą chwilę i rozmawiała z nią, położywszy rękę na jej czole. Blake odwrócił się, by ukryć łzy.

Słońce już zachodziło, gdy Maxine i Blake podeszli do ciężarówki Czerwonego Krzyża, gdzie dostali po kubku parującej miętowej herbaty. Nad miastem rozbrzmiewała pieśń muezina, wzywającego wiernych do modlitwy z wysokiego minaretu w samym centrum. Pieśń była niezwykle piękna. Maxine obiecała, że wieczorem zajrzy znowu do namiotu mieszczącego szpital polowy, by omówić sposoby postępowania w przypadku syndromu pourazowego. Jego ofiarami byli tu chyba wszyscy bez wyjątku, także wolontariusze. Zbyt wiele okropności widzieli na własne oczy.

Maxine rozmawiała przez chwilę z pracownikami Czerwonego Krzyża. Każdy z nich potrzebował wsparcia psychologicznego do tego stopnia, że nie było możliwości zorganizowania wraz z nimi bardziej zaawansowanych form pomocy dla ofiar. Można było tylko rozmawiać z ludźmi, z każdym z osobna, i wraz z Blake'em robili to przez wiele godzin. Dopiero kiedy pod wieczór pili miętową herbatę, Maxine przypomniała sobie o Arabelli i zapytała o nią Blake'a. Uśmiechnął się.

- Dostała ważne zamówienie, musiała wracać. Cieszę się, że jej tu nie ma. Jest zbyt delikatna, żeby oglądać takie sceny. Kiedy ktoś się skaleczy w jej obecności, mdleje. Takie przeżycia są nie dla niej. Niech lepiej siedzi w domu, w Londynie.

Przeprowadziła się do jego londyńskiego mieszkania już parę miesięcy temu, co było samo w sobie czymś nowym. Dotąd jego romanse trwały krótko, dziewczyny znikwały z jego życia bez śladu. Ale po siedmiu miesiącach wciąż jeszcze był związany z Arabellą. Ten fakt zrobił wrażenie na Maxine.

- Czy zostanie na stałe? - spytała z uśmiechem, dopijając herbatę.

- Może - powiedział, patrząc na nią trochę sennie. - Może tak, cokolwiek to znaczy. Nie posuwam się w tych sprawach tak daleko jak ty. I do szczęścia nie potrzeba mi ślubu. - Uważał, że małżeństwo to sprawa zbyt ryzykowna, ale życzył jej jak najlepiej, jeśli tego naprawdę chciała. - Ciągłe zapominam ci to powiedzieć. Zamierzam wydać dla was przyjęcie przedślubne w Southampton. Należy ci się to ode mnie.

Przyjęcie przedślubne było częścią tradycji.

- Nic mi się od ciebie nie należy - powiedziała miękko.

Maska chirurgiczna, którą zsunęła z twarzy, wisiała na tasiemkach. Odór nadal był ciężki, ale w masce nie mogłaby wypić herbaty. Drugą maskę dała wcześniej Blake'owi. I parę lateksowych rękawiczek. Nietrudno złapać jakąś infekcję w takich miejscach. Wojsko grzebało zwłoki od rana do wieczora, i od rana do wieczora słychać było zawodzenie żałobników. Niemilknące, upiorne, ale zagłuszane częściowo przez buldożery.

- Po prostu mam na to ochotę. Byłoby cudownie. Czy dzieci już się pogodziły z tym ślubem?

- Nie - wyznała bez ogródek. - Ale pogodzą się. Charles jest wspaniałym facetem. Jest tylko trochę niezręczny w stosunku do dzieci. - I opowiedziała mu o pierwszej randce z Charlesem. Rozśmieszyła go.

- Sam bym uciekał, gdzie pieprz rośnie. A to przecież moje własne dzieci.

- Zaskoczył mnie tym, że nie uciekł.

Maxine też się uśmiechnęła. Przemilczała gniew, w jaki Charles wpadł na wieść o jej wyjeździe do Maroka. Blake nie musiał o tym wiedzieć. To by go pewnie uraziło albo tak jak Dafne doszedłby do wniosku, że Charles jest dupkiem. Maxine czuła, że powinna chronić ich obu, jednego przed drugim. Obydwaj byli przecież dobrymi ludźmi.

Chwilę później wróciła do punktu medycznego. Pomogła lekarzom opracować kompleksowy system postępowania z dziećmi i wygłosiła pogadankę dla personelu

pomocniczego na temat rozpoznawania objawów nasilonego syndromu pourazowego. Ale na tym etapie jej pomoc była jak kropla w morzu potrzeb.

Część wieczoru spędziła z Blake'em przy jego codziennych zajęciach. Potem oboje zasnęli w tym samym dżipie, który ją przywiózł z lotniska, przytuleni do siebie jak szczenięta. Nawet się nie zastanawiała, co by na to powiedział Charles. Tutaj nie miało to żadnego znaczenia. Zajmie się pocieszaniem Charlesa po powrocie do domu. Na razie miała na głowie trudniejsze sprawy.

W sobotę prawie cały dzień spędzili z marokańskimi dziećmi. Rozmawiała z nimi, niektóre, zwłaszcza te młodsze, trzymała na kolanach. Wiedziała, że wiele z nich będzie długo chorować, a niektóre umrą. Około tuzina odesłała do szpitala polowego pod opieką wolontariuszy. Kiedy zakończyła pracę, było już ciemno.

- Więc co mam robić? - pytał Blake.

Wyglądał bezradnie i tak też się czuł. Maxine była bardziej obyta z podobnymi sprawami, ale i ona poczuła się przytłoczona ogromem nieszczęścia. Straty były niewyobrażalnie wielkie, a możliwości ich naprawienia znikome.

- Szczerze? Niewiele da się tu zrobić. To, co możliwe, właśnie robisz. - Wiedziała, że Blake finansuje poszukiwania ofiar katastrofy, sprowadza sprzęt, ale teraz żywych ludzi już nie wydobywano spod gruzów.

Powiedział coś, co ją zaskoczyło.

- Chciałbym zabrać do domu chociaż kilka dzieciaków.

Była to normalna reakcja. Spotkała już ludzi, którzy mieli ten sam odruch. Lecz wiedziała, że adopcja takich dzieci jest znacznie trudniejszą sprawą, niż się Blake'owi wydawało.

- Rozumiem twoje uczucia - powiedziała. - Ale wszystkich i tak nie zabierzesz.

Instytucje rządowe powinny były założyć sieć prowizorycznych sierocińców, a potem ewentualnie szukać rodziców adopcyjnych za granicą, lecz tylko nieliczne dzieci mogły liczyć na taką szansę. Zazwyczaj zostawały we własnym kraju. Te,

którymi zajmował się Blake, pochodzili przeważnie z rodzin muzułmańskich.

Współwyznawcy czuli się odpowiedzialni za ich wychowanie.

- W tej pracy najtrudniejsza jest chwila, gdy musisz odejść. Kiedy zrobiłeś, co było w twojej mocy, trzeba po prostu wrócić do domu. A oni zostaną tutaj - dodała.

Zabrzmiało to okrutnie, ale taka była prawda.

- Mam tu obowiązki - powiedział smutno. - Nie mogę wyjechać. Czuję, że coś się tym ludziom jeszcze ode mnie należy. Nie mogę tak po prostu wrócić do urządzania swoich domów i bawić się raz tu, raz tam z paczką przyjaciół.

Powinienem zrobić coś dla innych. Nie mogę zawsze tylko brać, nic nie dając. - Dopiero niedawno zdał sobie z tego sprawę. Odkrycie tej prawdy zajęło mu całe życie.

- Możesz pomóc tym dzieciom tutaj. Jeśli zechcesz je stąd wywieźć, utkniesz na zawsze w biurokratycznych procedurach.

Oczy mu rozbłysły, wpadł na pomysł, który na dłuższą metę miał najwięcej sensu.

- Mógłbym swój dom w Marakeszu przeznaczyć na sierociniec i go finansować. Dzieci kończyłyby w nim porządną szkołę. Po odpowiedniej przebudowie zmieściłaby się tam setka dzieci. Przecież wcale nie potrzebuję kolejnego domu. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

Uśmiechnął się szeroko, zadowolony. Maxine była poruszona.

- Mówisz serio?

Jego pomysł wyglądał sensownie. Nigdy dotąd nie postępował w sposób tak bezinteresowny. Z tego projektu mogło wyniknąć coś wspaniałego. I z pewnością mógł sobie na to pozwolić, jeśli naprawdę mu na tym zależało. Była pewna, że Blake potrafi taki projekt przeprowadzić. Urządzić w pałacu sierociniec, wyposażyć go, finansować bieżące koszty utrzymania. W ciągu lat odmieniłby los setek osieroconych dzieci. To znacznie więcej niż adopcja kilkorga. Stworzenie sierocińca przyniosłoby procentujący pożytek.

- Jak najbardziej - odrzekł, patrząc jej w oczy.

Była wstrząśnięta tym, co widziała. Oto Blake wreszcie dorósł. Stał się dojrzałym mężczyzną. Nie przypominał już Piotrusia Pana. Przestał być nicponiem.

- To wspaniały pomysł - powiedziała z zachwytem.

Blake był nim bardzo przejęty. Oczy błyszczały mu jak nigdy dotąd. Poczła dumę.

- Pomożesz mi w odpowiednim czasie przygotować program dla dzieci z syndromem pourazowym? Robiłaś już podobne rzeczy. Chciałbym, żeby miały wszystko, czego potrzebują. Opiekę psychiatryczną i medyczną, nauczanie.

- Oczywiście. - Nie potrafiła wyrazić, jak bardzo jest poruszona. Ale liczyła się z tym, że przygotowanie tego programu będzie ją kosztowało sporo czasu.

Znowu noc przespali w samochodzie. Następnego dnia Maxine zaczęła dzień od kolejnego obchodu w towarzystwie Blake'a. Rozmawiała z mnóstwem budzących sympatię dzieciaków, tak ciężko doświadczonych przez los, że pomysł Blake'a, by w pałacu założyć sierociniec, wydawał się czymś niecierpiącym zwłoki. To oznaczało wiele pracy już w nadchodzących miesiącach. Blake od razu skontaktował się ze swoim architektem, umówił się też na spotkania z przedstawicielami instytucji rządowych, z którymi powinien uzgodnić swój plan.

Ostatnią godzinę pobytu w Maroku Maxine spędziła w szpitalu polowym. Miała poczucie, że zbyt mało zdążyła tu zrobić. Ale zawsze tak bywa w podobnych okolicznościach. Pod wieczór Blake odprowadził ją do dżipa. Wyglądał na strasznie zmęczonego. Tak wiele spraw było na jego głowie.

- Jak długo chcesz tu zostać? - spytała z troską w głosie.

- Nie wiem. Jak długo będzie potrzebna pomoc. Może trzy tygodnie, może miesiąc. Czeka mnie sporo pracy organizacyjnej.

Pomoc będzie potrzebna bardzo długo, ale najgorsze wkrótce minie i Blake wróci do Londynu, gdzie cierpliwie czeka na niego Arabella. Był wciąż zajęty i rzadko do niej dzwonił. Ale kiedy zadzwonił, zawsze była miła, kochająca i serdeczna. Mówiła mu, że jest prawdziwym bohaterem, wyrażała podziw. Tak samo

jak Maxine. Ona także była pełna podziwu dla jego poświęcenia, dla jego projektów.

- Jacht jest do twojej dyspozycji przez dwa tygodnie lipca - przypomniał jej.

Oboje czuli się niezręcznie, kiedy mówili o jachcie. W tym otoczeniu wakacje na luksusowym jachcie wydawały się czymś zupełnie nie na miejscu, czymś oderwanym od życia. Podziękowała mu. Charles prawdopodobnie spędzi te wakacje razem z nimi, aczkolwiek każe się długo prosić. Maxine upierała się przy wakacjach na jachcie, bo to był jeden z ich rodzinnych obyczajów, i dzieci poczułyby się bardzo zawiedzione, gdyby je tego pozbawić. Teraz Charles stał się członkiem rodziny. Nie oczekiwała od niego, by od razu zmienił swoje zapatrywania, na to było za wcześnie. Ale jego dom w Vermoncie był za mały, by mogli tam spędzić wakacje razem z dziećmi.

- I pamiętaj o przyjęciu przedślubnym - dodał. - Moja sekretarka skontaktuje się z tobą w tej sprawie. Chciałbym urządzić dla was bajeczną imprezę.

Była wzruszona, że o tym myślał, zwłaszcza w obecnej sytuacji. I miała nadzieję na przedślubnym przyjęciu poznać wreszcie tę osławioną Arabellę. Maxine była pewna, że Arabella jest o wiele sympatyczniejsza, niż chciała przyznać Dafne.

Uściskała Blake'a na pożegnanie i podziękowała mu za zaproszenie.

- Żartujesz? - odparł. - To ja dziękuję, że przyjechałaś, że mi pomagałaś przez trzy dni.

- To jest niezwykle, co tu robisz, Blake - powiedziała. - Jestem z ciebie taka dumna. I dzieci też będą dumne. Opowiem im o twoim pomysle. Nie mogę się doczekać.

- Na razie nic im nie mów. Muszę tu najpierw pozałatwiać mnóstwo spraw, zanim ten pomysł nabierze kształtów.

Czekała go ogromna praca. Przebudowa domu na sierociniec i dobranie zespołu, który go będzie prowadził. Naprawdę praca na miarę olbrzyma.

- Uważaj na siebie - upomniała go. W rejonie mogła wybuchnąć epidemia malarii, tyfusu albo cholery. - Bądź zdrow.

- Będę uważał. Kocham cię, Maxine. Ty też uważaj na siebie. Ucałuj ode mnie dzieci.

- Dobrze, ucałuję. Ja też cię kocham.

Objęli się znowu. Blake machał jej jeszcze, gdy dżip nabierał szybkości.

Kiedy dotarła na lotnisko, zapadał zmrok. Samolot wraz załogą już na nią czekał. Od razu przyniesiono jej lekki posiłek. Ale nie mogła nic przełknąć po tym wszystkim, co widziała przez ostatnie dni. Siedziała przy oknie, długo patrząc w nocne niebo. Nad skrzydłem samolotu na rozgwieżdżonym niebie wisiał jasny sierp księżycy. Wszystko, co widziała i czym zajmowała się przez te trzy dni, wydało jej się naraz nierealne jak sen. Myślała też o Blake'u, o tym, co robił dla innych. Samolot leciał do Nowego Jorku, a ona usnęła w fotelu i obudziła się dopiero wtedy, kiedy o piątej rano miejscowego czasu wylądowali na lotnisku. To, co przeżyła w Maroku, z oddali wydawało się nie całkiem realne.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wróciła do domu około siódmej rano. Dzieci jeszcze spały, a Zelda była w swoim pokoju. Wzięła prysznic i przebrała się. Wyspała się w samolocie, czuła się wypoczęta, choć wrażenia z Maroka musiała jeszcze przemyśleć i przetrawić. Był piękny czerwcowy poranek, więc poszła do swojego gabinetu spacerkiem i około ósmej znalazła się już na miejscu. Pierwszy pacjent był zapisany na dziewiątą. Miała jeszcze godzinę i mogła bez pośpiechu zadzwonić do Charlesa, by powiedzieć mu, że wróciła cała i zdrowa. Odebrał telefon już po drugim dzwonku.

- Cześć, to ja - powiedziała, mając nadzieję, że złość mu tymczasem przeszła.

- To znaczy kto? - spytał szorstko.

Z Maroka dzwoniła do niego trzy razy, ale ani razu go nie zastała. Zostawiała wiadomości na automatycznej sekretarce. Chyba zatem sygnalizowała przywiązanie. Nie zamierzała przecież kłócić się z nim przez telefon satelitarny. Jego numer w Vermoncie także nie odpowiadał, ale tam nie było automatycznej sekretarki, na

którą mogłaby nagrać wiadomość. Sądziła, że przez te cztery dni, które upłynęły od jej wyjazdu, zdążył się trochę uspokoić.

- To znaczy twoja przyszła żona - powiedziała z uśmiechem. - Mam nadzieję, że mimo wszystko nią zostanę.

- Jak było? - spytał już trochę łagodniej, w każdym razie tak jej się wydawało. Wiedziałyby lepiej, w jakim Charles jest nastroju, gdyby miała z nim kontakt wzrokowy.

- Okropnie, niezwykle, smutno, serce mi się krajało. Było jak zawsze w podobnych okolicznościach. Widziałam dzieci skrajnie osamotnione, bezradne, dorosłych w nie lepszym stanie. - Nie wspomniała o planach Blake'a, by niezwłocznie założyć tam sierociniec. Pomyślała, że to by go znowu rozdrażniło. Więc mówiła o skutkach trzęsienia ziemi w sposób raczej ogólny. - Ludzie z Czerwonego Krzyża robią wszystko, co w ich mocy.

Blake też robił, co w jego mocy, ale o tym nie wspomniała. Obchodziła się z Charlesem ostrożnie, żeby go znowu nie zirytować.

- Jesteś pewnie zmęczona - powiedział współczująco.

Byłoby dziwne, gdyby nie była. W ciągu trzech dni pojechała na drugi koniec świata i wróciła. Wiedział, że przeżyła te dni bez wygod i że nie było jej tam łatwo. Choć nadal się złościł, wiedząc, kto i dlaczego ją tam ściągnął, był z niej nawet trochę dumny. Lecz w żadnym razie by się do tego nie przyznał.

- Nawet nie tak bardzo. Wyspałam się w samolocie. Wtedy z gniewem przypomniał sobie, że leciała prywatnym samolotem Blake'a.

- Wyjdiesz dziś ze mną na kolację? Czy może będziesz jeszcze zbyt skołowana z powodu zmiany czasu?

- Bardzo chętnie - odpowiedziała bez namysłu. To tak, jakby zaproponował zawarcie pokoju. Stęskniła się za Charlesem.

- Tam gdzie zawsze? - Oczywiście miał na myśli La Grenouille.

- Może do Café Boulud? Tam jest mniej ceremonialnie, a poza tym to bliżej mojego domu.

Wiedziała, że wieczorem będzie już zmęczona, po całym dniu spędzonym w gabinecie i w dodatku po podróży, jaką miała za sobą. Chciała też trochę czasu spędzić z dziećmi.

- Przyjadę po ciebie o ósmej - powiedział szybko. I dodał: - Brakowało mi ciebie, Maxine. Cieszę się, że wróciłaś. Byłem o ciebie niespokojny.

Myślał o niej przez cały weekend w Vermoncie.

- Nic mi się nie stało.

Wtedy, westchnąwszy głęboko, spytał o Blake'a.

- Bardzo ciężko pracuje. Ale nie jest łatwo pomagać ludziom w takich okolicznościach. Nigdy dotąd się tym nie zajmował. Dobrze, że pojechałam.

- Pomówimy o tym wieczorem - uciął.

Kiedy się rozłączyli, zostało jeszcze dość czasu, aby przed przyjściem pacjenta przejrzeć pocztę. Nie wyglądało na to, by podczas jej nieobecności zdarzyło się coś złego. Thelma przefaksowała jej krótki raport z zastępstwa. Żaden z pacjentów Maxine nie miał większych problemów, żaden nie trafił do szpitala. Ucieszyła się. Zawsze była o swoich pacjentów trochę niespokojna.

Tego dnia wszystko szło gładko. Udało jej się około szóstej wrócić do domu, do dzieci. Zelda wyszła, była z kimś umówiona. Kiedy wróciła, okazało się, że jest w garsonce i na szpilkach, co zdarzało jej się bardzo rzadko.

- Gdzie byłaś? - spytała Maxine z uśmiechem. - Wyglądasz, jakbyś wracała z randki.

Ale Zelda ani razu nie była na randce przez te wszystkie lata.

- Musiałam się spotkać z prawnikiem w pewnej sprawie. Nic wielkiego.

- Coś się stało? - spytała Maxine.

Trochę się zaniepokoiła, ale Zelda zapewniła ją, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Maxine opowiedziała dzieciom, czym się zajmuje ich ojciec w Maroku. Były z niego niesłychanie dumne. Przyznała, że i ona jest z niego dumna. Opowiedziała o

wszystkim z wyjątkiem projektu założenia sierocińca. Obiecała mu, że o tym powie im sam, i dotrzymała słowa.

Zdażyła jeszcze się przebrać i była gotowa o ósmej, kiedy zjawił się Charles. Przywitał się z dziećmi, które mruknęły coś pod nosem i zniknęły w swoich pokojach. Odkąd się dowiedziały o ich planach małżeńskich, znowu traktowały go mniej przyjaźnie. Z dnia na dzień stał się dla nich wrogiem.

Maxine zignorowała ich zachowanie. Charles zabrał ją do restauracji przy Siedemdziesiątej Szóstej Wschodniej. Był piękny wieczór. Miała na sobie sukienkę z niebieskiego lnu i srebrne sandaalki. Wyglądała zupełnie inaczej, niż zaledwie wczoraj, kiedy w kurtce z wojskowego demobilu i butach na protektorach pożegnała się z Blake'em w jakimś innym świecie. Po południu Blake do niej zadzwonił, żeby jeszcze raz podziękować za przyjazd. Powiedział, że już nawiązał pierwsze kontakty konieczne do realizacji nowych planów. Zabrał się do tego z takim samym zapałem, jakiemu zawdzięczał wszystkie swoje dotychczasowe sukcesy.

Byli już w połowie kolacji, kiedy Maxine powiedziała Charlesowi o przyjęciu, które zamierzał wydać dla nich Blake. Widelec Charlesa zawisł w powietrzu.

- Co powiedziałaś? - spytał. Już prawie jej wybaczył i chciał puścić ten wyjazd w niepamięć, kiedy wyskoczyła z czymś takim.

- Powiedziałam, że chce wydać dla nas przyjęcie przedślubne.

- Gdyby żyli moi rodzice, urządziliby dla nas to przyjęcie. - Odłożył widelec i wyprostował się na krześle. - Chcesz, żebym sam się tym zajął?

Był pomysłem Blake'a zupełnie zaskoczony.

- Nie - powiedziała Maxine. - To dla nas obojga drugie małżeństwo, więc możemy się obejść bez przyjęcia. Ale Blake jest jak członek rodziny. Dzieci będą niepokieszone, jeśli mu na to nie pozwolimy.

- Co do mnie, nie będę niepokieszony - burknął i odsunął talerz. - Czy kiedykolwiek pozbędziemy się tego typu, czy przyczepił się do nas już na zawsze? Mówiłaś mi, że jesteście w świetnych stosunkach, ale to, co widzę, jest po prostu nie do przyjęcia. To tak, jakbym, żeniąc się z tobą, musiał i z nim się ożenić.

- Nie przesadzaj, Charles. Blake jest ojcem moich dzieci. Uwierz mi, tak będzie lepiej.

- Dla kogo?

- No, dla dzieci.

I dla niej też. Bo nie zniosłaby, gdyby między nią a byłym mężem pojawiła się niechęć, gdyby na przykład musieli walczyć ze sobą o uczucia dzieci.

Charles spojrział na nią gniewnie. Chyba nigdy nie znała nikogo tak zazdrosnego jak on. Zastanawiała się ciągle, czy na to wpływają sukcesy Blake'a i pozycja, jaką osiągnął, czy też dlatego, że była z Blake'em zbyt blisko. Trudno powiedzieć.

- Domyślam się, że jeśli nie będzie tego przyjęcia, dzieci nazwą mnie głupkiem.

Odpowiedź brzmiała: tak. Ale Maxine nie odważyłaby się powiedzieć mu tego.

- Dla mnie ta sytuacja jest nie do przyjęcia - dodał.

- Nie musi być źle. Jeśli przyjmujemy jego propozycję, dzieci będą ustalały szczegóły razem z Blake'em i będą miały mnóstwo świetnej zabawy. Co może być dla nich wielką atrakcją.

Gdy to mówiła, Charles stawał się z chwili na chwilę coraz bardziej wściekły. Maxine nie przewidziała, że ta sprawa może go aż do tego stopnia wyprowadzić z równowagi. Blake był członkiem rodziny i nadal myślała, że Charles w końcu to zrozumie.

- Może zbłądziłem, że nie zaprosiłem mojej byłej żony.

- Byłbyś najzupełniej w porządku, gdybyś ją zaprosił.

Charles machał już na kelnera, żeby przyniósł rachunek. Nie był w nastroju do deseru, a Maxine na deserze nie zależało. Dopadło ją zmęczenie podróży. Poza tym nie chciała przedłużać kłótni z Charlesem o Blake'a. Ani o nic innego.

Odprowadził ją do domu w milczeniu i odmówił wejścia na górę. Mruknął tylko, że odezwie się nazajutrz. Potem zatrzymał taksówkę i bez słowa odjechał.

Wszystko się między nimi psuło. Miała nadzieję, że nie popsuje się do reszty, kiedy zajmą się przyjęciem weselnym. Na weekend zaplanowali rozmowę z firmą cateringową z Southampton. Charles już wcześniej powiedział, że altana w ogrodzie i tort weselny kosztują za drogo. To była dla niej przykrość, bo przecież za wszystko zamierzała zapłacić sama. Charles miał strasznie sztywne podejście do takich spraw. A Maxine chciała, żeby jej ślub był naprawdę piękny.

Kiedy wjeżdżała na górę windą, rozważała, czy nie powiedzieć Blake'owi, żeby dał sobie spokój z tym przyjęciem przedślubnym. Ale wiedziała, jak bardzo byłby zawiedziony. Dzieci też się rozzłoszczą, jeśli zostaną tego pozbawione. Miała nadzieję, że Charles się z tym po prostu pogodzi, a może z czasem przestanie tak się przejmować Blake'em. Lecz jeśli ktokolwiek mógł złagodzić upór Charlesa, to tylko sam Blake. Był łatwy w kontakcie, miał poczucie humoru i dawał się lubić, nikt nie potrafił się oprzeć jego urokowi osobistemu. Charles byłby pierwszy, gdyby mu się udało.

Mimo że Charles tak się obraził przy kolacji, nazajutrz rano Maxine musiała do niego zadzwonić i poprosić, żeby wpadł wieczorem, bo trzeba jeszcze raz przejrzeć listę gości i ustalić parę szczegółów. Prosił o to właściciel firmy cateringowej, i trzeba te sprawy rozstrzygnąć przed spotkaniem zaplanowanym na sobotę. Charles przyszedł, choć niechętnie, i był tak samo naburmuszony jak wczoraj wieczorem. To przyjęcie pożegnalne doprowadzało go do szału, poza tym jeszcze nie do końca przełknął jej wyprawę do Maroka. W ostatnich dniach trochę za dużo było w jego życiu Blake'a Williamsa. Blake Williams wpakował się nawet tam, gdzie chodziło o jego ślub z Maxine. Charles po prostu nie trawił Blake'a Williamsa.

Usiadł przy kuchennym stole, kiedy dzieci kończyły deser. Zelda przygotowała ciasteczka z jabłkowym nadzieniem i lody waniliowe. Charles dał się poczęstować porcją deseru, zjadł chętnie i pochwalił.

Kiedy już odchodzili od stołu, Zelda odchrząknęła. Najwyraźniej zamierzała zabrać głos, choć nikt nie miał pojęcia w jakiej sprawie.

- Ee... Przykro mi, że akurat teraz muszę wam o tym powiedzieć. Wiem, że niedługo będzie ślub, więc...

Spojrzała przeprasząco na Maxine, która od razu pomyślała, że Zelda zamierza odejść. Jeszcze tylko tego brakowało! Właśnie ze względu na ślub, że Charles z nimi zamieszka, pragnęła, by w miarę możliwości wszystko poza tym zostało po staremu. Nie był to odpowiedni moment na większe zmiany w domowej rutynie, na nic, co mogłoby odmienić ich sposób życia. Od lat mogła polegać na Zeldzie. Zelda należała do rodziny. Maxine rzuciła jej przestraszone spojrzenie. Dzieci gapiły się na nią zdumione. Tylko Charles, który właśnie skończył jeść ciastko, wcale się nie przejął. Cokolwiek Zelda miałaby do powiedzenia, jego przecież nie dotyczyło, a przynajmniej tak mu się wydawało. Kogo Maxine zatrudnia do pomocy albo kogo zwalnia - to nie była jego sprawa. Uważał, że Zelda jest odpowiednią osobą i przy tym świetną kucharką. Lecz sądził też, że nie ma ludzi niezastąpionych. Maxine miała do tej sprawy zupełnie odmienne podejście, dzieci także.

- Ee... Długo się nad tym zastanawiałam... - Zelda gniotła w rękach ścierkę do naczyń. - Dzieci są już duże, a Maxine wychodzi za męża... Więc zaczęłam myśleć o tym, że i ja chciałabym spróbować w życiu czegoś innego... - Uśmiechnęła się niepewnie. - Obawiam się, że księżę z bajki gdzieś zgubił mój adres...

Zdecydowałam się na inne rozwiązanie. Chcę mieć własne dziecko. A dziecko może tu przeszkadzać, więc muszę odejść. Bo tej decyzji już nie zmienię.

Wszyscy patrzyli na nią w osłupieniu przez długą chwilę. Maxine z początku pomyślała, że Zelda skorzystała z pomocy jakiegoś banku spermy i jest w ciąży. Na to wyglądało.

- Jesteś w ciąży? - spytała zdławionym głosem.

Dzieci zaniemówiły Charles też milczał.

- Nie. Bardzo żałuję - odparła Zelda ponuro. - Byłoby wspaniale. Myślałam o tym, Maxine, kiedy mówiłam ci, że przez całe życie wychowywałam i kochałam dzieci innych ludzi. Przychodziło mi to bardzo łatwo. Więc na co mi poranne

mdłości i wielki brzuch? No i nie mogę przestać pracować. Muszę pracować.

Wychowanie dziecka kosztuje. - Uśmiechnęła się. - Jestem w kontakcie z prawnikiem w sprawie adopcji. Widziałam się z nim już cztery razy. Raz przyszedł nawet ktoś z opieki społecznej, żeby sprawdzić, jakie mam warunki. Przeszłam też badania lekarskie.

I przez cały ten czas ani słowem nie zdradziła swoich planów przed nimi.

- Kiedy dostaniesz dziecko? - spytała Maxine i wstrzymała oddech. Nie była przygotowana na obecność małego dziecka w ich domu. I może nigdy nie będzie. Nie przyjdzie jej łatwo przełknąć tę wiadomość, zwłaszcza teraz, kiedy ma się do nich wprowadzić jej nowy mąż.

- Oczekiwanie mogłoby potrwać dwa lata - powiedziała Zelda, i zawiesiła głos, a Maxine odzyskała oddech - ale tylko wtedy, gdybym chciała czekać na dziecko z markową metką.

- Co rozumiesz przez dziecko z markową metką? - zdziwiła się Maxine.

- Białe, niebieskookie, zdrowe, oboje rodzice z dyplomami Harvardu, dziecko nie mieści się w ich stylu życia. Bez jakichkolwiek problemów alkoholowych i narkotykowych, wyższa klasa średnia. Na takie dziecko można czekać bez końca. W zasadzie w dzisiejszych czasach dziewczęta z dobrych domów w ogóle nie zachodzą w niechcianą ciążę, a jeśli się przytrafi, albo decydują się na aborcję, albo na wychowanie dziecka. Więc takich dzieci praktycznie nie ma w ośrodkach adopcyjnych. Dwa lata to byłby nad wyraz optymistyczny termin dla niezamężnej kobiety w średnim wieku, takiej jak ja, z niższych sfer. Jeśli już się trafi markowe dziecko, dostanie je raczej ktoś podobny do was.

Spojrzała na Maxine i Charlesa. Maxine kątem oka zauważyła, że Charles zadygotał. Pokręcił głową i odezwał się:

- Jeśli o mnie chodzi, dziękuję pięknie. - Nawet się uśmiechnął i poprawił: - Jeśli chodzi o nas oboje.

Naprawdę nie robiłoby mu różnicy, gdyby Zelda czekała na dziecko przez dwa lata. To w ogóle nie był jego problem. Ta myśl go podniosła na duchu.

- Więc dopiero za dwa lata, Zeldo? - spytała Maxine z nadzieją. Do tego czasu Sam skończy osiem lat, Jack i Dafne będą już w liceum, i wtedy będzie czas, żeby się martwić co dalej.

- Nie. I nawet nie sędzę, że mogłabym dostać takie dziecko. Myślałam raczej o adopcji zagranicznej. Interesowałam się tym, ale kryje się w niej zbyt wiele niewiadomych, poza tym, to dla mnie zbyt kosztowna operacja. Nie mogę pojechać na trzy miesiące do Rosji albo do Chin, żeby tam czekać na decyzję władz, które przydzielą mi jakieś trzyletnie dziecko z sierocińca, być może obciążone defektami, o których dowiem się poniewczasie. Nie pozwalają nawet wziąć dziecka na kolana. Kiedy je pokazują, nie wypuszczają z rąk. Chciałabym dostać niemowlę, najlepiej noworodka, któremu nikt jeszcze nie zdążył zaszkodzić.

- Chyba że w łonie matki - wtrąciła Maxine. - Trzeba sprawdzać, jakie dziecko ci proponują. Ważne, żeby matka nie używała alkoholu i narkotyków w okresie ciąży.

Zelda przez chwilę patrzyła w przestrzeń.

- Właśnie w tym rzecz - powiedziała, znowu przenosząc spojrzenie na Maxine.
- Dziecko, na które się zdecydowałam, jest obciążone takim ryzykiem. Nie ma żadnej wady rozwojowej, w rodzaju rozszczepienia kręgosłupa, ani genetycznej, jak zespół Downa. Z tym mogłabym sobie nie poradzić. Nie, to jest mniej więcej normalne dziecko urodzone przez dziewczynę, która mogła zażywać narkotyki i pić za dużo piwa w czasie ciąży.

Nie wydawała się tym przejęta, ale Maxine zaniepokoiła się za nią. I to bardzo.

- Myślę, że popełnisz wielki błąd - powiedziała stanowczo. - Nie masz pojęcia, jak ciężkie problemy mogą wchodzić w grę, jeśli matka była narkomanką. Wciąż mam z tym do czynienia. W moim gabinecie często pojawiają się dzieci adoptowane, których rodzice biologiczni byli narkomanami. Skłonności do uzależnień bywają dziedziczne, a efekty zatrucia w okresie ciąży ujawniają się nawet po latach.

- Postanowiłam zaryzykować - powiedziała Zelda, patrząc jej w oczy. -
Właściwie... - wciągnęła głęboko powietrze - już zaryzykowałam.

- Co przez to rozumiesz? - Maxine zmarszczyła brwi, kiedy Zelda mówiła.
Teraz Nawet Charles słuchał uważnie. Dzieci też zamieniły się w słuch. Gdy Zelda znowu się odezwała, w kuchni było cicho jak makiem zasiał.

- Matka tego dziecka ma piętnaście lat. W ciąży była bezdomna przez pewien czas. Przez pierwsze trzy miesiące ciąży miała kontakt z narkotykami, ale teraz nie bierze. Ojciec dziecka, dziewiętnastolatek, siedzi za dilerkę i kradzież samochodu. Nie interesuje się ani dzieckiem, ani dziewczyną. Był gotów podpisać, że się zrzeka praw. Już podpisał, a to znaczna część tych formalności. Jej rodzice nie chcą, żeby wychowywała dziecko. Nie stać ich na to. Ona sama jest jeszcze dzieckiem. Wczoraj się z nią spotkałam.

Maxine zrozumiała, co oznaczała garsonka i buty na obcasach, które włożyła wczoraj Zelda.

- Ona zgadza się oddać mi swoje dziecko - mówiła dalej Zelda. - Chce tylko, żeby co roku przysyłać jej fotografię. Nie żąda prawa do odwiedzin. Tak jest lepiej. Zostawi mnie i dziecko w spokoju. Trzy pary już dziecko odrzuciły, więc jeśli chcę, mogę je dostać. To jest chłopczyk.

Łzy pociekły po jej policzkach, a jej uśmiech ugodził

Maxine prosto w serce. Nawet nie myślała, że można aż tak bardzo pragnąć dziecka, by godzić się na ryzyko problemów ciągnących się przez całe życie.

Maxine objęła Zeldę i uścisnęła ją.

- Zeldo... Twój pomysł adopcji jest wspaniały. Ale może powinnaś wybrać inne dziecko. Nie wiesz, w co się pakujesz. Nie możesz podjąć tak dużego ryzyka.

- Mogę i zrobię to - odparła Zelda z uporem. Maxine zrozumiała, że Zelda jest naprawdę zdecydowana.

- Kiedy? - spytał Charles.

- Termin porodu wypada w najbliższy weekend.

- Żartujesz? - wykrzyknęła Maxine, a dzieci spojrzały na Zeldę z niedowierzaniem. - Teraz? Za parę dni? Co zrobisz z tym dzieckiem?

- Będę je kochała do końca życia. Nazwę je James. Jimmy. Maxine poczuła, że siły ją opuszczają. To niemożliwe.

Ale jest prawdą.

- Nie oczekiwałam, że będziecie mnie w tym wspierać. Przykro mi, że was zaskakuję. Myślałam, że sprawa potrwa o wiele dłużej, może rok, może dwa. Ale sama dowiedziałam się o tym wczoraj, a dzisiaj wam mówię.

- Zaproponowali pani to dziecko tylko dlatego, że ktoś inny go nie chciał - odezwał się chłodno Charles. - Czyste szaleństwo.

- Wiem, że to może tak wyglądać - przyznała Zelda.

Maxine miała ochotę się rozplakać. Wydawało jej się, że Zelda chce popełnić okropne głupstwo. Ale czy mogła decydować za nią? Ona sama za nic nie podjęłaby takiej decyzji. Ale miała trójkę zdrowych dzieci. Kto wie, co zrobiłaby na miejscu Zeldy? Zdobyła się na decyzję pełną miłości, choć rzeczywiście bardzo ryzykowną. Odwaga Zeldy jej zaimponowała.

- Jeśli wolisz, żebym odeszła, to odejdę - powiedziała Zelda spokojnie. - Nie mogę cię prosić, żebyś pozwoliła mi tu zostać razem z dzieckiem. Jeśli chcesz, żebym została, zostanę, i zobaczymy, jak sobie wszyscy dajemy z tym radę. Ale jeśli miałabym odejść, muszę mieć parę dni na załatwienie innego zajęcia. Powinnam jeszcze przed weekendem wiedzieć, że mam gdzie mieszkać.

- O mój Boże - powiedział Charles i wstał od stołu, patrząc znacząco na Maxine.

- Zeldo - odezwała się Maxine - spróbujemy sobie z tym poradzić wszyscy razem.

Ledwie padły te słowa, trójka dzieci zerwała się z krzeseł i rzuciła się ściskać Zeldę.

- Będziemy mieli niemowlaka! - zawołał zachwycony Sam. - Chłopczyka! - Objął Zeldę w pasie, wrzeszcząc z radości.

- Dziękuję - powiedziała Zelda do Maxine.

- Zobaczymy, jak to wyjdzie w praniu - odrzekła Maxine słabym głosem.

Wiedziała, co myślą o tym dzieci, ale Charles też mógł mieć swoje zdanie. - Trzeba po prostu spróbować, i wtedy się okaże, czy to dla nas możliwe. Czy damy sobie radę z niemowlęciem w domu.

Zelda uściskała Maxine tak mocno, że omal jej nie udusiła.

- Dziękuję, dziękuję - powtarzała przez łzy. - Spełnia się właśnie moje największe marzenie. Własne dziecko.

- Ale czy jesteś pewna? Mogłabyś poczekać na dziecko obciążone mniejszym ryzykiem.

- Nie chcę czekać - rzekła zapalczywie Zelda - Chcę mieć dziecko. Właśnie to dziecko.

- Możesz potem żałować.

- Nie będę żałować.

Była całkowicie zdecydowana, i Maxine zrozumiała, że nic jej nie odwiedzie od tego postanowienia.

- Jutro kupuję łóżeczko i wyprawkę - oznajmiła Zelda.

Maxine już dawno oddała komuś łóżeczko Sama, więc nie mogła go zaoferować. Trudno jej było sobie wyobrazić, że za kilka dni w ich domu pojawi się niemowlę. Rozejrzała się dookoła i zorientowała się, że Charles wyszedł. Znalazła go w salonie. Był wyprowadzony z równowagi, i kiedy spojrzał na Maxine, miał w oczach wściekłość.

- Zwariowałaś? - wyrzucił z siebie. - Chcesz mieć w domu dziecko jakiejś narkomanki? Przecież wiesz, co się może zdarzyć. Nikt przy zdrowych zmysłach nie weźmie takiego dziecka, ale ta biedaczka jest tak zdesperowana, że nie zważa na nic. I będzie z tym dzieckiem mieszkała w twoim domu. Ze mną! - dorzucił. - Jak mogłaś podjąć taką decyzję, nie pytając mnie o zdanie?

Kipiał ze złości, a Maxine nie mogła go potępić. Ona także się bała. Zgodziła się tylko dlatego, że była przywiązana do Zeldy. Ale dla niego Zelda była obcą

osobą. Ledwo ją znał. Dla niego to była po prostu niania. Nie miał pojęcia, ile znaczyła dla Maxine i dla dzieci.

- Przepraszam, że cię nie zapytałam, Charles. Przysięgam, nie umiałabym zachować się inaczej. Byłam tak poruszona tym, co mówiła... I było mi jej tak bardzo żal. Nie mogę jej po prostu wyrzucić z dnia na dzień, po dwunastu latach. Moje dzieci byłyby w rozpacz. Nie mówiąc o mnie.

- Jeśli tak, to tym bardziej powinna była cię uprzedzić, jakie ma zamiary. To oburzające! Powinnaś ją z miejsca zwolnić - rzucił chłodno.

- Kochamy ją. Moje dzieci wychowywały się przy niej od małego. Ona też je kocha. Jeśli nie uda nam się ten eksperyment, ona odejdzie. Dzieci miałyby zbyt wiele zmian naraz, Charles. Nasze małżeństwo i to, że muszą przyzwycząć się do ciebie. Więc nie chcę, żeby odeszła.

Maxine miała łzy w oczach. Ale Charles był nieugięty.

- Więc czego ode mnie oczekujesz? Że przyjmę do rodziny dziecko narkomanów? Może mam mu jeszcze zmieniać pieluchy? To nie jest w porządku z twojej strony.

Nie uważała, że to jest w porządku. Lecz kierowała się również dobrem własnych dzieci. A dzieci za bardzo potrzebowały Zeldy, by się z nią teraz rozstawać z powodu niemowlęcia, nawet jeśli urodziła je narkomanka.

- Może nawet nie odczujesz jego obecności - uspokajała go. - Pokój Zeldy jest przecież za kuchnią. Przez długi czas dziecko nie opuści tego pokoju.

- A potem co? Będzie się pchało do naszej sypialni, tak jak Sam?

Po raz pierwszy pozwolił sobie na tak uszczypliwą uwagę o jej dzieciach, co się jej nie spodobało, ale zrozumiała, jak bardzo jest rozgniewany.

- Codziennie fundujesz mi jakiś cholerny dramat, widocznie to lubisz. Nagle lecisz do Afryki, nazajutrz mamy na tapecie zachciankę Blake'a, żeby urządzić nam przedślubne przyjęcie, a teraz znowu niania z adoptowanym dzieckiem. Myślisz, że ja to wytrzymam? Twoje życie nie mieści się w żadnej normie. - Wycelował w nią palcem wskazującym. - Jesteś wariatką.

I wyszedł z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami. Huk usłyszeli wszyscy.

- To Charles? - spytała z niepokojem Zelda, gdy Maxine z ponurą miną wróciła do kuchni.

Skinęła głową bez słowa.

- Nie musicie się zgodzić na dziecko - powiedziała Zelda przepraszająco. - Przecież mogę odejść.

- Nie, nie możesz - odparła Maxine, obejmując ją. - Kochamy cię. Będziemy ci pomagali. Miejmy nadzieję, że dziecko będzie zdrowe. Tylko to jest teraz ważne. Charles za bardzo go zaskakuje - dodała, i nagle zaczęła się śmiać.

Co jeszcze ją czeka?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W sobotę Charles pojechał z Maxine do Southampton, tak przecież się umówili. Spotkali się z właścicielem firmy cateringowej w sprawie przyjęcia weselnego. Spacerowali po plaży, trzymając się za ręce, kochali się wiele razy, i pod koniec weekendu Charles znów był pogodny. Maxine przekonała go, że Zelda odejdzie sama, jeśli nie będzie sobie radziła. Wszystko się między nimi jakoś ułożyło i w dobrych nastrojach wracali do domu. Przed weekendem rozpaczliwie potrzebował chwili spokoju i czasu spędzonego tylko z nią. Jej bliskość wiele dla niego znaczyła. Dzięki temu trochę się wyprostował, jak zerwany kwiat, kiedy się go wstawi do wody.

- Gdy możemy być razem sami - powiedział, prowadząc samochód - wszystko znowu nabiera sensu. Ale w tym waszym domu wariatów czuję się jak w potrzasku, jak postać z opery mydlanej. To mnie doprowadza do rozstroju nerwowego.

Jego słowa ją zraniły.

- To nie jest dom wariatów, Charles. I moje życie nie jest operą mydlaną. Jestem pracującą zawodowo samotną matką z trójką dzieci, i muszę sprostać nieprzewidzianym zdarzeniom. Jak w końcu każdy.

Odwoływała się do jego rozsądku, ale on popatrzył na nią, jakby sądził, że oszalała do reszty.

- Komu się zdarza, że niania przynosi mu do domu dziecko narkomanów, uprzedzając o tym trzy dni wcześniej? Wybacz, ale to nie są normalne sprawy.

- Przyznaję - powiedziała z uśmiechem - że to trochę za wiele. Ale stało się. Jest nam potrzebna, zwłaszcza teraz.

- Nie przesadzaj. Dzieci doskonale sobie poradzą bez niej.

- Wątpię, a nawet jestem pewna, że nie. Polegam na niej bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Sama nie dałabym sobie rady z prowadzeniem domu.

- Teraz masz mnie - oznajmił z przekonaniem. Maxine się roześmiała.

- Jak będziesz sobie radził z praniem, prasowaniem, gotowaniem codziennych posiłków, podwożeniem dzieci, i nie tylko naszych? Trzeba codziennie wyprawić je do szkoły, zapakować kanapki, czasem urządzić w domu imprezę dla nastolatków albo pielęgnować, kiedy są chore.

Zrozumiał, o czym mówiła, ale jej tego nie przyznał i nie miał takiego zamiaru.

- Jestem przekonany, że mogą stać się o wiele bardziej samodzielne, jeśli tylko im na to pozwolisz. Nie ma żadnego powodu, by chronić je przed obowiązkami. Sporą część z tego, co wymieniłaś, mogą robić same. - Powiedział to jako ktoś, kto nigdy nie wychowywał dzieci. Dotąd prawie nie miał z nimi do czynienia, dopóki nie zaczął bywać u Maxine. Nie bardzo lubił dzieci, unikał ich przez całe życie, więc teraz przyjmował ten niezyciowy, przesadnie wymagający ton ludzi bezdzietnych, którzy w dodatku zapomnieli już, że kiedyś sami byli dziećmi. - A poza tym, mówiłem ci już, jakie widzę rozwiązanie.

Szkoła z internatem. Wszystkie problemy znikną jak ręką odjął. I będzie się można pozbyć tej kobiety z uzależnionym niemowlęciem.

- Nie zgadzam się z tobą, Charles. Nie wyślę dzieci do szkoły z internatem. Wyjadą z domu dopiero wtedy, kiedy rozpoczną studia. - Chciała postawić sprawę

jasno raz na zawsze. - A co do Zeldy, nie zakładaj z góry, że niemowlę będzie uzależnione. Nie wiemy tego. Wysokie ryzyko nie oznacza pewności.

- Oznacza duże prawdopodobieństwo - upierał się.

Oczywiście dotarła do niego jej jasno wyrażona niezgoda na wysłanie dzieci do internatów. Gdyby nie był tak bardzo zakochany, to by wystarczyło, żeby się wycofał z tego związku. I gdyby ona nie była w nim zakochana, nie chciałaby nawet słuchać tego, co wygadywał. Ale pomyślała sobie tylko, że oto odkrywa jedno z jego dziwactw. Jemu spodobały się te spokojne dwa dni, które spędzili razem z dala od dzieci. Ona też była zadowolona z tego weekendu, ale jednak tęskniła za swoją trójką. Wiedziała, że on, który nigdy nie miał dzieci, nie zdoła tego zrozumieć, więc dała spokój.

W niedzielę wieczorem, po powrocie, zamówili przez telefon chińskie jedzenie i właśnie jedli z dziećmi kolację, kiedy Zelda wpadła do kuchni.

- O Boże! To już! Zaczęło się.

Nikt nie wiedział, o co jej chodzi. Zelda miotła się po kuchni jak zwierzę po klatce.

- Co się zaczęło? - spytała Maxine.

- Poród jest w toku! Muszę natychmiast być w Roosevelt Hospital.

- O matko, poród! - powiedziała Maxine.

Dzieci wstały od stołu, każde coś wykrzykiwało i zrobił się taki zamęt, jakby to Zelda miała zaraz rodzić. Charles siedział przy stole, nie przerywając jedzenia, i tylko kręcił głową z niedowierzaniem. Zelda ubrała się i wyszła w ciągu pięciu minut, a dzieci, wymieniwszy uwagi, pozamykały się w swoich pokojach. Maxine wróciła do stołu i popatrzyła na Charlesa.

- Dziękuję, że ze mną zostałeś - powiedziała. - Wiem, że nie tego byś chciał.

Było jej przykro, że sprawy Zeldy nie potoczyły się inaczej, ale w tej sytuacji starała się postąpić jak najlepiej. Nie było innego wyjścia, niż zgodzić się na obecność dziecka. Żadne inne wyjście nie wydawało się możliwe.

- Przekonasz się, że i ty tego nie chciałaś, gdy to dziecko zacznie wrzeszczeć w domu na cały regulator. Jeśli przyjdzie na świat z wrodzonym uzależnieniem, to będzie koszmar dla was wszystkich. Cieszę się, że przez najbliższe dwa miesiące nie muszę tu mieszkać.

Ona też się z tego cieszyła.

I niestety, okazało się, że Charles się nie mylił. Matka biologiczna podała nieprawdziwe informacje. Brała więcej, niż przyznała w wywiadzie, i dziecko urodziło się z uzależnieniem od kokainy. Pierwszy tydzień spędziło w szpitalu na detoksie. Zelda była tam przy nim, nosiła je na rękach i kołysała. Lecz kiedy przywiozła je do domu, wrzeszczało dzień i noc. Nie robiło nic innego. Nie chciało jeść i prawie nie spało. Nie mogła odstąpić go nawet na krok. Dla biednego maleństwa życie było ciężarem od pierwszych chwil spędzonych na tym świecie. Ale trafiło w ramiona prawdziwie kochającej adopcyjnej matki.

- Jak sobie radzisz? - spytała Maxine któregoś ranka. Zelda wyglądała jak cień po kolejnej nieprzespanej nocy. Nosiła dziecko na rękach prawie bez przerwy.

- Doktor uprzedzał mnie, że to może potrwać, zanim trucizna opuści organizm. Myślę, że już jest trochę lepiej - powiedziała, patrząc z uwielbieniem na swojego synka. Była już do Jimmy'ego przywiązana jak rodzona matka.

Pracownicy opieki społecznej przychodzili kilkakrotnie, żeby sprawdzić, co się dzieje z niemowlęciem, i musieli przyznać, że opieka Zeldy jest doskonała. Dla innych domowników była to jednak udręka. Maxine z ulgą myślała o tym, że wyjadą teraz na kilka tygodni, i miała nadzieję, że gdy wrócą, Jimmy będzie już spokojniejszy. Nie spodziewała się zbyt wiele, ale opieka Zeldy mogła tu bardzo dużo pomóc, bo Zelda wydawała się wprost stworzona do miłości macierzyńskiej. Tę samą miłość i cierpliwość miała w sobie już dawno, kiedy Jack i Sam byli niemowlętami. Ale mały Jimmy okazał się bardziej wymagający.

Sprawy ślubu zostały tymczasem trochę zaniedbane. Maxine nie miała jeszcze sukni ślubnej, a potrzebna była także sukienka dla Dafne. Dafne odmawiała udziału w uroczystości i twierdziła, że nie pojawi się na przyjęciu. To było następne

wyzwanie, z którym Maxine musiała się zmierzyć. Charlesowi nic o tym jeszcze nie mówiła. Wiedziała, jak łatwo go urazić. Poszła więc na zakupy sama, zamierzając na własną rękę wybrać obie sukienki. Garnitury chłopców były już przygotowane, i ubranie dla Charlesa także. To przynajmniej miała z głowy.

Blake zadzwonił z Maroka i opowiedział o wszystkim, co zdołał załatwić od jej wyjazdu. Nowy projekt przebudowy pałacu na dom dla setki dzieci był już w przygotowaniu. Wyposażenie przyszłego sierocińca i rachunek kosztów jego utrzymania zlecił tymczasem zespołowi specjalistów. Zrobił na miejscu wszystko, co było w jego mocy, by upewnić się, że prace będą toczyły się we właściwym kierunku, więc mógł tymczasem wrócić do Londynu. Powiedział Maxine, że jacht jest już dla nich przygotowany. Wiedział, że dzieci nie mogą się doczekać. To była dla nich co roku najwspanialsza część wakacji. Ale Charles wciąż się wahał.

Blake powiedział Arabelli o swoich planach urządzenia sierocińca w pałacu. Uznała to za wspaniały pomysł.

Postanowił zrobić jej niespodziankę swoim powrotem do Londynu. Wracał tydzień przed zapowiedzianym terminem. W Maroku zrobił już, co mógł, a w Londynie miał sporo pracy, bo musiał uporządkować sprawy finansowe związane z utrzymaniem budynku i setki dzieci.

O północy wylądował na lotnisku Heathrow. Do domu dotarł czterdzieści minut później. Światła były zgaszone. Arabella mówiła mu, że ciężko pracuje, więc Blake pomyślał, że była zmęczona i już śpi. Twierdziła, że prawie nigdzie nie wychodzi i nudzi się bez niego. Usilnie namawiała go do powrotu.

Blake był wyczerpany podróżą i ciężką pracą w ostatnich tygodniach. Twarz i ramiona miał spalone słońcem, brąz opalenizny kontrastował z białą skórą pod krótkim rękawem podkoszulka. Wszystko, czego pragnął w tej chwili, to położyć się do łóżka i przytulić do Arabelli. Był spragniony jej bliskości. Wszedł cicho do sypialni, żeby jej nie budzić. Zobaczył zarys jej ciała pod kołdrą. Usiadł obok, pochylił się, żeby ją pocałować i wtedy spostrzegł, że nie jest w łóżku sama. Ujrzał dwa splecione ciała, dwie wyrwane ze snu postacie. Nie wierzył własnym oczom.

Włączył światło, by się przekonać, czy mu się nie przywidziało. W pierwszej chwili miał nadzieję, że to pomyłka. Ale nie było pomyłki. Z łóżka podniósł się niezwykle przystojny ciemnoskóry mężczyzna i rzucił mu zaniepokojone spojrzenie. Mógł to być któryś z Hindusów, o których mu opowiadała, lecz równie dobrze ktoś zupełnie nowy. Zresztą, nie obchodziło go, kim jest ten człowiek. Był po prostu facetem, którego Blake nakrył w swoim łóżku z Arabellą.

- Bardzo mi przykro - powiedział nieproszony gość, szybko okrywając się prześcieradłem, które leżało na materacu luzem, skotłowane - widać wiele się działo w tym łóżku - i ulotnił się tak szybko, jak tylko mógł. Arabella, popatrzwszy na Blake'a w bezgranicznym przerażeniu, rozplakała się.

- Po prostu wpadł do mnie, był tu w okolicy - powiedziała słabym głosem.

Ale nie mówiła prawdy, bo w garderobie Blake'a stały dwie walizki z krokodylowej skóry. Po pięciu minutach facet pojawił się znowu, tym razem w świetnie skrojonym ubraniu. Z pewnością zwracał na siebie uwagę wszędzie, gdzie tylko się pojawił.

- Dziękuję za gościnę i przepraszam - powiedział do Blake'a.

Pożegnał się szybko z Arabellą i zbiegł po schodach, trzymając obie walizki. Chwilę później usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych. Został przyłapany w cudzym domu, w cudzym łóżku, ale nawet się nie zawstydził.

- Wyjdź z mojego łóżka - powiedział zimno Blake. Drżąc, próbowała zarzucić mu ramiona na szyję.

- Tak bardzo żałuję... Nie chciałam tego... Już nigdy...

- Wstawaj i wynocha - odparł grubiańsko Blake. - Mogłaś spotkać się z nim u siebie. Wtedy przynajmniej nic bym nie wiedział. To był już szczyt bezczelności, nie uważasz?

Stanała przed nim nago w blasku swojej urody. Była naprawdę bardzo piękna i podkreślały to nawet jej tatuaże. Między brwiami widniał znak bindi. Ale Blake już nie zamierzał się nią zachwycić.

- Chciałbym, żeby za pięć minut cię tu nie było - powiedział. - Rzeczy odeślę ci jutro.

Sięgnął po słuchawkę telefonu i zamówił taksówkę. Zniknęła w łazience, a po chwili ukazała się w dzinsach i T-shircie. Na nogach miała sandaalki na wysokim obcasie. Była piekielnie seksowna, ale on już jej nie chciał. Czułby się tak, jakby nosił cudze ubranie. Okłamała go. Zraniła go do żywego.

Przez chwilę jeszcze wpatrywała się w niego, dwie łzy spływały po jej policzkach, ale on na nią już nie spojrział. Bardzo żałosna scena. Żadna z dziewczyn, z którymi romansował, nie ośmieliłaby się zdradzić go w taki sposób. A z Arabellą romansował dłużej niż z kimkolwiek innym. Przez siedem miesięcy. To bolało, bo ufał jej. Kochał ją jak żadną inną. Zacisnął zęby, kiedy sandaalki stukały na schodach, coraz ciszej. Jej imię pchało mu się samo na usta. Nie zawołał. Podszedł do barku i nalał sobie solidnego drinka. Nie chciał jej więcej widzieć. Próbowwała się dodzwonić jeszcze tej nocy i przez kilka następnych dni, ale nie odbierał jej telefonów. Arabella była już przeszłością. Odeszła w obłoku perfum, unosząc ze sobą znak bindi, tatuaże i całą resztę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gorączkowe poszukiwania sukni ślubnej, niezakończone sukcesem, trwały jeszcze w początkach lipca. Maxine musiała tymczasem zrobić trochę zakupów związanych z wakacyjną wycieczką jachtem, i właśnie wtedy przypadkiem natrafiła na suknię. To było właśnie to, czego szukała. Sukienka uszyta z organdy w kolorze szampana, z lawendową podszewką i małą górą naszywaną koralikami. U dołu zaledwie miała namiastka trenu, bez cienia przesady. Dobrała odpowiednie pantofelki i od razu zdecydowała się na kremowe orchidee. Była bardzo zadowolona, zwłaszcza gdy nazajutrz zobaczyła w innym sklepie śliczną jedwabną sukienkę dla Dafne, w kolorze lawendy, na ramiączkach. Postanowiła, że pokaże ją Dafne po powrocie z wakacji. Bo Dafne nadal upierała się, że nie przyjdzie na ślub i wesele. Maxine miała nadzieję, że Blake ją namówi i przekona. To wesele byłoby dla niej wielką okazją żadne z dzieci nie będzie umiało na nim tak świetnie się bawić jak ona.

Wspomniała o tym Blake'owi, kiedy zadzwonił dzień przed wycieczką jachtem. Obiecał, że spróbuje pogadać z Dafne o ślubie i weselu. Dzwonił żeby tylko powiedzieć, że jacht jest gotowy do rejsu i czeka na nich w Monako, w swoim macierzystym porcie. Kiedy zadzwonił, dziecko Zeldy akurat wrzeszczało, jak zwykle.

- Co to za hałas? - spytał zdumiony.

Maxine zaśmiała się dość ponuro. Ciężko było wytrzymać w ich domu, odkąd pojawiło się niemowlę. Żył się tak, jakby od rana do wieczora co chwilę włączał się alarm.

- To Jimmy - wyjaśniła. - Dziecko Zeldy.

- Zelda urodziła dziecko? - Blake był zaskoczony. - Kiedy zdążyła to zrobić?

- Dziecko jest z nami od trzech tygodni - ściszyła głos, by nikt jej nie usłyszał.

Musiała przyznać, że Charles miał rację, ale przecież wrzask nie będzie trwał wiecznie, taką miała nadzieję. Na szczęście pokój Zeldy był na uboczu. Niemowlę

miało płuca jak Louis Armstrong. - Adoptowała dziecko z wrodzonym uzależnieniem od kokainy. Powiedziała mi o swoim zamiarze na kilka dni przed urodzeniem się dziecka. Była gotowa odejść, ale prosiłam ją, żeby została. Kochamy ją. I co byśmy bez niej zrobili?

- Jasne, rozumiem - powiedział Blake, wciąż jeszcze wstrząśnięty. - A Charles? Co on na to?

- Charlesowi się nie podoba. Z czasem będziemy musieli się do siebie jakoś dopasować. - Nie wspomniała o tym, że zdaniem Charlesa szkoła z internatem była najlepszym rozwiązaniem jej problemów. Blake nie musiał o wszystkim wiedzieć. - Napięcie jeszcze trochę potrwa.

- Mnie też się to niezbyt podoba - przyznał szczerze. A" potem opowiedział jej, jak wyglądają sprawy sierocińca. Projekt był bardzo ciekawy, i jak dotąd, wszystko dobrze szło.

- Kiedy przyjedziesz?

- Nie martw się, będę na czas. Nie zapomniałem o przedślubnym przyjęciu. Już wynająłem piękny klub. Przyjadę kilka dni wcześniej.

- Arabella przyjedzie razem z tobą?

- Hm... - zawahał się. - Raczej nie.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że ją poznam. Ma dużo pracy, maluje jakiś ważny portret?

- Nie wiem. Prawdę mówiąc, gównu mnie to obchodzi. Nakryłem ją w łóżku z przystojnym Hindusem, kiedy wróciłem do domu z Maroka. Od razu wyrzuciłem ją z domu i więcej nie widziałem na oczy.

- Okropne. Bardzo mi przykro.

Mówił o tym lekko, ale musiał bardzo cierpieć. Był z nią dłużej niż z którąkolwiek inną. O wiele dłużej. Lecz jeśli cierpiał, to trzymał fason.

- Tak, mnie też przykro. Ależ miałem z nią jazdę! No, ale teraz jestem już swobodny jak wiatr. Związany tylko z setką marokańskich sierot.

Roześmiał się.

- Dafne będzie zadowolona. Mam na myśli zerwanie z Arabellą.
- Na pewno się ucieszy. Jak znosi Charlesa?
- Mniej więcej tak samo źle. Mam nadzieję, że na jachcie będzie lepiej.

Potrzebują czasu, żeby się lepiej poznać. Charles jest miłym facetem, tylko trochę skostniałym, jeśli chodzi o przyzwyczajenia.

- Dziecko Zeldy szybko go z tego wyleczy - powiedział, i roześmiali się oboje.
- No więc bawcie się dobrze na jachcie, Maxine. A potem nadejdzie wasz wielki dzień. Nie masz tremy? Ręce ci się nie pocą?

- Nie pocą się. Wiem, że to była słuszna decyzja. Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Żałuję tylko, że ten okres przejściowy nie był trochę łatwiejszy dla nas wszystkich.

Godzenie zwaśnionych stron wiele ją kosztowało. Blake nie miał jej czego zazdrościć.

- Nie odważyłbym się na stały związek - wyznał. - Arabella wyleczyła mnie ze złudzeń.

- Mam nadzieję, że nie na zawsze. Kiedyś spotkasz właściwą kobietę.

Bardzo się zmienił w ciągu ostatnich miesięcy. Pomyślała, że może teraz stać go już na dojrzałe związki, że przestanie się bawić kobietami. Wszystko możliwe. Chciałaby żeby tak było. Cieszyłaby się, gdyby się wreszcie ustatkował wał. Bo miałyby wtedy więcej czasu dla dzieci.

- Zadzwoń, kiedy będziecie na jachcie - obiecał, i rozłączył się.

Tego wieczoru byli z Charlesem zaproszeni na kolację do rodziców Maxine. Charles wykupił wszystkie podręczniki dla lekarzy okrętowych, jakie znalazł w księgarni, ale nadal zgrzytał zębami, kiedy poruszała temat wakacji na jachcie Blake'a. Zgodził się na te wakacje, żeby zrobić przyjemność Maxine, lecz zapewnił jej rodziców, że gdyby to zależało od niego, zostaliby w domu.

- Myślę, że będziesz zadowolony - powiedział mu ojciec Maxine, kiedy usiedli we dwóch, by porozmawiać o medycynie i o golfie. - To bardzo piękny jacht. I możesz mi wierzyć, że Blake jest bardzo porządnym facetem. Poznałeś go już?

- Nie - odparł Charles trochę sztywno. Robiło mu się niedobrze, kiedy słyszał o Blake'u. Wszyscy mu o nim opowiadali, Maxine, dzieci, a teraz nawet przyszły teść. -

I nie mam ochoty go poznać. Ale zdaje się, że nie będę miał wyboru. Przyjeżdża w związku ze ślubem. I nawet chce wydać dla nas przyjęcie przedślubne.

- Cały on! - Arthur Connors się roześmiał. - To dzieciak w skórze mężczyzny. Zanedbywał Maxine i za mało zajmował się rodziną, ale dobry z niego chłopak. Tylko trochę nieodpowiedzialny. Zbyt młodo doszedł do wielkich pieniędzy. Tu tkwi jego zguba. Od tamtej pory już nigdy na serio nie pracował, tylko uganiał się za kobietami i kupował nieruchomości. Zawsze go nazywałem nicponiem.

- Nie jest człowiekiem, za jakiego chciałbym wydać córkę - powiedział surowo Charles, choć znowu poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Dlaczego oni wszyscy tak lubią tego cholernego Blake'a? Potrafił się tylko bawić, a to zbyt mało jak na dorosłego faceta.

- Tak, ja też o tym pomyślałem, kiedy za niego wychodziła - zgodził się chętnie Arthur. - Już wtedy wydawał mi się szaleńcem z dzikimi pomysłami. Ale umie być dobrym kompanem. - Spojrzał na Charlesa i uśmiechnął się. - Cieszę się, że Maxine wychodzi w końcu za lekarza. Wydaje mi się, że będzie z was dobrana para. A jak ci idzie z dziećmi?

- To musi trochę potrwać, ale się do nich przyzwyczaję. Własnych nigdy nie miałem.

- Wobec tego masz szczęście. - Arthur rozpromienił się na myśl o wnukach. - Wspaniałe dzieciaki.

Charles z grzeczności się z nim zgodził. Chwilę później siadali do stołu. Zaczął się bardzo przyjemny wieczór, i kiedy wychodzili, Charles wydawał się rozluźniony i zadowolony. Polubił rodziców Maxine. Była tym uszczęśliwiona. Nareszcie jakaś część jej życia, która nie stała się dla niego nowym problemem. Z dziećmi nie zdołał się dotąd dogadać i wciąż jeszcze był zazdrosny o Blake'a. Ale kochał Maxine, często jej o tym mówił. Oboje sądzili, że wszystko inne z czasem się

ułoży, zwłaszcza kiedy dziecko Zeldy przestanie płakać. Może stanie się tak, zanim wrócą z wakacji.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Maxine przyleciała z Charlesem i trójką dzieci z Nowego Jorku do Nicei. Kiedy opuszczali dom, Jimmy nadal płakał. Podróż nie była męcząca. Trzech członków załogi z jachtu Blake'a i kapitan czekali na nich na lotnisku w Nicei i przewieźli ich na jacht dwoma samochodami. Charles nie wiedział, czego się spodziewać, ale nieskazitelne mundury trochę go zaskoczyły, podobnie jak profesjonalny sposób bycia tych ludzi. Widać było, że to nie jest zwyczajny jacht. Blake Williams też nie był zwyczajnym człowiekiem. Jacht nazywał się „Sweet Dreams”. Maxine nie powiedziała Charlesowi, że Blake zamówił ten jacht jako prezent dla niej. I rzeczywiście był to statek jak ze snu. Miał siedemset pięćdziesiąt metrów od dzioba do rufy. Podobnego Charles jeszcze nigdy nie widział. Załoga liczyła osiemnastu ludzi, a kabiny były piękniejsze i bardziej luksusowe niż pokoje w większości hoteli. Same boazerie z polerowanego drewna musiały kosztować fortunę. Dla dzieci jacht był wielką atrakcją. Ledwie weszły na pokład, zaczęły biegać jak szalone po wszystkich zakamarkach, czując się jak u siebie w domu, bo w pewnym sensie to był ich drugi dom.

Cieszyły się ze spotkania z załogą, a załoga również okazywała im sympatię. Wszyscy wyskakiwali ze skóry, żeby spełnić każdą zachciankę, rozpieszczano je bez pamięci. Żadne życzenie nie było zbyt głupie albo nie w porę, żadne nie zostało zignorowane. To był jedyny czas w roku, kiedy ktoś tak skakał wokół Maxine, jedyna pora, kiedy mogła naprawdę się całkowicie odprężyć. Załoga dbała i o to, by dzieci nie narzekały na brak rozrywek. Proponowano im to narty wodne, to małą żaglówkę, to znów ślizgacz albo przejażdżkę tratwą ratunkową na holu. Na jachcie było kino, doskonale wyposażona sala gimnastyczna i gabinet masażysty. A nawet lądowisko dla helikoptera, którym Blake czasem przylatywał.

Kiedy ogromny jacht wyszedł w morze, Charles siedział na pokładzie, nachmurzony i nieswój. Stewardesa zaproponowała mu drinka. Z początku odmówił. Patrzył na panoramę Monako, która znikwała za rufą. Wzięli kurs na zachodnie wybrzeże Włoch. Maxine była z dziećmi pod pokładem. Rozpakowywali bagaże i urządzali się w kabinach. Na szczęście nikt nie cierpiał na chorobę morską. Zresztą na jachtach podobnych rozmiarów to się rzadko zdarza. Charles obserwował ląd przez lornetkę, kiedy przysłała do niego Maxine. Miała na sobie różowy podkoszulek i szorty. Ktoś już uprzejmie zwrócił Charlesowi uwagę, by nie nosił butów na pokładzie z tekowego drewna. Sącył Krwawą Mary. Uśmiechnął się do Maxine, która pocałowała go w kark i usiadła obok.

- W porządku?

Była rozluźniona, szczęśliwa i piękniejsza niż kiedykolwiek.

Kiwnął głową z uśmiechem zakłopotania.

- Przepraszam, że zrobiłem tyle hałasu o ten jacht. Nie wiedziałem, jak bardzo go lubicie. Zresztą trudno go nie polubić. Po prostu przeszkadzało mi to, że jacht należy do Blake'a. Przyjechać tu to trochę tak jak przymierzyć się do jego życia. Trudno temu sprostać. Czym jeszcze mogę ci zaimponować?

Wyznanie było szczere, i musiał się zdobyć na odwagę, żeby jej to powiedzieć. Wzruszył ją. Cieszyła się, że jest z nim na wakacjach, nawet jeśli jacht należał do Blake'a. Była tu przecież z nim, nie z Blake'em. Była tam, gdzie chciała być, i z tym, z kim chciała.

- Nie musisz mi imponować w taki sposób. Imponujesz mi taki, jaki jesteś. Nie zapominaj, że odeszłam od Blake'a mimo tych wspaniałości.

- Ludzie na pewno myślą, że zwariowałaś. Ja bym tak pomyślał.

- Nie zwariowałam. Nie byliśmy dla siebie stworzeni. Nigdy go przy mnie nie było. Jako mąż się nie sprawdził. Wciąż bardzo go lubię, ale to facet nieodpowiedzialny. Nie było nam ze sobą dobrze, zwłaszcza pod koniec.

- Naprawdę? - Charles miał wątpliwości. - Jak nieodpowiedzialny facet zdołał dojść do takich pieniędzy?

No właśnie.

- Po prostu jest dobry w interesach. Był gotów zaryzykować, postawił wszystko na jedną kartę. I wygrał, ale nie stał się przez to lepszym mężem i ojcem. Był też gotów zaryzykować moją miłość. I przegrał ją. Myślał, że może robić, co chce, zniknąć i pojawiać się od wielkiego dzwonu, i nigdy mnie nie straci. Ale dla mnie to już nie miało żadnej wartości. Chciałam mieć męża, nie tylko nazwisko. A zostało mi samo nazwisko.

- Nie jest złe takie nazwisko - stwierdził Charles, dopijając drinka.

- Wolę twoje - szepnęła.

Pochylił się i pocałował ją.

- Jestem szczęściarzem - szepnął rozpromieniony.

- Mimo że mam trójkę dzieci, które cię nie oszczędzają, pracę, która zabiera mi czas i siły, i nianię, która z czterodniowym wyprzedzeniem zawiadomiła mnie o adopcji uzależnionego niemowlęcia? - spytała, zaglądając mu w oczy.

Czasem obawiała się, że Charles nie wytrzyma jej sposobu życia, o wiele bardziej szalonego niż wszystko, do czego przywykł. Nie tak szalonego jak życie Blake'a, ale jednak o wiele za bardzo, jak na jego gust. Lecz przecież chciał z nią być, i mimo tych nieustających pretensji pragnął jej. Teraz już była tego pewna.

- No, zastanowię się - odpowiedział żartem na tę listę spraw, które ją obciążały. - Kocham cię, Maxine, mimo wszystko. Jakoś się przyzwyczaję. Zwłaszcza dzieci są dla mnie problemem. Wciąż nie mogę się z nimi poczuć swobodnie. Nigdy bym nie przypuszczał, że zakocham się w kobiecie z trójką dzieci. Ale one już niedługo dorosną.

- Nie tak niedługo. Sam ma dopiero sześć lat. A dwójka starszych jeszcze nawet nie poszła do liceum.

- Najlepiej, żeby przeskakiwały po kilka klas - zażartował.

Ale jej sprawiało przykrość, że czekał z takim utęsknieniem na czas, kiedy dzieci dorosną i się wyprowadzą. To jedno z wielu zmartwień, jakie przeżywała z

jego powodu. Lecz dla niej najważniejsze. Jak dotąd, dzieci były jej oczkiem w głowie, i nie zamierzała tego zmienić nawet dla Charlesa.

Opowiedziała mu o marokańskim sierocińcu Blake'a, pod warunkiem że zachowa tajemnicę przed dziećmi. Blake chciał, żeby to była dla nich niespodzianka.

- Ale po co mu setka dzieci? - Charles był zdumiony. - Po co ludzie biorą sobie na głowę takie sprawy? Nawet jeśli się ma tyle forsy co on, to przecież czyste wariactwo.

- Będzie je utrzymywał, wychowywał, kształcił. W przyszłości wyśle je na studia. To wielka szansa dla tych dzieci, piękny dar. Stać go na taki prezent, nie zbiednieje.

Charles uwierzył bez trudu, wystarczyło zobaczyć ten jacht, zresztą wpadł mu kiedyś w ręce jakiś artykuł o majątku Blake'a. Był jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Wciąż nie mógł się nadziwić, że Maxine nic od niego nie chciała i zadowolona była własnym sukcesem, utrzymanym w bardziej ludzkiej skali. Pewnie niewiele kobiet w chwili rozvodu oparłoby się pokusie urwania dla siebie części tej fortuny. Charles przypuszczał, że to właśnie dlatego Blake żyje z nią teraz w przyjaźni: miał okazję przekonać się o zaletach jej charakteru. Zresztą on sam też już się o nich przekonał.

Leżeli na pokładzie przez jakiś czas, a potem przyszły dzieci i wszyscy razem zjedli obiad. Wieczorem jacht miał zarzucić kotwicę w Portofino. Był zbyt duży, żeby wejść do portu. Dzieci nigdy jeszcze nie oczekiwały tak niecierpliwie wycieczki na ląd. W planie mieli Korsykę, Sycylię, Capri, w drodze powrotnej zamierzali zahaczyć o Elbę. Dzieci same zaplanowały tę trasę, a teraz zlekły się, że zawsze będą stać na redzie, na kotwicy.

Ku zaskoczeniu Maxine, Charles przez cały wieczór grał z dziećmi w karty. Nigdy nie widziała go w tak beztroskim nastroju. Sam miał już zdjęty gips, żebra też mu się zrosły, więc biegał po jachcie razem z pozostałą dwójką. Nazajutrz Charles wybrał się z nimi na narty wodne. Maxine dostrzegła w Charlesie skrywaną

dziecięcą radość życia. Przyłączył się do kogoś z załogi, kto miał uprawnienia instruktora nurkowania, i nurkowali razem z aparatami tlenowymi. A potem, po obiedzie, poszedł jeszcze popływać z Maxine. Dotarli do małej wysepki i położyli się na piasku. Jack i Dafne obserwowali ich przez lornetkę. Ale Dafne odsunęła lornetkę z odrazą, kiedy Charles pocałował matkę. Wciąż jeszcze nie chciała go zaakceptować, ale na jachcie nie miała możliwości, by go unikać. I teraz także chwilami odrzucała go mniej zdecydowanie niż zazwyczaj. Na przykład pozwoliła, by uczył ją jeździć na nartach wodnych. Dobrze na nich jeździł i znał parę sztuczek, dzięki którym i ona szybko doszła do wprawy.

Maxine była szczęśliwa, że Charles spędza czas z dziećmi. Czekala na tę chwilę od miesięcy. Nie przychodziło mu to łatwo, z wyjątkiem Sama, który lubił wszystkich ludzi i trochę Charlesowi współczuł. Sam uważał, że Dafne zachowuje się wrednie. Zdobył się nawet, żeby powiedzieć o tym Charlesowi.

- Tak sądzisz? - rzekł, śmiejąc się, Charles. Odkąd znalazł się na jachcie, wciąż był w znakomitym humorze. Obawiał się tej wyprawy, ale teraz wyznał Maxine, że to najpiękniejsze wakacje w jego życiu.

Blake zadzwonił do nich drugiego dnia wycieczki. Chciał się tylko upewnić, czy wszystko w porządku, i prosił Maxine, by serdecznie pozdrowiła od niego Charlesa. Przekazała mu te pozdrowienia. Lecz Charles znowu się zasepił.

- Nie musisz się nim tak bardzo przejmować - powiedziała.

Charles pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Cokolwiek mówiła, chcąc dodać mu otuchy, utwierdzał się w swej zazdrości o Blake'a. Była w stanie go zrozumieć, ale wiedziała, że będzie mu lepiej, jeśli o tym zapomni. Kochała przecież właśnie jego, nie Blake'a.

Rozmawiali o zbliżającym się ślubie i nawet prowadzili korespondencję przez internet z właścicielem firmy cateringowej. Wszystko było pod kontrolą.

Pływali w uroczych zatoczkach Korsyki i wylegiwali się na białych piaszczystych plażach. Potem wzięli kurs na Sycylię. Tam już nie było tak pusto, spotkali nawet parę dużych jachtów. Maxine i Charles zeszli na ląd na kolację.

Nazajutrz wyruszyli na Capri. Dzieci uwielbiały to miejsce. Po przejeździe konną bryczką spacerowali po deptaku pełnym sklepów. Charles kupił dla Maxine turkusową bransoletkę, którą wypatrzyła na jakiejś wystawie. Kiedy wracali na jacht, po raz kolejny mówił o tym, jak bardzo podobają mu się te wakacje. Oboje wydawali się szczęśliwi. Blake, oferując im jacht, dał im wielką szansę. I nawet dzieci w końcu polubiły Charlesa, i coraz mniej na niego narzekały, choć Dafne nadal twierdziła, że to sztywniak. Tyle że w porównaniu z jej ojcem każdy wychodził na sztywniaka. Charles był zasadniczy do szpiku kości. Lecz jednak umiał się cieszyć życiem i żartować. Pewnego wieczoru tańczył z Maxine na pokładzie przy muzyce, którą puścili członkowie załogi.

- A ciebie to nie krępuje, że płyniesz na tym jachcie z kimś innym? - dopytywał się Charles.

- Nie, ani trochę. On zapraszał tu co drugą spotkaną kobietę. Nic oprócz dzieci nie łączy nas już od lat. Inaczej nie wychodziłabym za ciebie.

Charles miał nadzieję, że to prawda. Ale gdziekolwiek stąpnął, natykał się na Blake'a. Blake spoglądał na niego ze wszystkich fotografii. Na niektórych był z Maxine, na wielu z dziećmi. Każda oprawiona w takie same śliczne srebrne ramki.

Dni mijały im aż za szybko, i oto dwa tygodnie były już za nimi. Ostatniego wieczoru zarzucili kotwicę w St. Jean Cap Ferrat. Nazajutrz mieli jechać do Monte Carlo, stamtąd samolotem do domu. Była piękna księżycowa noc, dzieci oglądały jakiś film, a oni siedzieli na pokładzie, pogrążeni w cichej rozmowie.

- Nie chce mi się wracać do domu - wyznała Maxine. - Zejście z tego jachtu zawsze jest trochę jak wygnanie z raju. Potem zderzenie z rzeczywistością bywa trudne. - Roześmiała się, a on musiał jej przyznać rację. - W następnych tygodniach czeka nas przedślubna gorączka - przypomniała mu. Ale wydawało się, że to dla niego pestka.

- Wiem, co mnie czeka. A jeśli się wystraszę, schowam się pod kanapą.

Maxine zamierzała ciężko pracować przez następne dwa tygodnie. Musiała przyjąć tłum pacjentów przed sierpniową przerwą - bo w sierpniu ślub i podróż poślubna. Thelma, niezawodna jak zawsze, miała wtedy wziąć zastępstwo.

Od ślubu dzieliły ich jeszcze cztery tygodnie. Maxine już nie mogła się doczekać. Na początku sierpnia chciała wybrać się z dziećmi do Southampton. Charles miał pojechać razem z nimi. I nawet Zelda zamierzała do nich dołączyć ze swoim hałaśliwym niemowlęciem. Maxine chciała wierzyć, że wszystko pójdzie dobrze. Charles doznał potężnego zderzenia z rzeczywistością, ale utrzymywał, że jest na to przygotowany. Oboje byli przejęci ślubem. Rodzice Maxine zamierzali przyjechać w weekend poprzedzający uroczystość. Dzięki temu Charles będzie miał do kogo otworzyć usta, kiedy ona zajmie się dopinaniem ostatnich spraw. Tylko w przeddzień ślubu Charles miał spędzić wieczór samotnie, bo życzyła sobie, żeby po przedślubnym przyjęciu nocował w hotelowym pokoju, który dla niego wynajęła, i spotkał się z nią nazajutrz dopiero na ślubnej ceremonii. W ten sposób chciała uczynić zadość staremu przesądowi. A Charles nie zaprotestował, nie chcąc psuć jej nastroju.

- Może to będzie dla mnie jedyna możliwość, żeby się dobrze wyspać. Wam się taka sztuka łatwo nie uda w domu pełnym ludzi.

Dom w Southampton, stary, przestronny i pełen zakamarków, mogący pomieścić całą rodzinę i wielu gości, był zupełnym przeciwieństwem chatki Charlesa położonej na odludziu w Vermoncie. Maxine nie bardzo lubiła tam jeździć, bo nie mogli zabierać ze sobą dzieci.

Tak więc nazajutrz, wcześnie rano, jacht wszedł do portu w Monte Carlo. Kiedy rzucono cumy, wszyscy byli już na nogach. Zaraz po śniadaniu, które zjedli jeszcze na pokładzie, ktoś z załogi miał odwieźć ich na lotnisko. W porcie Maxine zatrzymała się i długo patrzyła na zgrabną sylwetkę jachtu.

- Kochasz ten jacht, prawda? - odezwał się Charles.

- Tak - skinęła głową. - Zawsze mi smutno, kiedy go opuszczam. - I popatrzyła na jego sylwetę. - Byłam na nim z tobą bardzo szczęśliwa.

Przytuliła się do niego i pocałowała go.

- Mnie też było dobrze z tobą - powiedział, obejmując ją ramieniem, i tak podeszli do czekającego na nich samochodu. A jacht z napisem „Sweet Dreams” na burcie zniknął im z oczu. Mieli za sobą najcudowniejsze wakacje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Następne dziesięć dni wypełniła Maxine szaleńcza praca. Jej sierpniowy urlop miał trwać cały miesiąc, większość jej pacjentów w tym czasie także opuszczała miasto. Wielu już wcześniej wyjechało z rodzicami na wakacje. Pacjentów w najcięższym stanie musiała zobaczyć przed powierzeniem ich Thelmie, by móc wprowadzić ją w szczegóły.

Umówiły się na wspólny lunch, gdy tylko Maxine wróciła z wycieczki jachtem. Thelma spytała o Charlesa. Spotkała go już dwa razy, ale nic o nim nie wiedziała, oprócz tego, że wydał jej się bardzo zdystansowany. Kiedyś poznała też Blake'a. Jej zdaniem, ci dwaj mężczyźni są tak różni jak dzień i noc.

- Albo nie masz stałych upodobań - podpuszczała ją - albo tylko jeden z nich jest w twoim typie. Ale nie wiem który.

- Pewnie Charles. Jesteśmy do siebie podobni. Blake to błąd młodości - powiedziała gładko Maxine, a potem zaczęła się zastanawiać. - Nie, to nie jest prawda. Póki byliśmy młodzi, ten związek nie był taki zły. Ale ja dojrzałam, a on nie, i dlatego nic z tego nie wyszło.

- Coś przecież wyszło. Masz z tego związku trójkę udanych dzieci.

Thelma miała dwoje, ślicznych. Jej mąż był Chińczykiem z Hongkongu. Dzieci miały karmelową cerę i duże oczy, leciutko skośne. Odziedziczyły to, co w obojgu rodzicach najlepsze. Córka była zgrabna jak modelka. Syn, jak twierdziła Thelma, w szkole łamał serca wszystkich dziewczyn. Jesienią miał zacząć studia na Harvardzie, jak jego matka, na wydziale medycznym. Mąż Thelmy był kardiologiem i ordynatorem oddziału w szpitalu przy New York University. Ich

małżeństwo było bardzo udane. Maxine przez lata próbowała spotkać się z nimi na kolacji we czwórkę, ale nigdy się to nie udało. Wszyscy byli za bardzo zajęci.

- Wydaje mi się, że Charles wszystko bierze strasznie poważnie - zauważyła Thelma, a Maxine przyznała jej rację.

- To prawda, ale ma też w sobie sporo ciepła. Dobrze dogaduje się z Samem.

- A z dwójką starszych?

- Jeszcze nad tym pracuje. - Maxine się uśmiechnęła. - Dafne to twarda sztuka.

- Boże, chroń mnie przed nastoletnimi dziewczynkami. - Thelma wzniosła oczy do nieba. - Jenna mnie w tym tygodniu nienawidzi. Właściwie nienawidzi mnie z krótkimi przerwami od dwóch lat. Czasem wydaje mi się, że to się już nigdy nie zmieni. Najczęściej w ogóle nie wiem, czym jej się naraziłam. Zdaje się, że kiedy wstaję rano z łóżka, już mam przerabane. Jedyne, co się jej podoba, to moje buty. Pożycza wszystkie po kolei.

Maxine się roześmiała. Miała z Dafne te same problemy, choć Dafne była młodsza o dwa lata i jeszcze nie aż tak dokuczliwa. Ale to tylko kwestia czasu. Czekał ją ciężki okres.

- A jak twoja niania radzi sobie z tym adoptowanym dzieckiem?

- Dziecko bez przerwy płacze. Zdaniem pediatry wszystko jest w porządku, ale Zelda mówi, że to jeszcze potrwa. Kupiłam dla Charlesa zatyczki do uszu, żeby mógł wytrzymać w Southampton. Sama je noszę. Nic innego nie pomaga. Zelda niedługo ogłuchnie, jeśli to dziecko nie przestanie wrzeszczeć.

Mówiąc to, uśmiechnęła się ciepło.

- Fajnie - mruknęła Thelma.

Roześmiały się obie. Przyjemnie było odprężyć się po lunchu. Maxine nieczęsto sobie na to pozwalała, a teraz miała mnóstwo roboty i czuła się trochę winna, że do niej nie wraca. Ale Thelma była jej dobrą przyjaciółką i jednym z niewielu psychiatrów, którym Maxine mogła z całym zaufaniem powierzyć swoich pacjentów.

Zgodnie z planem, Maxine zamknęła gabinet z początkiem sierpnia i wyjechali do Southampton kawalkadą samochodów. Za samochodem Maxine jechał Charles, a na końcu Zelda w wynajętym kombi. Dzieci zabrały się z Zeldą, bo auto Maxine było po brzegi wypakowane rzeczami przygotowanymi na ślubną uroczystość. A utrzymane w pedantycznym porządku bmw Charlesa wiozło powietrze. Nigdy jej tego nie powiedział, ale Maxine się domyślała, że Charles niechętnie wpuściłby do niego dzieci. One zaś z ochotą zgodziły się jechać z Zeldą, bo podczas podróży samochodem Jimmy przestawał wrzeszczeć i usypiał. Była to błogosławiona chwila. Kiedy niemowlę bez końca zanosilo się od płaczu, Maxine doradzała Zeldzie, żeby pojeździła z nim samochodem po okolicy. Zelda zrobiła tak kilka razy i to zawsze pomagało. Maxine żałowała tylko, że nikt nie ma siły wozic Jimmy'ego przez całą noc. Jimmy był słodkim dzieciaczkiem o miłej buzi. Jego ustawiczny płacz był uciążliwy, ale od zeszłego tygodnia sprawował się coraz lepiej. Maxine miała nadzieję, że jeśli tak dalej pójdzie, to problem się rozwiąże, zanim wrócą z Charlesem z podróży poślubnej. Bo dopiero wtedy miał się wprowadzić do jej mieszkania.

Charles wniósł swoje walizki do sypialni Maxine, gdy tylko przyjechali do Southampton. Wskazała mu szafę, do której mógł wlozyc własne rzeczy, a w swojej umieściła to wszystko, co przywiozła samochodem. Ślubną suknie, schowaną w specjalnym pokrowcu, powiesila w szafie w jednym z pokojów gościnnych razem z sukienką Dafne w kolorze lawendy, której Dafne na razie jeszcze nawet nie zgodzila się przymierzyć. Nadal utrzymywała, że zamknie się w swoim pokoju i nie przyjdzie na uroczystość. Po powrocie z podróży jachtem tolerowała Charlesa trochę lepiej niż przedtem, ale nie na tyle, by zaakceptować małżeństwo. Powtarzała, że Maxine popełnia wielki bład, bo Charles jest nudziarzem.

- Nie jest nudziarzem, Dafne - odpowiedziała spokojnie Maxine. - Jest rozsądny i odpowiedzialny.

- Wcale nie - obstawała przy swoim dziewczynka. - Jest po prostu nudny i sama dobrze o tym wiesz.

Ale Maxine nigdy się z nim nie nudziła. Zawsze interesował się jej pracą i często rozmawiali o medycynie. Nieczęsto prowadziła takie rozmowy z Thelmą. Ale dla Charlesa to był ulubiony temat.

W ciągu pierwszego tygodnia ich pobytu w Southampton Maxine musiała dopilnować wielu spraw. Spotykała się z właścicielem firmy cateringowej i z kwiaciarzem prawie codziennie. Wszędzie miały być rozmieszczone ozdoby z białych kwiatów, gdzieniegdzie przetykanych orchideami. Miało być naturalnie i elegancko, a przy tym dość uroczyście. Charles nie interesował się szczegółami, wolał zdać się na nią.

Wieczorami wychodzili z Charlesem na kolację albo zabierali dzieci do kina. A przez całe dni dzieci wysiadywały z kolegami na plaży. Wszystko się dobrze układało aż do przyjazdu Blake'a w drugim tygodniu ich pobytu w Southampton. Charles z miejsca przemienił się w bryłę lodu.

Kiedy Blake wpadł do Southampton, by zobaczyć się z dziećmi, Maxine przedstawiła go Charlesowi. Nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby Charles był wobec kogokolwiek aż tak sztywny i nieuprzejmy. Zaciskały mu się szczęki, ledwie Blake zaczynał mówić. Ale Blake niewiele sobie z tego robił i był czarujący jak zawsze. Zaprosił Charlesa na tenisa do miejscowego klubu. Charles lodowato odmówił, sprawiając tym przykrość Maxine. Blake się nie obraził, dalej zagadywał go wesoło. Ale Charles nie mógł znieść jego obecności i tego wieczoru bez żadnego powodu wszczął kłótnię. Blake wynajął sobie na tydzień dom w okolicy, tuż przy plaży, z basenem. To oburzyło Charlesa. Poczul się tak, jakby Blake naruszył jego terytorium. Powiedział o tym Maxine.

- Nie rozumiem, co cię tak rozgniewało - odparła. - Jest wobec ciebie uprzejmy.

Pomyślała, że gniew Charlesa jest nierozsądny. To przecież on się z nią żenił, więc powinien czuć się zwycięzcą.

- Zachowujesz się, jakbyś nadal uważała się za jego żonę - złościł się.

- Nic podobnego - wydawała się zaskoczona takim zarzutem. - To śmieszne.

- Wieszalaś mu się na szyi, przytulałaś się do niego. A on cię obściskiwał.

Charles był rozwścieczony, i ona także. Zarzuty były niesprawiedliwe. Między nią i Blake'em było przywiązanie, nic więcej i nic innego od wielu lat.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki o tym mówisz - odpowiedziała z rozdrażnieniem. - Traktuje mnie jak siostrę.

I bardzo się starał być dla ciebie miły, a ty ledwie wycodziłaś parę słów przez zęby. Wydaje dla nas przedślubne przyjęcie, mógłbyś być wobec niego trochę bardziej przyjazny, przynajmniej się postaraj. Do diabła, przecież pływaliśmy jego jachtem przez dwa tygodnie.

- Nie chciałem tego! - wybuchnął Charles. - Zmusiłaś mnie. I wiesz, co myślę o tym przyjęciu przedślubnym. Nie chciałem się na to zgodzić.

- Wycieczka jachtem dobrze ci zrobiła i byłeś zadowolony.

- Tak, byłem - przyznał. - Ale czy masz pojęcie, jak się czułem, kochając się z tobą w łóżku, w którym spaliście jako małżeństwo? Twój styl życia jest dla mnie trochę zbyt bezwstydnym, Maxine.

- Na miłość boską, nie bądź taki zasadniczy. Łóżko to tylko mebel. Blake'a tam z nami nie było.

- Tylko tego by brakowało! - warknął.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Od razu się spakował i rano wyjechał do Vermontu. Zapowiedział, że przyjedzie na ślub. Ładny początek! Przez dwa dni nawet nie odbierał telefonów, co bardzo zraniło Maxine. Nie przeprosił za swoje zachowanie, kiedy wreszcie się do niego dodzwoniła. Rozmawiał z nią chłodno i nieprzyjaźnie. Maxine nie rozumiała jego zarzutów, a Charles nie mógł znieść myśli, że Blake mieszka w pobliżu i może wpadać do nich, kiedy mu się podoba. Uważał, że Blake zachowuje się tak, jakby dom wciąż należał do niego. Rozgniewała się, bo to także nie była prawda.

- A gdzie pan młody? - spytał Blake, kiedy wpadł nazajutrz.

- Pojechał do Vermontu - wycodziła Maxine przez zaciśnięte zęby.

- Oho! Czy mój nos się myli? Wyczuwa przedślubną drżączkę.

- Twój nos mógł poczuć co najwyżej, że mam Charlesa po dziurki w nosie, bo zachował się jak dureń - prychnęła.

Nigdy nie wdawała się w utarczki z Blake'em. I zawsze była z nim szczerą, nawet wtedy, kiedy musiała trzymać fason przed dziećmi. Powiedziała im, że Charles potrzebował chwili spokoju i wyciszenia przed ślubem. Dafne wywróciła oczami z radości, że wyjechał.

- Dlaczego tak się na niego wściekłaś, Maxine? Wygląda na fajnego faceta.

- Skąd wiesz? Wczoraj nawet nie chciał z tobą rozmawiać. Uważam, że zachował się po chamsku. Powiedziałam mu to. Mógł się do ciebie odezwać ludzkim głosem. Ale warknął, kiedy go zaprosiłaś na tenisa.

- Pewnie się czuje nieswojo, kiedy twój eksmaż płacze się między wami. Mało kto ma tak swobodne podejście do życia jak my - rzekł ze śmiechem. - Albo tak zwariowane.

- Właśnie na to Charles się skarży. Uważa nas za parę wariatów. A dziecko Zeldy do reszty wyprowadza go z równowagi.

I chciała dodać: „Tak samo jak nasze dzieci”, ale ugryzła się w język. Nie chciała, by Blake zaczął się Charlesa obawiać. Wciąż wierzyła, że dzieci się do niego przekonają, i to już wkrótce.

- Muszę przyznać, że dziecko Zeldy nie jest zbyt ciche. - Blake parsknął śmiechem. - Czy myślisz, że kiedyś znajdziemy w nim regulator głośności? Założyłbym się, że jego matka brała narkotyki na potęgę.

- Dobrze, że Zeldy cię nie słyszy. Zresztą jest już o wiele lepiej niż na początku. Będzie dobrze.

- Nie mogę potępiać Charlesa, że źle znosi płacz dziecka - przyznał uczciwie Blake. - A co z tobą? Nie rozmyślałaś się jeszcze?

Droczył się z nią, a ona się przed nim broniła, jakby byli parą przedszkolaków.

- Daj spokój, po prostu jestem na niego wściekła. Jasne, że się nie rozmyślałam.

- A powinnaś - rzuciła przez ramię Dafne, przechodząc obok przez korytarz.

- Nie pozwalaj sobie - zawołała za nią Maxine i pokręciła głową. - Nieznośne dziewczynisko. Mówiłeś im o sierocińcu?

- Miałem zamiar powiedzieć dziś wieczorem. Mam nadzieję, że im nie odjęło rozumu i przynajmniej one się nie wściekły. Zdaje się, że ostatnio mają na każdy temat własne zdanie. Jack właśnie zwrócił mi uwagę, że noszę przykrótkie spodnie, a włosy mam za długie i w ogóle wyglądam obciachowo. Niewykluczone, że ma rację, ale przykro było to usłyszeć.

Uśmiechnął się do Sama, który właśnie wszedł i przyjrzał mu się z uwagą.

- Moim zdaniem wyglądasz bardzo dobrze, tato - powiedział.

- Dziękuję, Sam. - Blake go przytulił. Sam był uszczęśliwiony.

- Nie poszedłbyś z nami wieczorem na pizzę? - spytała Maxine.

- Jasne. Z miłą chęcią.

W związku ze ślubem nie miała już nic więcej do roboty. Lubiła swobodę panującą w ich domu w Southampton. Każdy mógł przyjść i wyjść kiedy chciał. Podobało jej się, że Blake zamieszkał w pobliżu. Jaka szkoda, że Charles nie potrafił się wyluzować i cieszyć tym wszystkim razem z nią. Kiedy wyjeżdżał, powiedział, że jak dla niego jest tu zbyt wiele zamętu. Nazwał dom cyrkiem na kółkach, co nie zabrzmiało jak pochwała. Już kilka razy miała ochotę go udusić, i teraz, przed samym ślubem, także. Całe to przedślubne zamieszanie wydobywało z nich obojga najgorsze uczucia. Miała mniej cierpliwości niż zazwyczaj.

I uważała, że zachował się okropnie, wyjeżdżając w gniewie do Vermontu akurat wtedy, kiedy pojawił się Blake. Było dla niej oczywiste, że Charles cierpi na jakiś kompleks niższości wobec Blake'a. Lecz miała nadzieję, że prędko go z tego wyleczy.

Wieczorem Blake zabrał ich wszystkich na kolację i, jak zamierzał, powiedział dzieciom o marokańskim sierocińcu. Na chwilę zaniemówiły, by potem zachwycić się tym projektem. Były dumne z ojca i nie omieszkały mu o tym powiedzieć. Maxine się ucieszyła, że potrafiły docenić pracę Blake'a.

- Będziemy mogli tam pojechać, tato? - spytał Sam.

- Oczywiście. Kiedyś pojedziemy razem do Marakeszu. Przebudowa nie jest jeszcze ukończona, ale kiedy wszystko będzie gotowe, zabiorę was tam.

Uważał, że powinni zobaczyć zupełnie inny świat niż bezpieczne, przytulne miejsca, w których toczyło się ich życie, więc sądził, że dobrze im zrobi taka wycieczka.

Blake opowiadał im o tym, jak wspaniale zachowywała się ich matka, gdy przyjechała pomóc mu w Maroku, o tym, co tam robili i co widzieli, a dzieci słuchały z otwartymi ustami. A potem, ni stąd, ni zowąd, Dafne spytała, co się stało z Arabellą.

- Wywaliłem ją z posady - powiedział po prostu.

Szczegóły nie były im potrzebne.

- Tak po prostu? - spytał Jack. Blake przytaknął, pstrykając palcami.

- Tak po prostu. Powiedziałem: wynoś się, Zły Duchu!

I wyniosła się. Tak działa magia. Więcej jej nie widziałem.

Miał przy tym tajemniczą minę. Wszyscy się roześmieli, Blake również.

Maxine zauważyła, że już nie cierpi tak bardzo jak na początku. Szybko przyszedł do siebie. Zresztą nigdy nie rozpaczał zbyt długo. Jego miłości nie bywały głębokie, ale wiedziała, że Arabella znaczyła dla niego o wiele więcej niż każda z poprzedniczek. Ta historia skończyła się w bardzo przykry sposób, opisana przez Blake'a scena w sypialni była okropna. Wiedziała, że Blake nie opowie o tym dzieciom. Nie powinien. Podobał jej się sposób, w jaki z tego wybrnął.

- Bardzo się cieszę - oświadczyła Dafne.

- Mógłbym na to postawić wszystkie pieniądze - powiedział Blake. - W Aspen byłaś małym potworem.

- Nie byłam - obrazila się.

- Owszem, byłaś - odpowiedzieli jednym głosem Sam, Jack i Blake.

Wszyscy się roześmieli, nie wyłączając Dafne.

- Może i byłam, ale żebyś wiedział, jak strasznie jej nie lubiłam.

- Nie mam pojęcia dlaczego - powiedział Blake. - Była dla ciebie taka miła.

- Olewała nas. Charles zachowuje się tak samo, kiedy chce się nam przypodobać. Co innego robi, a co innego myśli.

Maxine spojrzała na nią skonsternowana.

- Jak możesz, Dafne? Charles was nie olewa. Jest tylko z natury powściągliwy
- zaprotestowała.

- Jest fałszywy. I nienawidzi nas. Chce cię mieć tylko dla siebie.

- Kocha waszą matkę - wmieszał się Blake. - To zupełnie normalne, że nie zawsze pragnie waszego towarzystwa.

- Nigdy nie pragnie naszego towarzystwa - powiedziała ponuro Dafne. - To widać.

Maxine nie mogła zapomnieć, że domagał się, by wysłała ich do szkoły z internatem. To zdumiewające, jak dzieci potrafią wyczuć czyjeś intencje.

- Arabella też nas nie chciała - ciągnęła Dafne. - Nie rozumiem, dlaczego ty i mama po prostu się znowu nie pobierzecie. Oboje jesteście fajniejsi od tych waszych narzeczonych. Wybieracie sobie najgorszych cymbałów.

- Dziękuję, Dafne. - Blake pokazał wszystkie zęby w uśmiechu. - Zdarza mi się spotykać z bardzo fajnymi osobami.

- Nieprawda. To same głupie blondynki - obwieściła Dafne, i znowu wszyscy się roześmiali. - A mamie podobają się nudni i nadęci faceci.

- Mama musiała odreagować mój nadmiar luzu - podsunął Blake bez troski. - Zawsze uważała, że jestem zbyt niedojrzały. Więc podobają jej się bardzo dojrzały mężczyźni, którzy nie są do mnie podobni. Prawda, Maxine?

Wydawała się zakłopotana tym, co powiedział, i zostawiła to bez komentarza.

- W każdym razie - ciągnął - waszej matce i mnie zupełnie odpowiada obecna sytuacja. Jesteśmy przyjaciółmi. Nie kłóćmy się. Siedzimy tu sobie wszyscy przy stole. No i mam na boku te swoje blondynki, a ona ma faceta w krawacie. Czego więcej chcieć?

- Żebyście znowu byli małżeństwem - odparła Dafne.

- To nie jest możliwe - odpowiedziała spokojnie Maxine. - Bo w przyszłym tygodniu wychodzę za mąż za Charlesa.

- A ja wydaję przedślubne przyjęcie - dorzucił Blake, chcąc zmienić temat.

Ta rozmowa stawała się dla nich obojga zbyt kłopotliwa. Maxine wiedziała, że wszystkie dzieci zawsze chcą, by rodzice byli razem, a małżeństwo z kimś innym przekreśla te nadzieje.

- Przedślubne przyjęcie będzie pierwszorzędne - ciągnął Blake, by zagłuszyć niezręczne milczenie, jakie zapadło po słowach Dafne i odpowiedzi Maxine. - Mam przygotowaną niespodziankę.

- Wskoczysz na golasa ze środka tortu? - spytał Sam, zachwycony swoim pomysłem, i wszyscy znowu wybuchnęli beztroskim śmiechem.

- To by się dopiero spodobało Charlesowi! - Maxine parsknęła śmiechem.

- Jest zatem warte rozważenia. Zastanowię się - powiedział Blake, szczerząc zęby w uśmiechu.

Zaproponował im wszystkim kąpiel w basenie wynajętej przez niego willi. Ten pomysł wszystkim się bardzo spodobał. Wstąpili tylko do domu po stroje kąpielowe i poszli do niego popływać. Było cudownie. Dzieci postanowiły zostać u niego na noc. Zaprosił też Maxine.

- Chętnie bym została z wami - powiedziała szczerze. - Ale gdyby Charles się o tym dowiedział, toby mnie chyba zabił. Lepiej wrócę do domu.

Tak też zrobiła, a dzieci zostały u Blake'a. To był miły wieczór. Z ciekawością wysłuchiwała jego informacji na temat sierocińca. Nie mogła się doczekać, kiedy znowu zobaczy te marokańskie dzieci i przekona się, jak sobie radzą z przebytą traumą.

Blake zachodził do nich raz po raz przez cały tydzień. I Maxine zauważyła, że wszystko stawało się prostsze pod nieobecność Charlesa. W ciągu tego tygodnia Charles ani razu do niej nie zadzwonił, ona także nie dzwoniła do Vermontu. Sądziła, że powinna pozwolić mu ochłonać. Miała nadzieję, że niedługo wróci. Do ślubu zostało już przecież tylko parę dni.

Charles wrócił w dniu przedślubnego przyjęcia. Wszedł jakby nigdy nic, jakby wyskoczył tylko do sklepu po chleb. Pocałował Maxine, wszedł do sypialni i rozpakował swoje rzeczy. A wieczorem, kiedy zobaczył Blake'a, zachował się całkiem normalnie, sprawiając Maxine przyjemną niespodziankę. Był o wiele swobodniejszy niż przed wyjazdem. Jak z właściwą sobie elegancją oznajmiła Dafne, szepcząc do Blake'a na stronie, Charles sprawiał takie wrażenie, jakby ktoś wyciągnął mu z tyłka kij od szczotki. Blake popatrzył na nią zdumiony i doradził, by raczej nie mówiła tego matce. Uśmiechał się jeszcze, kiedy jechał do klubu dopilnować przygotowań do przyjęcia. Dafne powiedziała prawdę. Charles robił znacznie lepsze wrażenie. Blake miał nadzieję, że Maxine będzie z Charlesem szczęśliwa. Bo życzył jej jak najlepiej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Maxine kupiła nową sukienkę specjalnie na przyjęcie przedślubne, a kiedy Charles ją w niej zobaczył, aż zagwizdał. Była to wieczorowa kreacja bez pleców, z przejrzystej tkaniny w kolorze jasnozłotym, która opadała miękko jak malajski sarong. Maxine przypominała w niej młodą Grace Kelly. Włożyła do tego złote pantofelki na wysokich obcasach. Na zaproszeniach Blake napisał, że wymagane są stroje wieczorowe.

Charles ubrał się odpowiednio, w czarny smoking. Kiedy dotarli do klubu, zobaczyli Blake'a w białej marynarce do czarnych smokingowych spodni, z czarną muszką pod szyją i w czarnych lakierkach. Maxine natychmiast zauważyła, że Blake nie włożył skarpetek. Znała go dobrze, więc nie była zaskoczona. Tak robiło ostatnio wielu ludzi. Bezskarpetkowa moda szerzyła się w wyższych sferach. Charlesowi się ona nie podobała i oczywiście zawsze wkładał skarpetki. Blake był zniewalająco przystojny ze swoją czarną czupryną i ciemną opalenizną, ale i Charles prezentował się doskonale. Obydwaj wyglądali efektownie. A Maxine w swojej

złotawej sukni przypominała anioła. Jak stwierdził Blake, brakowało jej tylko pary skrzydeł.

Blake zaprosił stu ludzi z listy Maxine i jeszcze ze dwa tuziny swoich znajomych. Zamówił dziesięcioosobową orkiestrę, która grała bigbandowe kawałki. Wszyscy byli w szampańskich nastrojach. A szampan lał się strumieniami. Maxine zauważyła, że Dafne sięga po kieliszek.

- Tylko jeden - powiedziała.

Dafne kiwnęła głową. Ale Maxine nie spuszczała jej z oka.

Przyjemnie było spotkać wszystkich znajomych i przedstawić Charlesa tym, którzy go jeszcze nie znali. Jej rodzice też przyjechali. Matka włożyła niebieską suknię wieczorową z zakiecikiem, a ojciec białą smokingową marynarkę, taką samą, jaką miał Blake. Wyglądali wspaniale.

Ojciec Maxine zatrzymał się przy nich, żeby uciąć sobie z Charlesem pogawędkę przed kolacją. Zapytał go o wycieczkę jachtem. Nie widzieli się od tamtej pory.

- To prawie okręt, co? - spytał Arthur dobrodusznie.

Charles zgodził się z nim i powiedział, że wakacje były cudowne. Nie mogło być inaczej.

Charles zaczął od tańca z Maxine. Wyglądali na szczęśliwych, kiedy ją trzymał w ramionach, i była z nich piękna para. Przyjęcie imponowało rozmachem. Blake kazał udekorować salę tysiącami białych róż i papierowymi lampionami z delikatną pozłotą.

Przed kolacją Blake wygłosił dowcipną przemowę, w której opowiedział kilka historyjek na temat swojej byłej żony. Wszyscy zanosili się od śmiechu, nie wyłączając Maxine. Charles wyglądał, jakby bolał go ząb, ale wytrzymał to dzielnie. Nie podobało mu się, że Blake zna Maxine dłużej i lepiej niż on. Na koniec Blake życzył szczęścia obojgu i wyraził nadzieję, że Charles będzie dla Maxine lepszym mężem, niż był on.

Wywołał wzruszenie. Maxine miała łzy w oczach. Potem wstał Charles i wznosił toast za wielkoduszność gospodarza. Obiecał dołożyć wszelkich starań, by Maxine była zawsze szczęśliwa. Wszystkim się to bardzo podobało.

Potem Blake poprosił Maxine do tańca, i wirowali między stołami nakrytymi do kolacji jak Fred Astair i Ginger Rogers. Zawsze świetnie tańczyli.

- To była bardzo ładne przemówienie, ale nie miałeś racji - powiedziała mu w tańcu. - Byłam z tobą szczęśliwa, Blake. Po prostu za mało czasu spędzaliśmy razem. Nigdy nie wiedziałam, gdzie się podziewasz. Nie byłam ci już potrzebna, kiedy doszedłeś do tych wielkich pieniędzy.

- Nieprawda, że cię nie potrzebowalem - odpowiedział cicho. - Po prostu nie byłem cię godny. W tamtym czasie nie dorastałem ci do pięt. Byłem tego świadomy, to mnie przygnębiało. Byłaś ode mnie o wiele mądrzejsza. Wiedziałaś, co jest naprawdę ważne, i nigdy tego nie zaniedbywałaś.

- Ty też starałaś się nie zaniedbywać tego, co ważne - przyznała wspaniałomyślnie. - Tylko dla ciebie było ważne co innego. Ja chciałam pracować, ty chciałeś się bawić.

- Zdaje się, że znaleźmy jakąś bajkę na podobny temat... O koniku polnym i mrówce. I popatrz, na co mi przyszło. Jeśli wierzyć Dafne, jestem rozrywany przez głupie blondynki.

Roześmiali się. W tejże chwili zbliżył się Charles, odbił Blake'owi Maxine i porwał ją do tańca.

- Z czego się tak śmialiście? - dopytywał się podejrzliwie. - Zawsze wyglądacie, jakbyście się razem świetnie bawili.

- Śmialiśmy się z czegoś, co powiedziała mu Dafne. Że kręcą się koło niego same głupie blondynki.

- Akurat tego nie powinna mówić własnemu ojcu - orzekł Charles z widoczną dezaprobatą.

- Ale kiedy to prawda.

Maxine się roześmiała. Taniec się skończył, więc wrócili do stołu. Czują, że Charles nie tyle miał ochotę z nią zatańczyć, ile po prostu chciał sprzątnąć ją Blake'owi sprzed nosa.

Blake rozmieścił gości z wielkim wyczuciem. Wszyscy, których najbardziej lubiła, siedzieli przy jej stole, a przyjaciele Blake'a przy drugim, razem z nim. Blake nie miał dla siebie pary tego wieczoru, więc matka Maxine siedziała po jego prawej stronie, i tak powinno być. Charles także docenił takt Blake'a. Był bardzo uważny i nie spuszczał oka z Blake'a i Maxine. Na jego twarzy malował się niepokój. Rozluźniał się tylko wtedy, kiedy Maxine tańczyła z Jackiem albo Samem.

Po kolacji tańce trwały do dwunastej. Z wybiciem północy zaczął się pokaz fajerwerków. Maxine zaklaskała z radości jak małe dziecko. Kochała fajerwerki i Blake o tym wiedział. Wieczór był wyjątkowo udany. Ostatni goście odjechali około pierwszej w nocy. Charles miał spać w hotelu, ponieważ ze względu na stary przesąd zależało na tym Maxine. Rodzice Maxine też postanowili tam zanoć. Podczas ostatniego tańca z Blake'em podziękowała mu za fajerwerki. Pokaz ogromnie jej się podobał.

I poprosiła go, by podwiózł samochodem do domu Zeldę i dzieci. Ona chciała zawieźć Charlesa do hotelu, i miała zamiar potem już spotkać się z nim dopiero przed ołtarzem. Blake obiecał, że za pół godziny dzieci będą w łóżkach.

Kiedy taniec się skończył, wróciła do Charlesa i wyszli razem.

Ślub miał się odbyć nazajutrz w południe. Potem wesele. Ale wszyscy zgadzali się, że niełatwo przyćmić przyjęcie przedślubne Blake'a. Charles uskarżał się na to w samochodzie, kiedy jechali do hotelu. Tradycja przyjęć przedślubnych wydawała mu się idiotyczna. Zgodził się na to wyłącznie z powodu uporu Maxine. Pocałował ją na dobranoc, i to jej przypomniało, dlaczego za niego wychodzi. Kochała go, mimo że Dafne uważała go za „sztywniaka w krawacie”. Jutro wieczorem wylatywali do Paryża, a potem zamierzali zwiedzić zamki nad Loarą. Zdaniem Maxine był to najlepszy program podróży poślubnej.

- Będę za tobą tęsknił tej nocy - powiedział z przekonaniem, całując ją, a ona odwzajemniła pocałunek.

- Ja też będę tęsknić - zachichotała. Wypiła sporo szampana na przyjęciu, ale nie była pijana. Wydawała się całkiem trzeźwa. - Kiedy się spotkamy następnym razem, zostanę panią West. - Rozpromieniła się. To był wspaniały wieczór.

- Nie mogę się doczekać - odparł, i z ociąganiem wysiadł z samochodu. Po chwili zniknął w holu hotelowym. W domu Maxine naląła sobie jeszcze jeden kieliszek szampana. Chwilę później usłyszała samochód Blake'a. Przywiózł Zeldę i dzieci. Zelda zostawiła Jimmy'ego z opiekunką, która wyszła natychmiast po jej powrocie. Dzieci zostały pośpiesznie zapędzone do łóżek. Były wykończone, więc wymamrotały tylko „dobranoc” pod adresem rodziców, którzy siedzieli na kanapie, rozmawiając.

Blake był w doskonałym nastroju. Wydawało mu się, że Maxine jest trochę wstawiona, bardziej niż na przyjęciu. Tam była całkiem trzeźwa, ale teraz już mniej, po dwóch kolejnych kieliszkach szampana. On także napełnił sobie kieliszek. Rozmawiali wesoło o przyjęciu. Choć Blake wypił sporo, nie było tego po nim widać. I w swojej białej smokingowej marynarce był piękny jak gwiazdor filmowy. Kiedy trącali się kieliszkami, oboje wyglądali jak para filmowych amantów.

- Przyjęcie było wspaniałe. - Maxine zaczęła wirować po salonie w swojej złocistej sukience. Wylądowała w jego ramionach. - Twoje przyjęcia zawsze są wspaniałe. Olśniewające.

- Lepiej usiądź, żebyś się nie przewróciła, bo ci się zakręci w głowie - powiedział Blake.

- Nie jestem pijana - upierała się, co wystarczyło za dowód, że właśnie była. Zawsze lubił na nią patrzeć, kiedy była trochę wstawiona. Wydawała mu się wtedy taka wesoła i pociągająca. Tak rzadko jej się to zdarzało. Ale dzisiaj był szczególnie wieczór.

- Myślisz, że będę szczęśliwa z Charlesem? - spytała z poważną miną. Było jej trudniej niż zwykle utrzymać na nim spojrzenie.

- Mam taką nadzieję, Maxine.

Mógłby powiedzieć co innego, ale się powstrzymał.

- Jest poważny, prawda? Trochę w tym podobny do mojego ojca.

Troszkę zezowała, gdy na niego patrzyła. Mimo to wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. I musiał się powstrzymać, by nie wykorzystać tej sytuacji. Starał się być z dystansem. Nie chciał jej skrzywdzić, a już na pewno nie tej nocy. Wiedział już, że szansa przeleciała mu koło nosa. Przerzuciwszy się na wódkę, nalał jej resztkę szampana. Więcej nie było.

- Tak, pod pewnymi względami przypomina twojego ojca - powiedział. - Obaj są lekarzami.

Alkohol zaczął uderzać mu do głowy, co mu wcale nie przeszkadzało. Jeśli miałby się w ogóle kiedykolwiek upić, to chyba właśnie teraz.

- Ja też jestem lekarką - powiadomiła go z głośnym czknięciem. - Jestem psychiatrą. Zajmuję się urazami u dzieci. Czy nie spotkaliśmy się ostatnio w Maroku? - Roześmiała się z własnego dowcipu.

On też się roześmiał.

- Ledwie panią poznałem, wyglądała pani zupełnie inaczej w butach na protektorze. Oczywiście wolę panią w tych pantofelkach.

Podniosła kształtną nogę, spojrzała na pantofelek i kiwnęła głową.

- Ja też wolę pantofelki. W tamtych butach dostaję pęcherzy na stopach.

- Następnym razem włóż zamiast nich pantofle na szpilkach.

- Włóżę. Na pewno. Wiesz co? Mamy śliczne dzieci. Uwielbiam je.

- Ja też.

- Ale Charles nie bardzo - powiedziała, marszcząc brwi.

- I one też go nie lubią.

Oboje zaczęli się głośno śmiać. I Maxine zerknęła na niego z ukosa.

- Właściwie dlaczego się rozwiedliśmy? Czy ty pamiętasz? Ja nie pamiętam.

Zrobiłeś mi coś złego?

Musiała już być całkiem pijana. Blake także.

- Zapominałem wracać do domu. - Uśmiechnął się smutno.

- Tak, o to poszło. Teraz już pamiętam. Niedobrze. Bo właściwie... bardzo cię lubię. Kocham cię. - Uśmiechnęła się do niego mile i czknęła jeszcze raz.

- Ja też cię kocham. - I wtedy odezwało się w nim sumienie. - Może powinnaś się położyć, Maxine. Jutro będziesz miała piekielnego kaca. Akurat w dniu ślubu.

Szampan był pod tym względem najgorszy.

- Prosisz mnie, żebym poszła z tobą do łóżka? - spytała, trochę zdziwiona.

- Nie. Nie ośmieliłbym się. Charles by się wściekł, a ty byś miała okropne poczucie winy. Ale mam pewność, że powinnaś się położyć.

Dopiła szampana i wtedy zauważył, że jest naprawdę pijana. To była wina tego ostatniego kieliszka. On sam także czuł, że za dużo wypił. Pił przez cały wieczór i wódka w końcu go zmoła. A może upił się widokiem Maxine w tej złocistej sukni. To też uderzało do głowy. Zawsze tak na niego działała. Nagle sobie przypomniał, i zdziwił się, jak mógł o tym zapomnieć.

- Dlaczego muszę się położyć tak wcześnie? - dąsała się.

- Dlatego, Kopciuszkule - powiedział łagodnie, biorąc ją w ramiona i podnosząc z kanapy - że jeśli tego nie zrobisz, zamienisz się w dynię. A właśnie jutro masz poślubić przystojnego księcia.

I poprowadził ją do sypialni.

- Nie, to nieprawda. Wychodzę za Charlesa. Tyle jeszcze pamiętam. On nie jest księciem z bajki. Ty nim jesteś. Dlaczego ja za niego wychodzę?

Coś ją rozdrażniło, a Blake roześmiał się, potknął i omal jej nie upuścił. Musiał ją mocno trzymać, bo znalazła się w stanie nieważkości.

- Myślę, że wychodzisz za niego, bo go kochasz.

Wprowadził ją do sypialni i posadził na łóżku. Sam stanął obok. Patrzył na nią i z lekka chwiały się na nogach. Oboje byli mocno pijani.

- Tak, rzeczywiście - odparła z uśmiechem. - Kocham go. I naprawdę za niego wychodzę. Jest lekarzem. - I popatrzyła na Blake'a. - Moim zdaniem jesteś zbyt

pijany, żeby wracać do domu. A ja jestem zbyt pijana, żeby cię odwiedzić. -

Wygłosiła nadzwyczaj trafną ocenę. - Lepiej zostań tu na noc.

Kiedy to mówiła, pokój wirował mu przed oczami.

- Położę się na chwilę, żeby trochę wytrzeźwieć, a potem pójdę. Tak będzie najlepiej, prawda? - powiedział, zdejmując białą smokingową marynarkę i buty.

- Mnie nie przeszkadza - odparła, i położyła głowę na jego ramieniu. Wciąż jeszcze miała na sobie złotawą sukienkę i pantofelki na szpilkach.

- Słodkich snów - wyszeptała.

Zamknęła oczy i zapadła w sen.

- „Sweet Dreams”... Tak się nazywa nasz jacht - mruknął Blake i natychmiast zasnął.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nazajutrz rano telefon dzwonił jak szalony. Była już dziesiąta. Dzwonił bez przerwy ale nikt nie odbierał. Wszyscy spali. W końcu obudził się Sam, i wylazł z łóżka, żeby podnieść słuchawkę. W całym domu było zupełnie cicho.

- Halo? - odezwał się Sam.

Miał na sobie piżamę i ziewał jak hipopotam. Wszyscy położyli się późno. Nie zdążył się wyspać. Nie miał pojęcia, co się dzieje z innymi, oprócz Dafne, o której wiedział, że poprzedniego wieczoru wypijała za dużo szampana, potem w domu wymiotowała, ale obiecał, że nie naskarży.

- Cześć, Sam. - To był Charles, rzeński jak skowronek. - Chciałbym mówić z mamą. Tylko powiem dzień dobry. Nie zajmę jej dużo czasu.

Mówiła mu wczoraj, że na rano ma umówioną wizytę z fryzjerką i na makijaż. Był przekonany, że cały dom jest już na nogach w przedślubnej gorączce.

Sam położył słuchawkę obok telefonu i pomaszerował do sypialni Maxine. Zajrzał przez otwarte drzwi. Zobaczył oboje rodziców śpiących w ubraniach. Ojciec chrapał. Nie chciał ich budzić, więc wrócił do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Jeszcze śpią - oświadczył.

- Śpią? Kto śpi? - Charles wiedział, że nie Sam jest z mamą, skoro właśnie z nim rozmawiał.

- Oboje. Tatuś strasznie chrapie - wyjaśnił Sam. - Kiedy mama wstanie, powiem jej, że dzwoniłeś.

Sam usłyszał trzaśnięcie słuchawki, zanim odłożył swoją. Spokojnie wrócił na górę do swojego pokoju. Skoro wszyscy spali, nie widział powodu, by się śpieszyć. Włączył telewizor. Tym razem nawet dziecko Zeldy zachowywało się cichutko.

Fryzjerka przyszła punktualnie o pół do jedenastej. Zelda otworzyła jej drzwi, zobaczyła, że jest już bardzo późno, i poszła obudzić Maxine. Widok śpiącego Blake'a zupełnie ją zaskoczył. Ale mogła sobie bez trudu wyobrazić, co się stało. Oboje mieli jeszcze na sobie wieczorowe ubrania. Widocznie nocą sobie popili. Delikatnie dotknęła ramienia Maxine. Po pół tuzinie kolejnych prób Maxine w końcu się poruszyła i z cichym jękiem spojrzała na Zeldę. Natychmiast zamknęła oczy i zatkała dłońmi usta. Blake nadal spał, chrapiąc jak buldog.

- O Boże. - Maxine zmrużyła oczy, bo raziło ją światło dnia. - O Boże. Chyba mam guza mózgu i umieram.

- Myślę, że to tylko szampan - mruknęła Zelda, starając się zachować powagę.

- Nie wrzeszcz tak - powiedziała Maxine i znowu przymknęła oczy.

- Jesteś w kiepskiej formie. Przyszła fryzjerka. Co mam jej powiedzieć?

- Że mogę się bez niej obejść. - Usiłowała usiąść. - Przydałby się raczej neurochirurg... O mój Boże! - jęknęła, bo jej wzrok padł na Blake'a. - Skąd on się tutaj wziął?

I nagle jej się przypomniało. Spojrzała na Zeldę z przerażeniem.

- Myślę, że wszystko jest w porządku - orzekła Zelda. - Przecież macie na sobie ubrania.

Maxine szarpnęła Blake'a za ramię i w ten sposób go obudziła. Poruszył się i jęknął.

- Jakaś epidemia problemów neurologicznych? - wyraziła przypuszczenie Zelda.

Blake otworzył oczy, spojrzął na panie i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Zostałem porwany. Cześć, Zeldo. Co się stało, że twoje dziecko nie wrzeszczy?

- Znudziło mu się. Mogę coś dla was zrobić?

- Wezwij lekarza - powiedziała Maxine. - Albo nie... Wykluczone. Gdyby Charles się dowiedział, że jesteśmy tu oboje, toby mnie zamordował.

- Charles nie musi o tym wiedzieć - powiedziała zdecydowanie Zelda. - To nie jego sprawa. Jeszcze nie jesteś jego żoną.

- I nigdy nie będę, jeśli się dowie - jęknęła.

Blake pomyślał, że może nie byłoby tak źle. Wstał, zakolysał się na nogach, jakby stał na pokładzie jachtu, poprawił krawat i ruszył niepewnie w stronę drzwi.

- Idę do domu - oświadczył, wpadłszy nagle na ten rewolucyjny pomysł.

- Nie zapomnij zrobić sobie dużą kawę - poradziła mu Zelda. Wydawało jej się, że żadne z nich dwojga jeszcze nie wytrzeźwiało. Albo też był to najzłośliwszy przypadek kaca, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia. - Musieliście wypić niemało - powiedziała, kiedy frontowe drzwi trzasnęły za Blake'em.

- Sporo. Szampan zawsze tak mnie wykańcza. - Maxine wygramoliła się z łóżka, i w tejże chwili zjawił się Sam.

- Gdzie tatuś? - spytał, przyglądając się matce. Wyglądała znacznie gorzej niż Dafne, która też miała potężnego kaca.

- Poszedł do domu.

Maxine przeszła przez pokój na palcach, a przy każdym kroku w jej głowie wybuchały jeszcze wczorajsze fajerwerki. Ale dzisiejsze już jej się tak nie podobały.

- Dzwonił Charles - oświadczył Sam.

Maxine znieruchomiała nagle w pół kroku, jakby ktoś krzyknął: „Stój, bo strzelam!”.

- Co mu powiedziałeś? - wychrypiała.

- Że śpisz.

Zamknęła oczy z wyrazem ulgi. Bała się spytać, czy wspomniał o Blake'u.

- Chciał ci tylko powiedzieć dzień dobry. I że spotkacie się na ślubie, czy coś w tym rodzaju - dodał.

- Nie mogę teraz do niego zadzwonić. Strasznie źle się czuję. Wczoraj za dużo wypiałam. Nie chcę go zmartwić.

- Spotkacie się na ślubie - wtrąciła Zelda. - Teraz musisz coś ze sobą zrobić. Doprowadzimy cię do porządku. Idź pod prysznic, a ja zrobię kawę.

- Tak... Dobrze. To niezły pomysł.

Poszła pod prysznic, a strumienie wody raziły jej skórę jak smagnięcia batem.

W tym czasie Zelda biegła już na górę, żeby obudzić dzieci. Dafne wyglądała niewiele lepiej od matki. Zelda zbesztła ją, ale obiecała, że nic nie powie Maxine. Jack wyskoczył z łóżka i popędził do kuchni na śniadanie. Czuł się świetnie. Dostał tylko jeden kieliszek szampana, a potem przez cały wieczór pił wodę sodową i to uchroniło go przed losem, jaki zgotowała sobie siostra.

Zelda naląła Maxine jedną po drugiej dwie filiżanki kawy i mimo protestów wmusiła w nią porcję jajecznicy. I dwie tabletki aspiryny. Wtedy do kuchni weszła fryzjerka i zabrała się do roboty. Nawet nakładanie makijażu było dla Maxine strasznym cierpieniem, a cóż dopiero układanie włosów. Ale nie było wyjścia. Nie mogła zjawić się na własnym ślubie z potarganą głową, nieumalowana.

Po pół godzinie wyglądała już znacznie lepiej. Czuła się podle, ale trzymała fason. Fryzjerka знаła się na rzeczy. Włosy ułożyła we francuski kok z wplecionym sznurem pereł. Makijaż sprawił, że cera wydawała się zdrowa i rumiana. Ale Maxine ledwie mogła się ruszać, a światło sprawiało jej tak ostry ból, jak cięcie brzytwą po oczach.

- Przysięgam, Zeldo, że jestem umierająca - powiedziała słabym głosem, opuszczając powieki.

- Zaraz będzie lepiej - pocieszyła ją Zelda.

Dafne zeszła do kuchni, bardzo blada, ale ładnie uczesana i z odrobiną różu na policzkach, bo wiedziała, że mocniejszego makijażu Maxine nie zaakceptuje. Lecz Maxine sama czuła się zbyt kiepsko, by zauważyć, że Dafne ma podobny problem. Ani Sam, ani Zelda nie puścili pary z ust.

Za dwadzieścia dwunasta wszystkie dzieci były już odświętnie ubrane i gotowe. Zelda zmusiła Dafne do włożenia lawendowej sukienki, grożąc, że inaczej o wszystkim doniesie matce. To poskutkowało. Potem przygotowała pantofle i sukienkę Maxine, gdy tymczasem ona sama jeszcze stała w kuchni z zamkniętymi oczami, trzymając się krawędzi stołu.

Maxine wsunęła nogi w pantofle, a Zelda pomogła jej zapiąć sukienkę i zawiązać szarfę. Dzieci wstrzymały oddech na jej widok. Przypominała księżniczkę z bajki.

- Wyglądasz wspaniale, mamó - powiedziała Dafne, i naprawdę tak myślała.
- Dziękuję. Ale czuję się podle. Chyba mam grypę.
- Upiliście się wczoraj z tatusiem - powiedział Sam, chichocząc, a Maxine zgromiła go spojrzeniem.
- Masz nikomu o tym nie mówić. Zwłaszcza Charlesowi.
- Obiecuję. - Już nie pamiętał, że mówił Charlesowi, jak jego ojciec chrapie.

Samochody czekały przed domem. Chwilę później ukazała się Zelda w czerwonej jedwabnej sukience i w czarnych lakierkach, z dzieckiem na ręku. Trochę marudziło, ale nie płakało. Maxine pomyślała, że jeśli dziecko zacznie płakać, to głowa jej pęknie, więc w milczeniu modliła się, żeby nie przyszła mu na to ochota. W kościele mieli spotkać się z Blake'em i jej rodzicami. Charles będzie czekał przy ołtarzu. Nagle, prawdopodobnie za sprawą ogólnego rozstroju, nabożeństwo i ślub wydały się Maxine czymś niesłychanie ciężkim, przez co nie sposób będzie przebrnąć.

Jechała pierwszym samochodem, do drugiego wsiadła Zelda z dziećmi. Maxine położyła głowę na oparciu fotela i przez całą drogę ani razu nie otworzyła

oczu. To był najstraszliwszy kac w jej życiu. Zapewne kara boska, że Blake u niej spał. Bardzo źle, że tak się stało. No, ale przecież nie wydarzyło się nic więcej.

Limuzyna zatrzymała się przed wejściem do kościoła za pięć dwunasta, a zaraz za nią ta druga, którą jechały dzieci. Zdążyli na czas. Maxine weszła do kościoła krokiem tak pewnym, na jaki tylko było ją stać. W kruchcie czekali rodzice. Blake miał być razem z dziećmi podczas uroczystości, i rzeczywiście zjawił się chwilę później. Zmarnowany jeszcze bardziej niż ona. Tworzyli nieciekawy duet - oboje trochę wczorajsi i oboje bardzo tym zawstydzeni. Przywitała go bolesnym uśmiechem, a on roześmiał się głośno na ten widok i pocałował ją w czoło.

- Pięknie wyglądasz, Maxine. Ale musisz być wykończona.

- Ty też, Blake.

- Przykro mi za wczoraj - szepnął jej do ucha. - Nie powinienem był ci podać tego ostatniego kieliszka szampana.

- Nie przejmuj się tym, sama jestem sobie winna. Chyba po prostu miałam ochotę się upić.

Rodzice zaczęli się przysłuchiwać ich rozmowie. Nagle drzwi otworzyły się szeroko od strony kościoła i do kruchty wkroczył Charles. Potoczywszy po nich dzikim spojrzeniem, zatrzymał wzrok na sukni ślubnej Maxine. To było niezgodne z przyjętym planem, który ze względu na stary przesąd przewidywał, że mają się spotkać dopiero u ołtarza. Charles przeszywał ją wzrokiem. Kwiaciarka właśnie podawała bukiet Maxine i chciała jemu także wpiąć orchideę w klapę, ale odepchnął ją.

- Spędziłaś z nim noc, tak czy nie? - odezwał się do Maxine podniesionym głosem, wskazując palcem Blake'a.

Słyszając jego krzyk, aż się skuliła.

- Na miłość boską, mów ciszej.

Charles przeniósł wzrok z Maxine na Blake'a i zrozumiał, że oboje mają ciężkiego kaca. Nigdy jeszcze nie widział Maxine w takim stanie.

- Za dużo wypiliśmy, a Blake po prostu usnął - wyjaśniła. - Nic więcej się nie wydarzyło.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - powiedział Charles, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby chciał ją zabić. - Jesteście chorzy, wszyscy, cała rodzina. Ty i Blake zachowujecie się, jakbyście wciąż byli małżeństwem. Wasze dzieci to rozpuszczone niezdolne bachory. Jachty, romanse, uzależnione niemowlę. Wszyscy jesteście porąbani. Nie ożenię się z tobą, Maxine. Nie dam się wciągnąć do tego domu wariatów. Jestem pewny, że sypiałaś z nim przez cały czas.

Zanim skończył mówić, Maxine wybuchnęła płaczem. Blake zrobił krok w stronę Charlesa, chwycił go za kłapy i prawie uniósł w powietrze.

- Obraziłeś moją żonę, sukinsynu. A moje dzieci nazwałeś bachorami. Więc teraz posłuchaj mnie, dupku. Masz to jak w banku, że ona za ciebie nie wyjdzie. Nie jesteś godny czyścić jej butów, więc przeproś i znikaj.

Po czym cisnął Charlesem w stronę wyjścia. Charles wycofywał się powoli, jakby zgasł mu silnik. Maxine popatrzyła na Blake'a.

- Cholera. Co teraz będzie?

- Naprawdę chciałaś za niego wyjść? - spytał Blake, patrząc na nią z troską. Pokręciła głową, choć kiedy to robiła, ból rozsadzał jej czaszkę i rozdzierał serce.

- Nie, nie chciałam. Wiedziałam o tym już w nocy.

- Połapałaś się w ostatniej chwili - mruknął Blake.

Dzieci się rozpogodziły. Po raz pierwszy zobaczyły ojca w akcji i podobał im się sposób, w jaki Blake rozprawił się z Charlesem. Z ich punktu widzenia stało się to w samą porę.

- Cóż, dzień zaczyna się ciekawie - powiedział Arthur Connors do swojego byłego zięcia. - Co nam teraz proponujesz?

Nie wydawał się zrozpaczony, tylko trochę zatroskany.

- Ktoś musi ogłosić - powiedziała Maxine, opadając bez sił na krzesło, które stało w kącie - że ślub został odwołany.

Dzieci się rozpromieniły i nawet Zelda się uśmiechnęła. Jimmy nawet nie pisnął podczas tej sceny, a teraz zasnął głęboko. Może po prostu nie lubił Charlesa.

- Szkoda by było twojej pięknej sukni - powiedział Blake. - I te kwiaty w kościele są cudowne, wiem, bo już zerknąłem do środka. Może zrobilibyśmy z tego wszystkiego właściwy użytek? - Popatrzył na nią z powagą i dodał cicho, tak, by nikt inny tego nie usłyszał: - Obiecuję ci, Maxine, tym razem będę z wami. Nie jestem taki głupi jak kiedyś. Romanse już mi się przejadły.

- Dobrze - odpowiedziała powoli, patrząc mu w oczy. Wierzyła mu. Tym razem zamierzał zostać z nimi. Może nawet na zawsze. Pozostał Nicponiem, i za to go kochała. Ale tymczasem dojrzał do małżeństwa. Oboje dojrzeli. Już nie pragnęła go zmieniać na siłę. I zrozumiała, jak bardzo chciała być z nim. Kiedy byli razem, dochodziło do głosu to, co w nich obojgu najlepsze.

- Maxine... - zaczął Blake.

Zrobiło się już wpół do pierwszej, goście siedzieli w ławkach i czekali na ślub, słuchając muzyki.

- Tak, zgadzam się - wyszeptwała.

Pocałował ją. To było właśnie to, czego każde z nich zapragnęło ostatniej nocy. Potrzeba było Charlesa, by ich znowu połączyć. Charles miał w sobie wszystko, czego, jak sądziła, powinna chcieć, ale kimś, kogo naprawdę chciała, był Blake.

- To chodźmy - oświadczył Blake, gotów do działania. Oznaki złego samopoczucia ulotniły się bez śladu. Maxine także poczuła się zupełnie dobrze. - Jack, przejdiesz z babcią przez cały kościół i usiądziecie w pierwszym rzędzie. Sam, ty pójdziesz z Zeldą. Dafne, idziesz w parze ze mną. Tato - spojrzał na byłego teścia, i obydwaj się uśmiechnęli - czy nie masz nic przeciwko temu małżeństwu?

Żaden z nich nie przywiązywał wagi do formalnych oświadczeń, ale Blake nie chciał, by Arthur poczuł się pominięty.

- Z Charlesem zanudziłaby się na śmierć - powiedział Arthur, uśmiechając się szeroko. - I ja pewnie razem z nią.

Maxine się roześmiała.

- Prosimy o chwilę cierpliwości - powiedział Blake do pastora, który zajrzał do przedsionka. Czekał na nich przy ołtarzu już od pół godziny, zastanawiając się, co się stało.

Goście przyglądali się idącym nawą. Wszyscy rozpoznali Blake'a. Byli zdumieni, gdy Blake razem z Dafne stanął u ołtarza, a po chwili dołączyli do nich Sam i Jack. Publiczność pomyślała, że to jakiś nowy, liberalny obyczaj, by eksmałżonek towarzyszył panie młodej przy ołtarzu. Goście byli zdziwieni i zszokowani.

Zelda usiadła razem z matką Maxine. Nagle zmieniła się muzyka. Blake patrzył w głąb nawy, skąd Maxine nadchodziła pod rękę z rozpromienionym ojcem. Podeszła do ołtarza, wpatrzona w Blake'a, który nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Wszystkie lata wspólnego życia stanęły im przed oczami, wszystkie złe i dobre chwile zogniskowały się w tym jednym promiennym spojrzeniu.

Pastor spojrział tylko i już wiedział, co się stało. Blake pochylił się, by szepnąć, że nie złożył wymaganych zaświadczeń.

- Dziś przymkniemy na to oko - odrzekł szeptem pastor. - Załatwi pan to w poniedziałek i wtedy zawrzecie formalny ślub w kancelarii. Odpowiada panu takie rozwiązanie?

- Wspaniale. Dziękuję.

Odwrócił się znowu do panny młodej. Maxine z ojcem byli już przy ołtarzu. Blake i Arthur podali sobie ręce, a Arthur szturchnął go w ramię i szepnął:

- Witaj znowu w rodzinie.

Cała uwaga Blake'a skupiła się na Maxine, gdy zajął miejsce u jej boku. Dzieci przyglądały im się przez cały czas. Zauważyły, że i matka, i ojciec mają wilgotne oczy.

Pastor zwrócił się do obojga.

- Drodzy moi - zaczął. - Zebraliśmy się dziś, by połączyć węzłem małżeńskim tego oto mężczyznę z tą oto kobietą. Jeśli dobrze pamiętam, w przeszłości już raz

zostali sobie poślubieni... - Spojrzał z uśmiechem na ich dzieci. - I to z bardzo dobrym skutkiem. Chciałbym, moi drodzy, abyście wszyscy wiedzieli, że kiedy udzielam ślubu, to węzeł małżeński trzyma solidnie. Więc mam nadzieję, że tych dwoje nie przyjdzie już do ołtarza po raz trzeci.

Spojrzał znacząco na Maxine i Blake'a.

- Dobrze, możemy zaczynać. A więc zebraliśmy się tu dzisiaj, aby połączyć tego oto mężczyznę z tą oto kobietą...

Maxine widziała tylko Blake'a, a Blake widział tylko Maxine, i słyszeli tylko swoje głosy oraz szum w głowie po nocnych szaleństwach, póki oboje nie powiedzieli „tak”, nie pocałowali się, nie ruszyli do wyjścia. I wtedy już nie tylko pastor i dzieci, lecz wszyscy goście byli uśmiechnięci.

Spodziewali się zobaczyć inną parę przy ołtarzu, lecz nawet państwo młodzi nie mieli pojęcia, że sprawy przybiorą taki obrót. Stało się to, co stać się miało i czego chciał los. Odbył się ślub dwojga ludzi, których miłość nigdy nie wygasła, a rozłąka dodała jej mocy. Był to związek doskonały - związek między uroczym nicponiem i jego bardzo szczęśliwą ukochaną.

Ojciec panny młodej mrugnął do nich, kiedy go mijali, krocząc nawą. Blake odwrócił się i też mrugnął, a Maxine uśmiechnęła się pogodnie.